



MICRO

MICHAEL
CRICHTON

AND

RICHARD PRESTON

Michael Crichton & Richard Preston

MICRO

Honolulu, Hawaje. W zamkniętym od wewnątrz okoku policja znajduje zwłoki trzech mężczyzn. Ich ciała pokrywają dziesiątki miniaturowych nacięć. Brak narzędzia zbrodni, śladów walki, jakiegokolwiek motywu.

Cambridge, Massachusetts - wyspa Oahu, Hawaje. Siedmioro doktorantów MIT, specjalistów z dziedziny mikrobiologii, entomologii i biochemii, otrzymuje propozycję uczestnictwa w projekcie naukowym prowadzonym przez amerykańską firmę Nanigen MicroTech. Naningen zajmuje się produkcją wyspecjalizowanych robotów w skalach mikro i nano, cieńszych od ludzkiego włosa.

Znajdują one zastosowanie do ekstrakcji żywych mikroorganizmów

bezpośrednio z gleby lasu deszczowego. Dysponująca setkami milionów dolarów firma oferuje warunki badawcze na najwyższym światowym poziomie.

Decydując się na wyjazd na Hawaje, grupa młodych naukowców nie zdaje sobie sprawy, że padnie ofiarą technologii o jakiej świat jeszcze nie słyszał.

Wymarzona praca okaże się w rzeczywistości śmiertelną pułapką...

MICHAEL CRICHTON

Zmarły w 2008 pisarz amerykański, także reżyser, scenarzysta i producent filmowy. Autor pięciu książek niebeletrystycznych oraz ponad 20 powieści przełożonych na 36 języków, wydanych pod własnym nazwiskiem i pseudonimami. Reżyser siedmiu filmów fabularnych, zrealizowanych w większości według własnego scenariusza, m.in. Comy (z Michaielem

Douglasem), Świata Dzikiego Zachodu (z Yulem Brynnerem) i Wielkiego skoku na pociąg (z Seanem Connerym).

Producent i pomysłodawca głośnego serialu telewizyjnego Ostry dyżur. Jego dorobek literacki obejmuje m.in. następujące powieści: Wirus Andromeda, Kongo, Kula, Park Jurajski, Wschodzące słońce,

Świat zaginiony, W sieci, Pod piracką flagą i Micro (pośmiertnie uzupełnioną przez Richarda Prestona). Większość została zekranizowana przez znanych twórców (wśród nich Stevena Spielberga, Barry'ego Levinsona i Richarda Donnera). Pisarz ukończył studia medyczne na Uniwersytecie Harvarda, uzyskując tytuł doktora medycyny. Wykładał na MIT i Cambridge. Swoją pierwszą powieść

Krążą wokół nas małe stworzenia, które można bez końca badać i podziwiać, jeśli tylko zechcemy oderwać wzrok od horyzontu i zwrócić uwagę na świat w zasięgu naszej ręki.

Mozna poświęcić całe życie na magellańską podróż wokół pnia drzewa.

E.O. WILSON

Wstęp

W jakim świecie żyjemy?

W dwa tysiące ósmym roku słynny przyrodnik David Attenborough z niepokojem

zauważył, że obecnie dzieci w wieku szkolnym nie potrafią nazwać roślin i owadów powszechnie spotykanych w naszym otoczeniu, chociaż poprzednie pokolenia nie miały z tym najmniejszego problemu. Wygląda na to, że współczesne dzieci są pozbawione kontaktu z naturą i okazji do zabawy na łonie przyrody. Wskazano wiele przyczyn takiego stanu rzeczy: miejski tryb życia, utratę otwartych przestrzeni, komputery i internet, nadmierne obciążenie zadaniami domowymi. Wszystko to sprawiło, że dzieci utraciły bezpośredni kontakt z naturą. Cóż za ironia, że dzieje się to w czasach, gdy świat Zachodu okazuje tak wielką troskę o przyrodę i podejmuje coraz ambitniejsze kroki w celu jej ochrony.

Zaszczepianie w dzieciach postaw ekologicznych jest jedną z głównych metod stosowanych przez ruchy ochrony przyrody, jednak malców uczą się, by chronili coś, o czym nie mają pojęcia. Nie sposób nie zauważyć, że identyczne podejście w przeszłości prowadziło do nieumyślnego uszkodzenia środowiska naturalnego, czego najważniejszymi przykładami na gruncie amerykańskim mogą być postępująca degradacja parków narodowych oraz program zapobiegania pożarom lasów. Z pewnością nie stosowano by takiej polityki, gdyby ludzie rozumieli środowisko, które starają się chronić.

Problem w tym, że właśnie tak się wszystkim wydawało, a można mieć obawy, że nowe pokolenie uczniów będzie o tym jeszcze mocniej przekonane. Szkoła uczy, że na każde pytanie istnieje odpowiedź; dopiero w prawdziwym świecie młodzi ludzie odkrywają, że wiele aspektów życia jest niepewnych, tajemniczych, a nawet niemożliwych do zbadania.

Jeżeli będziesz mieć okazję zabawy na łonie przyrody, jeśli opryska cię żuk, jeśli barwnik ze skrzydeł motyla pozostanie na twoich palcach, jeśli zobaczysz, jak gąsienica tka swój kokon, wtedy świat natury wyda ci się pełen sekretów i niespodzianek. Im dokładniej go obserwujesz, tym bardziej tajemniczy się staje, a ty zdajesz sobie sprawę, jak niewiele o nim wiesz. Widzisz, że nie tylko jest piękny, lecz rządzi nim płodność, marnotrawstwo, agresja, bezwzględność, pasożytnictwo i przemoc. Próżno szukać tej wiedzy w podręcznikach.

Być może najważniejsze, czego możemy się nauczyć dzięki bezpośredniemu obcowaniu z przyrodą jest przekonanie, że stanowi ona niezwykle złożony układ, którego działania nie potrafimy w pełni zrozumieć ani przewidzieć. Dlatego szaleństwem jest postępować tak, jakbyśmy byli do tego zdolni, podobnie jak szaleństwem byłoby postępować tak, jakbyśmy mogli przewidzieć wahania innego złożonego systemu, jakim jest giełda. Jeśli ktoś twierdzi, że wie, jak zachowają się kursy akcji w kolejnych dniach, możemy mieć pewność, że mamy do czynienia z oszustem bądź szarlatanem. Ale jeżeli ekolog powie coś podobnego na temat środowiska albo ekosystemu, nie traktujemy go jak fałszywego proroka albo głupca.

Ludzie z powodzeniem radzą sobie w kontaktach ze złożonymi systemami. Robimy to na każdym kroku. Jednak receptą jest zarządzanie takimi układami, a nie przekonanie, że je rozumiemy. Wchodzimy w kontakt z systemem i sprawdzamy jego reakcję na nasze działanie, po czym próbujemy czegoś innego, by uzyskać pożądaną efekt. Te wielokrotnie powtarzane interakcje dowodzą, że nie jesteśmy pewni, jak system się zachowa - musimy czekać i obserwować. Czasami niewąmy przeczucie, co się wydarzy. Często mamy rację.

Jednak nigdy nie jesteśmy pewni.

W kontaktach ze światem przyrody nie możemy liczyć na stuprocentową pewność. To się nigdy nie zmienia.

Zatem w jaki sposób młodzi ludzie mogą lepiej poznać przyrodę? Proponuję, by spędzili trochę czasu w lesie deszczowym - olbrzymim, trudnym, niepokojącym i pięknym środowisku, które błyskawicznie weryfikuje nasze przekonania.

Niedokończone Michael Crichton 28 sierpnia 2008

Rick Hutter - etnobotanik badający lekarstwa stosowane przez rdzenną ludność.

Karen King - arachnolog (specjalistka od pajaków, skorpionów i roztoczy).

Wyćwiczona w sztukach walki.

Peter Jansen - specjalista od wszelkich rodzajów jadu i zatruc.

Erika Moll - entomolog i koleopterolog (specjalistka od chrząszczy).

Amar Singh - botanik badający hormony roślinne.

Jenny Linn - biochemik badająca feromony, substancje wykorzystywane do komunikacji przez rośliny i zwierzęta.

Danny Minot - pisze pracę na temat „kodów lingwistycznych i zmian paradygmatów”.

Prolog

Nanigen 9 października, godzina 23.55

Jechał Farrington Highway na zachód od Pearl Harbor wzdłuż pól trzciny cukrowej, ciemnozielonych w blasku księżyca. Przez lata był to rolniczy region Oahu, jednak ostatnio sytuacja zaczęła się zmieniać. Po lewej stronie zauważył płaskie stalowe dachy nowego parku przemysłowego Kalikimaki, które lśniły srebrzyście pośród otaczającej je zieleni. Marcos

Rodriguez wiedział, że tak naprawdę wcale nie jest to park przemysłowy. W większości budynków mieściły się tanie magazyny. W okolicy znajdowały się także sklep ze sprzętem żeglarskim, sklep z deskami surfingowymi robionymi na zamówienie, dwa warsztaty mechaniczne oraz zakład obróbki metali. To wszystko.

No i jeszcze cel jego nocnej wizyty: Nanigen MicroTechnologies, nowa spółka z kontynentu, której siedziba mieściła się w dużym budynku na drugim końcu kompleksu.

Rodriguez skręcił z autostrady i wjechał pomiędzy pogrążone w ciszy budynki.

Dochodziła północ i w parku przemysłowym było pusto. Zaparkował przed siedzibą

Nanigenu.

Z zewnątrz budynek wyglądał tak samo jak pozostałe: jednopiętrowa stalowa fasada i dach z blachy falistej upodabniały go do olbrzymiej tandetnej budy. Rodriguez wiedział, że to tylko pozory. Przed wybudowaniem swojej siedziby spółka wkopała się głęboko w wulkaniczną skałę i umieściła pod ziemią mnóstwo sprzętu elektronicznego. Dopiero potem wzniesiono niepozorny budynek, który teraz pokrywał drobny czerwony pył z pobliskich pól.

Rodriguez włożył gumowe rękawiczki i sięgnął do kieszeni po aparat cyfrowy oraz filtr podczerwieni. Następnie wysiadł z samochodu. Miał na sobie strój ochroniarza.

Naciągnął czapkę na oczy, na wypadek gdyby ulicę obserwowały kamery. Wyjął duplikat klucza, który kilka tygodni wcześniej pożyczył od recepcjonistki z Nanigenu, kiedy trzeci drink Błękitne Hawaje pozbawił ją przytomności.

Od kobiety dowiedział się, że siedziba spółki to ponad trzy i pół tysiąca metrów kwadratowych wypełnionych laboratoriami i innymi nowoczesnymi obiektami, w których pracuje się nad zaawansowanymi projektami z dziedziny robotyki. Nie była pewna, jakie to projekty, poza tym że roboty są niezwykle małe.

- Prowadzą jakieś badania nad chemikaliami i roślinami - wyjaśniła mętnie.

- Do tego potrzeba robotów?

- Owszem, oni ich potrzebują - odparła, wzruszając ramionami.

Jednak powiedziała mu także, że budynku nikt nie pilnuje; nie ma w nim systemu alarmowego, czujników ruchu, strażników, kamer ani laserów.

- Więc jak się zabezpieczacie? - spytał. - Trzymacie psy?

Recepcjonistka pokręciła głową.

- Nijak - odparła. - Wystarczy zamek w drzwiach wejściowych. Podobno nie potrzebujemy niczego więcej.

Rodriguez podejrzewał, że Nanigen to oszustwo albo sposób na uniknięcie podatków.

Żadna spółka z branży nowoczesnych technologii nie urządziłaby swojej siedziby w

zakurzonym tylko pozory. Przed wybudowaniem swojej siedziby spółka wkopała się głęboko w wulkaniczną skałę i umieściła pod ziemią mnóstwo sprzętu elektronicznego. Dopiero potem wzniesiono niepozorny budynek, który teraz pokrywał drobny czerwony pył z pobliskich pól.

Rodriguez włożył gumowe rękawiczki i sięgnął do kieszeni po aparat cyfrowy oraz filtr podczerwieni. Następnie wysiadł z samochodu. Miał na sobie strój ochroniarza.

Naciągnął czapkę na oczy, na wypadek gdyby ulicę obserwowały kamery. Wyjął duplikat klucza, który kilka tygodni wcześniej pożyczył od recepcjonistki z Nanigenu, kiedy trzeci drink Błękitne Hawaje pozbawił ją przytomności.

Od kobiety dowiedział się, że siedziba spółki to ponad trzy i pół tysiąca metrów kwadratowych wypełnionych laboratoriami i innymi nowoczesnymi obiektami, w których pracuje się nad zaawansowanymi projektami z dziedziny robotyki. Nie była pewna, jakie to projekty, poza tym że roboty są niezwykle małe.

- Prowadzą jakieś badania nad chemikaliami i roślinami - wyjaśniła mętnie.

- Do tego potrzeba robotów?

- Owszem, oni ich potrzebują - odparła, wzruszając ramionami.

Jednak powiedziała mu także, że budynku nikt nie pilnuje; nie ma w nim systemu alarmowego, czujników ruchu, strażników, kamer ani laserów.

- Więc jak się zabezpieczacie? - spytał. - Trzymacie psy?

Recepcjonistka pokręciła głową.

- Nijak - odparła. - Wystarczy zamek w drzwiach wejściowych. Podobno nie potrzebujemy niczego więcej.

Rodriguez podejrzewał, że Nanigen to oszustwo albo sposób na uniknięcie podatków.

Żadna spółka z branży nowoczesnych technologii nie urządziłaby swojej siedziby w

zakurzonym magazynie, z dala od centrum Honolulu i uniwersytetu, z którego pomocy

korzystają wszystkie tego typu firmy. Skoro Nanigen skrył się tak daleko, to zapewne ma coś do ukrycia.

Jego klient też tak uważał. Właśnie dlatego go wynajął. Prawdę mówiąc, badanie takich korporacji nie było specjalnością Rodrigueza. Zazwyczaj dzwonił do niego prawnicy z prośbą, żeby zrobił kilka zdjęć mężom, którzy zdradzali swoje żony podczas pobytu na Waikiki. W tym wypadku również zatrudnił go miejscowy prawnik, Willy Fong, jednak nie chciał zdradzić, na czyje zlecenie.

Rodriguez miał swoje podejrzania. Nanigen podobno wydał miliony dolarów na sprzęt elektroniczny z Szanghaju i Osaki. Zapewne któryś z dostawców chce się dowiedzieć, do czego posłużą ich produkty.

- To o to chodzi, Willy? Chińczycy czy Japończycy?

Willy Fong wzruszył ramionami.

- Wiesz, że nie mogę powiedzieć, Marcos.

- Ale to się nie trzyma kupy - odparł Rodriguez. - Tam nie ma żadnej ochrony, więc

twoi klienci sami mogą pojechać któreś nocy, otworzyć zamek wytrychem i sprawdzić. Nie potrzebują mnie.

- Chcesz się wykręcić z tego zlecenia?

- Po prostu chciałbym wiedzieć, o co chodzi.

- Chcą, żebyś dowiedział się, co jest w tamtym budynku, i dostarczył im zdjęcia. To wszystko.

- Nie podoba mi się to. Myślę, że to jakiś szwindel.

- Pewnie tak.

Willy popatrzył na niego ze znużeniem, jakby chciał spytać: „Ale co to za różnica?”.

- Przynajmniej nikt nie wstanie od stolika w restauracji i nie da ci w zęby.

- Racja. Willy odsunął się razem z krzesłem i położył skrzyżowane ręce na wydatnym brzuchu.

- To jak będzie, Marcos? Jedziesz czy nie?

Idąc w stronę drzwi wejściowych, Rodriguez nagle poczuł się nieswojo. Nie potrzebują ochrony. Co to może znaczyć, do diabła? W dzisiejszych czasach każdy korzysta z usług ochroniarzy, zwłaszcza w okolicach Honolulu. To konieczność.

Budynek nie miał okien, tylko pojedyncze metalowe drzwi. Obok nich wisiała tabliczka z napisem „Nanigen MicroTechnologies”, a pod nią informacja: „Wizyty tylko po wcześniejszym uzgodnieniu terminu”.

Rodriguez przekręcił klucz w zamku, który ustąpił z cichym kliknięciem.

To zbyt proste, pomyślał, oglądając się na pustą ulicę, po czym wślizgnął się do środka.

Nocne oświetlenie wydobywało z ciemności hol z przeszklonymi ścianami, recepcję oraz poczekalnię z kanapami, czasopismami i firmowymi broszurami. Rodriguez włączył latarkę i ruszył korytarzem. Na jego końcu znajdowało się dwoje drzwi. Wszedł przez pierwsze z nich i znalazł się w kolejnym korytarzu o przeszklonych ścianach. Po obu stronach zobaczył laboratoria, a w nich długie czarne stoły zastawione sprzętem oraz sterty butelek na półkach. Co kilkanaście metrów stały buczące stalowe lodówki oraz jakieś urządzenia przypominające pralki.

Zapchane tablice ogłoszeń, karteczki poprzyklejane do lodówek, tablice ściennie zabazgrane wzorami - wokół panował bałagan, jednak Rodriguez miał wrażenie, że firma rzeczywiście działa i prowadzi pracę naukową. Po co im roboty? Po chwili je zobaczył.

Sprawiały dziwaczne wrażenie: kanciaste, srebrzyście metalowe urządzenia z mechanicznymi

ramionami, nogami i przydatkami. Przypominały roboty wysyłane na Marsa. Miały różne kształty i rozmiary; niektóre były wielkości pudełek po butach, inne znacznie bardziej okazałe. Po chwili Marcos zauważył, że obok każdego robota stoi rząd jego coraz mniejszych wersji. Ostatnie miały wielkość paznokcia, ale zostały wykonane ze wszystkimi szczegółami. Nad stołami znajdowały się olbrzymie szkła powiększające, dzięki którym pracownicy mogli dokładnie widzieć roboty. Ale jak udało im się zbudować coś tak małego?

Na końcu korytarza Rodriguez znalazł drzwi opatrzone niewielkim napisem „Rdzeń tensorowy”. Otworzył je i poczuł chłodny powiew. W obszernym pomieszczeniu panował mrok. Po prawej stronie na ścianie wisiały rzędy plecaków, jakby ktoś przygotowywał się do wycieczki. Poza tym pokój był pusty. Słyszał tylko głośny szum klimatyzacji. Marcos zauważył na podłodze głębokie żłobienia w kształcie sześcioboku. A może to były sześciokątne płytki; przy tak słabym świetle nie był w stanie tego stwierdzić.

A jednak... coś kryło się pod podłogą. Olbrzymi, złożony układ sześciokątnych rur i miedzianych przewodów, ledwie widocznych w półmroku. Podłoga była wykonana z przezroczystego plastiku, przez który widział sprzęt elektroniczny umieszczony pod ziemią. Przykucnął, żeby dokładniej się przyjrzeć, a wtedy na podłogę kapnęła kropla krwi. Po chwili kolejna. Marcos z zaciekawieniem popatrzył na krew, po czym dotknął dłonią czoła. Miał krwawiącą ranę tuż nad prawą brwią.

- Co do...?

O coś się skaleczył. Niczego nie poczuł, a jednak miał krew na rękawiczce, a z czoła skapywały kolejne krople. Wstał. Krew ściekała na policzek, podbródek i ubranie. Przycisnął dłoń do brwi i pośpieszył do najbliższego laboratorium, szukając jakiejś chustki albo szmatki. Znalazł pudełko z chusteczkami higienicznymi i podszedł do umywalki, nad którą wisiało niewielkie lustro. Przyłożył chusteczkę do skóry. Krwawienie już niemal ustało. Rana była

drobna, ale głęboka, przypominała skaleczenie kartką papieru.

Zerknął na zegarek. Dwanaście minut po północy. Czas wracać do pracy. Nagle zobaczył, jak na wierzchu jego dłoni otwiera się czerwona rana od nadgarstka aż do knykci. Skóra rozdzieliła się i popłynęła krew. Zaszokowany Rodriguez wrzasnął. Chwycił kolejne chusteczki, a potem ręcznik wiszący obok umywalki.

Oddarł pasek materiału i owinął nim dłoń. Poczul ból w nodze, a gdy spojrzal w dół, zobaczył, że jego spodnie zostały rozcięte do połowy uda. Stamtąd też wypływała krew.

Marcos bez dalszego zastanawiania odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Zataczał się w korytarzu, zmierzając z powrotem do drzwi wejściowych, ciągnąc za sobą ranną nogę. Wiedział, że zostawia ślady, które pozwolą go zidentyfikować, ale o to nie dbał. Chciał tylko uciec.

Tuż przed pierwszą w nocy zatrzymał się przed biurem Fonga. Na piętrze wciąż paliło się światło. Wgramolił się po schodach na tyłach budynku. Osłabł od utraty krwi, ale poza tym czuł się dobrze. Wszedł tylnymi drzwiami bez pukania.

Fong miał gościa, którego Rodriguez nie znał. Dwudziestokilkuletniego Chińczyka ubranego w czarny garnitur i palącego papierosa. Prawnik się obejrzał.

- Co ci się stało, do cholery? Okropnie wyglądasz. - Wstał, zamknął drzwi i wrócił na miejsce. - Pobiłeś się z kimś?

Rodriguez ciężko oparł się o blat biurka. Wciąż lekko krwawił. Chińczyk w czarnym garniturze cofnął się o krok, ale nic nie powiedział.

- Nie, z nikim się nie pobiłem.

- Więc co się stało, do diabła?

- Nie wiem. Po prostu coś mi się przydarzyło.

- Co ty gadasz? - odparł Fong ze złością. - Przestań pleść bzdury. Co ci się stało?

Chińczyk zakaszłał. Rodriguez zerknął na niego i zobaczył czerwone zakrzywione rozcięcie pod jego brodą. Krew spływała na białą koszulę. Młodzieniec sprawiał wrażenie oszołomionego. Przyłożył dłoń do gardła, a krew zaczęła się przesączać między jego palcami. Nagle przewrócił się do tyłu.

- Jasny gwint! - zawołał Willy Fong i rzucił się w stronę swojego gościa. Chłopak spazmatycznie bębnił obcasami o podłogę. - To twoja sprawka?

- Nie - odparł Rodriguez. - Właśnie o tym mówiłem.

- Kurwa, co za bałagan - rzekł Fong. - Musiałeś z tym przychodzić do mojego biura?

Zastanowiłeś się choć przez chwilę? Zanim to posprzątamy...

Krew obryzgała lewą stronę twarzy Fonga. Tryskała rytmicznie z rozciętej tętnicy szyjnej. Willy zakrył ranę dłonią, ale nie powstrzymał krwawienia.

- Jasny gwint - jęknął, po czym opadł na fotel. Popatrzył na Rodrigueza. - Jak?

- Nie mam pojęcia - odparł Marcos.

Wiedział, co się stanie. Musiał tylko poczekać. Prawie nie poczuł cięcia na karku, jednak szybko dopadły go zawroty głowy i upadł. Leżał na boku w kałuży lepkiej krwi, wpatrując się w biurko Fonga. W jego buty pod biurkiem. Zdążył jeszcze pomyśleć: Drań mi nie zapłacił. Potem ogarnęła go ciemność.

„Trzy ofiary dziwaczego zbiorowego samobójstwa”, głosił nagłówek na pierwszej stronie „Honolulu StarAdvertiser”. Porucznik Dan Watanabe siedzący przy swoim biurku odrzucił gazetę na bok, po czym podniósł wzrok na swojego szefa Marty’ego Kalamę.

- Ludzie do mnie dzwonią - rzekł Kalama. Miał okulary w drucianych oprawkach i często mrugał. Wyglądał jak nauczyciel, a nie gliniarz, ale był łebskim facetem i wiedział, co robi. - Dan, słyszałem, że są jakieś problemy.

- Z tym samobójstwem? - Watanabe pokiwał głową. - I to duże. Według mnie to się

nie trzyma kupy.

- Więc skąd gazety wzięły tę informację?

- Jak zwykle wszystko zmyśliły - odparł Watanabe.

- Powiedz, co wiesz - poprosił Kalama.

Watanabe nie musiał zaglądać do notatek. Nawet po upływie kilku dni wciąż miał tę scenę przed oczami.

- Willy Fong ma biuro na pierwszym piętrze jednego z tych niewielkich budynków przy Pu'uhui Lane, niedaleko Lillihi Street, na północ od trasy szybkiego ruchu. To drewniany budynek, trochę zapuszczony, w którym mieszczą się cztery biura. Willy miał sześćdziesiąt lat. Pewnie go pan znał, przeważnie bronił miejscowych w sprawach o prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwości, same drobiazgi, zawsze był czysty. Inni lokatorzy skarżyli się na smród dobiegający z jego biura, więc udaliśmy się na miejsce i znaleźliśmy trzech martwych mężczyzn. Lekarz sądowy oszacował, że umarli dwa do trzech dni temu, nie dało się dokładniej tego określić. Klimatyzacja była wyłączona, więc w pomieszczeniu solidnie cuchnęło. Wszyscy trzej zginęli od ran zadanych nożem. Willy'emu przecięto tętnicę szyjną, wykrwawił się na swoim fotelu. Po drugiej stronie pokoju znaleźliśmy młodego Chińczyka, jeszcze go nie zidentyfikowaliśmy. Możliwe, że to obywatel amerykański. Miał poderżnięte gardło, przecięte obie żyły szyjne, błyskawicznie się wykrwawił. Trzecią ofiarą jest ten Portugalczyk z aparatem, Rodriguez.

- Ten, który robi zdjęcia facetom romansującym z sekretarkami?

- Właśnie on. Często dostawał po gębie. W każdym razie on też tam był i miał cięcia na całym ciele: na twarzy, czole, dłoni, nogach, karku. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Samookaleczenie?

Watanabe pokręcił głową.

- Nie. Lekarz sądowy to wykluczył. Obrażenia zadawał mu ktoś inny i trwało to jakiś czas, może godzinę. Znaleźliśmy krew Rodrigueza na schodach z tyłu budynku i krwawe odciski butów na chodniku. Krew w samochodzie zaparkowanym na ulicy. Zatem już krwawił, kiedy wszedł do budynku.

- Więc co tam się wydarzyło?

- Nie mam pojęcia - przyznał Watanabe. - Jeśli to samobójstwo, to mamy trzy trupy i ani jednego listu pożegnalnego, a to się nie zdarza. No i nie znaleźliśmy noża, chociaż dokładnie przetrząsnęliśmy biuro. Poza tym pomieszczenie było zamknięte od wewnątrz, więc nikt nie mógł go opuścić. Okna też były zatrzaśnięte. Szukaliśmy odcisków palców wokół ram okiennych, na wypadek gdyby ktoś tamtędy wszedł, ale natrafiliśmy tylko na trochę brudu.

- Może ktoś spuścił nóż w toalecie? - zastanawiał się Kalama.

- Nie - odparł Dan Watanabe. - W łazience nie było śladów krwi, czyli nikt tam nie wchodził po tym, jak zadano rany. Mamy trzech gości zaszlachtowanych w zamkniętym pokoju. Żadnego motywu, narzędzia zbrodni, niczego.

- I co teraz?

- Ten portugalski detektyw skądś przyjechał. Ktoś go wcześniej pokaleczył.

Postaramy się dowiedzieć, gdzie to się stało. Gdzie to wszystko się zaczęło. - Watanabe wzruszył ramionami. - Znaleźliśmy paragon ze stacji benzynowej Kelo's Mobil w Kalepie.

Tankował tam auto do pełna o dwudziestej drugiej. Wiemy, ile benzyny spalił, więc możemy w przybliżeniu oszacować, jak daleko pojechał ze stacji, zanim wrócił do Willy'ego.

- W dużym przybliżeniu. Mógł dotrzeć prawie w każdy zakątek wyspy.

- Szukamy kolejnych wskazówek. W bieżnikach opon tkwią świeże kawałki

kruszonego wapienia. Bardzo możliwe, że odwiedził jakiś plac budowy albo coś w tym

rodzaju. W końcu odkryjemy właściwe miejsce, chociaż może to trochę potrwać. - Watanabe pchnął gazetę po blacie. - A tymczasem... uznajmy, że dziennikarze mają rację. Potrójne samobójstwo i tyle. Przynajmniej na razie.

Rozdział 1

Divinity Avenue, Cambridge 18 października, godzina 13.00

W laboratorium biologicznym na pierwszym piętrze dwudziestotrzyletni Peter Jansen powoli opuścił metalowe kleszcze do terrarium i szybkim ruchem chwycił kobrę za kapturem. Wąż wściekle zasyczał, gdy Jansen złapał go drugą ręką tuż za głowę, po czym zbliżył do zlewki. Posmarował membranę spirytusem, a następnie przebił ją zębami gada i popatrzył, jak żółtawy jad spływa po szkle.

Ku swojemu rozczarowaniu uzyskał tylko kilka mililitrów płynu. Potrzebował sześciu kobr, żeby zebrać wystarczająco dużo jadu do swoich badań, jednak w laboratorium nie było miejsca dla kolejnych zwierząt. W Allston był specjalny budynek, w którym trzymano gady, ale tamtejsze zwierzęta często chorowały. Peter chciał mieć swoje węże w pobliżu, aby móc stale nadzorować ich stan.

Jad łatwo ulega zakażeniu bakteriami; właśnie dlatego posmarował membranę alkoholem i ustawił zlewkę na warstwie lodu. Badał aktywność biologiczną niektórych polipeptydów zawartych w jadzie kobry, a jego praca stanowiła część szerokiego projektu badawczego, którym objęto grupę węży, żab i pajaków wydzielających neurotoksyny. Jego doświadczenie z węzami uczyniło go „specjalistą od zatruc jadem”, którego szpitale czasami wzywały, by doradzał w przypadkach ukąszeń przez egzotyczne zwierzęta. To wzbudzało zazdrość pozostałych doktorantów pracujących w laboratorium. Jako grupa silnie ze sobą konkurowali i byli bardzo wyczuleni na oznaki zainteresowania z zewnątrz. Dlatego złożyli skargę na obecność kobry w laboratorium, argumentując, że to zbyt niebezpieczne, a badania

Petera określali jako „pracę z paskudnymi gadzinami”.

To wszystko nie przeszkadzało Peterowi, który był wesołym i bezkonfliktowym człowiekiem. Pochodził z rodziny nauczycieli akademickich, więc nie traktował tych uszczypliwości zbyt poważnie. Jego rodzice zginęli w wypadku niewielkiego samolotu w górach północnej Kalifornii. Ojciec był wykładowcą geologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis, matka nauczała w placówce medycznej w San Francisco, a starszy brat był fizykiem.

Gdy Peter odłożył kobrę do terrarium, do pomieszczenia wszedł Rick Hutter, dwudziestoczteroletni etnobotanik. Ostatnio zajmował się badaniem analgetyków występujących w korze drzew rosnących w lasach deszczowych. Jak zwykle był ubrany w wyblakłe dżinsy, dżinsową koszulę i ciężkie buty. Miał przystrzyżoną brodę i stale zmarszczone czoło.

- Widzę, że nie wkładasz rękawiczek - zauważył.

- Nie - odparł Peter. - Nabrałem pewności siebie...

- Kiedy pracowałem w terenie, musieliśmy używać rękawiczek. - Rick Hutter przy każdej okazji przypominał wszystkim w laboratorium, że miał okazję prowadzić badania w terenie. Opowiadał o tym tak, jakby spędził całe lata w amazońskich ostępach. Tymczasem przez cztery miesiące pracował w parku narodowym w Kostaryce. - Jeden z tragarzy w naszym zespole nie włożył rękawiczek, a kiedy próbował przesunąć leżący kamień... barn! Terciopelo zatopił zęby w jego ręce. Dwumetrowy grzechotnik. Musieli amputować rękę. Facet miał szczęście, że przeżył.

- Aha - odburknął Peter, mając nadzieję, że Rick zaraz sobie pójdzie. Lubił go, ale chłopak miał skłonność do pouczania wszystkich.

Spośród ludzi pracujących w laboratorium najbardziej nie lubiła go Karen King,

wysoka ciemnowłosa dziewczyna o kanciastych ramionach, która zajmowała się badaniem pajęczego jadu i nici. Usłyszała opowieść Ricka o ukąszeniu węża w dżungli inie potrafiła się powstrzymać od komentarza. Odwróciła się od stołu laboratoryjnego, przy którym pracowała.

- Rick, przecież w Kostaryce mieszkałeś w kwaterze turystycznej, nie pamiętasz?

- Gówno prawda. Obozowaliśmy w dżungli...

- Całe dwie noce - przerwała mu Karen - dopóki komary nie zmusiły cię do odwrotu.

Rick posłał jej gniewne spojrzenie. Poczzerwieniał na twarzy i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale tego nie zrobił. Nie znalazł żadnej riposty. Rzeczywiście komary wtedy koszmarnie gryzły i Rick, bojąc się, że zachoruje na malarię albo dengę, postanowił wrócić do kwatery.

Zamiast kłócić się z Karen, zwrócił się do Petera.

- A tak w ogóle, to słyszałem plotki, że twój brat ma dzisiaj przyjechać. Czy to nie on zbił majątek, zakładając własną spółkę?

- Tak mi powiedział.

- Cóż, pieniądze to nie wszystko. Ja nigdy nie zatrudniłbym się w prywatnym sektorze. To intelektualna pustynia. Najlepsze umysły pozostają na uniwersytetach, dzięki czemu nie muszą się prostytuować.

Peter nie miał ochoty sprzeczać się z Rickiem, który miał wyrobioną opinię na każdy temat. Jednak Erika Moll, entomolog, która niedawno przyjechała z Monachium, postanowiła się sprzeciwić.

- Myślę, że jesteś zbyt surowy. Mnie by nie przeszkadzała praca dla prywatnej firmy.

Hutter wyrzucił ręce w górę.

- Widzisz? Mówiłem, że to prostytutka.

Erika spała z kilkoma osobami z wydziału biologii i nie dbała, kto się o tym dowie.

Pokazała Rickowi środkowy palec.

- Wal się!

- Widzę, że już opanowałaś nasz slang - odparł Hutter. - Zresztą chyba nie tylko to.

- Tego akurat nigdy się nie dowiesz. - Odwróciła się w stronę Petera. - Nie widzę niczego złego w prywatnej działalności.

- Ale co to dokładnie za spółka? - odezwał się ktoś cicho. Peter odwrócił się i zobaczył Amara Singha, specjalistę od hormonów roślinnych. Amar słynął ze swojego praktycznego umysłu. - To znaczy, czym oni się zajmują, że tak dobrze im się powodzi? Działają w branży biologicznej? Przecież twój brat jest fizykiem, prawda? Jak to działa?

Nagle po drugiej stronie laboratorium rozległ się głos Jenny Linn.

- Ojej, patrzcie na to! - Jenny wyglądała przez okno na ulicę, skąd dobiegało dudnienie potężnych silników. - Peterze, czy to twój brat?

Wszyscy podeszli do okien.

Na ulicy Peter zobaczył swojego brata, który machał do nich, szczerząc się radośnie jak dzieciak. Erie stał obok jaskrawożółtego kabrioletu Ferrari i obejmował ramieniem piękną blondynkę. Za nimi stało kolejne lśniące ferrari, tym razem czarne.

- Dwa ferrari! - ktoś zawołał. - Są warte z pół miliona dolarów. Dudnienie silników odbijało się echem od ścian laboratoriów wzdłuż Divinity Avenue.

Jakiś mężczyzna wysiadł z czarnego ferrari. Był szczupły i miał na sobie drogie ubranie, chociaż nosił się zdecydowanie swobodnie.

- To Vin Drake - odezwała się Karen, wyglądając przez okno.

- Skąd wiesz? - spytał Rick, stając obok niej.

- Jak można tego nie wiedzieć? - odparła Karen. - Vincent Drake to prawdopodobnie największy inwestor w Bostonie.

- Moim zdaniem to hańba - odrzekł Rick. - Już dawno powinni zakazać takich samochodów.

Ale nikt go nie słuchał. Wszyscy ruszyli w stronę schodów prowadzących na ulicę.

- Co się tak podniecacie? - zdziwił się Rick.

- Nie słyszałeś? - rzucił Amar, pośpiesznie go mijając. - Przyjechali tutaj, żeby przeprowadzić nabór.

- Jaki nabór?

- Potrzebny nam każdy, kto specjalizuje się w dziedzinach, które nas interesują - powiedział Vin Drake otaczającym go młodym ludziom. - Mikrobiologii, entomologii, biochemii, etnobotanice, fitopatologii... innymi słowy, w badaniach przyrody w skalach mikro i nano. Takich ludzi szukamy i chcemy zatrudnić. Nie wymagamy tytułu doktora, to nas nie obchodzi. Jeśli jesteście utalentowani, możecie napisać pracę u nas. Ale będziecie się musieli przeprowadzić na Hawaje, ponieważ tam znajdują się nasze laboratoria.

Peter uściskał brata.

- To prawda, że już zatrudniacie? - spytał.

- Tak, to prawda - odpowiedziała blondynka. Wyciągnęła rękę na powitanie i przedstawiła się jako Alyson Bender, dyrektor finansowy spółki. Miała chłodny, stanowczy uścisk. Była ubrana w płowy żakiet i nosiła sznur prawdziwych pereł. Do końca roku będziemy potrzebowali co najmniej setki wysokiej klasy specjalistów. Niełatwo ich znaleźć, mimo że proponujemy zapewne najlepsze warunki do prowadzenia badań w historii nauki.

- To znaczy? - spytał Peter zdziwiony tym śmiałym twierdzeniem.

- Tak jest w istocie - rzekł jego brat. - Vin wszystko wyjaśni.

Peter odwrócił się w stronę samochodu brata.

- Czy mógłbym... - Nie potrafił się powstrzymać. - Czy mógłbym wsiąść? Tylko na

chwilę.

- Jasne, nie krępuj się.

Wślizgnął się za kierownicę i zamknął drzwi. Fotel lotniczy ciasno go obejmował, skóra wykwintnie pachniała, przyrządy były duże i praktyczne, na niewielkiej kierownicy znajdowały się nietypowe czerwone przyciski. Słońce lśniło na złotym wykończeniu.

Wszystko wydawało się tak luksusowe, że Peter poczuł się trochę nieswojo. Nie był pewien, czy podoba mu się to uczucie. Poprawił się na siedzeniu i poczuł coś pod udem. Znalazł tam biały przedmiot, który przypominał kawałek prażonej kukurydzy i był równie lekki. Jednak to był kamyk. Peter uznał, że ostre krawędzie mogą porysować tapicerkę, więc schował kamyk do kieszeni, po czym wysiadł z auta.

Rick Hutter z niechęcią wpatrywał się w czarne ferrari, nad którym rozplýwała się Jenny Linn.

- Musisz zrozumieć, Jenny, że ten samochód to szczyt marnotrawstwa i obraza dla Matki Ziemi.

- Doprawdy? - odparła Jenny. - Tak ci powiedziała? - Przesunęła palcami po błotniku.

- Ja uważam, że jest piękny.

Vin Drake usiadł w podziemnym pomieszczeniu, w którym znajdowały się tylko stół z laminatu oraz automat do kawy, a obok niego miejsca zajęli Erie Jansen i Alyson Bender, dwoje dyrektorów spółki Nanigen. Wokół nich zgromadzili się doktoranci; niektórzy usiedli przy stole, inni oparli się o ściany.

- Jesteście młodymi naukowcami u progu kariery - odezwał się Vin Drake. - Dlatego musicie sobie radzić z prawidłami rządzącymi waszą branżą. Na przykład dlaczego kładzie się taki nacisk na nowe dziedziny nauki? Dlaczego każdy chce się nimi zajmować? Ponieważ to głównie ich reprezentanci mogą liczyć na nagrody i uznanie. Trzydzieści lat temu, gdy

pojawiła się biologia molekularna, biologom przyznawano Nagrody Nobla i pojawiało się mnóstwo nowych odkryć. Później odkrycia stały się mniej istotne, mniej przełomowe. Biologia molekularna przestała być nowością. Najlepsi naukowcy zajęli się genetyką, proteomiką albo skupili na wyspecjalizowanych obszarach badań, takich jak funkcjonowanie mózgu, świadomość czy różnicowanie komórek, gdzie wciąż pozostaje wiele poważnych problemów do rozwiązania. Czy to dobra strategia? Niezupełnie, ponieważ te problemy wciąż nie zostały rozwiązane. Okazuje się, że nie wystarczą nowe dziedziny nauki. Potrzebne są także nowe narzędzia. Teleskop Galileusza to nowa wizja wszechświata. Mikroskop Leeuwenhoeka to nowa wizja życia. Tak samo obecnie. Radioteleskopy radykalnie zwiększyły naszą wiedzę astronomiczną. Bezzałogowe sondy kosmiczne pozwoliły nam na nowo zrozumieć Układ Słoneczny. Mikroskop elektronowy zmienił cytologię. I tak dalej, i tak dalej. Nowe narzędzia umożliwiają postęp. Dlatego jako młodzi badacze powinniście zadać sobie pytanie, kto dziś dysponuje nowymi narzędziami.

Przez chwilę panowała cisza.

- No dobrze, ja połknę przynętę - ktoś się odezwał. - Kto dziś dysponuje nowymi narzędziami? My - odrzekł Vin. - Nanigen MicroTechnologies. Nasza spółka ma narzędzia, które zdefiniują granice poznania w pierwszej połowie dwudziestego pierwszego wieku. Nie żartuję ani nie przesadzam. Mówię szczerą prawdę.

- To odważne twierdzenie - odparł Rick. Opierał się ościanę z rękami skrzyżowanymi na piersi, ściskając w dłoni tekturowy kubek z kawą.

Vin Drake spokojnie popatrzył na Ricka.

- Mamy ku niemu podstawy.

- Więc co to za narzędzia, którymi dysponujecie? - ciągnął Rick.

- To zastrzeżona informacja - odparł Vin. - Jeśli chcecie się dowiedzieć, podpiszcie

umowę z klauzulą poufności i przyjedźcie na Hawaje, żeby przekonać się osobiście.

Zapłacimy za wasz przelot.

- Kiedy?

- Kiedy będziecie gotowi. Choćby jutro.

Vin Drake się śpieszył. Zakończył swoją prezentację i wszyscy wyszli z piwnicy na Divinity Avenue, gdzie stały zaparkowane ferrari. Było październikowe popołudnie, więc w powietrzu wyczuwało się chłód, a drzewa płonęły pomarańczowymi i rdzawymi barwami.

Wydawało się, że Hawaje są oddalone o milion kilometrów od Massachusetts.

Peter zauważył, że Erie nie słuchał wystąpienia swojego szefa. Obejmował Alyson Bender i się uśmiechał, ale myślami błądził gdzie indziej.

- Czy nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli porozmawiam z bratem na osobności? -

spytał Alyson, po czym chwycił Erica pod rękę i poprowadził go wzdłuż ulicy, oddalając się od pozostałych. Peter był o pięć lat młodszy od Erica. Zawsze podziwiał brata i zazdrościł mu łatwości w radzeniu sobie ze wszystkim, od sportu przez dziewczyny po naukę. Wydawało się, że Ericowi wszystko przychodzi bez wysiłku i zmartwień. Niezależnie od tego, czy chodziło o ważny mecz w drużynie lacrosse, czy ustny egzamin doktorancki, Erie zawsze wiedział, jak się zachować. Nigdy nie tracił pewności siebie ani luzu.

- Alyson to miła dziewczyna - zagaił Peter. - Od dawna się spotykacie?

- Od dwóch miesięcy - odrzekł Erie. - Tak, jest miła. - Jednak w jego głosie nie było entuzjazmu.

- Jest jakieś „ale”?

Erie wzruszył ramionami.

- Nie, po prostu życie. Alyson ma stopień MBA. Obchodzi ją tylko biznes i potrafi być twarda. No wiesz, tata chciał mieć syna.

- Cóż, jest wyjątkowo ładna jak na chłopaka.

- Tak, jest ładna. - Znów ten sam ton.

Peter postanowił lepiej zbadać grunt.

- A jak się mają sprawy z Vinem?

Vincent Drake nie cieszył się najlepszą reputacją. Dwukrotnie groziło mu federalne oskarżenie i chociaż w obu wypadkach się wybronił, nikt nie był pewien, jak tego dokonał.

Postrzegano go jako twardego, sprytnego i pozbawionego skrupułów, ale przede wszystkim jako człowieka sukcesu. Peter był zaskoczony, gdy Erie się u niego zatrudnił.

- Vin jak nikt inny potrafi zbierać fundusze - odrzekł Erie. - Wygłasza błyskotliwe prezentacje i zawsze osiąga zamierzony cel. - Wzruszył ramionami. - Akceptuję wady takiego układu, czyli fakt, że Vin jest gotów powiedzieć wszystko, byle tylko ubić interes. Ale ostatnio jest jakby... bardziej ostrożny. Jak na prezesa przystało. Więc on jest prezesem spółki, Alyson dyrektorem finansowym, a ty...?

- Wiceprezesem i kierownikiem działu technicznego - odrzekł Erie.

- To ci odpowiada?

- Jeszcze jak. Chcę się zajmować technologią. - Uśmiechnął się. - No i jeździć ferrari...

- No właśnie, co z autami? - spytał Peter, gdy do nich wrócili. - Co z nimi zrobicie?

- Pojedziemy na Wschodnie Wybrzeże, a po drodze zatrzymamy się w kilku większych uniwersyteckich laboratoriach biologicznych i wykonamy nasz mały pokaz, żeby zachęcić kandydatów. Potem oddamy samochody w Baltimore.

- Oddacie?

- Są wypożyczone - odrzekł Erie. - Po prostu chcemy zwrócić na siebie uwagę.

Peter obejrzał się na tłum zgromadzony wokół samochodów.

- Skutecznie.

- Tak, zauważyliśmy.

- Czyli naprawdę szukacie pracowników?

- Naprawdę.

Peter znów wyczuł brak entuzjazmu w głosie brata.

- Więc co się stało?

- Nic.

- Daj spokój, Ericu.

- Przecież mówię, że nic. Spółka się rozwija, robimy duże postępy, mamy niesamowitą technologię. Wszystko gra.

Peter nic nie odpowiedział. Przez chwilę szli w milczeniu. Erie wetknął rękę do kieszeni.

- Naprawdę wszystko jest w najlepszym porządku.

- Jasne.

- Nie kłamie. Więc on jest prezesem spółki, Alyson dyrektorem finansowym, a ty...?

- Wiceprezesem i kierownikiem działu technicznego - odrzekł Erie.

- To ci odpowiada?

- Jeszcze jak. Chcę się zajmować technologią. - Uśmiechnął się. - No i jeździć ferrari...

- No właśnie, co z autami? - spytał Peter, gdy do nich wrócili. - Co z nimi zrobicie?

- Pojedziemy na Wschodnie Wybrzeże, a po drodze zatrzymamy się w kilku

większych uniwersyteckich laboratoriach biologicznych i wykonamy nasz mały pokaz, żeby zachęcić kandydatów. Potem oddamy samochody w Baltimore.

- Oddacie?

- Są wypożyczone - odrzekł Erie. - Po prostu chcemy zwrócić na siebie uwagę.

Peter obejrzał się na tłum zgromadzony wokół samochodów.

- Skutecznie.

- Tak, zauważyliśmy.

- Czyli naprawdę szukacie pracowników?

- Naprawdę.

Peter znów wyczuł brak entuzjazmu w głosie brata.

- Więc co się stało?

- Nic.

- Daj spokój, Ericu.

- Przecież mówię, że nic. Spółka się rozwija, robimy duże postępy, mamy

niesamowitą technologię. Wszystko gra.

Peter nic nie odpowiedział. Przez chwilę szli w milczeniu. Erie wetknął rękę do kieszeni.

- Naprawdę wszystko jest w najlepszym porządku.

- Jasne.

- Nie kłamie. Wierzę ci.

Doszli do końca ulicy, po czym zawrócili i ruszyli z powrotem w stronę grupy stłoczonej wokół samochodów.

- No dobrze - zagadnął Erie - przyznaj się, z którą z tych dziewczyn z waszego laboratorium się spotykasz?

- Ja? Z żadną.

- Więc z kim?

- Chwilowo z nikim - odparł Peter przygnębionym głosem.

Erie zawsze miał mnóstwo dziewczyn, podczas gdy życie miłosne Petera było chaotyczne i mało satysfakcjonujące. Przez pewien czas spotykał się z dziewczyną z wydziału antropologii, która pracowała w Muzeum Peabody'ego przy tej samej ulicy, ale ich związek skończył się, kiedy zaczęła się umawiać z wykładowcą z Londynu.

- Tamta Azjatka jest całkiem ładna - zauważył Erie.

- Jenny? Nawet bardzo ładna. Niestety, gra w przeciwnej drużynie.

- Szkoda. - Erie pokiwał głową. - A blondynka?

- Erika Moll - odrzekł Peter. - Z Monachium. Nie jest zainteresowana związkiem na wyłączność.

- No, ale...

- Daj spokój.

- Ale gdybyś...

- Już próbowałem.

- W porządku. A kim jest tamta wysoka, ciemnowłosa kobieta?

- To Karen King. Arachnolog. Bada powstawanie pajęczyn. Ale pracowała też nad podręcznikiem Systemy żyjące i nie pozwala, aby ktokolwiek o tym zapomniał.

- Zadziera nosa?

- Tylko trochę.

- Wygląda bardzo zdrowo - zauważył Erie, wciąż wpatrując się w Karen. Ma świra na punkcie zdrowego trybu życia. Sztuki walki, siłownia.

Zbliżali się do grupy. Alyson pomachała do Erica.

- Jesteś gotowy, kochanie?

Erie przytaknął. Uścisnął Petera i podał mu rękę.

- Dokąd teraz, braciszku? - spytał Peter.

- W dalszą drogę. Zaraz mamy spotkanie w MIT. Po południu wybieramy się na

Uniwersytet Bostoński, a potem odjeżdżamy. - Uderzył Petera w ramię. - Nie trzymaj się na dystans. Wpadnij mnie odwiedzić.

- Tak zrobię - obiecał Peter.

- No i zabierz ze sobą swoją grupę. Obiecuję, że nikt z was nie będzie zawiedziony.

Rozdział 2

Budynek wydziału biologii 18 października, godzina 15.00

Gdy wrócili do laboratorium, znajome otoczenie nagle wydało im się pospolite i staroświeckie. A także nadmiernie zatłoczone. Od dawna rosło między nimi napięcie: Rick Hutter i Karen King nie znosili się od pierwszego dnia pracy, Erika Moll wprowadzała zamieszanie za sprawą swoich licznych romansów, a młodzi doktoranci, jak to się powszechnie zdarza, ostro ze sobą rywalizowali. Poza tym byli znużeni pracą. Wyglądało na to, że wszyscy mają podobne odczucia, i gdy ponownie zasiedli przy stołach, by bez entuzjazmu zająć się swoimi badaniami, w laboratorium zapadła cisza. Peter zdjął zlewkę z lodu, oznaczył ją etykietą i postawił na swojej półce w lodówce. Zwrócił uwagę na jakiś przedmiot, który grzechotał mu w kieszeni razem z drobnymi monetami, i leniwie go wyjął. Był to drobiazg, który znalazł na siedzeniu wynajętego ferrari Erica. Rzucił go na blat. Przedmiot zawirował.

- Co to jest? - zaciekawił się Amar Singh, botanik.

- Nic takiego. Oderwało się gdzieś w samochodzie mojego brata. Pomyślałem, że jeszcze porysuje mu tapicerkę.

- Mogę zobaczyć? Jasne. - Przedmiot był nieco większy od paznokcia. - Masz. - Peter obojętnie podał go koledze.

Amar położył drobiazg na dłoni i wyteżył wzrok.

- To nie wygląda na część samochodu.

- Nie?

- Raczej na samolot.

Peter przyjrzał się uważniej. Przedmiot był tak mały, że trudno było dostrzec jakiegokolwiek detale, ale rzeczywiście przypominał malutki samolot. Mógłby stanowić część jednego z modeli do sklejania, którymi Peter bawił się w dzieciństwie. Na przykład myśliwiec przeznaczony do przymocowania na pokładzie lotniskowca. Jednak Peter nigdy nie widział takiego myśliwca. Model miał tępy nos, otwartą kabinę bez osłony oraz kanciasty tył z malutkim pękatym kołnierzem, ale nie miał żadnych skrzydeł.

- Czy mogę...?

Amar już szedł do potężnego szkła powiększającego przy swoim stanowisku. Położył obiekt na blacie i ostrożnie go obrócił.

- Coś niezwykłego - oznajmił.

Peter wyciągnął szyję, żeby popatrzeć. W powiększeniu samolot - czy cokolwiek to było - wydawał się wyjątkowo piękny i pełen detali. W kokpicie znajdowały się zdumiewająco złożone przyrządy sterownicze, tak malutkie, że trudno było sobie wyobrazić, jak je wykonano. Amar najwyraźniej rozmyślał o tym samym.

- Może za pomocą laserowej litografii - rzekł. - Tak jak się robi mikroprocesory.

- Ale czy to jest samolot?

- Wątpię. Nie widać żadnego napędu. Nie wiem. Może po prostu jakiś model.

- Model? - spytał Peter. Najlepiej spytaj brata - odrzekł Amar, wracając do swojego stołu.

Peter zadzwonił do Erica na komórkę. W tle usłyszał donośne głosy.

- Gdzie jesteś?

- Przy Memorial Drive. W MIT nas pokochali. Doskonale rozumieją, o co nam chodzi.

Peter opisał mały przedmiot, który znalazł.

- Naprawdę nie powinieneś tego mieć - odrzekł Erie. - To tajne.

- Ale co to takiego?

- Element testu. Jedna z pierwszych próbek naszej technologii. To robot.

- Ma kokpit z malutkim fotelem i przyrządami, zupełnie jakby ktoś miał tam siedzieć...

- Ależ nie, to wnęka na miniaturowy zasilacz i urządzenie do zdalnego sterowania.

Mówię ci, Peterze, że to robot. Jeden z pierwszych dowodów naszej przełomowej techniki miniaturyzacji. Zamierzałem ci go pokazać, gdybyśmy mieli więcej czasu, ale... słuchaj, najlepiej będzie, jeśli zachowasz to w tajemnicy, przynajmniej na razie.

- Jasne.

Nie było sensu wspominać o Amarze.

- Przywieź go ze sobą, kiedy nas odwiedzisz na Hawajach.

Kierownik laboratorium Ray Hough spędził resztę dnia w swoim gabinecie, sprawdzając prace pisemne. Wśród doktorantów panowało zgodne przekonanie, że w obecności profesora Hougha nie wypada rozmawiać o innych perspektywach zawodowych. Dlatego o szesnastej wszyscy spotkali się w lokalu Lucy's Deli przy Massachusetts Avenue. Zasiedli wokół dwóch stolików i pograżyli się w ożywionej dyskusji. Rick wciąż argumentował, że uniwersytet jest jedynym miejscem, gdzie można prowadzić badania w sposób zgodny z zasadami etyki. Jednak nikt go nie słuchał; wszystkich bardziej interesowały twierdzenia Vina Drake'a.

- Był przekonujący - zauważyła Jenny - ale starał się po prostu zareklamować swoją firmę.

- Zgadza się - przyznał Amar - jednak przynajmniej część z tego to prawda. Ma rację, że nowe odkrycia wymagają nowych narzędzi. A jeśli oni dysponują techniką na miarę nowego rodzaju mikroskopu albo nowej reakcji łańcuchowej polimerazy, to szybko dokonają wielu odkryć.

- Ale czy rzeczywiście oferują najlepsze warunki badawcze na świecie? - odrzekła Jenny.

- Możemy się sami przekonać - odparła Erika. - Powiedzieli, że zapłacą za nasz przelot.

- Jaka pogoda jest na Hawajach o tej porze roku? - spytała Jenny.

- Nie wierzę, że to kupujecie - oburzył się Rick.

- Jak zawsze doskonała - odrzekła Karen. - Odbywałam treningi taekwondo w rejonie Kona. Coś pięknego.

Karen była zapaloną miłośniczką sztuk walki i już przebrała się w dres przed wieczornym treningiem.

- Słyszałam, jak ich dyrektorka finansowa mówiła, że do końca roku zamierzają zatrudnić setkę nowych pracowników - powiedziała Erika, starając się odwrócić uwagę pozostałych od Karen i Ricka.

- To ma nas wystraszyć czy skusić?

- Może i jedno, i drugie? - rzekł Amar.

- Czy wiemy, co to za technologia, którą podobno dysponują? - spytała Erika. - Wiesz coś, Peterze? Z punktu widzenia kariery naukowej idiotyzmem byłoby nie zrobić wcześniej doktoratu - wtrącił Rick.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Peter, po czym zerknął na Amara, który tylko w milczeniu pokiwał głową.

- Szczerze mówiąc, jestem ciekawa, jakie mają laboratoria - przyznała Jenny.

- Ja również - dodał Amar.

- Przeglądałam ich stronę internetową - odezwała się Karen. - Nanigen MicroTech.

Twierdzą, że produkują wyspecjalizowane roboty w skali mikro i nano. Czyli w rozmiarach od kilku milimetrów do kilku tysięcznych milimetra. Zamieścili rysunki robotów, które wyglądają, jakby miały około czterech czy pięciu milimetrów długości, a także dwukrotnie mniejszych, o rozmiarach około dwóch milimetrów. Sprawiają wrażenie bardzo szczegółowo wykonanych. Jednak nie wyjaśnili, w jaki sposób je produkują.

Amar wpatrywał się w Petera, jednak ten milczał.

- Twój brat z tobą o tym nie rozmawiał, Peterze? - spytała Jenny.

- Nie, trzyma to w tajemnicy.

- No cóż - ciągnęła Karen. - Nie wiem, co rozumieją przez roboty w skali nano.

Musiałyby być cieńsze od ludzkiego włosa. Nikt nie jest w stanie produkować przedmiotów o takich rozmiarach. Trzeba by zbudować robota atom po atomie, a tego nie da się zrobić.

- A oni twierdzą, że to potrafią? - zdziwił się Rick. - Wciskają wam reklamowe gówno.

- Samochody są prawdziwe.

- Ale wypożyczone.

- Muszę zdążyć na trening - powiedziała Karen, wstając od stołu. - Ale powiem wam jedno. Nanigen stara się nie rzucać w oczy, jednak na kilku stronach biznesowych znalazłam krótkie wzmianki o nich pochodzące sprzed około roku. Otrzymali prawie miliard dolarów od konsorcjum utworzonego przez Davros Venture Capital...

- Miliard!

- Tak. W skład konsorcjum wchodzi głównie międzynarodowe firmy farmaceutyczne.

- Firmy farmaceutyczne? - Jenny zmarszczyła czoło. - Dlaczego miałyby być

zainteresowane mikrorobotami?

- Napięcie rośnie - rzekł Rick. - Za kulisami kryją się wielkie korporacje.

- Może liczą na odkrycie nowych sposobów podawania leków? - zasugerował Amar.

- Nie, już dysponują nanokulkami, więc nie muszą wydawać na to miliarda dolarów.

Pewnie spodziewają się nowych leków.

- Ale skąd... - Zdziwiona Erika pokręciła głową.

- To nie wszystkie informacje, które znalazłam na biznesowych stronach -

kontynuowała Karen. - Wkrótce po otrzymaniu dotacji Nanigen został oskarżony przez

konkurencyjną firmę z branży, działającą w Palo Alto, o przedstawienie fałszywych danych w

celu zdobycia pieniędzy. Rywale stwierdzili, że Nanigen wcale nie ma technologii, którą się

chlubi. Ta druga spółka również zajmowała się budową mikrorobotów.

- Aha...

- I co się stało?

- Pozew wycofano. Spółka z Palo Alto ogłosiła bankructwo. Na tym się skończyło, a

prezes upadłej firmy przyznał, że Nanigen jednak dysponuje wspomnianą technologią.

- Więc myślisz, że mówią prawdę? - spytał Rick.

- Myślę, że spóźnię się na trening - odparła Karen.

- Ja sędzę, że nie kłamię - odezwała się Jenny. - Zamierzam się wybrać na Hawaje,

żeby to sprawdzić. Ja również - rzekł Amar.

- Nie wierzę własnym uszom - westchnął Rick.

Peter i Karen szli Massachusetts Avenue w stronę Central Square. Było późne

popołudnie, ale słońce wciąż mocno przygrzewało. Karen w jednej ręce niosła sportową

torbę, drugą miała pustą.

- Rick mnie wkurza - powiedziała. - Powołuje się na etyczne zachowanie, a tak

naprawdę po prostu jest leniwy.

- Jak to?

- Pozostanie na uczelni to bezpieczne wyjście - odparła Karen. - Przyjemne i wygodne życie. Tylko że on się do tego nie przyzna. Czy mógłbyś iść po mojej drugiej stronie?

Peter przeszedł na lewą stronę Karen.

- Dlaczego?

- Żebym miała wolną rękę.

Zerknął na jej prawą dłoń. W zaciśniętej pięści trzymała kluczyki od samochodu w taki sposób, że języczek klucza sterczał spomiędzy jej palców jak ostrze noża. Na łańcuszku od kluczy obok nadgarstka wisiał pojemnik z gazem pieprzowym.

Peter nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Myślisz, że coś nam grozi?

- Świat to niebezpieczne miejsce.

- Massachusetts Avenue o siedemnastej?

Znajdowali się w samym sercu Cambridge.

- Nikt nie podaje rzeczywistej liczby gwałtów na terenie uczelni - odparła Karen. - To okryłoby ją złą sławą i zamożni absolwenci nie przysyłałoby tutaj swoich córek.

Peter nie spuszczał wzroku z jej zaciśniętej pięści.

- Co zrobisz z tym kluczykiem?

- Uderzę napastnika prosto w gardło. Paralizujący ból, możeprzebita tchawica. Jeśli to go nie powali, poprawię z bliska gazem. Potem mocny kopniak w kolano, może uda się je złamać. Padnie i już się nie podniesie.

Była przy tym śmiertelnie poważna i zasępiona. Peter powstrzymał śmiech. Znajoma

ulica, którą szli, sprawiała nudne wrażenie. Widzieli ludzi śpieszących się do pracy albo do domu na kolację. Minęli zmartwionego wykładowcę w. pogniecionej sztruksowej marynarce, który ścisnął w ręce plik niebieskich arkuszy egzaminacyjnych, oraz idącą za nim drobną staruszkę z balkonikiem. Przed sobą zobaczyli grupę uprawiającą jogging.

Karen sięgnęła do torebki, wyjęła niewielki składany nóż i otworzyła grube ząbkowane ostrze.

- Mam jeszcze nóż, więc w ostateczności mogę wypatroszyć drania. - Podniosła wzrok i zobaczyła jego minę. - Myślisz, że jestem śmieszna, prawda?

- Nie - odpowiedział. - Po prostu... naprawdę wypatroszyłabyś kogoś nożem?

- Moja przyrodnia siostra jest prawniczką w Baltimore. Pewnego razu w środku dnia idzie do swojego samochodu na podziemnym parkingu, gdy nagle atakuje ją jakiś facet.

Dziewczyna się przewraca, uderza głową o beton, traci przytomność. Zostaje pobita i zgwałcona. Kiedy odzyskuje przytomność, okazuje się, że ma wsteczną amnezję i nie potrafi sobie przypomnieć niczego, co dotyczy napastnika: jak to się stało, jak wyglądał. Niczego.

Spędza dzień w szpitalu, po czym wypisują ją do domu. W jej firmie jest pewien facet, jeden z partnerów, który ma podrapaną szyję, więc siostra podejrzewa, że to on mógł ją napaść.

Facet z jej biura śledził ją i zgwałcił. Ale niczego nie pamięta, nie może być pewna. Czuje się z tym fatalnie. W końcu odchodzi z pracy, przeprowadza się do Waszyngtonu i zaczyna od początku na gorzej płatnym stanowisku. - Karen uniosła pięść. - A wszystko dlatego, że nie miała przy sobie takiego kluczyka. Była zbyt miła, żeby się bronić. Bzdury.

Peter zastanawiał się, czy Karen rzeczywiście byłaby zdolna dźgnąć kogoś

kluczykiem albo zaszlachtować nożem, i doszedł do niepokojącego wniosku, że owszem. W środowisku uniwersyteckim większość ludzi tylko gada, lecz ona była gotowa do działania.

Dotarli do przesłoniętej papierem witryny szkoły sztuk walki. Ze środka dobiegały

chóralne okrzyki.

- Tutaj mam trening - powiedziała Karen. - Do zobaczenia później. Ale kiedy będziesz rozmawiał ze swoim bratem, spytaj go, dlaczego firmy farmaceutyczne wyłożyły tyle pieniędzy na mikroroboty, dobrze? Ciekawi mnie to. - Po czym weszła do budynku przez wahadłowe drzwi.

Wieczorem Peter wrócił do laboratorium. Co trzy dni musiał karmić kobrę i zazwyczaj robił to o tej porze, ponieważ kobry w naturalnym środowisku prowadzą nocny tryb życia. Była dwudziesta i światła w laboratorium były przygaszone, gdy opuścił wijącego się białego szczura do akwarium i zasunął pokrywę. Szczur uciekł w przeciwny kąt terrarium i znieruchomiał. Poruszał tylko nosem. Wąż powoli się odwrócił, rozwinął i skierował w stronę gryzonia.

- Nienawidzę na to patrzeć - rzekł Rick, stając za plecami Petera.

- Dlaczego?

- To takie okrutne.

- Każdy musi coś jeść.

Kobra zaatakowała, zatapiając zęby głęboko w ciele szczura, który zadrżał, a po chwili upadł.

- Dlatego jestem wegetarianinem - rzekł Rick.

- Myślisz, że rośliny nie mają uczuć? - odparł Peter.

- Nie zaczynaj - burknął Rick. - Ty i Jenny. - Badania Jenny dotyczyły między innymi komunikacji wśród roślin i owadów za pomocą feromonów, substancji chemicznych wydzielanych przez organizmy w celu wywoływania konkretnych reakcji. W ciągu ostatnich dwudziestu lat poczyniono na tym polu olbrzymie postępy. Jenny upierała się, że rośliny należy postrzegać jako aktywne, inteligentne stworzenia, niewiele różniące się od zwierząt.

No i lubiła się drażnić z Rickiem. - To absurd - rzekł do Petera. - Groszek i fasola nie mają uczuć.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Peter z uśmiechem. - Dlatego że wcześniej zabiłeś roślinę, bezdusznie ją wykończyłeś dla samolubnych kulinarnych celów. Udajesz, że nie wrzeszczała w agonii, kiedy ją zabijałeś, ponieważ nie chcesz stawić czoła konsekwencjom morderstwa z zimną krwią, które popełniłeś.

- Bzdura.

- Szowinizm gatunkowy - odrzekł Peter. - Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

Uśmiechał się, ale wierzył w to, co mówi. Z zaskoczeniem zauważył, że w

laboratorium są także Erika i Jenny. Niewielu doktorantów pracuje w nocy. Co się stało?

Erika Moll stała przy stole do sekcji i ostrożnie rozcinała czarnego chrząszcza. Była koleopterologiem, czyli entomologiem szczególnie zainteresowanym chrząszczami. Jak sama twierdziła, stawiało ją to na przegranej pozycji podczas bankietów („Czym się pani zajmuje?” „Badam chrząszcze”). Jednak owady te są niezwykle ważne dla ekosystemu i stanowią jedną czwartą wszystkich znanych gatunków. Wiele lat temu dziennikarz spytał słynnego biologa J.B.S. Haldane’a, co można wydedukować na temat Stwórcy na podstawie Jego stworzenia, a Haldane odpowiedział: „Wygląda na to, że przesadnie interesuje się chrząszczami”.

- Co tam masz? - spytał Peter Erikę.

- To chrząszcz z rodziny biegaczowatych - odparła. - Jeden z australijskich gatunków z rodzaju Pheropsophus, który bardzo skutecznie pryska.

Ponownie zajęła się sekcją, przemieszczając się w taki sposób, że ich ciała na chwilę się zetknęły. Wydawało się, że to przypadkowy kontakt, gdyż nie dała po sobie poznać, że cokolwiek zauważyła. Jednak Erika słyszała z zamiłowania do flirtów.

- Co jest w nim wyjątkowego? - spytał Peter.

Chrząszcze z rodzaju biegaczowatych potrafią strzelać w dowolnym kierunku palącą, trującą substancją z obrotowej wypustki na końcu odwłoka. Substancja jest na tyle nieprzyjemna, że powstrzymuje ropuchy i ptaki przed ich zjedzeniem, oraz na tyle toksyczna, by na miejscu uśmiercać mniejsze owady. Mechanizm ten badano od początku dwudziestego wieku i dosyć dokładnie opisano.

- Te chrząszcze tryskają wrzącym benzochinonem, który wytwarzają z prekursorów składowanych w swoim ciele - wyjaśniła Erika. - Z tyłu odwłoka mają dwa woreczki, właśnie je rozcinam, widzisz? Pierwszy zawiera prekursor hydrochinon oraz utleniacz, nadtlenuk wodoru. Drugi worek ma postać sztywnej komory i zawiera enzymy, katalazy i peroksydazy. Kiedy chrząszcz jest atakowany, za pomocą mięśni wyciska zawartość pierwszego woreczka do drugiego, gdzie składniki się mieszają tworząc wybuchową mieszankę gotową do rozpylenia.

- A ten konkretny gatunek?

- Dodaje coś jeszcze do swojego arsenału. Produkuje także pewien keton, dwutridekanon, który ma właściwości odstrasżające, ale działa również jako surfaktant, czyli nawilżający środek przyspieszający rozprzestrzenianie się benzochinonu. Chcę się dowiedzieć, gdzie jest wytwarzany. - Na chwilę delikatnie oparła dłoń na ręce Petera.

- Myślisz, że chrząszcz go nie wytwarza?

- Niekoniecznie. Może hodować w sobie bakterie, które go w tym wyręczają.

To dosyć częste zjawisko w przyrodzie. Produkcja obronnych substancji chemicznych wymaga energii, a jeśli zwierzę potrafi wykorzystać do tego celu bakterie, to tym lepiej dla niego.

- Czy ten keton występuje gdzie indziej w przyrodzie? - spytał Peter.

To by potwierdzało jego zewnętrzne bakteryjne pochodzenie.

- Owszem, u kilku gatunków gąsienic.
- A tak przy okazji, dlaczego pracujesz tak późno?

- Wszyscy tak pracujemy.

- Ponieważ?

- Nie chcę mieć zaległości - odparła. - No i podejrzewam, że w przyszłym tygodniu mnie nie będzie. Jadę na Hawaje.

Jenny Linn trzymała stoper i obserwowała złożony przyrząd: gąsienice zjadały liściaste rośliny pod dużą kolbą połączoną węzłem doprowadzającym powietrze z trzema kolejnymi pojemnikami, w których umieszczono same rośliny. Niewielka pompa kontrolowała przepływ powietrza.

- Podstawową sytuację już znamy - odezwała się Jenny. - Na świecie istnieje trzysta tysięcy gatunków roślin oraz dziewięćset tysięcy gatunków owadów, z których wiele żywi się roślinami. Więc dlaczego rośliny nie zniknęły, nie zostały całkowicie zjedzone? Ponieważ wszystkie dawno temu wykształciły na drodze ewolucji mechanizmy obronne przed atakującymi je owadami. Zwierzęta mogą uciec przed drapieżnikami, ale rośliny tego nie potrafią. Dlatego postawiły na wojnę chemiczną. Wytwarzają własne pestycydy albo toksyny, które sprawiają, że ich liście mają nieprzyjemny smak, bądź lotne związki chemiczne wabiące owadożerne drapieżniki. A czasami wydzielają substancje, za których pomocą dają innym roślinom sygnał, by uczyniły swoje liście bardziej toksycznymi, mniej jadalnymi.

Komunikacja między roślinami, właśnie to badamy.

Gąsienice pożywiające się roślinami w pierwszej kolbie spowodowały wydzielenie roślinnego feromonu, który zostanie przeniesiony do pozostałych pojemników. Wtedy inne rośliny zwiększą produkcję kwasu nikotynowego.

- Chcę zmierzyć szybkość reakcji - wyjaśniła Jenny. - Dlatego mam trzy pojemniki.

Pobiorę próbki liści z różnych miejsc, żeby zmierzyć poziom kwasu, ale kiedy odetnę jeden liść...

- Roślina zachowa się tak, jakby była atakowana, i wypuści więcej lotnych substancji.

- Właśnie. Dlatego kolby są oddzielone. Wiemy, że reakcja jest względnie szybka, następuje w ciągu kilku minut. - Jenny wskazała skrzynkę stojącą z boku. - Mierzę stężenie substancji lotnych za pomocą ultraszybkiej chromatografii gazowej, a pobieranie próbek liści to prosta sprawa. - Zerknęła na stoper. - A teraz wybaczcie...

Podniosła pierwszą kolbę i zaczęła odcinać liście, zaczynając od podstawy rośliny, starannie układając je na blacie.

- Hej, hej, hej, co tu się dzieje?

Danny Minot wszedł do laboratorium, wymachując rękami. Był pulchny i czerwony na twarzy, miał na sobie tweedową sportową marynarkę z naszywkami na łokciach, pasiasty krawatoraz obszerne spodnie i w oczach całego świata wyglądał jak dystyngowany angielski profesor. Co nie było dalekie od prawdy. Minot pisał doktorat z naukoznawstwa, mieszanki psychologii i socjologii z solidną domieszką francuskiego postmodernizmu. Miał dyplomy z biochemii i literaturoznawstwa porównawczego, ale literaturoznawstwo przeważało. Chętnie cytował Brunona Latoura, Jacques'a Derridę, Michela Foucaulta i innych, którzy uważali, że nie ma obiektywnej prawdy, jedynie prawda ustanowiona za pomocą siły. W laboratorium Minot kończył swoją pracę o „kodach lingwistycznych i zmianach paradygmatów”. W praktyce oznaczało to, że zawracał wszystkim głowę i nagrywał swoje rozmowy z innymi doktorantami, gdy ci zajmowali się swoimi obowiązkami.

Wszyscy mieli go dosyć. Często dyskutowano, dlaczego Ray Hough w ogóle wpuścił go do laboratorium. W końcu ktoś spytał o to Raya, a ten odpowiedział: „To kuzyn mojej żony. Poza tym nikt inny go nie chciał”.

- Co jest, ludzie? - zawołał Danny. - Tutaj nigdy nie pracuje się tak późno, a jednak wszyscy tu jesteście. - Znów zamachał rękami.

Jenny parsknęła pogardliwie.

- Sygnalista.

- Słyszałem - rzekł Minot. - A co to znaczy?

Jenny się odwróciła.

- Pytałem, co to znaczy. Nie odwracaj się do mnie plecami.

Peter podszedł do Danny'ego.

- Sygnalista to ktoś, kto jeszcze nie przemyślał swoich tez i nie potrafi ich obronić.

Dlatego podczas sympozjum, gdy dociera do tych nieprzemyślanych fragmentów, zaczyna wymachiwać rękami i szybko mówić, jakby chciał powiedzieć: „I tak dalej, i tak dalej”. W świecie nauki machanie rękami oznacza, że brakuje nam argumentów.

- Nie w moim wypadku - odparł Danny, machając ręką. - To wyjątkowo tendencyjna semiotyka.

- Mhm.

- Ale jak powiedział Derrida, tłumaczenie to trudna sztuka. Staram się za pomocą gestów nawiązać z wami wszystkimi łączność. Co się dzieje?

- Nie mów mu - rzucił Rick - bo będzie chciał nam towarzyszyć.

- Oczywiście, że będę chciał - odparł Minot. - Jestem kronikarzem życia w tym laboratorium. Muszę wam towarzyszyć. Dokąd się wybieracie?

Peter pokrótce opowiedział mu całą historię.

- O tak, na pewno pojedę. Zetknięcie nauki z komercją? Demoralizacja złotej młodości? O tak, muszę przy tym być.

Peter kupował kawę w automacie stojącym w rogu laboratorium, gdy podeszła do

niego Erika.

- Co robisz później?

- Nie wiem, a dlaczego pytasz?

- Pomyślałam, że może wpadnę wieczorem.

Wbiła w niego wzrok. W jej bezpośredniości było coś zniechęcającego.

- Nie wiem, Eriko - odpowiedział. - Może będę pracował do późna.

Jednocześnie pomyślał: Nie spotykałem się z tobą od ostatniego razu, trzy tygodnie temu.

- Ja już prawie skończyłam. Jest dopiero dziewiąta.

- Nie wiem, zobaczymy.

- Moja propozycja ci się nie podoba? - Wciąż uważnie przypatrywała się jego twarzy.

- Myślałem, że spotykasz się z Amarem.

- Bardzo go lubię. Jest niezwykle inteligentny. Ale ciebie też zawsze lubiłam.

- Może porozmawiamy później - odrzekł, wlewając mleczko do kawy, po czym oddalił się tak szybko, że trochę rozlał.

- Mam nadzieję - rzuciła za nim.

- Jakies problemy z kawą? - spytał Rick, podnosząc wzrok na Petera i szczerząc zęby.

W świetle lampy halogenowej trzymał głowę do dołu szczura i przykładał małą miarkę do spuchniętej tylnej łapy zwierzaka.

- Nie - odrzekł Peter. - Po prostu... zaskoczyło mnie, że jest taka gorąca.

- Mhm. Rzeczywiście zaskakująco gorąca.

- Czy to preparat karagenowy? - spytał Peter, zmieniając temat.

Karagenu zazwyczaj używano do wywoływania obrzęku łap u zwierząt

laboratoryjnych. Była to standardowa metoda stosowana w laboratoriach na całym świecie w

celu badania stanów zapalnych.

- Zgadza się - odpowiedział Rick. - Wstrzyknąłem karagen, żeby łapa spuchła. Potem owinąłem stopę okładem z wyciągu z kory Himatanthus sukuuba, czyli plumerii, średniej wielkości drzewa rosnącego w lasach deszczowych. Mam nadzieję, że zaraz zobaczymy jego przeciwzapalne działanie. Już to stwierdziłem w wypadku mleczka pochodzącego z tego drzewa. Plumeria to niezwykle wszechstronna roślina; pomaga w gojeniu ran i leczeniu wrzodów. Szamani w Kostaryce twierdzą, że ma także działanie przeciwbakteryjne i przeciwgorączkowe, zapobiega nowotworom i zabija pasożyty, ale jeszcze tego nie sprawdzałem. Z pewnością wyciąg z kory niezwykle szybko zmniejszył opuchliznę.

- Ustaliłeś, jakie substancje chemiczne odpowiadają za reakcję przeciwzapalną?

- Badacze z Brazylii przypisują takie działanie alfaamyrynie i innym związkom kwasu cynamonowego, ale jeszcze tego nie potwierdziłem. - Rick skończył mierzyć szczura, umieścił go z powrotem w klatce, po czym zapisał wymiary i czas w swoim laptopie. - Ale jedno jest pewne: wyciągi z tego drzewa wydają się całkowicie nietoksyczne. Być może pewnego dnia będzie je można podawać ciężarnym. Tylko popatrz. - Wskazał na szczura krążącego po klatce. - Już wcale nie kuleje.

Peter poklepał Ricka po plecach.

- Lepiej uważaj, bo jakaś firma farmaceutyczna cię uprzedzi.

- Bez obaw. Gdyby oni rzeczywiście zajmowali się opracowywaniem nowych leków, to już dawno zajęliby się tym drzewem. Ale po co mieliby ryzykować? Niech podatnicy sfinansują badania, jakiś doktorant poświęci kilka miesięcy pracy, a wtedy przyjdą na gotowe i kupią wyniki od uniwersytetu. A potem będą je nam odsprzedawać, i to bez refundacji. Świetny interes, prawda? - Zaczynał się nakręcać i przygotowywać do jednej ze swoich słynnych tyrad. - Mówię ci, te cholerne firmy...

- Rick - przerwał mu Peter. - Muszę już iść.

- No tak, jasne. Nikt nie chce tego wysłuchiwać, przecież wiem.

- Muszę odwirować jad kobry.

- Nie ma problemu. - Rick zawahał się, po czym obejrzał przez ramię na Erikę. -

Słuchaj, to nie moja sprawa...

- Masz rację, nie twoja.

- Ale byłoby szkoda, gdyby taki porządny facet jak ty wpadł w szpony kogoś...

takiego... Znasz mojego kolegę Jorge z informatyki w MIT? Jeśli chcesz się dowiedzieć, jaka

naprawdę jest Erika, to zadzwoń pod ten numer. - Podał Peterowi wizytówkę. - Jorge uzyska

dostęp do jej billingów telefonicznych, a nawet poczty głosowej i SMSów, a wtedy poznasz

prawdę o jej rozwiązłej naturze.

- To legalne?

- Nie. Ale cholernie użyteczne.

- Dzięki, ale...

- Ależ nie, zatrzymaj ją - nalegał Rick.

- Nie mam zamiaru z niej korzystać.

- Nigdy nie wiadomo. Billingi nie kłamią.

- W porządku.

Łatwiej było zatrzymać wizytówkę, niż się kłócić. Wsunął ją do kieszeni.

- A tak przy okazji, jeśli chodzi o twojego brata... - zaczął Rick.

- Co z nim?

- Myślisz, że był z nami szczery?

- W kwestii firmy?

- Tak, w kwestii Nanigenu.

- Sądzę, że tak - odrzekł Peter. - Ale prawdę mówiąc, niewiele o niej wiem.

- Niczego ci nie opowiadał?

- Jest bardzo skryty, jeśli chodzi o ten projekt.

- Ale myślisz, że to rzeczywiście coś innowacyjnego?

Owszem, myślę, że to coś innowacyjnego, pomyślał Peter, patrząc przez mikroskop

skanujący. Ponownie przyglądał się białej grudce, mikrorobotowi czy cokolwiek to było.

Starał się potwierdzić wyjaśnienie brata, że to, co wziął za kokpit, w istocie jest wnęką na

miniaturowy zasilacz albo jednostkę sterującą, ale obserwowany element wcale tak nie

wyglądał. Było to siedzenie umieszczone naprzeciwko malutkiej, niezwykle szczegółowo

wykonanej tablicy sterowniczej. Wciąż się nad tym głowił, gdy nagle dotarło do niego, że w

laboratorium zapadła całkowita cisza. Podniósł wzrok i zobaczył, że obraz z mikroskopu

wyświetlił się także na dużym płaskim ekranie, który wisiał na ścianie. Wszyscy wbijali w

niego wzrok.

- Co to jest, do diabła? - odezwał się Rick.

- Nie wiem. - Peter wyłączył monitor. - Ale nie dowiemy się, jeśli nie polecimy na

Hawaje.

Rozdział 3

Maple Avenue, Cambridge 27 października, godzina 6.00

Cała siódemka doktorantów postanowiła przyjąć propozycję Vina Drake'a. Zebrali

dane, opisali swoje badania i wysłali listy oraz informacje o sobie do Alyson Bender z

Nanigenu. Kolejno poinformowano ich, że firma przewiezie ich drogą lotniczą na Hawaje, a

dla ułatwienia będą podróżowali jako grupa. Koniec października poświęcili na

przygotowania do wyjazdu. Czekali ich mnóstwo pracy - musieli dokończyć eksperymenty,

ogarnąć rozpoczęte projekty badawcze, by móc je na jakiś czas porzucić, oraz oczywiście

spakować bagaże. Zamierzali wyruszyć w niedzielę rano z portu lotniczego w Bostonie, polecieć z międzylądowaniem w Dallas i dotrzeć do Honolulu tego samego dnia po południu.

Zgodzili się, że spędzą na miejscu cztery dni i wrócą pod koniec tygodnia.

Zimnym i szarym sobotnim rankiem, w przeddzień wylotu, Peter Jansen pracował na komputerze w swoim mieszkaniu. Była tam też Erika Moll, która smażyła jajka na bekonie i śpiewała Take a Chance on Me. Peter nagle zdał sobie sprawę, że rano zapomniał włączyć telefon, który wyłączył wieczorem, gdy niespodziewanie odwiedziła go Erika. Uruchomił aparat i położył go na biurku. Po chwili komórka zabrzęczała. Peter dostał SMS od brata. nie przyjeżdżaj.

Popatrzył na wiadomość. Czy to jakiś żart? Czy coś się stało? Odpisał: dlaczego?

Wpatrywał się w ekran, ale nie doczekał się odpowiedzi. Po kilku minutach wybrał numer Erica na Hawajach, ale połączył się tylko z pocztą głosową.

- Erie, mówi Peter. Co się stało? Zadzwoń do mnie.

- Z kim rozmawiasz? - zawołała Erika z kuchni.

- Z nikim. Próbuję się dodzwonić do brata.

Ponownie otworzył otrzymany SMS. Wiadomość przyszła o dwudziestej pierwszej czterdzieści dziewięć. A więc zeszłego wieczoru! Na Hawajach było wtedy popołudnie.

Peter po raz drugi wybrał numer brata, ale znów odezwała się poczta głosowa.

Przerwał połączenie.

- Śniadanie prawie gotowe - oznajmiła Erika.

Położył komórkę obok talerza. Erika zmarszczyła nos; nie lubiła telefonów przy stole.

Zaczęła nakładać jajka na jego talerz.

- Użyłam przepisu swojej babci, z mlekiem i mąką...

Telefon zadzwonił.

Peter go chwycił.

- Halo?

- Peter? - Kobięcy głos. - Peter Jansen?

- Tak, przy telefonie.

- Mówi Alyson Bender ze spółki Nanigen. - Peter przypomniał sobie blondynkę obejmującą Erica w pasie. - Jak szybko możesz przyjechać na Hawaje?

- Mamy zarezerwowane bilety na jutro.

- Możesz przylecieć dzisiaj?

- Nie wiem...

- To ważne.

- Mogę sprawdzić loty...

- Pozwoliłam sobie zarezerwować dla ciebie miejsce w samolocie, który odlatuje za dwie godziny. Zdasz?

- Myślę, że tak... Ale o co chodzi?

- Obawiam się, że mam nie najlepsze wieści, Peterze. - Na chwilę umilkła. - Chodzi o twojego brata.

- Co się stało?

- Zaginął.

- Zaginął? - Peter był oszołomiony; niczego nie rozumiał. - Jak to zaginął?

- To się stało wczoraj - odparła Alyson. - Zdarzył się wypadek na oceanie. Nie wiem, czy Erie ci mówił, że kupił motorówkę Boston Whaler? Wczoraj popłynął na północną stronę wyspy i przydarzyła mu się jakaś awaria. Tego dnia były bardzo duże fale. Silnik stracił moc i łódź została zniesiona w stronę urwiska...

Peterowi zakręciło się w głowie. Odsunął od siebie talerz z jajkami. Erika patrzyła na

niego z pobladłą twarzą.

- Skąd o tym wiesz? - spytał.

- Na szczycie urwiska stali ludzie, którzy wszystko widzieli.

- Co się z nim stało?

- Próbował odpalić silnik, ale mu się nie udało. Fale były wysokie, motorówka za chwilę miała się roztrzaskać o skały. Wskoczył do oceanu i popłynął... w stronę brzegu. Ale silne prądy... nie dotarł do celu... - Wciągnęła powietrze. - Bardzo mi przykro, Peterze.

- Erie świetnie pływa - odparł Peter. - Jest silny;

- Wiem. Właśnie dlatego wciąż mamy nadzieję, że wróci. Ale policja powiedziała nam, że... Chcieliby z tobą o wszystkim porozmawiać, kiedy tylko przyjedziesz.

- Już wychodzę - odpowiedział Peter i się rozłączył. Erika poszła do sypialni i przyniosła mu torbę, którą spakował na następny dzień.

- Lepiej się pośpieszmy, jeśli masz zdążyć na samolot. Objęła go ramieniem i razem zeszli po schodach do samochodu.

Rozdział 4

Makapu'u Point, Oahu 27października, godzina 16.00

Makapu'u Point uznawano za atrakcję

turystyczną: wysokie skały na

północnowschodnim krańcu Oahu, skąd roztaczał się oszałamiający widok we wszystkich kierunkach. Gdy jednak Peter dotarł na miejsce, zaskoczyła go surowa pustka tego miejsca.

Ostry wiatr chłostał karłowate zielone krzaki u jego stóp i szarpał go za ubranie, zmuszając do marszu z pochyloną głową.

- Czy tutaj zawsze tak jest? - spytał głośno.

- Nie - odpowiedział towarzyszący mu policjant Dan Watanabe. - Nie, czasami bywa

bardzo przyjemnie. Ale zeszłej nocy wzmógł się pasat. - Watanabe nosił okulary RayBan.

Wskazał latarnię morską po prawej stronie. - To latarnia Makapu'u. Przed laty została zautomatyzowana. Nikt już tam nie mieszka.

Bezpośrednio przed sobą zobaczyli czarne wulkaniczne urwisko obniżające się ku oceanowi szalejącemu sześćdziesiąt metrów niżej. Fale z hukiem rozbijały się o zbocze.

- Czy to się stało tutaj? - spytał Peter.

- Tak - odrzekł Watanabe. - Motorówka wypłynęła na ląd w tym miejscu... - wskazał w lewo - ...ale straż przybrzeżna ściągnęła ją ze skał dziś rano, zanim fale ją połamały.

- Więc łódź znajdowała się z dala od brzegu, kiedy zaczęły się kłopoty? - Peter popatrzył na niespokojny ocean, na wysokie fale zwieńczone białymi grzywami.

- Tak. Świadkowie twierdzą, że przez jakiś czas pana brat dryfował.

- Próbował uruchomić silnik...

- Zgadza się. Znosiło go w stronę skał.

- A na czym polegała awaria? - spytał Peter. - Z tego co wiem, to była nowa motorówka.

- Tak, kupił ją dwa tygodnie wcześniej.

- Mój brat miał doświadczenie z łodziami. Nasza rodzina w każde lato pływała po cieśninie Long Island.

- To zupełnie inne wody - odparł Watanabe. - Otwarty ocean. - Wskazał coś palcem. -

Kontynent jest oddalony o pięć tysięcy kilometrów. Ale nie w tym rzecz. Wygląda na to, że tym razem zawinił etanol.

- Etanol? - zdziwił się Peter.

- Na Hawajach zawsze dodaje się dziesięć procent etanolu do sprzedawanej benzyny, jednak ma on niekorzystny wpływ na małe silniki. Zdarzają się oszczędni sprzedawcy, którzy

dodają zdecydowanie zbyt dużo etanolu do paliwa, nawet trzydzieści procent. To powoduje zatykanie przewodów paliwowych, a wszystkie gumowe albo neoprenowe elementy mogą się zmienić w maź. Motorówki często miewają przez to kłopoty. Ludzie muszą zakładać nowe stalowe baki i wymieniać przewody. Podejrzewamy, że właśnie taka była przyczyna wypadku pańskiego brata. Zapchał się gaźnik, zapewne zawiodła pompa paliwowa. Cokolwiek to było, nie zdążył ponownie uruchomić silnika.

Peter wpatrywał się w wodę w dole. Blisko brzegu była zielonkawa, a dalej granatowa, oznaczona białymi grzywami pchanymi wiatrem.

- Jakie są tutaj prądy? - spytał.

- To zależy - odparł Watanabe. - Dobry pływak zazwyczaj jest w stanie sobie z nimi poradzić. Problem polega na tym, żeby znaleźć miejsce, w którym można wyjść z wody i nie pokaleczyć się o skały. Najlepiej kierować się na zachód i próbować dotrzeć na plażę Makapu'u. - Wskazał piaszczysty pas oddalony o prawie kilometr.

- Mój brat świetnie pływa - odrzekł Peter.

- Słyszałem, ale świadkowie więcej go nie widzieli, gdy wskoczył do wody. Tamtego dnia były bardzo wysokie fale, więc zniknął w pianie. Od razu stracili go z oczu.

- Ilu ludzi go widziało?

- Dwoje. Pewna para urządziła piknik tuż przy krawędzi urwiska. Było tam także kilkoro pieszych turystów i jeszcze parę osób, ale nie udało nam się z nimi skontaktować.

Może już dosyć tego stania na wietrze. - Ruszył w dół wzgórza, a Peter podążył za nim. - To już chyba wszystko, co mieliśmy tutaj do zrobienia - rzekł Watanabe. - Chyba że chce pan zobaczyć nagranie.

- Jakie nagranie?

- Para piknikująca na skałach włączyła kamerę, gdy zorientowała się, że motorówka

jest w tarapatkach. Nagrali około piętnastu minut filmu, między innymi skok z łodzi. Nie wiedziałem, czy chce go pan obejrzeć.

- Chcę - odparł Peter.

Siedzieli na pierwszym piętrze posterunku policji i wpatrywali się w mały ekran kamery. W budynku panował zgiełk i tłok, więc Peter z trudem skupiał się na obrazie.

Pierwsze ujęcia ukazywały mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę siedzącego na trawiastym zboczu i jedzącego kanapkę, a następnie kobietę w podobnym wieku, która piła colę i śmiała się, opędzając się przed kamerą.

- To ta para - wyjaśnił Watanabe. - Grace i Bobby Choyowie. Pierwsza część filmu to ich wygłupy. Trwają około sześciu minut. - Wcisnął guzik przewijania, po czym zatrzymał nagranie. - Na ekranie znajduje się zegar. - Widniała na nim godzina piętnasta pięćdziesiąt dwanaście sekund. - Teraz Bobby wskazuje wodę... zauważył motorówkę w opałach.

Kamera obróciła się w stronę oceanu. Biały kadłub łodzi kołysał się na tle błękitnego horyzontu. Motorówka znajdowała się około stu metrów od brzegu i Peter nie mógł dostrzec swojego brata. Kamera ponownie pokazała Bobby'ego Choya, który trzymał przy oczach lornetkę.

Kiedy Peter znów ujrzał łódź, była znacznie bliżej. Teraz widział sylwetkę Erica, który stał pochylony i na przemian pojawiał się i znikał.

- Chyba próbował przeczyścić zapchane przewody - wyjaśnił Watanabe. -

Przynajmniej tak to wygląda.

- Tak - zgodził się Peter.

Oko kamery pokazało Grace Choy, która kręciła głową i usiłowała połączyć się z kimś przez komórkę.

Potem na ekranie znów ukazała się motorówka unoszona coraz bliżej skał otoczonych

spienioną wodą.

Następnie znów ujrzeli Grace, która rozmawiała z kimś przez telefon, cały czas kręcąc głową.

- Na skałach jest słaby zasięg - rzekł policjant. - Wybrała numer alarmowy, ale przez jakiś czas nie mogła się dodzwonić. Połączenie wciąż się zrywało. Gdyby jej się udało, służby natychmiast zawiadomiłyby straż przybrzeżną.

Obraz drgał, ale Peter zauważył coś, co...

- Stop!

- Co się stało? Niech pan zatrzyma! - szybko zawołał Peter, po czym wskazał znieruchomiałą obraz. - Kto jest tam w tle?

Na ekranie widać było ubraną na biało kobietę, która stała na wzgórzu kilka metrów ponad Choyami. Intensywnie wpatrywała się w ocean i najwyraźniej wskazywała motorówkę.

- To jeden z pozostałych świadków - odpowiedział Watanabe. - Były tam też trzy osoby uprawiające jogging. Jeszcze nie udało nam się ich zidentyfikować. Ale wątpię, żeby mogli powiedzieć nam coś, czego jeszcze nie wiemy.

- Czy ta kobieta trzyma coś w dłoni? - spytał Peter.

- Chyba po prostu wskazuje łódź.

- No nie wiem. Wydaje mi się, że jednak coś trzyma.

- Poproszę specjalistów od materiałów filmowych, żeby rzucili na to okiem. Może ma pan rację.

- Co ona robi później?

Nagranie ponownie ruszyło.

- Od razu odchodzi - odrzekł Watanabe. - Wspina się na wzgórze i znika nam z oczu.

Widzi pan, właśnie idzie. Śpieszy się, może chce wezwać pomoc, ale więcej nikt jej nie

widział. I nikt inny nie dzwonił pod numer alarmowy.

Po kilku chwilach Erie skoczył z motorówki do wzburzonego oceanu. Trudno było to dokładnie ocenić, ale znajdował się mniej więcej trzydzieści metrów od brzegu. Nie zanurkował, tylko skoczył na nogi i zniknął w białej pianie.

Peter uważnie wpatrywał się w wodę, czekając, aż jego brat się wynurzy, ale tak się nie stało. Poza tym Erie zrobił coś dziwnego, wręcz niepokojącego: przed skokiem nie założył kamizelki ratunkowej. Wydawało się, że powinien mieć na tyle rozsądku.

- Mój brat nie ma na sobie kamizelki ratunkowej - rzekł Peter.

- Zauważyłem - odpowiedział Watanabe. - Może zapomniał ją zabrać. Takie rzeczy się zdarzają...

- Czy wzywał pomocy przez radio?

Na motorówce Erica z pewnością znajdował się nadajnik UKF. Jako doświadczony żeglarz jego brat powinien wysłać wezwanie o pomoc na kanale szesnastym, który stale monitoruje straż przybrzeżna.

- Straż przybrzeżna nie odebrała żadnego sygnału.

To było bardzo dziwne. Nie założył kapoka, nie wzywał pomocy. Czyżby popsuło mu się radio? Peter wciąż wbijał wzrok w falujący i pulsujący pusty ocean, na którym nie było ani śladu jego brata.

- Niech pan wyłączy - poprosił po kolejnej minucie.

Watanabe zatrzymał nagranie.

- Zniknął w cmentarzysku.

- Co takiego?

- W cmentarzysku. Tak nazywamy rwącą kipieli po załamaniu fali, pełną wirującej piany. Mogło go rzucić na skały. Grzbiety niektórych z nich znajdują się zaledwie półtora do

dwóch metrów pod powierzchnią. Trudno powiedzieć. - Na chwilę zamilkł. - Chce pan obejrzyć jeszcze raz?

- Nie -' odparł Peter. - Mam dosyć.

Watanabe zamknął ekran i wyłączył kamerę.

- Tamta kobieta na wzgórzu - zaczął swobodnym tonem. - Wie pan, kto to był?

- Ja? Nie. To mógł być każdy.

- Pytam, ponieważ... tak gwałtownie pan zareagował.

- Przepraszam, po prostu zaskoczyło mnie, że... tak nagle się pojawiła. Nie mam pojęcia kto to taki.

Watanabe siedział nieruchomo.

- Oczywiście powiedziałby mi pan, gdyby było inaczej.

- Jasne, że tak.

- Cóż, dziękuję za poświęcony czas. - Policjant dał Peterowi swoją wizytówkę. -

Poproszę jednego z detektywów, żeby odwiózł pana do hotelu.

Peter milczał w drodze powrotnej. Nie miał ochoty rozmawiać, a detektyw nie

naciskał. To prawda, że widok Erica znikającego w wodzie go zaniepokoił, jednak nie tak bardzo jak ubrana na białą kobieta na wzgórzu, która kierowała w stronę motorówki jakiś przedmiot. Ponieważ tą kobietą była Alyson Bender, dyrektorka finansowa Nanigenu, a jej obecność wszystko zmieniała.

Rozdział 5

Waikiki 27października, godzina 17.45

Peter Jansen leżał na łóżku w swoim pokoju hotelowym i miał wrażenie, że śni. Nie

wiedział, co dalej robić. Dlaczego nie powiedział porucznikowi, kim jest Alyson Bender?

Czuł się wyczerpany, ale nie potrafił odpocząć. Wciąż na nowo odtwarzał nagranie w

myślach. Widział, jak Alyson trzyma coś w dłoni i obserwuje śmierć Erica, jakby nie miało to dla niej żadnego znaczenia, a potem pośpiesznie się oddała. Dlaczego?

Przypomniawszy sobie, co Rick Hutter powiedział mu o Ericie Moll. O tym, jak można kogoś sprawdzić. Wyjął portfel i zaczął go przetrząsać, wyciągając wizytówki i pieniądze. W końcu znalazł odręcznie wypisaną wizytówkę, którą dostał od Ricka w laboratorium ponad tydzień wcześniej. Znajdowały się na niej tylko imię „Jorge” oraz numer.

Facet, który potrafi uzyskać dostęp do rejestrów telefonicznych. Haker z MIT.

Sądząc po numerze kierunkowym, mieszkał w Massachusetts. Peter wybrał numer.

Długo nikt nie odbierał. Nie zgłaszała się poczta głosowa, więc cierpliwie czekał. W końcu w słuchawce odezwał się mrukliwy głos.

- Ta? Jansen się przedstawił i wyjaśnił, w jakiej sprawie dzwoni.

- Jestem kolegą Ricka Huttera. Czy mógłbyś dla mnie zdobyć listę wykonanych i odebranych połączeń dla konkretnego numeru?

- Po co?

- Rick powiedział, że mogę się do ciebie z tym zgłosić. Zapłacę, ile trzeba.

- Pieniądze mnie nie interesują. Robię takie rzeczy tylko wtedy, kiedy to... intrygujące.

- Jorge mówił cicho, z lekkim latynoskim akcentem.

- Pewna kobieta może być zamieszana w... śmierć mojego brata.

Śmierć. Po raz pierwszy użył tego słowa w odniesieniu do Erica.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Mam numer, z którego do mnie dzwoniła. Czy mógłbyś się dowiedzieć, z kim jeszcze rozmawiała? Zakładam, że to jej telefon. - Po czym podał numer Alyson.

Cisza się przedłużała. Peter wstrzymał oddech. W końcu Jorge przerwał milczenie.

- Potrzebuję... - przerwa - ...dwóch godzin.

Peter położył się na łóżku. Serce tłukło mu się w piersi. Słyszał samochody mknące Kalakaua Avenue, gdyż okno jego pokoju wychodziło na miasto i wznoszące się za nim góry. Dzień powoli chylił się ku końcowi. Słońce zaczynało się obniżać i pomieszczenie wypełniły cienie. Może Erie dopłynął do brzegu; może cierpi na amnezję i znajdą go w jakimś szpitalu; może doszło do jakiejś tragicznej pomyłki... Peter musi mieć nadzieję, wierzyć, że Erie się odnajdzie, gdzieś, jakimś cudem... Zawsze istnieje szansa. A może został... zamordowany? W końcu nie mógł już dłużej wytrzymać w pokoju i wyszedł.

Usiadł na plaży przed hotelem i obserwował, jak czerwone smugi zachodzącego słońca ciemnieją nad oceanem. Dlaczego nie powiedział policji, że rozpoznał Alyson na nagraniu? Posłuchał intuicji. Ale dlaczego? Co go do tego skłoniło? W młodości bracia zawsze sobie pomagali. Erie krył Petera, a Peter Erica...

- Tutaj jesteś!

Odwrócił się i w wieczornym świetle zobaczył nadchodzącą Alyson Bender. Miała na sobie błękitną sukienkę w hawajskie wzory i sandały. Prezentowała się zupełnie inaczej niż w Cambridge, gdy nosiła żakiet i naszyjnik z pereł. Teraz wyglądała na młodą niewinną dziewczynę.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś? Myślałam, że się odezwiesz, kiedy skończysz rozmawiać z policją. Jak poszło?

- W porządku. Zabrali mnie na miejsce, do Makapu'u Point, i pokazali, gdzie to się

stało.

- Mhm. Coś już wiedzą w sprawie Erica?

- Nadal go nie znaleźli. Ani jego ciała.

- A co z motorówką?

- To znaczy?

- Policja ją sprawdziła?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Nic mi nie mówili.

Usiadła obok niego na piasku i położyła mu rękę na ramieniu.

Miała ciepłą dłoń.

- Przykro mi, że musiałeś przez to przejść, Peterze, na pewno czułeś się okropnie.

- Było ciężko. Policja ma nagranie wideo.

- Nagranie? Naprawdę? Oglądałeś je?

- Tak.

- I co? Coś na nim zobaczyliście?

Czyżby nie widziała kamery w rękach pary, która siedziała tuż pod nią na zboczu?

Czy to możliwe, że patrzyła tylko na motorówkę? Teraz uważnie wpatrywała się w jego twarz w półmroku.

- Widziałem, jak Erie skacze... ale się nie wynurzył.

- To straszne - odrzekła cicho.

Poruszyła ręką, ściskając i głaszcząc jego ramię. Chciał jej powiedzieć, żeby przestała, ale nie odważył się odezwać. Cała ta sytuacja była koszmarna.

- Co o tym sądzi policja? - spytała Alyson.

- O czym dokładnie?

- O tym, co się wydarzyło na motorówce.

- Uważają, że zawinił zapchany...

Zadzwoniła jego komórka. Wyłowił ją z kieszeni koszuli i otworzył klapkę.

- Halo.

- Mówi Jorge.

- Chwileczkę. - Wstał i zwrócił się do Alyson. - Przepraszam na chwilę, muszę z kimś porozmawiać. - Oddalił się wzdłuż plaży. Na ciemniejącym niebie zaczęły się pojawiać gwiazdy. - Słucham cię, Jorge.

- Mam informacje dotyczące numeru, który mi podałeś. Został zarejestrowany na firmę Nanigen MicroTechnologies z Honolulu. Numer przypisano pracownicy Alyson F. Bender.

Peter obejrzał się na mroczną sylwetkę Alyson widoczną na tle piasku.

- Mów dalej.

- Wczoraj o piętnastej czterdzieści siedem lokalnego czasu trzy razy z rzędu dzwoniła pod numer sześćset czterdzieści sześć, sześćset siedemdziesiąt trzy, dwadzieścia sześć, osiemdziesiąt dwa.

- Czyli do kogo?

- To numer jednego z tych jednorazowych telefonów, z których można korzystać, dopóki nie zużyją się impulsy na koncie.

- Dzwoniła trzy razy?

- Tak, ale łączyła się tylko na chwilę... trzy sekundy, potem dwie, potem znów trzy.

- Aha... czyli myślała, że nie udało jej się dodzwonić?

- Nie, na pewno się dodzwoniła. Te aparaty nie mają poczty głosowej. Wiedziała, że się połączyła. Są dwie możliwości. Albo dzwoniła raz za razem, bo czekała, aż ktoś odbierze, albo uruchamiała jakieś urządzenie.

- Jak to...?

- Za pomocą połączenia z komórki można włączyć odpowiednio dostrojone urządzenie.

- A więc trzy telefony jeden po drugim. Co dalej?

- O piętnastej pięćdziesiąt pięć zadzwoniła pod inny numer w Nanigenie, należący do pracownika Vincenta A. Drake'a. Chciałbyś posłuchać tej rozmowy?

- Jasne.

Dzwonienie, potem trzask odebranego połączenia.

VIN: Słucham?

ALYSON: (zdyszana) To ja.

VIN: Tak?

ALYSON: Słuchaj, trochę się martwię, czy się udało. Chyba powinien się pojawić dym albo coś...

VIN: Przepraszam.

ALYSON: Ale martwię się...

VIN: Bądź cicho przez chwilę.

ALYSON: Nic nie rozumiesz.

VIN: Owszem, rozumiem. A teraz posłuchaj. Rozmawiamy przez telefon. Musisz mówić... dokładniej.

ALYSON: Aha. VIN: Rozumiesz, o co mi chodzi?

ALYSON: (po przerwie) Tak.

VIN: To dobrze. Gdzie jest obiekt?

ALYSON: (po przerwie) Niedostępny. Zniknął.

VIN: W porządku. Więc nie widzę żadnego problemu.

ALYSON: Ale ja i tak się martwię.

VIN: Obiekt ponownie się nie pojawił?

ALYSON: Nie.

VIN: Więc moim zdaniem nie ma problemu. Porozmawiamy o tym później, ale nie przez telefon. Wracasz?

ALYSON: Tak.

VIN: Dobrze. Do zobaczenia wkrótce.

Klik.

- Są jeszcze dwie rozmowy - rzekł Jorge. - Chcesz ich posłuchać?

- Może później.

- Dobra, przesłałem ci je w postaci plików.wav. Będziesz je mógł przesłuchać na komputerze.

- Dzięki. - Peter obejrzał się na Alyson i zadrzał. - Mogę z tym pójść na policję?

- Nie ma mowy - odparł Jorge. - Żeby zdobyć takie nagrania, potrzebny jest nakaz sądowy. Jeśli im je zanieziesz, zniweczysz wszelkie szanse na postawienie zarzutów.

Nielegalne przeszukanie i przejęcie. Poza tym wpakujesz mnie w kłopoty.

- Więc co powinienem zrobić?

- Hm... - mruknął Jorge. - Nie wiem... może nakłoń ich, żeby się przyznali.

- Jak?

- Przykro mi, w tym ci nie pomogę - odrzekł Jorge. - Ale jeśli będziesz jeszcze kiedyś potrzebował dostępu do nagrań rozmów, to dzwoń śmiało. - Po czym się rozłączył.

Peter wrócił do Alyson, czując, że ciało oblewa mu lodowaty pot. Robiło się ciemno i nie był w stanie odczytać wyrazu jej twarzy. Siedziała nieruchomo na piasku.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- W porządku.

Tak naprawdę Peter miał wrażenie, że tonie przytłoczony lawiną zdarzeń. Całe dorosłe życie spędził na uczelni i do tej pory uważał, że jego doświadczenia pozwoliły mu wykształcić w sobie jasny, wręcz cyniczny obraz tego, do czego są zdolni inni ludzie. Przez lata musiał sobie radzić ze ściągającymi studentami, wymianą seksualnych usług w zamian za dobre stopnie, fałszowaniem wyników egzaminów i przywłaszczaniem sobie studenckich badań przez wykładowców. Zdarzyło mu się nawet zetknąć z promotorem odurzonym heroiną. Mimo zaledwie dwudziestu trzech lat miał wrażenie, że widział już wszystko. Aż do tej pory. Myśl, że ktoś mógłby z zimną krwią zaplanować zabójstwo jego brata, wstrząsnęła nim i zmroziła go do szpiku kości. Bał się otworzyć usta w obecności tej kobiety, która miała być ukochaną Erica, a najwyraźniej przeciwko niemu spiskowała. Nie uroniła ani jednej łzy, w ogóle nie wydawała się dotknięta tym, co się stało.

- Jesteś bardzo milczący, Peterze.

- To był długi dzień.

- Postawić ci drinka?

- Nie, dziękuję.

- Tutejsze mai tai słyną na cały świat.

- Lepiej już się położę.

- Jadłeś kolację? Nie jestem głodny.

Wstała i otrzepała się z piasku.

- Na pewno jesteś rozgoryczony. Tak samo jak ja.

- Tak.

- Dlaczego traktujesz mnie tak chłodno? Ja tylko próbuję...

- Przepraszam - odparł szybko. Nie chciał, żeby zaczęła coś podejrzewać. To byłoby

niemądre, może nawet niebezpieczne. - To wszystko mnie zaszokowało.

Uniosła dłoń i dotknęła jego policzka.

- Zadzwoń, jeśli będę mogła ci jakoś pomóc.

- Dzięki. Tak zrobię.

Weszli z powrotem do hotelu.

- Twei przyjaciele przylecą dopiero jutro - powiedziała Alyson. - Poruszyło ich to, co spotkało Erica. Ale wycieczka po naszym zakładzie już jest zaplanowana. Chcesz wziąć w niej udział?

- Oczywiście - odrzekł. - Nie mogę tak po prostu siedzieć i się zamartwiać. Czekać.

- Wycieczka rozpocznie się przy arboretum Waipaka w dolinie Manoa w pobliskich górach - wyjaśniła. - Stamtąd pobieramy dużą część materiałów do naszych badań nad lasami deszczowymi. A więc jutro o szesnastej. Przyjechać po ciebie?

- Nie trzeba - odparł Peter. - Wezmę taksówkę. - Jakimś cudem zdołał się zmusić, żeby pocałować ją w policzek. - Dziękuję, że przyszłaś, Alyson. To wiele dla mnie znaczy.

- Po prostu chcę ci pomóc. - Popatrzyła na niego niepewnie.

- Pomagasz - odpowiedział. - Naprawdę pomagasz.

Peter Jansen nie mógł spać ani jeść, dręczony tym, czego dowiedział się dzięki Jorge.

Stał na balkonie w swoim pokoju, skąd rozciągał się widok na miasto oraz górskie szczyty, czarne i dzikie, pogrążone w mroku, podświetlone tylko przez gwiazdy na nocnym niebie.

Alyson Bender trzykrotnie połączyła się z jakimś numerem. Godzina nawiązania tych krótkich połączeń, piętnasta czterdzieści siedem, utkwiała Peterowi w pamięci. Późne popołudnie. Pamiętał, że na nagraniu z kamery turystów znajdował się zegar. Próbował sobie przypomnieć, jaki wskazywał czas. Zawsze miał pamięć do liczb, w końcu stale ich używał w swoich zestawieniach danych. To była piętnasta pięćdziesiąt. Załedwie trzy minuty po

telefonach Alyson motorówka Erica odmówiła posłuszeństwa.

Chwileczkę. A co z SMSem od Erica? Kiedy Peter go dostał? Wszedł do pokoju, wziął do ręki telefon i otworzył skrzynkę odbiorczą. Wiadomość „nie przyjeżdżaj” przysłała o dwudziestej pierwszej czterdzieści dziewięć. Czasu wschodniego. Między Wschodnim Wybrzeżem a Hawajami jest sześć godzin różnicy, co oznacza, że... Erie napisał do niego o piętnastej czterdzieści dziewięć. Wysłał SMS zaledwie dwie minuty po tym, jak Alyson trzykrotnie połączyła się z jednorazową komórką. Wiadomość składała się tylko z dwóch słów, ponieważ Erie był w sytuacji zagrożenia życia i nie miał czasu napisać nic więcej. Wysłał SMS ze swojej motorówki, jednocześnie próbując uruchomić silnik, chwilę przed wyskoczeniem za burtę. Peterowi spocły się dłonie, tak że prawie upuścił telefon. Wpatrywał się w słowa „nie przyjeżdżaj”. Czytał ostatnie przesłanie od swojego brata.

Rozdział 6

Ala Wai, Honolulu 28października, godzina 8.00

Warsztat naprawy łodzi Akamai znajdował się przy Ala Moana Boulevard, tuż obok basenu portowego Ala Wai na końcu plaży Waikiki. Taksówka zawiozła tam Petera o ósmej rano, ale na podwórzu już krzatali się pracownicy. Zakład nie był duży, z wody wyciągnięto zaledwie dziesięć, może dwanaście jednostek, więc Peter bez trudu zlokalizował motorówkę Erica.

Przyjechał, ponieważ pamiętał pytanie, które zadała Alyson zeszłego wieczoru: Czy policja sprawdziła motorówkę?

Dlaczego o to pytała? Powinna się raczej troszczyć o swojego chłopaka, a jednak wydawało się, że bardziej obchodzi ją łódź, chociaż on z niej wyskoczył.

Peter okrążył motorówkę, uważnie się jej przyglądając.

Zważywszy na to, co ją spotkało na skałach, wyglądała zaskakująco dobrze, chociaż

biały kadłub z włókna szklanego był porysowany, jakby podrapały go olbrzymie dłonie, na sterburcie widniało ponadmetrowej długości poszarpane rozdarcie i brakowało kawałka dziobu. Łodzie Boston Whaler słyną z tego, że mogą się unosić na wodzie, nawet jeśli kadłub roztrzaska się na kawałki. Erie od wielu lat pływał na takich jednostkach, więc wiedział, że nie groziło jej zatonięcie. Uszkodzenia z pewnością nie tłumaczyły jego decyzji o wyskoczeniu za burtę. Bezpieczniej byłoby zostać na pokładzie.

Więc dlaczego skoczył? Wpadł w panikę? Stracił orientację? A może wydarzyło się coś innego?

Po przeciwnej stronie łodzi znajdowała się drewniana drabinka i Peter wspinał się po niej na rufę. Wszystkie luki oraz drzwi do kajuty zostały zabezpieczone żółtą policyjną taśmą. Peter chciał rzucić okiem na zewnętrzny silnik, ale on także został zabezpieczony.

- W czymś panu pomóc? - krzyknął jakiś mężczyzna z dołu. Krępy, posiwiały, ubrany w roboczy strój naznaczony smugami smaru. Oczy osłaniała mu brudna czapka baseballowa.

- Dzień dobry - odpowiedział Peter. - Nazywam się Peter Jansen. To motorówka mojego brata.

- Mhm. Co pan tu robi?

- Chciałem zobaczyć...

- Nie umie pan czytać? - burknął mężczyzna.

- Umiem, ja tylko...

- Chyba nie, bo na tamtej tabliczce jest wyraźnie napisane, że wszyscy goście powinni się najpierw zgłosić do biura i zarejestrować. Pan jest gościem?

- Chyba tak.

- Dlaczego pan tam nie poszedł?

- Myślałem, że będę mógł...

- Nie, nie może pan. Po co pan tam wlaźł, do cholery?

- To motorówka mojego brata...

- Już pan mówił, nie jestem głuchy. Motorówka pańskiego brata. Widzi pan tę żółtą taśmę? Na pewno tak. I wie pan również, co jest na niej napisane, bo powiedział pan, że umie czytać. Zgadza się?

- Tak. To miejsce zbrodni i nic tu po panu. Proszę natychmiast złazić, a potem zgłosić się do biura i okazać jakiś dokument. Ma pan dokumenty?

- Tak.

- To dobrze. Niech pan złazi i nie marnuje mojego czasu. - Mężczyzna się oddalił.

Peter zaczął schodzić po drabince, ale gdy był tuż nad ziemią, usłyszał burkliwy męski głos.

- Czym mogę pani służyć?

- Szukam motorówki Boston Whaler, którą przywiozła straż przybrzeżna.

To była Alyson.

Peter znieruchomiał ukryty za kadłubem łodzi.

- Psiakrew - odrzekł mężczyzna. - Co z tą przeklętą motorówką? Odwiedza ją więcej ludzi niż bogatego wujka przy łożu śmierci.

- Jak to? - zdziwiła się Alyson.

- Wczoraj przyszedł jakiś facet i twierdził, że to jego łódź, ale nie miał żadnych dokumentów, więc kazałem mu spadać. Czego ci ludzie nie wymyślą! Dziś rano jakiś młody upierał się, że to motorówka jego brata, i musiałem go prawie wyciągać z kajuty, a teraz pani. Co jest z tą łodzią?

- Nie mam pojęcia - odparła Alyson. - Zostawiłam coś na pokładzie i chciałam to zabrać.

- Nie ma mowy. Chyba że ma pani upoważnienie od policji.
 - Nie mam...
 - Przykro mi. To miejsce zbrodni, tak samo mówiłem młodemu.
 - Gdzie on teraz jest?
 - Schodził po drabince. Pewnie wciąż jest po drugiej stronie łodzi. Zaraz przyjdzie.
- Chce pani wejść do biura?
- Po co? Możemy zadzwonić na policję i spytać, czy wydadzą pani pozwolenie na zabranie swoich rzeczy z pokładu.
 - Nie chcę sprawiać kłopotu. Chodzi tylko o mój zegarek. Zdjęłam go z ręki...
 - To żaden kłopot.
 - Po prostu kupię sobie nowy. Nie był drogi...
 - Mhm.
 - Myślałam, że to będzie prostsze.
 - Zrobi pani, jak uważa. Ale i tak proszę się zarejestrować w biurze.
 - Niby po co?
 - Takie przepisy.
 - Raczej nie - odparła. - Nie chcę się mieszać w śledztwo. Peter odczekał jeszcze kilka minut, po czym usłyszał głos mężczyzny.
 - Może pan już wyjść.
- Wyszedł zza kadłuba. Na podwórzu nie było Alyson. Krępy mężczyzna popatrzył na niego pytająco, przekrzywiając głowę.
- Nie chciał pan się z nią spotkać?
 - Nie przepadamy za sobą - odparł Peter.
 - Zauważyłem.

- Muszę się zarejestrować?

Mężczyzna powoli pokiwał głową.

- Owszem.

Peter poszedł do biura i wpisał się do rejestru. Nie robiło mu to żadnej różnicy. Alyson Bender już wiedziała, że wszedł na pokład motorówki, a zatem coś podejrzewa. Od tej chwili musi działać szybko.

Postanowił skończyć jeszcze tego samego dnia.

4Wrócił do pokoju hotelowego i na swoim laptopie odebrał email od Jorge. Do pozbawionej tekstu wiadomości załączono trzy pliki, wav. Pierwszy stanowił nagranie rozmowy Alyson Bender z Vinem Drakiem. Były też dwa nowe pliki. Peter je odtworzył. Znalazł w nich nagrania rozmów, które Alyson przeprowadziła przez komórkę po zniknięciu Erica. Obie rozmowy sprawiały wrażenie rutynowych. Kobieta najpierw zadzwoniła do kogoś w dziale handlowym Nanigenu i poprosiła o przedstawienie nowego planu budżetowego. Potem zatelefonowała do jakiegoś mężczyzny, być może księgowego, w sprawie wydatków.

ALYSON: Omikron stracił dwa kolejne... prototypy.

DRUGA OSOBA: Co się stało?

ALYSON: Nie powiedzieli. Vin Drake chce, żeby pan nie amortyzował tej straty, tylko zaksięgował ją jako wydatki na badania.

DRUGA OSOBA: Stratę dwóch hellstormów? Ależ to ogromny koszt... ludzie z Davros...

ALYSON: Po prostu niech pan to zrobi.

DRUGA OSOBA: Oczywiście.

Peter zapisał pliki po odsłuchaniu, ale to, co w nich znalazł, nie miało dla niego większego sensu ani nie mogło mu w niczym pomóc. Zapisał także rozmowę telefoniczną

pomiędzy Alyson a Vinem, która mogła się okazać bardzo użyteczna. Ściągnął plik na pendrive, po czym wsunął go do kieszeni, a następnie nagrał tę samą rozmowę na płycie.

Zaniósł ją do hotelowego centrum biznesowego, gdzie wydrukował profesjonalną etykietę z napisem „NANIGEN DANE 5.0 10/28”. Kiedy skończył, zerknął na zegarek. Było tuż po jedenastej.

Zszedł na taras, żeby zjeść późne śniadanie i posiedzieć na słońcu. Gdy pożywiał się kawą i jajkami, zdał sobie sprawę, że uznał wiele rzeczy za pewnik. Po pierwsze, założył, że w siedzibie Nanigenu znajduje się sala konferencyjna wyposażona w podstawowy sprzęt multimedialny. To akurat wydawało się niemal pewne. Wszystkie spółki z branży nowoczesnych technologii dysponują takimi salami.

Po drugie, założył, że podczas wycieczki doktoranci będą oprowadzani razem, a nie w mniejszych grupkach bądź indywidualnie. Podejrzewał jednak, że Vin Drake poprowadzi wycieczkę osobiście, a on lubi występy przed dużą publicznością - im większą, tym lepiej.

Poza tym, jeśli goście będą się trzymali razem, organizatorom łatwiej będzie kontrolować, jak wiele informacji przekazują.

Dla Petera było ważne, aby ich nie rozdzielono, gdyż chciał mieć jak najwięcej świadków. A może powinien zrobić to, co zaplanował, tylko przy jednej lub dwóch osobach?

Nie... błyskawicznie analizował sytuację... nie, lepiej przeprowadzić prowokację na oczach wielu ludzi. Tak najłatwiej będzie skłonić Drake'a do zrzucenia maski i być może doprowadzić do tego, by Vin i Alyson ujawnili, co zrobili jego bratu. Musiał także liczyć na to, że Drake straci panowanie nad sobą, a przynajmniej, że przydarzy się to Alyson, gdy postawi ich oboje w nerwowej sytuacji. Już wiedział, jak to osiągnąć. Jeśli mu się uda, Drake albo Alyson bardzo się zdenerwują w obecności grupy doktorantów. Właśnie na tym mu zależało.

Rozdział 7

Arboretum Waipaka 28 października, godzina 15.00

Taksówka oddaliła się od oceanu i wkrótce zaczęła się wspinać na strome wzgórze.

Szerokie akacje ocieniały drogę.

- To wszystko teren uniwersytetu - powiedział kierowca, wskazując mały

charakterystyczne szare budynki przypominające bloki mieszkalne, które znajdowały się po obu stronach drogi. Peter nigdzie nie widział studentów.

- Gdzie są wszyscy?

- To akademiki, studenci są na zajęciach.

Minęli boisko do baseballu i otaczające je osiedle niewielkich mieszkalnych

bungalowów. Jednak z czasem zabudowania stawały się coraz rzadsze, a drzewa coraz

większe. Zmierzali ku zielonej, gęsto zalesionej górskiej ścianie, która wznosiła się przed nimi na wysokość ponad sześciuset metrów.

- To Ko'olau Pali - wyjaśnił taksówkarz.

- Nie ma tam żadnych domów?

- Nie, nic się tam nie da wybudować. To stroma i krucha skała wulkaniczna, nie sposób się na nią wspiąć. Już wyjechaliśmy z miasta, jesteśmy na pustkowiu. Po stronie mauka, w pobliżu góry, pada za dużo deszczu. Nikt tutaj nie mieszka.

- A gdzie jest arboretum? Osiemset metrów dalej tą drogą. - Droga zwęziła się do pojedynczego pasa pograżonego w ciemności pod gęstymi koronami wysokich drzew. - Tam też nikt nie jeździ. Ludzie wolą Foster albo inne ładne ogrody. Na pewno mam tam pana zawieźć?

- Tak.

Droga jeszcze bardziej się zwęziła i zaczęła wspinać zygzakiem po stromym,

porośniętym dżunglą zboczu.

Po chwili jakiś samochód dogonił ich na krętej drodze, zatrąbił i z rykiem wyprzedził.

Pasażerowie machali i pokrzykiwali. Peter zamrugał: to byli doktoranci z laboratorium stłoczeni w ciemnognatowym bentleyu kabriolecie. Taksówkarz mruknął coś o zwariowanych homarach.

- Homary? - zdziwił się Peter.

- Turyści. Bo zawsze się spalają na czerwono.

Wkrótce dotarli do potężnej stalowej bramy, która wyglądała na nową. Była otwarta, a zaraz za nią znajdował się wlot tunelu. Tabliczka zabraniała wstępu nieupoważnionym osobom.

Taksówkarz zwolnił, po czym zatrzymał się przed bramą itunelem.

- Trochę się tu pozmieniało. Po co pan tam jedzie?

- W sprawach zawodowych - odrzekł Peter, czując nagły niepokój. Patrząc na stalową bramę, miał wrażenie, że po wjechaniu do tunelu już nie będzie dla niego odwrotu.

Zastanawiał się, czy brama ma powstrzymać nieproszonych gości, czy może zatrzymać ludzi w środku.

Kierowca westchnął, zdjął okulary przeciwsłoneczne, po czym wjechał do tunelu. Był to wąski, jednopasmowy korytarz wydrążony w górskiej odnodze. Droga prowadziła do niewielkiej doliny, mocno zalesionej i otoczonej przez zbocza oraz urwiska Ko'olau Pali. Z mglistych gór wyłaniały się wodospady. Zjechali w dół na polanę, nad którą górowała duża budowla o przeszklonym dachu. Vin Drake i Alyson Bender już byli na miejscu. Stali obok czerwonego sportowego bmw. Oboje mieli na sobie ciężkie buty i ubrania przystosowane do pieszej wędrówki. Doktoranci gramolili się z bentleya. Gdy Peter wysiadł z taksówki, wyraźnie spoważnieli.

- Tak mi przykro, Peterze...

- To straszne, co spotkało twojego brata...

- Tak, okropne...

- Czy wiadomo coś nowego? - Erika pocałowała go w policzek i ujęła pod rękę. -

Bardzo mi przykro.

- Policja wciąż prowadzi dochodzenie - odparł Peter.

Vin Drake mocno uściskał jego dłoń.

- Nie muszę mówić, jak wielka to dla nas tragedia. Jeśli potwierdzi się najgorszy scenariusz, a wciąż mam nadzieję, że tak się nie stanie, wszyscy doznamy olbrzymiej osobistej straty. Nie wspominając o stratach dla firmy, w której Erie jest ważnym ogniwem.

Tak mi przykro, Peterze.

- Dziękuję.

- To dobrze, że policja bada tę sprawę.

- Tak.

- Nie poddali się, nie stracili nadziei...

- Wprost przeciwnie - odparł Peter. - Wygląda na to, że na nowo zainteresowali się motorówką Erica. Chodzi chyba o rozbity telefon komórkowy, który znalazł się w komorze silnika. Nie do końca zrozumiałem to, co mi powiedzieli.

- Telefon komórkowy w komorze silnika? - Vin zmarszczył czoło. - Ciekawe, co to może znaczyć...

- Jak już mówiłem, nie zrozumiałem, co mieli na myśli - odrzekł Peter. - Nie wiem, skąd miałby się tam znaleźć telefon. Może mój brat go upuścił... nie wiem. Ale zamierzają także sprawdzić rejestry połączeń telefonicznych.

- Rejestry połączeń. No tak. To doskonale. Nie wolno niczego zaniedbać.

Czyżby Vin pobladł? Peter nie był pewien.

Alyson nerwowo oblizwała usta.

- Dobrze spałeś, Peterze?

- Tak, dziękuję. Zażyłem tabletkę.

- To świetnie.

- No cóż. - Vin Drake zatarł ręce i odwrócił się w stronę pozostałych gości. - Witamy w dolinie Manoa. Proponuję od razu przejść do rzeczy. Podejdźcie bliżej, a opowiem wam, jak działa Nanigen.

Drake poprowadził ich z parkingu w stronę lasu. Minęli niską szopę, w której stał sprzęt do robót ziemnych.

- Zapewne nigdy nie widzieliście takich maszyn - rzekł Drake. - Zwróćcie uwagę na ich niewielkie rozmiary. - Peterowi przypominały małe wózki golfowe wyposażone w miniaturowe czerpaki i anteny zwieszające się ponad dachem. - Te koparki zostały wyprodukowane specjalnie dla nas przez niemiecką firmę Siemens Précision. Potrafią wykonywać wykopy z dokładnością co do milimetra. Wykopana ziemia jest następnie umieszczana w płaskich pojemnikach stojących w głębi szopy. Mają powierzchnię trzydziestu centymetrów kwadratowych i głębokość trzech albo sześciu centymetrów.

- A anteny?

- Jak widzicie, każda z nich zwiesza się dokładnie nad czerpakiem. Dzięki nim możemy precyzyjnie ustalić, gdzie mamy kopać, oraz zapisywać w naszej bazie danych, skąd pobraliśmy poszczególne próbki. Niedługo to wszystko stanie się jaśniejsze. A tymczasem obejrzymy miejsce prowadzenia wykopów.

Zanurzyli się w lesie, a grunt pod ich stopami nagle stał się nierówny. Szli wąskim szlakiem wijącym się pod olbrzymimi drzewami. Szerokolistne pnącza owijały potężne pnie,

a ziemięporastały rośliny i krzewy sięgające wędrowcom do kolan. Mieli wrażenie, że otacza ich tysiąc odcieni zieleni. Przez korony drzew przesączało się blade żółtozielone światło.

- Być może to wygląda jak naturalny las deszczowy... - zaczął Drake.

- Nie wygląda - odparł Rick Hutter. - I wcale nim nie jest.

- Zgadza się. Ten teren jest kształtowany przez ludzi od lat dwudziestych dwudziestego wieku, gdy powstała tutaj eksperymentalna stacja dla rolników z Oahu, a później w ramach badań ekologicznych prowadzonych przez uniwersytet. Jednak w ostatnich latach nikt nie zajmował się tą okolicą, dzięki czemu wróciła do bardziej naturalnego stanu.

Nazywamy ją Paprociowym Parowem. - Odwrócił się i ruszył szlakiem, a doktoranci podążyli za nim, idąc powoli i bacznie się rozglądając, od czasu do czasu przystając, żeby przyjrzeć się z bliska jakiejś roślinie albo kwiatowi. - W dalszej części trasy otaczają nas liczne paprocie - ciągnął Drake żywiołowym tonem. - Najbardziej widoczne są duże drzewa paprociowe, otężałki i sadlerie, natomiast niżej nad ziemią rosną mniejsze podrzenie, widłaki oraz oczywiście... - szerokim ruchem dłoni wskazał górskie zbocze - ...paprocie uluhe porastające góry na niemal całych Hawajach.

- Przegapił pan paproć uluhe pod swoimi stopami - wtrącił się Rick. - To

Dicranopteris z rodziny glejcheniowatych.

- Rzeczywiście - odparł Vin Drake, z trudem ukrywając irytację. Zamilkł i przykląkł na jednym kolanie. - Wzdłuż tej ścieżki rosną paprocie pe'ahi, a te większe to paprocie maku'e, na których lubią mieszkać pająki. Na pewno zauważycie, że jest ich tutaj bez liku. Na tym niewielkim terenie żyją aż dwadzieścia trzy gatunki. - Zatrzymał się na polanie, skąd przez kilka prześwitów między drzewami można było oglądać zbocza gór otaczających dolinę, i wskazał jeden ze szczytów. - To Krater Tantara, wygasły wulkan. Prowadzimy w nim badania, podobnie jak w dolinie.

Alyson Bender zrównała się z Peterem Jansenem.

- Czy policja dzisiaj się z tobą kontaktowała?

- Nie - odparł. - Dlaczego pytasz?

- Ciekawi mnie, skąd wiesz, że przeszukują motorówkę... isprawdzają rejestry połączeń.

- Och. - Prawdę mówiąc, Peter to zmyślił. - Cóż, mówili w wiadomościach.

- Naprawdę? Nic nie słyszałam. Na którym kanale?

- Nie pamiętam. Chyba na piątym.

Podszedł do nich Rick.

- Naprawdę bardzo mi przykro, Peterze. Współczuję, stary.

Jenny Linn szła tuż za Vinem Drakiem.

- Nadal nie rozumiem waszego programu badawczego - powiedziała. - Co właściwie robicie w tym lesie?

Drakę się do niej uśmiechnął.

- Jeszcze tego nie wyjaśniłem. Mówiąc w skrócie, zamierzamy zebrać próbki ze wszystkich obszarów hawajskiego ekosystemu, od Krateru Tantara po dolinę Manoa, w której właśnie się znajdujemy.

- Jakiego rodzaju próbki? - spytał Rick, opierając dłonie na biodrach.

Był ubrany w charakterystyczny dla siebie strój złożony z dżinsów i turystycznej koszuli z podwiniętymi, wilgotnymi od potu rękawami. Wyglądał tak, jakby przeprowiał się przez gęstą dżunglę. Jak zwykle miał wojowniczą minę, zaciśnięte szczęki i zmrużone oczy.

- Wszystkich gatunków żyjących w tym ekosystemie - wyjaśnił Drakę z uśmiechem.

- Po co? - drążył Rick, wbijając wzrok w Vina.

Drakę posłał mu chłodne spojrzenie, po czym ponownie się uśmiechnął.

-Las deszczowy to największe naturalne źródło aktywnych związków chemicznych.

Znajdujemy się w kopalni złota pełnej potencjalnych nowych leków, które mogą ocalić niezliczone ludzkie istnienia. Leków wartych miliardy dolarów. Ten las, panie...

- Hutter - odparł Rick.

- Ten bujny las, panie Hutter, zawiera klucze do zdrowia i powodzenia wszystkich ludzi na świecie. A jednak pozostaje niemal niezbadany. Nie mamy pojęcia, jakie związki chemiczne kryją się w tutejszych roślinach, zwierzętach i mikroskopijnych formach życia. Ten las to term incognita, niezbadane terytorium. Jest równie rozległy, pełen bogactw i tajemnic jak Nowy Świat dla Krzysztofa Kolumba. Nasz cel jest bardzo prosty. Chcemy odkrywać nowe leki. Szukamy ich na masową skalę, o jakiej nikomu wcześniej się nie śniło. Rozpoczęliśmy przeczesywanie całego lasu w poszukiwaniu związków biologicznych, od krateru aż po dno doliny. Ta inwestycja zwróci się wielokrotnie.

-”Inwestycja” - powtórzył Rick. - „Kopalnia złota”, „Nowy Świat”. A więc chodzi o gorączkę złota, prawda, panie Drake? Przede wszystkim o pieniądze.

- To prymitywny wniosek - odparł Drake. - W medycynie chodzi głównie o ratowanie życia. O przynoszenie ulgi w cierpieniu i pomaganie każdemu człowiekowi w wykorzystaniu jego pełnego potencjału. - Skupił uwagę na pozostałych i ruszył dalej szlakiem, oddalając się od Ricka, który wyraźnie go drażnił.

Rick skrzyżował ręce na piersi.

- Ten facet to współczesny konkwistador - mruknął do Karen. - Plądruje ekosystem w poszukiwaniu złota.

Karen posłała mu pogardliwe spojrzenie.

- A niby co ty robisz ze swoimi naturalnymi ekstraktami, Rick? Wygotowujesz korę drzewa, żeby odkryć nowy lek. Czym to się różni? Kwotami, które są w to zaangażowane -

odparł Rick. - Dobrze wiesz, co przynosi największe zyski. Patenty. Nanigen opatentuje tysiące związków, które tutaj znajdują, a wielkie firmy farmaceutyczne zarobią na nich miliardy...

- Jesteś zazdrosny, ponieważ sam nie masz żadnych patentów. - Karen odwróciła się od Ricka, który popatrzył na nią ze złością.

- Nie zajmuję się nauką dla zysku - rzucił za nią. - Najwyraźniej w odróżnieniu od ciebie... - Zorientował się, że Karen rozmyślnie go ignoruje.

Danny Minot wlekł się na końcu grupy. Z jakiegoś powodu przyleciał na Hawaje w tweedowej marynarce i wciąż miał ją na sobie. Pot spływał mu po szyi i wsiąkał w elegancką koszulę, a jego mokasyny z frędzlami ślizgały się na szlaku. Ocierał twarz kwadratową chustką i udawał, że nie przeszkadzają mu te niedogodności.

- Panie Drake, jeśli zna pan teorię poststrukturalistyczną... ech... to być może zdaje pan sobie sprawę... uch... uff!... że tak naprawdę nie możemy niczego wiedzieć o tym lesie...

Ponieważ, panie Drake, sami tworzymy znaczenia, których świat przyrody tak naprawdę jest pozbawiony...

Wywód Danny'ego najwyraźniej nie speszył Drake'a.

- Moim zdaniem, panie Minot, nie musimy rozumieć znaczenia przyrody, żeby z niej korzystać.

- Tak, ale... - ciągnął Danny.

Tymczasem Alyson została nieco w tyle i Peter znalazł się obok Ricka. Ten skinął głową w stronę Vina Drake'a.

- Wierzysz temu kołesiowi? Typowy biopirat.

- Wysłuchałem pańskich uwag, panie Hutter - odparł Drake, gwałtownie odwracając

głowę. - Są całkowicie błędne. Biopiractwo to termin odnoszący się do wykorzystywania

roślinności danego kraju bez jakiegokolwiek rekompensaty. To chwytliwe hasło dla niedoinformowanych obrońców uciśnionych, ale rzeczywistość jest bardziej złożona. Weźmy na przykład kurarę, cenny lek wykorzystywany we współczesnej medycynie. Z pewnością komuś należałoby za niego zapłacić. Jednak istnieje kilkadziesiąt różnych przepisów na jego uzyskanie opracowanych przez różne grupy plemienne w Ameryce Środkowej i Południowej. Ich odmiany kurary różnią się składem i czasem gotowania, w zależności od tego, co ma zostać uśmiercone, oraz od lokalnych preferencji. Zatem w jaki sposób należy wynagrodzić rdzennych medyków? Czy szamani z Brazylii wykonują bardziej wartościową pracę niż szamani z Panamy albo Kolumbii? Czy to ma jakieś znaczenie, że drzewa wykorzystywane w Kolumbii rozprzestrzeniły się albo zostały przesadzone z Panamy? A co z przepisem? Czy dodanie kulczyby jest istotne? A dodanie zardzewiałego gwoźdźca? Może należy uznać ten środek za własność publiczną? Pozwalamy firmom farmaceutycznym handlować danym lekiem przez dwadzieścia lat, a potem udostępniamy go za darmo. Niektórzy twierdzą, że sir Walter Raleigh przywiózł kurarę do Europy w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku; z pewnością była powszechnie znana w osiemnastym wieku. W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku firma Burroughs Wellcome sprzedawała tabletki z kurarą przeznaczone do celów leczniczych. Zatem środek ten już dawno powinien się stać własnością publiczną. Poza tym obecnie chirurdzy już nie używają kurary otrzymywanej z roślin, tylko syntetycznej substancji. Widzi pan, że to wcale nie jest takie proste?

- To wszystko korporacyjne wykręty - odparł Rick.

- Panie Hutter, widzę, że podoba się panu rola adwokata diabła - rzekł Drake. - Mnie to nie przeszkadza. Dzięki temu dopracowuję swoje argumenty. Prawda jest taka, że wykorzystywanie w medycynie naturalnych związków chemicznych jest nieuniknione.

Odkrycia wszystkich kultur są cenne i wszystkie kultury od siebie zapożyczają. Czasami za

odkrycia się płaci, ale nie zawsze. Czy powinniśmy wykupić od Mongołów licencję na strzemie, ponieważ to oni je wynaleźli? Płacić Chińczykom za prawo do produkcji jedwabiu albo opium? Odnaleźć współczesnych potomków neolitycznych rolników sprzed dziesięciu tysięcy lat, którzy pierwsi zaczęli uprawiać jadalne rośliny na terenie Żyźnego Półksiężycy, i im zapłacić? A co ze starożytnymi Brytami, którzy nauczyli się wytapiać żelazo?

- Kontynuujmy wycieczkę - poprosiła Erika. - Uznajemy pańskie argumenty, nawet jeśli Rick nie jest do tego zdolny.

- W porządku, po prostu uważam, że zarzut biopiractwa na Hawajach jest nieuzasadniony, ponieważ nie występuje tutaj rdzenna roślinność. To wulkaniczne wyspy, które wyłoniły się z Pacyfiku jako jałowe połacie gorącej lawy, a wszystko, co dziś na nich rośnie, zostało przyniesione z innych miejsc: przez ptaki, wiatr, oceaniczne prądy albo polinezyjskich wojowników pływających w kanu. Żaden gatunek nie pochodzi stąd, chociaż niektóre występują endemicznie. Nie ukrywam, że to jeden z powodów, dla których założyliśmy naszą spółkę na Hawajach.

- Żeby omijać przepisy - mruknął Rick.

- Żeby ich przestrzegać - odparł Drake. - Właśnie w tym rzecz.

Dotarli do obszaru porośniętego zielonymi liśćmi sięgającymi im do piersi.

- Nazywamy ten teren Imbirową Aleją, gdyż porastają go biały i żółty imbir oraz wianecznik. To te trzydziestocentymetrowe czerwone łodygi. Drzewa ponad nami to głównie sandałowce z typowymi ciemnoczerwonymi kwiatami, ale rosną tutaj także drzewa mydlane i miro o dużych ciemnozielonych liściach.

Doktoranci rozglądali się na wszystkie strony.

- Zakładam, że wszyscy to wiecie, ale na wszelki wypadek informuję, że ta roślina o spiczastych liściach w paski to oleander, który może zabić człowieka. Jeden z miejscowych

zmarł po tym, jak piekł mięso nad ogniskiem na patyku wyciętym z oleandra. Zdarza się, że dzieci zjadają owoce i umierają. Natomiast tamto bardzo duże drzewo po lewej stronie to kulczyba, która pochodzi z Indii. Wszystkie jej części są śmiertelne, a zwłaszcza nasiona. Obok niej rośnie wysoki krzew o liściach w kształcie gwiazd. To rącznik pospolity, również silnie trujący. Jednak w bardzo małych dawkach związki zawarte w rączniku mogą mieć działanie lecznicze. Zapewne pan o tym wie, panie Hutter?

- Oczywiście - odparł Rick. - Wyciąg z rącznika pospolitego może wspomagać pamięć, a także ma właściwości antybakteryjne.

Drakę skręcił w prawo na rozwidleniu ścieżek.

- Dotarliśmy do Alei Bromeliowatych. Rośnie tutaj około osiemdziesięciu gatunków roślin z tej rodziny, do której, jak wiecie, należy między innymi ananas. Bromeliowate stanowią także dom dla licznych owadów. Otaczające nas drzewa to głównie eukaliptusy i akacje, jednak spotkamy tutaj także rośliny bardziej typowe dla lasów deszczowych, takie jak ohia i koa, co można stwierdzić po zakrzywionych liściach leżących na szlaku.

- Po co nam pan to wszystko pokazuje? - spytała Jenny.

- No właśnie - zawtórował jej Amar. - Bardziej ciekawi mnie technologia, panie Drake. W jaki sposób pobieracie próbki tak wielu żywych organizmów? Zwłaszcza że większość z nich jest niezwykle mała. Bakterie, robaki, insekty i tak dalej. Ile próbek zbieracie i przetwarzacie w ciągu godziny? W ciągu całego dnia?

- Każdego dnia nasze laboratorium wysyła do tego lasu ciężarówkę, która zabiera precyzyjnie pobrane kawałki gruntu, zestaw roślin albo inne próbki, o jakie poproszą nasi badacze. Dlatego codziennie będziecie dysponowali świeżym materiałem do badań i ogólnie rzecz biorąc, otrzymacie wszystko, o co poprosicie.

- Przyjeżdżają tutaj codziennie? - spytał Rick.

- Zgadza się, około czternastej. Rozminęliśmy się z nimi.

Jenny przykucnęła.

- Co to jest? - spytała, wskazując na ziemię. U jej stóp stał malutki namiot wielkości jej dłoni, zakrywający niewielką betonową skrzynkę. - Widziałam już coś takiego nieco wcześniej przy szlaku.

- A tak - odrzekł Drake. - Gratuluję spostrzegawczości, panno Linn. Takie namioty są rozsiane po całej okolicy. To stacje zaopatrzeniowe. Później wszystko wyjaśnię. Teraz już chyba możemy wracać. Najwyższa pora, żebyście dowiedzieli się, czym zajmuje się Nanigen.

Zaczęli zawracać w stronę parkingu, okrążając niewielki brązowawy staw okolony zwieszającymi się liśćmi palmowymi i niewielkimi roślinami z rodziny bromeliowatych.

- To staw Pau Hana - wyjaśnił Drake. - Co znaczy „zadanie wykonane”.

- Dziwna nazwa jak na sadzawkę dla kaczek - odrzekł Danny. - Bo to nic innego.

Widziałem tam trzy albo cztery kaczki rodziny.

- A widział pan, co się z nimi dzieje? - spytał Drake.

Danny pokręcił głową.

- Czy to mi popsuje humor?

- To zależy. Popatrzcie na liście mniej więcej metr nad powierzchnią wody.

Grupa zatrzymała się i wbiła wzrok we wskazane miejsce. Karen zobaczyła to pierwsza.

- Czapla siwa - szepnęła, kiwając głową.

Szary ptak wysoki prawie na metr, o spiczastej głowie i matowych oczach. Wyglądał na zaniedbanego i leniwego. Trwał w całkowitym bezruchu i idealnie wtapiał się w cień pod palmowymi liśćmi.

- Może tak stać godzinami - powiedziała Karen.

Patrzyli przez kilka minut i już mieli odejść, gdy nagle na brzegu stawu pojawiła się jedna z kaczych rodzin. Szła do połowy skryta w nabrzeżnej trawie, ale na próżno się maskowała.

Czapla błyskawicznie się poderwała i z pluskiem wpadła między kaczki, a gdy wróciła na swoje miejsce, z dzioba sterczały jej małe kaczki nóżki.

- Fuuu! - zawołał Danny.

- Uch! - stęknęła Jenny.

Czapla odchyliła głowę do tyłu, popatrzyła w niebo i jednym ruchem połknęła resztki kaczątka. Następnie opuściła dziób i ponownie znieruchomiała w cieniu. Wszystko trwało kilka sekund. Trudno było uwierzyć, że w ogóle się wydarzyło.

- Obrzydliwe - stwierdził Danny.

- Taki jest świat - odparł Drake. - Właśnie dlatego w arboretum nie mamy problemu z nadmiarem kaczek. Oho! Jeśli się nie mylę, oto nasze samochody, które zabiorą nas z powrotem do cywilizacji.

Rozdział 8

Park przemysłowy Kalikimaki 28 października, godzina 18.00

W drodze powrotnej do siedziby Nanigenu Karen siedziała za kierownicą kabrioletu Bentleya, a pozostali doktoranci tłoczyli się na siedzeniach pasażerów. Alyson Bender i Vin Drake jechali sportowymi autami. Wkrótce po wyruszeniu Danny, student naukoznawstwa, odchrząknął i odezwał się do swoich towarzyszy.

- Sądzę - rzekł, próbując zagłuszyć szum wiatru - że można polemizować z twierdzeniami Drake'a dotyczącymi trujących roślin.

„Polemizować” było jednym z ulubionych słów Minota.

- To znaczy? - spytał Amar, który wyjątkowo nie znosił Danny'ego.

- Cóż, temat trucizn jest dosyć śliski, czyż nie? - rzekł Minot. - Trucizną nazywamy

każdy związek, który nam szkodzi. Albo co do którego mamy takie podejrzenia, ponieważ tak naprawdę może wcale nie być dla nas szkodliwy. W końcu w dziewiętnastym wieku strychninę sprzedawano jako lek dostępny bez recepty. Uważano, że ma działanie regeneracyjne.

O ile się nie mylę, nadal podaje się ją w razie ostrego zatrucia alkoholem. Kulczyba nie trudziłaby się wytwarzaniem strychniny, gdyby ta nie była jej do czegoś potrzebna, zapewne do obrony. Inne rośliny także wytwarzają strychninę, na przykład psiankowate. Musi istnieć jakiś powód.

- Tak - odrzekła Jenny. - Nie dać się zjeść.

- To punkt widzenia rośliny.

- Nasz także, ponieważ jej nie zjadamy.

- Czy sugerujesz, że strychnina nie jest szkodliwa dla ludzi? - spytał Amar. - Nie jest trucizną?

- Zgadza się. To śliska sprawa. Można powiedzieć, że termin „trucizna” nie odnosi się do niczego stałego ani konkretnego.

To wywołało falę jęków w samochodzie.

- Możemy porozmawiać o czymś innym? - odezwała się Erika.

- Po prostu twierdzę, że można polemizować na temat tego, czym jest trucizna.

- Danny, ty możesz polemizować na każdy temat.

- Zgadza się - powiedział Minot poważnie. - Ponieważ nie przyjąłem naukowego światopoglądu opartego na stałych wartościach i niezmiennych prawdach.

- My również - odparła Erika. - Jednak niektóre twierdzenia poddają się weryfikacji, co usprawiedliwia naszą wiarę w ich prawdziwość.

- Czyż nie byłoby przyjemnie, gdyby tak było? Ale to tylko bezpieczna fantazja, którą żyje większość naukowców. Tak naprawdę wszystko opiera się na strukturach władzy i dobrze o tym wiecie - ciągnął Minot. - To, kto odgrywa dominującą rolę w społeczeństwie, determinuje, co może być badane i obserwowane oraz co jest prawomyślne. Naukowcy są posłuszni władzy, ponieważ to ona płaci rachunki. Jeśli się jej nie podporządkowują, nie dostają pieniędzy na badania, odmawia się im awansów i publikacji, czyli mówiąc w skrócie, przestają się liczyć. Wypadają z obiegu. Równie dobrze mogliby umrzeć.

W samochodzie zapadła cisza.

- Wiecie, że mam rację - rzekł Danny. - Po prostu wam się to nie podoba.

- A skoro mowa o posłuszeństwie wobec władzy, to popatrzcie tam - odezwał się Rick. - Chyba zbliżamy się do parku przemysłowego Kalikimaki i siedziby Nanigenu. Jenny starannie przypięła do paska izolowaną saszetkę z goreteksu wielkości swojej dłoni.

- Opowiadaj, co tam masz - zachęciła ją Karen.

- No cóż, pomyślałam sobie, że jeśli naprawdę zamierzają zaproponować nam pracę...

- Jenny wzruszyła ramionami. - To wszystkie lotne substancje, które wyekstrahowałam i oczyściłam. A co ty przywiozłaś?

- Benzochinony, maleńka - odrzekła Karen. - W aerozolu. Parzą skórę, pieką w oczy...

Może pochodzą od chrząszczy, ale są idealne do obrony dla ludzi. Bezpieczne, o krótkotrwałym działaniu, organiczne. Znakomicie się sprawdzą na rynku.

- Dlaczego mnie to nie dziwi, że przywiozłaś gotowy produkt do sprzedania - powiedział Rick.

- Ponieważ nie mam twoich skrupułów - odparła Karen. - A co? Chcesz nam powiedzieć, że ty nic nie przywiozłaś?

- Nic a nic.

- Kłamca.

- No dobrze. - Poklepał się po kieszonce koszuli. - Mam wyciąg z mlecza z mojego drzewa. Wystarczy się nim posmarować, a zabije wszystkie pasożyty gniezdzące się pod skórą.

- To coś dla mnie - odrzekła Karen i zakręciła kierownicą, a Bentley wykonał nawrót o sto osiemdziesiąt stopni, jakby był przyklejony do drogi. - Może zarobisz na nim miliard dolarów, Rick. - Na chwilę oderwała wzrok od drogi i posłała mu szelmowski uśmiech.

- Ależ nie, po prostu badam biochemiczny mechanizm, który stoi za jego działaniem...

- Powiedz to inwestorom. - Karen zerknęła na Petera, który siedział obok niej na przednim siedzeniu. - A ty? Miałeś ostatnio dużo na głowie. Przywiozłeś coś?

- Owszem - odparł Peter.

Dotykając płyty schowanej w kieszeni marynarki, Peter poczuł dreszcz

zdeenerwowania. Wkrótce przed wejściem do budynku Nanigenu zdał sobie sprawę, że nie przemyślał do końca swojego planu. Musi skłonić Alyson i Vina do przyznania się w obecności całej grupy. Miał nadzieję, że osiągnie to, odtwarzając otrzymane od Jorge nagranie ich rozmowy. Jeśli wszyscy doktoranci usłyszą przyznanie się do winy Drake'a, ten nie będzie mógł się mścić. Jest ich siedmioro, więc nie zdoła ich wszystkich zaatakować.

Przynajmniej Peter tak to sobie wyobrażał.

Zatopiony w myślach wszedł do budynku razem z grupą prowadzoną przez Alyson Bender.

- Zapraszam tutaj, panie i panowie... - Zatrzymali się w eleganckiej recepcji z

czarnymi skórzanymi meblami. - Poproszę o telefony komórkowe, kamery i wszystkie inne urządzenia rejestrujące. Odbierzecie je, kiedy będziecie wychodzić. Proszę także podpisać

umowę z klauzulą poufności.

Rozdała im dokumenty. Peter podpisał mimochodem, nawet nie czytając.

- Jeśli ktoś nie chce podpisać, może tutaj poczekać na zakończenie wycieczki.

Wszyscy są chętni? Znakomicie. Proszę za mną.

Poprowadziła ich korytarzem do laboratoriów biologicznych, gdzie już czekał Vin

Drakę. Pomieszczenia o przeszklonych ścianach ciągnęły się po obu stronach środkowego

korytarza i sprawiały wrażenie niezwykle nowoczesnie wyposażonych. W kilku z nich Peter

zauważył zaskakującą ilość sprzętu elektronicznego, niemal jak w laboratorium

inżynierskim. Po godzinach w siedzibie Nanigenu panował spokój i większość laboratoriów

opustoszała, jednak pozostało kilkoro badaczy zajętych czynnościami, które zapewne miały

ich tutaj zatrzymać do nocy.

Idąc korytarzem, Vin Drake przekazywał doktorantom podstawowe informacje

dotyczące każdego z laboratoriów.

- Proteomika i genomika... ekologia chemiczna... fitopatologia i wirusy roślinne...

biologia stochastyczna... bodźce elektryczne u roślin... ultradźwięki u owadów...

fitoneurologia, czyli roślinne neuroprzekaźniki... Peterze, jady i toksyny... substancje lome

wydzielane przez pajęczaki i chrząszcze... fizjologia behawioralna, czyli wpływ pracy

gruczołów egzokrynnych na zachowania społeczne, głównie u mrówek...

- A po co ta cała elektronika? - ktoś spytał.

- Do robotów - odparł Drake. - Trzeba je przeprogramowywać albo naprawiać po

każdej wyprawie w teren. - Umilkł i popatrzył na grupę. - Widzę wiele zaskoczonych twarzy.

Zapraszam do środka, przyjrzyjcie się wszystkiemu z bliska.

Weszli do laboratorium po prawej stronie. Unosiła się w nim słaba woń ziemi,

gnijących roślin i wysuszonych liści. Drake poprowadził ich do stołu, na którym wyłożono

kilka płaskich fragmentów gruntu. Nad każdym z nich wisiała kamera na przegubowym ramieniu.

- Oto przykłady materiałów, które przywozimy z lasu deszczowego. Każdy służy nam do różnych projektów, ale we wszystkich wypadkach wykorzystujemy roboty.

- Gdzie? - spytała Erika. - Nie widzę...

Drakę ustawił światło i kamerę, a wtedy na bocznych monitorach zobaczyli małe białe obiekty w ziemi, wielokrotnie powiększone.

- Jak widzicie, to maszyna kopiąco-zbierająca, która pracuje w mikroskopijnej skali - wyjaśnił Drake. - Ma wiele do zrobienia, ponieważ w każdej z takich próbek gleby kryje się rozległy, wzajemnie przeplatający się świat jeszcze nieznanemu człowiekowi. Żyją w nim tryliony mikroorganizmów, dziesiątki tysięcy gatunków bakterii i pierwotniaków, a niemal wszystkie z nich nieskatalogowane. W takim placku ziemi może się znajdować kilka tysięcy kilometrów delikatnych nitkowatych strzępek, milion mikroskopijnych stawonogów i innych małych insektów, zbyt małych, by je dostrzec gołym okiem, a także dziesiątki dżdżownic różnych rozmiarów. W tej kwadratowej próbce gleby żyje więcej małych organizmów niż dużych zwierząt na całej powierzchni naszej planety. Tylko pomyślcie. Mieszkamy na powierzchni i wydaje nam się, że to tam toczy się życie. Zwracamy uwagę na ludzi, słonie, rekiny i drzewa. Ale to błędny punkt widzenia. Prawda na temat życia na ziemi jest zupełnie inna. Prawdziwe podstawy życia... tętniącego, kopiącego, rozmnażającego się, stale aktywnego... znajdują się pod nami, na tym poziomie. I właśnie tam dokonamy naszych odkryć.

To była imponująca przemowa. Drake już wcześniej ją wygłaszał, a publika zawsze milkła oszołomiona. Jednak nie tym razem.

- Czego szuka ten konkretny robot? - od razu spytał Rick.

- Nicieni - odrzekł Vin Drake. - Mikroskopijnych robaków obłych o ważnych biologicznych właściwościach. W takiej próbce gleby znajduje się około czterech miliardów nicieni, ale chcemy zebrać tylko te gatunki, które jeszcze nie zostały odkryte.

Drake odwrócił się w stronę rzędu okien wychodzących na laboratorium, gdzie garstka naukowców pracowała przy skomplikowanych maszynach. W tamtej sali zajmujemy się błyskawiczną analizą tysięcy związków chemicznych za pomocą technik szybkiego frakcjonowania i spektrometrii mas. Właśnie do tego służą maszyny, które widzicie.

Znaleźliśmy już kilkadziesiąt potencjalnych nowych leków. Są to same naturalne substancje. Lekarstwa prosto od matki natury.

Amar był pod wrażeniem tej technologii, ale wciąż nie rozumiał kilku rzeczy. Między innymi robotów. Były naprawdę małe. Zbyt małe, aby zmieścić się w nich sprzęt komputerowy.

- W jaki sposób roboty segregują i wybierają nicienie?

- Nie mają z tym większych trudności - odparł Drake.

- Ale jak to robią? - drążył Amar.

- Roboty dysponują inteligencją, która im na to pozwala.

- Jak to? - Amar wskazał placek ziemi, w który z zapalem wkopywał się maleńki robot. - Przecież ta maszyna ma najwyżej osiem albo dziewięć milimetrów długości. Jest wielkości paznokcia mojego małego palca. Nie da się zmieścić komputera w tak małej przestrzeni.

- Otóż da się.

- W jaki sposób?

- Zapraszam do sali konferencyjnej.

Za Drakiem lśniły cztery olbrzymie płaskie ekrany. Pojawiały się na nich granatowe i

fioletowe wzory, które przypominały fale na oceanie widziane z samolotu. Drake chodził przed ekranami, a mikrofon wpięty w klapę marynarki wzmacniał jego głos. Wskazał fioletowy obraz.

- Patrzycie na wzory konwekcji w polach magnetycznych osile dochodzącej do sześćdziesięciu tesli. To najsilniejsze pola magnetyczne, jakie potrafi wytworzyć człowiek, dwa miliony razy silniejsze od pola magnetycznego Ziemi. Tworzy się je nadrodze nadprzewodnictwa niskotemperaturowego z wykorzystaniem kompozytów opartych na niobie.

Na chwilę umilkł, żeby przetrawili te informacje.

- Od pięćdziesięciu lat wiemy, że pola magnetyczne wywierają różnoraki wpływ na zwierzęce tkanki. Wszyscy słyszeliście o obrazowaniu metodą rezonansu magnetycznego. Wiecie także, że pola magnetyczne mogą wspomagać regenerację kości, zwalczać pasożyty, zmieniać zachowanie płytek krwi i tak dalej. Jednak okazuje się, że to tylko drobne skutki kontaktu z polami o niskim natężeniu. Bardzo silne pola, jakie od niedawna udaje nam się uzyskiwać, mają zupełnie inne działanie, a my dopiero zaczynamy badać ich wpływ.

Nazywamy je polami tensorowymi, żeby odróżnić je od zwyczajnych pól magnetycznych.

Pola tensorowe są tak silne, że mogą wywoływać zmiany wymiarów w materii. Pierwszych wskazówek dostarczyły nam badania, które w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku prowadziła firma Nuclear Medical Data badająca zdrowie pracowników elektrowni atomowych. Firma ustaliła, że robotnicy cieszą się dobrym zdrowiem, jednak na skutek dziesięcioletniego wystawienia na działanie silnych pól magnetycznych ich wzrost zmniejszył się o sześć milimetrów. Tę informację uznano za błąd statystyczny i zignorowano.

Drake ponownie na chwilę umilkł, czekając, aż zgromadzeni doktoranci zrozumieją, do czego zmierza. Wyglądało na to, że jeszcze się nie zorientowali.

- Okazuje się, że nie był to błąd statystyczny. Francuskie badanie z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku wykazało, że robotnicy pracujący w obrębie silnego pola magnetycznego stracili około ośmiu milimetrów wzrostu. Jednak także w tym wypadku badacze odrzucili uzyskane wyniki, nazywając je „trywialnymi”. Dziś już wiemy, że się mylili. DARPA, Agencja Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych, zainteresowała się tymi odkryciami i w tajnym laboratorium w Huntsville w stanie Alabama zaczęła poddawać psy działaniu silnych pól magnetycznych, najsilniejszych, jakie wtedy dało się uzyskać. Nie istnieją oficjalne rejestry tych badań, nie licząc wyblakłych kserokopii faksów, w których wspomina się o pekińczyku wielkości gumki do ścierania.

To wywołało poruszenie wśród doktorantów. Niektórzy poprawili się na swoich krzesłach i wymienili spojrzenia.

- Wygląda na to - ciągnął Drake - że po kilku godzinach pies zaczął żałośnie piszczeć i zdechł, wykrwawiając się malutką kroplą krwi. Wyniki badań były niejasne i nieprzekonujące, a projekt porzucono na rozkaz ówczesnego sekretarza obrony Melvina Lairda.

- Dlaczego? - spytał jeden z doktorantów.

- Martwił się, że doprowadzi do destabilizacji stosunków ze Związkiem Radzieckim - odrzekł Drake.

- Niby dlaczego miałyby się tak stać?

- Za chwilę to wyjaśnię. Jednak najważniejsze, że obecnie potrafimy wytworzyć niezwykle silne pole magnetyczne, które nazywamy polem tensorowym, a pod jego wpływem zarówno organiczna, jak i nieorganiczna materia przechodzi proces analogiczny do przemiany fazowej. Na skutek tego doświadcza gwałtownej kompresji o współczynniku dziesięć do minus pierwszej, a nawet dziesięć do minus trzeciej potęgi. Interakcje kwantowe pozostają

symetryczne, zatem zmniejszona materia przeważnie reaguje ze zwykłą materią w normalny, niezmienny sposób. Przemiana jest metastabilna i odwracalna za pomocą przeciwnego pola.

Na razie wszystko jasne?

Doktoranci uważnie słuchali, ale na ich twarzach malowały się bardzo różne reakcje: sceptycyzm, niedowierzenie, fascynacja, a nawet zagubienie. Drake opowiadał o fizyce kwantowej, a nie biologii. Rick skrzyżował ręce na piersi i pokręcił głową.

- Do czego pan zmierza? - spytał głośno.

Drakę nie dał się zbić z tropu.

- Dobrze, że pan spytał, panie Hutter. Najwyższy czas, żebyście zobaczyli na własne oczy.

Olbrzymie ekrany za plecami Drake'a zgasły, po czym rozświetlił się środkowy panel.

Odtworzono na nim nagranie w wysokiej rozdzielczości.

Na ekranie widniało jajko.

Leżało na płaskiej czarnej powierzchni. Za nim znajdowało się pofałdowane żółte tło przypominające zasłonę.

Jajko się poruszyło. Coś zaczęło się z niego wykluwać. Mały dziób przebił skorupkę, po chwili pęknięcie wydłużyło się i górna część jajka odpadła. Na zewnątrz wygramolił się kurczak. Popiskując, stanął na drżących nogach, po czym zamachał krótkimi skrzydłami.

Oko kamery zaczęło się wycofywać.

Wraz z poszerzeniem perspektywy ukazało się otoczenie kurczęcia. Zobaczyli, że żółte tło to olbrzymia ptasia stopa wyposażona w pazury. Kurczak zataczał się obok potwornie wielkiej kurzej nogi. Kamera jeszcze bardziej się cołhęła, a wtedy na ekranie pokazała się cała dorosła kura - wydawała się gigantyczna. Gdy kamera całkowicie się wycofała, kurczak i kawałki skorupki upodobiły się do pyłków pod stopami dorosłego ptaka.

- Daj pan spokój... - zaczął Rick, po czym zamilkł. Nie potrafił oderwać wzroku od ekranu.

- Oto technologia Nanigenu - rzekł Drake.

- Przemiana... - odezwał się Amar.

- Jest możliwa w wypadku żyjących organizmów. Zgadza się, zmniejszyliśmy to jajko w polu tensorowym. Zmiana wymiaru nie zaszkodziła zarodkowi i kurczak wykluł się normalnie. To dowodzi, że nawet bardzo złożone układy biologiczne można poddać kompresji w polu tensorowym, nie zagrażając ich procesom życiowym.

- Czym są pozostałe obiekty na filmie? - spytała Karen.

Podłoga pod nogami olbrzymiej kury sprawiała wrażenie pokrytej małutkimi plamkami. Niektóre z nich się poruszały.

- To inne kurczaki. Zmniejszyliśmy całe stado. Niestety są tak małe, że matka zdeptała kilka z nich, nawet tego nie zauważając.

Zapadła krótka cisza. Amar odezwał się pierwszy.

- Próbowaliście tego z innymi organizmami?

- Oczywiście - odpowiedział Drake.

- To znaczy... z ludźmi? - spytał Amar.

- Tak.

- Tamte małe zrobotyzowane koparki, które widzieliśmy w arboretum... - ciągnął

Amar. - Chce nam pan powiedzieć, że nie programujecie im inteligentnych zachowań.

- Nie musimy.

- Ponieważ kierują nimi ludzie.

- Zgadza się.

- Ludzie poddani procesowi miniaturyzacji.

- Jasna cholera - wybuchnął Danny. - To jakiś żart, kurwa?

- Nie - odparł Drake.

Ktoś wybuchnął śmiechem. To był Rick.

- Oszustwo - mruknął. - Facet sprzedaje bezwartościowy towar głupcom.

Karen również nie uwierzyła.

- Gówno prawda. To niemożliwe. Na nagraniu wideo można pokazać wszystko.

- Ta technologia istnieje - spokojnie odpowiedział Drake.

- Więc chce nam pan powiedzieć, że potrafi poddać istotę ludzką miniaturyzacji na poziomie dziesięć do potęgi minus trzeciej?

- Tak.

- Co oznacza, że ktoś o wzroście metr osiemdziesiąt po zmniejszeniu miałby... niecałe dwie dziesiąte milimetra.

- Właśnie tak - odparł Drake.

- Jezu - stęknął Rick Hutter.

- A przy współczynniku dziesięć do potęgi minus drugiej człowiek ma około dwunastu milimetrów wzrostu - dodał Drake.

- Chciałbym to zobaczyć na własne oczy - rzekł Danny.

- Ależ oczywiście.

Rozdział 9

Siedziba główna Nanigenu 28 października, godzina 19.30

Podczas gdy Drake rozmawiał z doktorantami, Peter zabrał Alyson na stronę.

- Niektórzy z nas przywieźli próbki i związki chemiczne, które chcielibyśmy pokazać panu Drake'owi.

- Doskonale - odpowiedziała Alyson.

- Ja też mam płytę z wynikami swoich... badań - rzekł Peter. Alyson pokiwała głową. -

To pewne nagranie dotyczące mojego brata - dodał Peter, mając nadzieję, że wyprowadzi ją z równowagi. Ponownie pokiwała głową, po czym wyszła z sali konferencyjnej.. Czyżby w jej oczach pojawił się błysk niepokoju?

Kiedy Alyson wyszła, Peter zostawił opowiadającego Drake'a, prześlizgnął się przez drzwi dla personelu i udał na stanowisko dźwiękowca. Potrzebował jakiegoś sprzętu, który wzmocni jego głos. Nie chciał, żeby Drake albo ktokolwiek inny go uciszył bądź zagłuszył. W jednej z szuflad znalazł to, czego szukał: bezprzewodowy mikrofon, który mógł przekazać jego głos do głośnika. Było to urządzenie identyczne z używanym przez Drake'a podczas pokazu slajdów i przemowy. Składało się z nadajnika połączonego kablem z laryngofonem. Peter wsunął nadajnik do kieszeni spodni, a za nim upchnął kabel i mikrofon. Drake zakończył swoją prezentacją i w sali konferencyjnej zapaliło się światło.

- Wiem, że niektórzy z was przywieźli materiały, które chcecie nam pokazać, a my bardzo chętnie je obejrzymy - rzekł Drake. - A teraz... Tak, o co chodzi?

Alyson wróciła do pomieszczenia. Przysunęła się do Drake'a i wyszeptała mu coś do ucha. Drake popatrzył na Petera, po czym odwrócił wzrok. Dwukrotnie pokiwał głową, ale nic nie odpowiedział. W końcu ponownie obejrzał się na Petera.

- Peterze, masz jakieś nagranie?

- Tak, na płycie.

- Co jest na tym nagraniu? - Drake wcale nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego.

- Coś, co was zainteresuje. - Peterowi serce tłukło się w piersi.

- To dotyczy twojego brata?

- Tak.

Drake wciąż zachowywał spokój.

- Wiem, że to dla ciebie trudne - powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Petera. - Może wolałbyś porozmawiać na osobności? - spytał delikatnie.

Chciał zaprowadzić go gdzieś, gdzie nikt nie usłyszy ich rozmowy.

- Możemy porozmawiać tutaj - sprzeciwił się Peter.

W sali konferencyjnej, w obecności wszystkich.

Drakę wyglądał na zatroskanego.

- Chciałbym z tobą porozmawiać w cztery oczy, Peterze... Erie był także moim przyjacielem. Również poniosłem osobistą stratę. Chodźmy do sąsiedniego pomieszczenia.

Peter wzruszył ramionami, wstał, po czym przeszedł razem z Vinem i Alyson do mniejszego pokoju, w którym na co dzień uczestnicy konferencji przygotowywali się do wystąpień. Drake zamknął za nimi drzwi i zręcznym ruchem przekręcił zamek. Następnie obrócił się na pięcie, a jego twarz błyskawicznie się zmieniła. Wykrzywiła ją wściekłość. Gwałtownie chwycił Petera za szyję i przycisnął go do ściany. Drugą dłonią wykręcił mu rękę.

- Nie wiem, w co ty grasz, gnojku...

- W nic nie gram...

- Policja wcale nie szuka telefonu na motorówce...

- Nie?

- Nie, gówniarzu. Przez cały dzień nie pojawili się w warsztacie.

W głowie Petera kłębiły się myśli.

- Policja nie musiała tam przychodzić, wystarczy, że namierzą telefon za pomocą sygnału GPS...

- Nic z tego! - Drake puścił jego rękę, po czym mocno uderzył go pięścią w żołądek.

Peter westchnął i zgiął się wpół, a wtedy tamten ponownie chwycił go za rękę i założył mu

dźwignię, całkowicie go unieruchamiając. - Nie kłam. Nie mogą tego zrobić, ponieważ wyłączyłem GPS, zanim umieściłem telefon na motorówce.

- Vin... - odezwała się Alyson nerwowym głosem.

- Zamknij się.

- Więc wyłączyłeś GPS i ustawiłeś telefon tak, żeby zatkał przewód paliwowy? - spytał Peter.

- Nie, żeby unieruchomił pompę paliwową, dupku... Radio też zablokowałem...

- Vin, posłuchaj! - zawołała Alyson.

- Nie wtrącaj się.

- Po co to zrobiłeś? - zapytał Peter, krztusząc się i szarpiąc palce Drake'a, które mocno zaciskały się na jego szyi. - Po co?

- Twój brat był głupcem. Wiesz, czego chciał? Chciał sprzedać tę technologię.

Okazało się, że są jakieś komplikacje dotyczące prawa własności. Dlatego Erie uznał, że powinniśmy jej pozbyć. Wyobrażasz sobie: sprzedać coś takiego? Erie zdradził Nanigen.

Zdradził mnie osobiście.

- Vin, na litość boską...

- Przymknij się.

- Twój mikrofon! - Alyson wskazała bezprzewodowy mikrofon w klapie Drake'a. -

Nie wyłączyłeś go.

- O cholera - syknął Vin. Brutalnie uderzył Petera w splot słoneczny, powalając go na kolana. Następnie odchylił połą marynarki, odsłaniając nadajnik przyczepiony do paska.

Pstryknął guzikiem i światelko na nadajniku zgasło. - Nie jestem głupi.

Peter klęczał targany torsjami, nie mogąc złapać oddechu. Dostrzegł, że jego mikrofon

wysunął się z kieszeni i zwisa na kablu. Drake mógłby go zauważyć. Usiłował upchnąć go z

powrotem w kieszeni, a wtedy trącił ręką nadajnik i usłyszał głośny trzask dobiegający z głośników w sali konferencyjnej.

Drakę zerknął w stronę sali. Również usłyszał ten odgłos. Powiódł wzrokiem za dłonią Petera i zobaczył mały mikrofon. Cofnął się o krok, po czym kopnął chłopaka w bok głowy. Tamten upadł. Vin wyrwał kabel z jego kieszeni, odłączył mikrofon i odrzucił go na bok. Peter przetoczył się po podłodze i stęknął.

- Co teraz zrobimy? - spytała Alyson. - Oni wszystko słyszeli...

- Zamknij się! - Drakę nerwowo krążył po pomieszczeniu. - Niech to szlag. Żadne z nich nie ma komórki, prawda?

- Nie, zostawili je w recepcji...

- To dobrze.

- Co zamierzasz? - spytała Alyson, drżąc na całym ciele.

- Po prostu nie wchodź mi w drogę.

Otworzył jedną z kłapek na tablicy kontrolnej i wcisnął czerwony guzik oznaczony napisem „Ochrona”. Rozległ się głośny pulsujący sygnał alarmowy. Drakę chwycił Jansena pod pachy i dźwignął go na nogi. Peter chwiały się obolały i oszołomiony na skutek pobicia.

- Weź się w garść, chłopcze - rzekł Vin. - Czas posprzątać bałagan, którego narobiłeś.

Drakę otworzył drzwi i wpadł do sali konferencyjnej, podtrzymując Petera. Musiał krzyczeć, żeby zagłuszyć alarm.

- Ktoś wdarł się na teren laboratorium. Peter został ranny. Uwolniono roboty obronne.

Są niezwykle niebezpieczne, więc szybko chodźcie z nami. Musimy się dostać do schronu.

Wyprowadził ich na korytarz, cały czas trzymając Petera, którego Alyson prowadziła pod drugą rękę.

Na korytarzu kilku naukowców biegło w stronę wyjścia.

- Uciekajcie na zewnątrz! - zawołał ktoś, mijając ich i kierując się ku głównym drzwiom budynku. Większość pracowników już wcześniej poszła do domu.

Jednak Drake odwrócił się i powiodł doktorantów w głąb kompleksu.

- Dokąd nas pan zabiera, do diabła? - spytał Rick.

- Za późno, żeby uciekać na zewnątrz. Musimy się dostać do schronu.

Doktoranci - byli zbici z tropu. Do jakiego schronu? Co to znaczy?

- Co ty robisz? - spytała Alyson Drake'a.

Vin nie odpowiedział.

Dotarli do ciężkich drzwi oznaczonych napisem „Rdzeń tensorowy”. Drake wystukał kod na klawiaturze i drzwi się otworzyły.

- Tędy, szybko...

Weszli do dużego pomieszczenia z podłogą pokrytą sześciokątnymi płytkami. Była niemal przezroczysta; pod spodem widzieli jakąś złożoną maszynę sięgającą głęboko pod ziemię.

- No dobrze - rzekł Drake. - Niech każdy stanie na środku jednego z sześciokątów. To bezpieczne punkty, do których nie docierają roboty. Zróbcie to natychmiast... szybko, szybko... nie mamy dużo czasu.

Gdy Drake dotknął panelu na ścianie, rozległ się trzask rygli. Zostali zamknięci wewnątrz pomieszczenia.

Erika wpadła w panikę. Krzyknęła, po czym rzuciła się w stronę drzwi.

- Nie rób tego! - zawołał za nią Danny.

Drzwi były zamknięte i Eric nie udało się wydostać.

Drake zatrzasnął się w sali kontrolnej, skąd mógł patrzeć na doktorantów przez szybę.

Po chwili zniknął im z oczu. Drzwi sali kontrolnej otworzyły się i do dużego pomieszczenia

wepchnięto nieznanego mężczyznę, pracownika Nanigenu.

- Właż tam i im pomóż! - ryknął w ślad za nim Drake.

Zaszokowany mężczyzna wykonał polecenie Vina i stanął między doktorantami na środku jednego z sześcioboków.

Wszyscy zajmowali swoje miejsca. Erika wróciła. Peter Jansen stracił równowagę i upadł na kolana. Rick próbował go podtrzymać, ale bezskutecznie. Karen zauważyła rząd plecaków wiszących na ścianie i szybko zarzuciła jeden z nich na ramię. Tymczasem Drake ponownie pojawił się za szybą i zaczął gwałtownie wciskać kolejne guziki. Obok niego stała Alyson.

- Vin, na litość boską - powiedziała.

- Nie mamy wyjścia - odparł Drake, po czym wduśił ostatni przycisk.

Dla Petera Jansena, który wciąż był oszołomiony po otrzymanych ciosach, wszystko potoczyło się błyskawicznie. Sześciokątna podłoga obniżyła się i zjechała około trzech metrów, prosto w ciasne szczęki jakiegoś olbrzymiego elektronicznego urządzenia, które niemal dotykało jego skóry. Szczęki tak naprawdę były uzwojonymi zworami pomalowanymi w białoczerwone paski. W powietrzu unosił się silny zapach ozonu i rozbrzmiewał głośny pomruk. Peterowi włosy na skórze stanęły dęba. Syntezator głosu polecił: „Proszę się nie poruszać, głęboko nabrać powietrza i wstrzymać oddech”. Coś niepokojąco i mechanicznie brzęknęło, po czym znów rozległ się elektroniczny pomruk. Petera ogarnęła krótka fala mdłości. Miał dziwne wrażenie, że poruszył się wewnątrz urządzenia.

„Można oddychać normalnie. Proszę czekać”.

Peter wciągnął powietrze do płuc, po czym powoli je wypuścił.

„Proszę się nie poruszać, głęboko nabrać powietrza i wstrzymać oddech”.

Kolejny brzęk, kolejny pomruk. Fala mdłości, silniejsza niż poprzednio.

Zamrugał.

Teraz był już pewien, że coś się zmieniło. Poprzednio patrzył na paski w połowie wysokości szczęk, ale teraz miał przed sobą ich znacznie niższą część. Kurczył się. Szczęki zabzyczały i zbliżyły się do niego. Oczywiście, pomyślał, pole magnetyczne najsilniej działa z niewielkiej odległości. Im mniejszej, tym lepiej.

„Proszę głęboko nabrać powietrza i wstrzymać oddech” - powtórzył syntetyczny głos.

Kiedy Peter ponownie spojrzał w górę, stwierdził, że stał się jeszcze mniejszy. Szczyt szczęk, który znajdował się trzy metry nad nim, przypominał sklepienie w katedrze. Jakiego jest wzrostu?

„Proszę się nie poruszać, wziąć głęboki wdech i...”.

- Wiem, wiem... - Głos Petera drżał.

„Proszę się nie odzywać. To grozi poważnymi obrażeniami. Proszę wziąć głęboki oddech i przytrzymać powietrze!” Rozległ się ostatni brzęk, potem zgrzyt, po którym targnęły nim torsje. Szczęki się odsuwały i poczuł, że podłoga pod jego stopami unosi się i wibruje. Zobaczył nad sobą światło i poczuł chłodny powiew.

Po chwili zrównał się z podłogą i wibracje ustały. Stał na wypolerowanej czarnej posadzce rozciągającej się we wszystkich kierunkach. W oddali zobaczył Erikę i Jenny, które rozglądały się oszołomione. Jeszcze dalej dostrzegł Amara, Ricka i Karen. Ale jak daleko się znajdowali? Peter nie był pewien, ponieważ miał nie więcej niż dwanaście milimetrów wzrostu. Po podłodze toczyły się kłębki kurzu i drobinki martwej materii, które zatrzymywały się na jego kolanach niczym niesione przez wiatr ziele.

Patrzył na nie tępym wzrokiem. Czuł się zbity z tropu, zagubiony i ogłupiały. Powoli docierało do niego, co się wydarzyło. Spojrzał na Erikę i Jenny, które sprawiały wrażenie równie zaszokowanych jak on. Dwanaście milimetrów wzrostu!

Usłyszał jakiś chrzęst i gwałtownie się obrócił. Zobaczył przed sobą czubek olbrzymiego buta, którego podeszwa sięgała mu do głowy. Gdy podniósł wzrok, zauważył przykucniętego Drake'a. Pochylał nad nim gigantyczną twarz i ział porywistym cuchnącym oddechem. Nagle Peter usłyszał niskie dudnienie, które przetoczyło się przez pomieszczenie jak grzmot.

To był śmiech Vina Drake'a.

Trudno było cokolwiek usłyszeć na skutek pogłosów i ech dźwięków wydawanych przez dwójkę olbrzymich ludzi. Petera rozbolewały uszy. Wydawało mu się, że Drake i Alyson poruszają się i mówią powoli, jakby w zwolnionym tempie. Alyson przykucnęła obok Vina i razem wpatrywali się w Petera.

- CotyrobiszVin? - spytała kobieta. Jej słowa huczałyizlewały się w zgiełkliwą mieszankę dźwięków, zbyt niskich, żeby je bez trudu odszyfrować.

Vin Drake tylko się śmiał. Najwyraźniej cała ta sytuacja niezmiernie go bawiła.

Wyrzuciał podmuchy śmierdzącego oddechu w stronę Petera, który wzdrygał się pod wpływem woni czosnku, czerwonego wina i cygar.

Drake zerknął na zegarek.

- Jużpogodzinach - powiedział z uśmiechem. - Pau jawa - jak mawiajątunaHawajach.

Toznaczyzadaniewykonane.

Alyson Bender wbiła w niego wzrok.

Drake przekrzywił głowę w obie strony, jakby coś utknęło mu w uchu. Wydawało się, że ma taki nawyk. Doktoranci znów usłyszeli jego dudniący głos.

- Popracyczasnazabawę.

Rozdział 10

Pracownia zwierząt laboratoryjnych 28 października, godzina 21.00

Vin Drake wyjął przezroczystą foliową torebką, po czym z zaskakującą delikatnością podniósł Petera Jansena i wrzucił go do środka. Peter ześlizgnął się po folii i zatrzymał na dnie. Wstał i obserwował, jak Vin krąży po pomieszczeniu, podnosząc kolejnych doktorantów i wrzucając ich do torebki. Na końcu wziął do ręki pracownika Nanigenu.

- Panie Drake! Co pan robi?! - zawołał mężczyzna.

Wyglądało na to, że Drake go nie słucha i jego los niewiele go obchodzi.

Chociaż wszyscy runęli w głąb torby, nikomu nic się nie stało. Najwyraźniej ich niewielka masa zapobiegła obrażeniom.

- Prawie nic nie ważymy - zauważył Amar. - Najwyżej gram albo coś koło tego.

Jesteśmy jak piórka.

Mówił spokojnym i zrównoważonym głosem, jednak Peter wyczuwał w nim drżenie wywołane strachem.

- Nie dbam o to, co sobie pomyślicie. Boję się - wyrzucił z siebie Rick.

- Jak my wszyscy - przyznała Karen.

- Chyba jesteśmy w szoku - odrzekła Jenny. - Patrzcie na nasze twarze, na bladość wokół ust. To był typowy objaw strachu.

- Na pewno doszło do jakiejś pomyłki - powtarzał pracownik Nanigenu. Nie mógł uwierzyć w to, co zrobił Drake.

- Kim pan jest? - spytał ktoś.

- Nazywam się Jarel Kinsky. Jestem inżynierem, obsługuję generator pola tensorowego. Gdyby pan Drake tylko zechciał mnie wysłuchać...

- Za dużo pan widział - ostro przerwał mu Rick. - Cokolwiek Drake zaplanował dla nas, spotka także pana.

- Dokonajmy przeglądu sytuacji! - zawołała Karen. - Szybko... Jaką bronią

dysponujemy?

Jednak nie zdążyli nic więcej zrobić, gdyż ktoś szarpnął torebką i poprzewracali się na siebie nawzajem.

- No nie - stęknął Amar, z trudem siadając. - Co się teraz dzieje?

Alyson zbliżyła twarz do folii i uważnie przyglądała się osobom znajdującym się wewnątrz, najwyraźniej przejęta ich losem. Jej rzęsy ocierały się o ścianę torebki. Pory na skórze jej nosa były niepokojąco duże, jak olbrzymie różowe blizny po ospie.

- Wnniechcężebystała im się krzywda.

Drakę się uśmiechnął.

- Niemam zamiaru ich krzywdzić.

- Zdajecie sobie sprawę, że ten człowiek to psychopata - odezwała się Karen. - Jest zdolny do wszystkiego.

- Owszem - odparł Peter.

- To nieprawda - zaprzeczył Jarel Kinsky. - Pan Drake ma swoje powody.

Karen go zignorowała.

- Nie powinniśmy mieć złudzeń co do jego zamiarów - powiedziała do Petera. -

Słyszeliśmy, jak przyznał się do zabicia twojego brata. Teraz zabije nas wszystkich.

- Tak uważasz? - odezwał się Danny płaczliwym głosem. - Nie powinniśmy wyciągać zbyt daleko idących...

- Tak, Danny, właśnie tak uważam. Może ty będziesz pierwszy.

- Po prostu ciężko mi sobie wyobrazić...

- Spytaj brata Petera, czy...

Nagle Vin podniósł torebkę i szybko ruszył korytarzem. Jednocześnie klócił się z

Alyson, ale ich słowa trudno było zrozumieć. Brzmiały jak przetaczające się grzmoty.

Minęli kilka laboratoriów, aż wreszcie Drake wszedł do jednego z pomieszczeń.

Nawet z wnętrza foliowej torebki od razu dostrzegli, że różni się ono od pozostałych.

Poczuli ostrą woń.

Zobaczyli trociny i odchody.

Zwierzęta.

- To pracownia zwierząt laboratoryjnych - rzekł Amar.

Przez zniekształcającą obraz foliową ścianę torby dostrzegli szczury, chomiki, a także jaszczurki i inne gady.

Vin Drake postawił torebkę na jednym z terrariów. Zaczął coś mówić, najwyraźniej zwracając się do nich, ale nie mogli go zrozumieć. Spoglądali na siebie nawzajem.

- Co on mówi?

- Nic nie rozumiem.

- Oszalał.

- Nie sposób go usłyszeć.

Jenny odwróciła się plecami do grupy i skupiła wyłącznie na Drake'u. Po chwili obejrzała się na Petera.

- To będziesz ty.

- Co masz na myśli? Ciebie zabije najpierw. Zaczekaj chwilę.

- Co takiego...?

Otworzyła saszetkę przy pasku, ukazując kilkanaście smukłych szklanych probówek z gumowymi korkami.

- Moje substancje lotne. - Nie sposób było nie usłyszeć zaangażowania w jej głosie.

Te probówki stanowiły owoc wieloletniej pracy. Wyjęła jedną z saszetki. - Obawiam się, że tylko tyle mogę zrobić.

Peter pokręcił głową niczego nie rozumiejąc. Jenny szybkim ruchem odkorkowała próbkę, po czym wylała zawartość na jego głowę i ciało. Poczuli cuchnący zapach, który jednak szybko się ulotnił.

- Co to jest? - spytał Peter.

Zanim Jenny zdążyła odpowiedzieć, Vin Drake włożył dłoń do torebki, chwycił Jansena za nogę i podniósł go głową do dołu. Peter zaczął krzyczeć i wymachiwać rękami.

- To heksenol uzyskany od os. Powodzenia.

- Nonopaniczu Peterze - zagrzmiął Drake. - Sprawiliście mi wiele kłopotów. - Przybliżył go do swojej twarzy i przyjrzał mu się, mrużąc oczy. - Zmartwiony? Niedziwię się.

Obrócił się na pięcie, a od jego szybkiego ruchu Peterowi zakręciło się w głowie.

Następnie lekko odsunął szklane przykrycie terrarium i upuścił Jansena przez powstałą szparę. Zamknął pojemnik, pozostawiając na wierzchu torebkę z ludźmi.

Peter upadł na trociny.

- Vin, nie zgodziłam się na to, nie tak się umawialiśmy... - zaprotestowała Alyson.

- Sytuacja w oczywisty sposób uległa zmianie...

- Czy ty nie masz sumienia? Przyganiał kocioł garnkowi - z pogardą odparł Vin.

Zgodziła się pomóc mu w wyeliminowaniu Erica, gdy ten zagroził zniszczeniem

Nanigenu. Wydawało się jej, że kocha Drake'a, i być może nadal tak było. Vin był dla niej wyjątkowo życzliwy, pomógł jej w karierze, płacił jej olbrzymie pieniądze, tymczasem Eric traktował go bardzo źle, a w końcu zdradził. Jednak pozostali to tylko niewinni młodzi ludzie. Sytuacja wymknęła się spod kontroli, ale Alyson była jak sparaliżowana. Wydarzenia toczyły się zbyt szybko, a ona nie wiedziała, jak może powstrzymać Vina.

- W zachowaniu drapieżnika nie ma niczego okrutnego - rzekł Drake, stając przed terrarium z węzem. - Jest bardzo szlachetne. To czarnobiałe pasiaste stworzenie po drugiej

stronie szyby to niemrawiec pospolity z Malezji. Dla istoty wielkości Petera jego ugryzienie będzie oznaczało niemal natychmiastową śmierć. Peter prawie nic nie poczuje. Bełkotliwa mowa, trudności z przełykaniem, paraliż oczu, a zaraz potem całego ciała. Być może wciąż będzie żył, gdy wąż będzie go trawił, ale zapewne będzie mu to obojętne...

Drakę pstryknął palcem w foliową torebkę. Zmniejszeni ludzie poprzewracali się na siebie nawzajem, krzycząc i przeklinając ze strachu oraz szoku. Vin uważnie się im przyglądał.

- Są dosyć żywotni - zauważył, zwracając się do Alyson. - Podejrzewam, że niemrawiec się na nich skusi. A jeśli nie, pozostają nam jeszcze kobra i koralówka.

Alyson odwróciła wzrok.

- To konieczne - wyjaśnił Drake. - Ich ciała muszą zostać strawione. Nie mogą pozostać żadne... dowody.

- Ale to nie wszystko - odparła. - Co z ich samochodem, pokojami w hotelu, biletami na samolot...?

- Wszystko zaplanowałem.

- Czyżby? Zaufaj mi. - Posłał jej surowe spojrzenie. - Chcesz powiedzieć, że mi nie ufasz? - spytał po dłuższej chwili.

- Oczywiście, że ci ufam - odrzekła szybko.

- Mam nadzieję. Ponieważ bez zaufania niczego nie osiągniemy. Tkwimy w tym razem, Alyson.

- Rozumiem.

- Tak, wiem, że rozumiesz. - Poklepał ją po dłoni. - Aha, widzę, że młody Peter już się otrzepał, a oto zbliża się niemrawiec szukający posiłku.

Pełznące ciało w czarnobiałe paski, częściowo ukryte w trocinach. Czarny język

wysuwający się z paszczy.

- Patrz uważnie - rzekł Drake. - Wszystko potoczy się błyskawicznie.

Alyson się odwróciła. Nie mogła na to patrzeć.

Peter wstał i otrzepał ubranie. Upadek nie wyrządził mu krzywdy, ale wciąż czuł skutki uderzeń i kopnięć Drake'a, a koszula pokryta zaschniętą krwią przywarła mu do piersi.

Stał po pas w trocinach pokrywających podłogę szklanego terrarium. Poza tym wewnątrz znajdowała się tylko niewielka gałązka z liśćmi.

No i wąż.

Z miejsca, w którym stał, Peter widział tylko kilka ciemnoszarych i białych pasków.

To pewnie niemrawiec pospolity, *Bungarus candidus*. Z Malezji albo Wietnamu. Niemrawce zazwyczaj żywią się innymi węzami, ale trudno liczyć na to, że ten osobnik okaże się wybredny. Peter zobaczył, że czarno-białe sploty się poruszają, po czym znikają przy wtórze cichego syku. Wąż pełzł naprzód.

Nie widział głowy gada, a nawet większej części tułowia. Był zbyt mały, aby ogarnąć wzrokiem wnętrze terrarium, chyba że wspiąłby się na gałąź, co wydawało się kiepskim pomysłem. Mógł tylko czekać, aż wąż do niego dotrze. Był bezradny i bezbronny. Poklepał się po kieszeniach, ale były puste. Jego ciało zaczęło drżeć w niekontrolowany sposób. Czy to z powodu wstrząsu wywołanego pobiciem? A może ze strachu? Pewnie z obu powodów.

Wycofał się w róg terrarium między dwie szyby. Może uda mu się wywołać jakieś odbicie, które wystraszy węża. Może zdoła...

Zobaczył głowę wyłaniającą się z trocin. Język mignął w paszczy, tak blisko, że niemal go dotknął. Peter zamknął oczy. Tak mocno dygotał, że był bliski runięcia na ziemię z czystego przerażenia.

Wciągnął powietrze do płuc, starając się powstrzymać drzenie. Otworzył jedno oko i

nieśmiało zerknął.

Wąż był tam, gdzie wcześniej, w odległości zaledwie kilku centymetrów, a jego czarny język wciąż błyskawicznie wysuwał się i cofał, jednak coś było nie tak. Wydawało się, że gad jest zagubiony albo niepewny. Po chwili ku zaskoczeniu Petera uniósł łeb i zaczął pełznąć do tyłu.

W końcu zniknął wśród trocin.

Wtedy Peter upadł na ziemię, trzęsąc się ze strachu i wyczerpania, nie panując nad swoim ciałem, a w głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: Co się stało, do diabła?

- Psiakrew - rzucił Vin Drake, spoglądając przez szybę. - Co to było, do cholery? Co się stało?

- Może nie jest głodny.

- Jest, na pewno. Psiakrew! Nie mogę sobie pozwolić na takie wpadki. Czas mnie goni.

Rozległ się trzask interkomu.

- Panie Drake, ma pan gościa w recepcji.

- Jezu! - Zirytowany Drake machnął rękami. - Nikogo się dzisiaj nie spodziewam. -

Połączył się z recepcją. - O co chodzi, Mirasol?

- Przykro mi, panie Drake, ale chcą się z panem widzieć policjanci z Honolulu.

Pojawili się, kiedy byłam na parkingu po alarmie, więc ich wpuściłam.

- Aha, no dobrze. - Vin się rozłączył. - Świetnie. To policja.

- Sprawdzę, czego chcą - zaproponowała Alyson.

- Nic z tego - odparł Drake. - Ja się nimi zajmę. Ty wracaj do swojego biura i nie pokazuj się, dopóki nie odjadą.

- W porządku, jeśli właśnie tego...

- Tak, właśnie tego chcę.

- Dobrze, Vin.

Jenny patrzyła, jak Vin i Alyson wychodzą z laboratorium. Zauważyła, że Drake zamknął drzwi na klucz. Foliowa torebka leżała na szczycie terrarium z wężem. Końcówka torebki była lekko skręcona, ale niezawiązana. Jenny precyzyjnie się do wylotu i zdołała go rozewrzeć.

- Chodźcie, możemy wyjść - powiedziała.

Pozostali podążyli za nią i po chwili stanęli na przezroczystej pokrywie terrarium.

Jenny popatrzyła w głąb pojemnika. Peter wstawał z ziemi wyraźnie wstrząśnięty.

- Słyszysz mnie? - zawołała.

Pokręcił głową.

- Dlaczego wąż nie zaatakował? - spytał Rick.

Jenny uklękła i przyłożyła do szyby złączone dłonie.

- Peterze, teraz mnie słyszysz?

Ponownie pokręcił głową.

- Spróbuj wykorzystać przewodnictwo kostne - zaproponował Amar.

Jenny położyła się i przytknęła policzek do szyby.

- Peterze? A teraz? - spytała głośno.

- Tak - odpowiedział. - Co się stało?

- Oblałam cię substancją lotną pochodzącą od osy - wyjaśniła. - Składała się głównie z heksenolu. Niewiele rzeczy jest w stanie odstraszyć jadowitego węża, ale jedną z nich jest użądlenie osy.

- Sprytne jak cholera - pochwalił Amar. - Węże bardziej polegają na węchu niż na wzroku. A niemrawiec pospolity prowadzi nocny tryb życia...

- Zdziałało. Uznał, że jestem osą.
- Tak, ale ta substancja jest bardzo ulotna, Peterze.
- Czyli wyparuje.
- I to niedługo.
- Świetnie. Już nie będę osą.
- Wkrótce przestaniesz nią być.
- Kiedy dokładnie to nastąpi?
- Nie wiem. Za kilka minut.
- Co możemy zrobić?
- Jak twoje odruchy? - spytała Karen.
- Rozregulowane. - Wyciągnął przed siebie dłoń i stwierdził, że drży.
- Co zamierzasz? - zaciekawił się Amar.
- Masz przy sobie jakieś pajęcze nici, nad którymi pracowaliśmy?

Przez około pół roku Amar i Karen wspólnie syntetyzowali pajęcze nici o różnych właściwościach, na przykład wyjątkowo lepkie, silne albo elastyczne jak linka bungee. Niektóre zmieniały się z gładkich w kleiste po dodaniu konkretnej substancji chemicznej.

- Mam kilka - odrzekł Amar.
- Dobrze, widzisz tamtą zatkaną plastikową rurkę obok terrarium?
- Wygląda jak część niewielkiego dozownika wody.
- Zgadza się, właśnie o nią mi chodzi. Uda ci się ją chwycić za pomocą lepkiej nici i podciągnąć?
- Nie wiem - odparł Amar z powątpiewaniem. - Pewnie waży z kilkadziesiąt gramów.

Wszyscy musielibyście pomóc...

- Nie ma sprawy, i tak razem musimy otworzyć terrarium.

- Otworzyć terrarium. - Pokrywa składała się z dwóch szyb, z których jedna była odsuwana. - No nie wiem, Karen, to będzie wymagało przesunięcia szyby.

- Tylko o kilka centymetrów. Żebyśmy mogli...

- Opuścić rurkę.

- Właśnie.

- Peterze, nadążasz za nami? - spytał Amar.

- Tak, ale wydaje się to mało prawdopodobne.

- Nie widzę innego wyjścia - odparła Karen. - Będziemy mieli tylko jedną próbę, więc nie możesz spudłować.

Amar otworzył plastikowy pojemnik, który trzymał w kieszeni, i zaczął odwijać lepki nic z kołka. Spuścił jej koniec poza krawędź i pochwycił plastikową rurkę. Była zaskakująco lekka. Amar i Rick bez wysiłku zdołali ją podnieść.

Spróbowali odsunąć szklaną pokrywę, ale okazało się to znacznie trudniejsze.

- Musimy działać razem - stwierdziła Karen. - Szarpniemy, kiedy doliczę do trzech.

Raz... dwa... trzy! - Szkło poruszyło się o kilka milimetrów. - Dobrze, jeszcze raz! Szybko!

Wąż znów stał się bardziej aktywny. Być może rozdrażnił go widok malutkich ludzi chodzących po szybie, a może substancja, którą był pokryty Peter, zaczynała się ulatniać. W każdym razie znów ruszył w jego stronę, wijąc się i skręcając, przygotowując do kolejnego ataku.

- Opuśćcie to tutaj! - zawołał Peter drżącym głosem.

- Już opuszczamy - odrzekł Amar.

Nic przesunęła się po krawędzi szkła z dziwnym piskiem.

- Wszystko w porządku? - spytała Karen. - Wytrzyma?

- Jest mocna - zapewnił ją Amar.

- Jeszcze trochę niżej - rzekł Peter. - Dobrze... Przytrzymajcie ją.

Rurka sięgała mu do piersi. Stał za nią i przytrzymał obiema rękami. Jednak miał spocone dłonie i przez to niepewny chwyt.

Wąż się zbliżał. Sycząc, sunął przez liście i trociny.

- A jeśli zaatakuje z boku? - spytał Peter.

- Musisz się obrócić - odparła Karen. - Wygląda na to...

- Tak, masz rację...

- Atakuje, cholera...

- Psiakrew! - zawołał Peter.

Wąż uderzył z oszałamiającą, niewyobrażalną szybkością, a Peter bez namysłu zasłonił się rurką. - Głowa gada uderzyła w nią z całym impetem, nic pękła i trafiony w pierś Peter runął na plecy, a wściekle wijący się wąż przygniótł go do ziemi. Jednak głowa niemrawca utknęła w rurce i zwierzak nie potrafił się uwolnić.

- Jak to zrobiłeś? - spytała Karen z podziwem. - Wąż był taki szybki.

- Nie wiem - odparł Peter. - Po prostu... zareagowałem.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Peter próbował odepchnąć węża. Z tak bliska woń gada przyprawiała go o mdłości. Wreszcie zdołał się uwolnić i chwiejnie wstał.

Wąż patrzył na niego złowrogo. Mocno potrząsnął rurką i kilkakrotnie uderzył nią o szklaną ścianę, ale nie udało mu się jej zrzucić. Rurka wzmacniała jego wściekły syk, który odbijał się echem w jej wnętrzu.

- Świetnie - odezwał się Rick. - Ale lepiej spróbujmy cię stamtąd wyciągnąć.

Vin Drake zazgrzytał zębami. Recepcjonistka Mirasol była piękna, ale głupia.

Muskularny mężczyzna w niebieskim mundurze nie był policjantem, tylko oficerem straży przybrzeżnej. Potrzebował informacji na temat prawa własności do motorówki Erica,

ponieważ kierownik warsztatu chciał ją przenieść w inne miejsce i potrzebował do tego zgody właściciela.

- Myślałem, że policja wciąż bada łódź - rzekł Vin z irytacją. Równie dobrze może spróbować samemu wydobyć kilka informacji od tego tępaka.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł oficer. Wyjaśnił, że nie kontaktował się z nim nikt z policji, tylko właściciel warsztatu.

- Słyszałem, że szukają jakiegoś telefonu.

- Nie potrafię panu odpowiedzieć. Wydaje mi się, że już zakończyli poszukiwania.

Drakę zamknął oczy i przeciągle westchnął.

- Chryste.

- A przynajmniej zostało im już tylko przeszukanie jego gabinetu.

Drakę gwałtownie otworzył oczy.

- Czyjego?

- Jansena. Chodzi o jego gabinet w tym budynku. Był wiceprezesem spółki, prawda?

Wiem, że dzisiaj policja była w mieszkaniu Jansena, a potem zamierzali się udać do jego gabinetu... - Oficer zerknął na zegarek. - Powinni tutaj być lada chwila. Szczerze mówiąc, dziwne, że jeszcze się nie pojawili.

- Chryste - powtórzył Vin.

Odwrócił się w stronę Mirasol.

- Niedługo przyjdzie policja. Ktoś musi ich oprowadzić.

- Mam się skontaktować z panną Bender?

- Nie - odparł Drakę. - Panna Bender będzie... zajęta. Mamy razem do wykonania trochę pracy laboratoryjnej. To nie może poczekać.

- Więc do kogo mam zadzwonić?

- Do Dona Makele, szefa ochrony. On może oprowadzić policjantów. Będą chcieli obejrzeć gabinet pana Jansena.
- I wszystkie projekty, nad którymi pracował - dodał oficer. Wpatrywał się nieruchomo w recepcjonistkę.
- I wszystkie projekty, nad którymi pracował - powtórzył Drake. Na ulicy przed budynkiem zatrzymały się samochody. Vin powstrzymał chęć ucieczki i zamiast tego spokojnie uściśnął dłoń mężczyzny. - Może pan dołączyć do policji, jeśli pan chce. Mirasol, przywitaj naszych gości, poczęstuj ich kawą.
- Dobrze, panie Drake.
- Rzeczywiście chętnie zostanę - rzekł oficer.
- A teraz przepraszam na chwilę. - Drake odwrócił się i odszedł korytarzem. Gdy tylko zniknął za rogiem, puścił się biegiem.

Alyson Bender siedziała w swoim gabinecie i przygryzała wargę. Na ekranie stojącym na biurku obserwowała recepcję. Widziała, jak Drake rozmawia z młodym mężczyzną w mundurze, a Mirasol flirtuje, bawiąc się kwiatem we włosach.

Drake jak zwykle był niecierpliwy, gwałtowny i poruszał się w agresywny sposób. Zachowywał się niemal wrogo. Oczywiście był pod presją, ale dopiero kiedy Alyson zobaczyła, jak się porusza - żadnych słów, tylko język ciała - zrozumiała, jak jest wściekły. Nosił w sobie mnóstwo gniewu.

I zamierzał zabić tych wszystkich młodych ludzi.

Jego intencje były aż nadto przejrzyste. Peter przyparł go do ściany, a Vin zamierzał uciec w jedyny możliwy sposób, nie pozostawiając żadnych świadków. Siedmioro bystrych doktorantów, którzy mają przed sobą całe życie, ale dla niego nie ma to większego znaczenia. Po prostu stanęli mu na drodze.

To ją przerażało. Jej dłonie drżały, nawet gdy przyciskała je do blatu. Bała się Drake'a i sytuacji, w której się znalazła. Oczywiście nie mogła otwarcie mu się sprzeciwić. Vin by ją zabił.

Jednak w jakiś sposób musiała powstrzymać go przed zabiciem tych młodych ludzi.

Wiedziała, co zrobiła. Doskonale zdawała sobie sprawę ze swojego zaangażowania w śmierć Erica. Wykonała połączenia, które aktywowały telefon. Mimo to pomoc przy kolejnych siedmiu morderstwach... nawet ośmiu, wliczając pracownika Nanigenu, który miał pecha znaleźć się w sali kontrolnej, gdy wszedł tam Drake... przekraczała jej możliwości. To byłoby ludobójstwo. Ale być może będzie do tego zmuszona, żeby ocalić życie.

Na ekranie Drake wydawał polecenia recepcjonistce. Oficer straży przybrzeżnej szeroko się uśmiechał. Vin wkrótce odejdzie.

Alyson wstała i pośpiesznie opuściła gabinet. Nie miała dużo czasu. Drake w każdej chwili może wrócić do laboratorium, szukając doktorantów.

W laboratorium doktoranci wydostali się z torebki i stali na przezroczystej pokrywie terrarium, spoglądając w dół na Petera. Nagle Alyson wpadła do pomieszczenia i pochyliła nad nimi olbrzymią twarz.

- Niezrobię wam krzywdy - powiedziała. Miała szeroko otwarte, przerażone oczy.

Wyciągnęła wyprostowaną dłoń i drugą ręką delikatnie postawiła na niej Jenny. Skinęła na pozostałych. - Szybciej. Niewiem gdzie on jest.

- Panno Bender! Niech mi pani pozwoli porozmawiać z panem Drakiem! - zawołał Jarel Kinsky, wymachując rękami.

Wyglądało na to, że Alyson go nie słyszy albo nie rozumie.

Pozostali, nie widząc innej możliwości, wspięli się na jej dłoń. Uniosła ich w powietrze, a wtedy pomieszczenie zawiroowało i podmuch zważył ich z nóg. Szybko zaniósł

ich na biurko i postawiła na blacie. Następnie podeszła do terrarium, otworzyła pokrywę i wyjęła Petera, a potem umieściła go na biurku obok reszty. Przyglądała im się uważnie, najwyraźniej nie wiedząc, co z nimi począć. Słyszeli jej głośny, urywany oddech.

- Powinniśmy spróbować z nią porozmawiać - odezwała się Karen.

- Nie wiem, czy to cokolwiek da - odparł Peter.

Alyson się odsunęła. Zobaczyli, że idzie na drugą stronę pokoju. Otworzyła szafkę, wyjęła z niej niewielką brązową papierową torebkę, po czym szybko wróciła do biurka.

- Schowajcie się tutaj - powiedziała powoli. - Tam będziecie mogli oddychać.

Rozwarła wlot torebki i położyła ją przed nimi na blacie, po czym gestem zaprosiła ich do środka. Wgramolili się do torebki. Ostatni wszedł pracownik Nanigenu, który najwidoczniej nie pogodził się z rozpaczliwą sytuacją, w której się znalazł. Cały czas wykrzykiwał: „Panno Bender! Panno Bender, proszę!”.

Alyson mocno zagięła krawędź torby i pośpiesznie wyszła z pomieszczenia. Zaniosiła pakunek do gabinetu i ostrożnie włożyła go do swojej torebki, która stała na podłodze obok biurka. Zamknęła ją, po czym wepchnęła nogą pod biurko i ponownie pobiegła do laboratorium, gdzie wpadła na Vina Drake'a.

- Co ty wyprawiasz, do cholery? - spytał.

- Szukałam cię.

- Kazałem ci zostać w gabinecie. - Drake podszedł do terrarium i zobaczył pustą foliową torebkę. - Uciekli. - Obrócił się i zaklął, po czym zaczął się gwałtownie rozglądać, aż w końcu doskoczył do półki pełnej chemikaliów i jednym ruchem zrzucił jej całą zawartość na podłogę, tłukąc szkło i rozchlapując płyny. - Gdzie oni są?

- Vin, proszę cię, nie wiem...

- Akurat - warknął. Zajrzał do terrarium i zobaczył węża z głową tkwiącą w

plastikowej rurce. Nigdzie nie było widać Petera. - Co do...? Ale Jansen i tak nie żyje. Wąż go dopadł. - Posłał Alyson wściekłe spojrzenie. - Znajdziemy pozostałych. I przysięgam ci, Alyson, że jeśli w coś ze mną pogrywasz, to gorzko tego pożałujesz.

Skuliła się.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję.

Nagle na korytarzu za oknami laboratorium pojawili się dwaj policjanci prowadzeni przez Dona Makele. Obaj byli młodzi i ubrani w cywilne stroje, co oznaczało, że są detektywami. Cholera.

Drakę wyprostował się i odzyskał panowanie nad sobą tak szybko, że było to niemal nienaturalne.

- Witaj, Don - powiedział, przechodząc na drugą stronę pomieszczenia i wyglądając na korytarz z serdecznym uśmiechem na twarzy. - Przedstaw mnie swoim gościom. Rzadko ktoś nas odwiedza w Nanigenie. Panowie detektywi, jestem Vin Drake, prezes tej spółki.

Czym mogę panom służyć?

W papierowej torbie tkwiącej w torebce Alyson było całkowicie ciemno. Doktoranci i pracownik Nanigenu siedzieli skuleni.

- Nie jestem pewna, czy ona chce nam pomóc - odezwała się Karen.

- Widać, że panicznie boi się Drake'a - zauważył Peter.

- A kto by się go nie bał? - odparł Amar.

Rick westchnął.

- Mówiłem wam, że Drake to korporacyjna szuja, ale nikt mnie nie słuchał.

- Przymknij się, do cholery! - wrzasnęła Karen.

- Błagam was - spokojnie wtrącił się Amar. - Nie teraz.

- Przepraszam - odrzekła Karen. - Ale nie mamy do czynienia ze zwykłą szują, tylko z bardzo chorym człowiekiem.

Dotknęła palcem swojego noża. Był bezużyteczny jako broń; nawet nie przebiłby skóry Drake'a.

Rozległ się donośny huk i torba zadrzała, a przez jej ścianki przedostało się światło.

Ktoś otworzył torebkę. Po chwili przy wtórze głośnego trzasku wszystko znów pograżyło się w ciemności. Czekali, rozmyślając, co się dalej wydarzy.

Alyson Bender wiedziała, że doktorantów należy jak najszybciej umieścić w generatorze i przywrócić do normalnych rozmiarów. Jednak nie potrafiła samodzielnie obsługiwać aparatury. Było już dawno po godzinach pracy i niemal wszyscy pracownicy poszli do domu, a siedziba firmy opustoszała.

Znalazła Drake'a w pracowni zwierząt laboratoryjnych. Skończył rozmawiać z policjantami i teraz uważnie przeszukiwał pomieszczenie, zaglądając w każdy kąt, do wszystkich szafek, akwariów i klatek.

Popatrzył na nią surowym wzrokiem.

- To ty ich wypuściłaś?

- Nie, Vin, przysięgam.

- Jutro oczyszczą to laboratorium. Zwierzęta uspię, a całe pomieszczenie wysterylizuję gazem i wyszoruję wybielaczem.

- To... to dobrze, Vin.

- Nie mamy innego wyjścia. - Dotknął jej ręki. - Wracaj do domu i trochę odpocznij.

Ja jeszcze chwilę zostanę.

Posłała mu spojrzenie pełne wdzięczności. Potem pośpieszyła do swojego gabinetu, zabrała torebkę i ruszyła w stronę wyjścia. Mirasol poszła do domu i w recepcji było pusto.

Księżyc niemal w pełni dryfował po niebie przyprószonym gwiazdami. To byłby piękny wieczór, gdyby tylko nie miała takiego mętlika w głowie. Wsiadła do służbowego bmw, które firma oddała do jej dyspozycji. Położyła torebkę na siedzeniu pasażera i szybko odjechała.

Vm Drake wszedł do opustoszałego holu, kryjąc się w cieniu. Kiedy usłyszał, że Alyson odjeżdża, pobiegł do bentleya i uruchomił silnik. Gdzie są jej tylne światła? Wyjechał na Farrington Highway. W lewo czy w prawo? Skręcił w lewo, w stronę Honolulu, gdyż ten kierunek wydał mu się najbardziej prawdopodobny. Włączył się do ruchu i dodał gazu, czując, jak przyspieszenie wciska go w fotel.

Zauważył szybko jadące czerwone bmw. Trzymał się z tyłu, nie spuszczać z oczu jego światła. Alyson skręciła na rampę prowadzącą na autostradę H1. Ciemnogrnatowy bentley rozplynął się w ciemności; był tylko kolejną parą reflektorów w powodzi pojazdów. Nie udało mu się znaleźć doktorantów, zatem istniała tylko jedna możliwość. Alyson zabrała ich ze sobą do auta. Nie miał pewności, ale tak podpowiadała mu intuicja.

Być może będzie musiał się jej pozbyć. A na pewno nie może jej zaufać, to oczywiste.

Straciła zimną krew. Jednak te wszystkie zniknięcia komplikują sytuację. Alyson Bender jest dyrektorem finansowym Nanigenu i gdyby teraz zaginęła, policja przeprowadziłaby bardzo wnikliwe dochodzenie.

Tego wolał uniknąć. Śledztwo w Nanigenie wcześniej czy później wykazałoby, co zrobił. To nieuniknione. Trochę czasu i wysiłku, a z pewnością odkryliby prawdę.

Onie, nie chciał dochodzenia.

Zdał sobie sprawę, że popełnił straszliwy błąd. Nie może jej zabić. Nie może sobie na to pozwolić, przynajmniej nie teraz. Jeszcze przez jakiś czas potrzebuje jej po swojej stronie.

Tylko jak ma ją skłonić do współpracy?

Alyson jechała autostradą wokół Pearl Harbor, starając się nie patrzeć na torebkę na

siedzeniu pasażera. Może Vin ma rację. Może nie ma innego wyjścia. Wjechała do śródmieścia Honolulu, nie mając pewności, dokąd się udać. Pojechała do Waikiki. Tam utknęła w korku na Kalakaua Avenue. Wokół kłębiły się tłumy turystów korzystających z wieczoru. Potem skręciła w Diamond Head Road i okrążyła latarnię morską. Zawiezie papierową torbę na plażę po nawietrznej stronie Oahu albo może na North Shore. Rzuci ją do oceanu... żadnych dowodów... nikt nie ocaleje...

Drake trzymał się z tyłu, obserwując jej samochód. Minęła Makapu'u Point, następnie przejechała przez Waimanalo i Kailuę. Ale potem skręciła na autostradę i znów ruszyła w stronę Honolulu. Gdzie, u diabła, jedzie jego dyrektorka finansowa?

Po okrążeniu wschodniego krańca Oahu i cofnięciu się do Honolulu Alyson w końcu znalazła się na Manoa Valley Road, która wiała się przez porośniętą lasem deszczowym dolinę pośród gór.

Dotarła do stalowej bramy i tunelu. Brama była zamknięta. Alyson wstukała kod zabezpieczający i wjechała do środka. Tunelem przedostała się do pogrążonej w aksamitnym mroku doliny.

Okolica była opustoszała, szklarnie lśniły słabo w blasku księżyca. Kobieta wyjęła papierową torbę, po czym wysiadła z auta. Nie odważyła się otworzyć torby. Zapewne już nie żyją, zmiażdżeni albo uduszeni. Ale jeśli nie, jeśli zaczną ją błagać? To byłoby jeszcze gorsze. Stanęła na parkingu.

W tunelu rozblęły światła samochodu.

Ktoś za nią jechał.

Stała, ściskając torbę, sparaliżowana strachem, pochwycona w światła firmowego bentleya.

Rozdział 11

Arboretum Waipaka 28 października, godzina 22.45

- Co tutaj robisz, Alyson? - spytał Drake, wysiadając z bentleya. Cały czas oświetlał ją reflektorami.

Zamrugła oślepiona.

- Dlaczego za mną jechałeś?

- Martwię się o ciebie, Alyson. Bardzo się martwię.

- Nic mi nie jest.

- Czeka nas dużo pracy - rzekł, zbliżając się do niej.

- Co takiego? - Cofnęła się nerwowo.

- Musimy się chronić.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Co zamierzasz?

Nie mógł pozwolić, żeby wina spadła na niego. Lepiej, aby to ona poniosła

odpowiedzialność. W jego głowie zaczął się formować plan. Znalazł sposób, jak to osiągnąć.

- Oni nie zniknęli bez powodu - rzekł.

- O czym ty mówisz, Vin?

- Szukam wiarygodnej przyczyny ich zniknięcia. Innej niż ty i ja.

- Jaka to przyczyna?

- Alkohol.

- Słucham?

Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę szklarni.

- To ubodzy doktoranci. Nie mają pieniędzy, na wszystkim oszczędzają. Chcą

urządzić imprezę i się upić, ale nie mają kasy. Dokąd idą biedni naukowcy, kiedy chcą się

nawalić za darmo?

- Dokąd?

- Oczywiście do laboratorium.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Żarówki na suficie rozbłysły jedna po drugiej wzdłuż rozległego laboratorium, wydobywając z ciemności stoły z egzotycznymi roślinami, donice ze storczykami umieszczone pod wiszącymi zraszaczami oraz znajdujące się w rogu pomieszczenia półki pełne butelek i słoików z odczynnikami. Drake wziął kilkilitrowy plastikowy pojemnik oznaczony etykietą „Etanol 98%”.

- Co to jest? - spytała Alyson.

- Spirytus laboratoryjny.

- To ten twój pomysł?

- Tak. Wódka albo tequila ze sklepu mają trzydzieści pięć, czterdzieści albo czterdzieści pięć procent. Ten płyn jest dwukrotnie mocniejszy. Dziewięćdziesiąt osiem procent, niemal czysty alkohol.

- No i co?

Vin zaczął jej podawać plastikowe kubeczki.

- Alkohol jest jedną z głównych przyczyn wypadków samochodowych. Zwłaszcza wśród młodych ludzi.

- Vin... - jęknęła.

Uważnie się jej przyglądał.

- No dobrze, bez owijania w bawełnę. Jesteś na to za miękka.

- Racja...

- Ja także. Taka jest prawda.

Zamrugnęła zaskoczona.

- Ty także?

- Zgadza się. Nie wytrzymam tego, Alyson. Nie chcę tego robić. Nie chcę mieć tego na sumieniu.

- Więc... co zrobimy?

Wykrzywił usta w grymasie wahania i niepewności.

- Nie wiem - odrzekł, ze smutkiem kręcąc głową. - Pewnie nigdy nie powinniśmy byli się w to wplątywać, a teraz... po prostu nie wiem. - Miał nadzieję, że wyda się jej przekonujący. Wiedział, że to potrafi. Zamilkł, po czym złapał ją za rękę i uniósł jej dłoń do światła. Trzymała zwiniętą papierową torebkę. - Oni tam są, prawda?

- Co każesz mi zrobić? - Jej dłoń drżała.

- Wyjdź z budynku i zaczekaj na mnie. Potrzebuję kilku minut do namysłu. Musimy coś wykombinować, Alyson. Dosyć zabijania.

Niech ona ich zamorduje. Nawet jeśli nie będzie tego świadoma.

Pokiwała głową w milczeniu.

- Potrzebuję twojej pomocy, Alyson.

- Dobrze. Pomogę ci.

- Dziękuję. - Zabrzmiał szczerze.

Alyson wyszła z laboratorium.

Drakę wszedł do szklarni i zbliżył się do szafki, w której znalazł pudełko z rękawiczkami ochronnymi z kauczuku nitrylowego. Były to mocne rękawiczki laboratoryjne, wytrzymalsze niż gumowe. Wyjął dwie i schował do kieszeni. Następnie pośpieszył do jednego z gabinetów i włączył ekran pokazujący obraz z kamery na parkingu. Kamera była wyposażona w noktowizor, więc obraz miał zielonoczerwony kolor. Oczywiście wszystko było nagrywane. Patrzył, jak Alyson wychodzi z budynku i staje obok samochodów. Spoglądała na torbę i nerwowo krążyła.

Niemal widział, jak nowy plan formuje się w jej umyśle.

- Zrób to - szepnął.

Zespoły terenowe napotkały olbrzymie problemy. Tylko w Paprociowym Parowie zginęli czterej pracownicy, mimo że byli ciężko uzbrojeni... Poza tym był problem z chorobą dekompresyjną. Te dzieciaki nie przetrwają nawet godziny w takim biologicznym piekle.

Potem wystarczy, że przeciągnie Alyson na swoją stronę... tymczasowo.

Oddaliła się od samochodu.

Tak.

W stronę lasu.

Tak.

Ruszyła w dół zbocza szlakiem prowadzącym do Paprociowego Parowu.

Dobrze. Idź dalej.

Na ekranie jej sylwetka rozplynęła się w ciemności. Alyson schodziła w głąb lasu.

Stracił ją z oczu.

Po chwili w mroku rozblysnął świetlny punkt niczym gwiazda.

Miała przy sobie latarkę i właśnie ją włączyła. Teraz Drake obserwował przesuające się coraz bledsze światło. Alyson szła zygzakiem po krętym szlaku.

Im głębiej zanurzała się w biologiczne piekło, tym lepiej.

Nagle usłyszał krzyk. Paniczny wrzask dobiegający z ciemnego lasu.

- Chryste.

Odwrócił się od monitora i wybiegł na zewnątrz.

Mimo że na niebie lśnił księżyc, w głębi lasu deszczowego było tak ciemno, że z trudem mógł ją wypatrzyć. Pędził szlakiem, potykając się i ślizgając, kierując się w stronę światła latarki.

- Nie wiem, nie wiem - Alyson cicho powtarzała w ciemności, wodząc wkoło snopem światła z latarki.

- Alyson. - Zatrzymał się, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do mroku. - Czego nie wiesz?

- Nie wiem, co się stało.

Spowita w ciemność trzymała przed sobą wyciągniętą rękę z papierową torbą, jakby to był dar złożony przez jakieś mroczne bóstwo.

- Nie wiem, jak uciekli. Popatrz.

Poświeciła latarką do wnętrza torby. Na jej dnie Vin zobaczył cienkie, poszarpane rozcięcie.

- Jedno z nich miało nóż - stwierdził.

- Najwyraźniej.

- Potem wyskoczyli. Albo wypadli.

- Pewnie tak.

- Tylko gdzie?

- Gdzieś tutaj. W tym miejscu zauważyłam, że ich nie ma. Od tamtej pory się nie ruszam. Nie chcę ich rozdeptać.

- Tym bym się nie przejmował. Pewnie i tak już nie żyją. Wziął latarkę, przykucnął i omiół snopem światła szczyty paproci. Przyjrzał się migoczącej rosie pokrywającej rośliny, szukając jakichś śladów. Niczego nie zauważył.

Alyson zaczęła płakać.

- To nie twoja wina.

- Wiem - załkała. - Zamierzałam ich wypuścić.

- Domyśliłem się.

- Przepraszam, ale właśnie to chciałam zrobić.

Vin objął ją ramieniem.

- To nie twoja wina, Alyson. Tylko to się liczy.

- Widziałeś coś, kiedy poświeciłeś latarką?

- Nie. - Pokręcił głową. - Spadli z wysoka, a są bardzo lekcy. Wiatr mógł ich przenieść daleko stąd. Może wciąż...

- Niewykluczone. Ale wątpię.

- Powinniśmy ich poszukać!

- W ciemności moglibyśmy przypadkowo ich rozdeptać...

- Nie możemy tak po prostu ich tutaj zostawić.

- Prawie na pewno zginęli na skutek upadku. Wierzę ci, Alyson, że nie rozciąłaś torby i ich nie wyrzuciłaś...

- Co ty mówisz...?

- Tylko że policja może nie uwierzyć w twoją wersję wydarzeń. Jesteś już zamieszana w śmierć Erica, a teraz to... rozmyślne porzucenie. tych młodych ludzi w niebezpiecznym miejscu. To morderstwo, Alyson.

- Ale ty powiesz policji prawdę!

- Oczywiście, ale dlaczego mieliby mi uwierzyć? Wygląda na to, że mamy tylko jedno wyjście: kontynuować pierwotny plan. Ich zniknięcie musi wyglądać na wypadek. Jeśli później w czarodziejski sposób się pojawią... cóż, Hawaje to magiczna kraina. Zdarzają się tutaj cuda.

Alyson stała nieruchomo w ciemności.

- Mamy ich tutaj zostawić?

- Możemy się rozejrzeć jutro przy dziennym świetle. - Ścisnął jej ramię i przyciągnął

ją do siebie. Poświecił latarką na ziemię. - Chodźmy wzdłuż ścieżki, a bezpiecznie wrócimy do domu. Jutro przyjdziemy ich poszukać. Ale teraz musimy się zająć samochodem. Dobrze? Wszystko po kolei, Alyson.

Wciąż cicho popłakując, pozwoliła się wyprowadzić z lasu na parking. Vin zerknął na zegarek: była dwudziesta trzecia czternaście. Mieli dosyć czasu, żeby wprowadzić w życie następny etap planu.

Rozdział 12

Arboretum Waipaka 28 października, godzina 23.00

Zderzali się ze sobą wewnątrz torby, boleśnie odczuwając każdy ruch Alyson, przesuając się po papierze przy wtórze głośniego szelestu. Peter nie zdawał sobie sprawy, że zwykły brązowy papier może być taki szorstki, jak papier ścierny. Widział, że wszyscy odwrócili się plecami do zewnątrz, dzięki czemu unikali obrażeń twarzy. Dokądś ich wieziono i trwało to bardzo długo, ale gdzie się znaleźli? I co się z nimi stanie? Trudno im było rozmawiać, gdy wciąż się przewracali, i ciężko wymyślić jakiś plan, skoro wszyscy mówili jednocześnie. Jarel Kinsky z Nanigenu wciąż powtarzał, że zaszła jakaś pomyłka.

- Gdybym tylko mógł porozmawiać z panem Drakiem.

- Daj już spokój - burknęła Karen.

- Ale nie wierzę, że pan Drake mógłby nas... zabić - odparł Kinsky.

- Czyżby? - zakpiła Karen.

Kinsky nie odpowiedział.

Poważniejszym problemem było to, że nie wiedzieli, co zamierzają Vin i Alyson. Ktoś

wiózł ich samochodem, ale dokąd? To nie miało najmniejszego sensu. Potem Vin i

Alyson najwyraźniej się dogadali (nie sposób było dokładnie zrozumieć treści ich rozmowy) i

Alyson wyniosła torbę na zewnątrz, w ciemność.

- Co to jest? - spytała zaniepokojona Karen. - Co się dzieje?

Usłyszeli donośny huk. Ktoś pociągnął nosem. Alyson Bender.

- Mam wrażenie, że ona chce nas uratować - rzekł Peter.

- Vin jej na to nie pozwoli - odparła Karen.

- Wiem.

- Lepiej weźmy sprawy w swoje ręce - stwierdziła Karen, po czym wyjęła i rozłożyła nóż.

- Chwileczkę - odezwał się Danny. - Taką decyzję powinniśmy podjąć wspólnie.

- Nie sądzę - odparła Karen. - To ja mam nóż.

- Nie zachowuj się jak dziecko - zachnął się Minot.

- Nie zachowuj się jak tchórz. Musimy działać, w przeciwnym razie nas zabiją. Co wybierasz? - Nie czekała na odpowiedź Danny'ego, tylko popatrzyła na Petera. - Ciekawe, jak wysoko jesteśmy nad ziemią?

- Czy ja wiem, może jakieś cztery i pół stopy...

- Czyli sto trzydzieści siedem centymetrów - wtrąciła się Erika Moll. - A ile ważymy? Peter się roześmiał.

- Niewiele.

- To cię śmieszy? - zdziwił się Danny. - Powariowaliście. Biorąc pod uwagę nasz wzrost, upadek ze stu trzydziestu siedmiu centymetrów można porównać z upadkiem z...

- Ze stu trzydziestu siedmiu metrów - odparła Erica. - Czyli z czterdziestu pięciu pięter. Ale nie masz racji, to nie to samo.

- Ależ oczywiście, że tak - upierał się Danny.

- Czyż to nie wspaniałe, że studenci naukoznawstwa zupełnie nie znają się na nauce? - zauważyła Erica.

- To kwestia oporu powietrza - wyjaśnił Peter.

- Nie, to bez znaczenia - rzucił Danny przez zaciśnięte zęby, wyraźnie dotknięty

krytyką. - Wszystkie obiekty spadają w polu grawitacyjnym z taką samą prędkością niezależnie od masy. Moneta i fortepian zrzucone z tej samej wysokości jednocześnie uderzą o ziemię.

- To beznadziejny przypadek - skwitowała Karen. - Ale my musimy szybko podjąć decyzję.

Szarpnięcia nieco osłabły. Alyson najwyraźniej zamierzała coś przedsięwziąć.

- Myślę, że odległość od ziemi nie jest istotna - rzekł Peter. Starał się oszacować, jakie znaczenie ma ich niewielki wzrost.

Liczyła się grawitacja. I bezwład.

- Musimy wziąć pod uwagę równanie Newtona...

- Wystarczy! Skaczemy - przerwała mu Karen.

- Skaczemy - odrzekła Jenny.

- Skaczemy - przytaknął Amar.

- Mój Boże - jęknął Danny. - Przecież nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy!

- Skaczemy! - zawołała Erika.

- To nasza jedyna szansa - dodał Rick. - Skaczemy.

- Skaczemy - zgodził się Peter.

- W porządku - rzekła Karen. - Przebiegnę wzdłuż łączenia na dnie i je rozetnę.

Starajcie się trzymać razem. Wyobraźcie sobie, że jesteście spadochroniarzami. Rozłóżcie szeroko ręce i nogi jak ludzki latawiec. Uwaga...

- Chwileczkę...! - wrzasnął Danny.

- Za późno! - zawołała Karen. - Powodzenia!

Peter poczuł, jak Karen mija go z nożem w dłoni, a pochwili papierowa torba

przechyliła się pod jego stopami i runął w ciemność.

Powietrze było zaskakująco chłodne i wilgotne. Kiedy znalazł się na zewnątrz, noc wydała mu się jaśniejsza. Widział otaczające go drzewa oraz ziemię, w której stronę spadał.

Leciał zaskakująco - wręcz niepokojąco - szybko i przez chwilę zastanawiał się, czy nie popełnili błędu, kierując się wspólną niechęcią do Danny'ego.

Oczywiście wiedzieli, że opór powietrza zawsze wpływa na prędkość spadających obiektów. Na co dzień się o tym nie myśli, ponieważ większość przedmiotów, z którymi mamy do czynienia, stawia powietrzu podobny opór. Pięcio - i dziesięciokilogramowa sztanga do ćwiczeń spadają z taką samą prędkością. Podobnie człowiek i słoń.

Jednak oni stali się tak mali, że opór powietrza zaczął mieć istotne znaczenie, i wspólnie doszli do wniosku, że zrównoważy ich ciężar. Innymi słowy, nie będą spadać z pełną prędkością.

Przynajmniej na to liczyli.

Teraz wiatr świstał Peterowi w uszach, a łzy przesłaniały wzrok, gdy leciał w dół.

Zaciskał zęby i ocierał oczy, próbując zobaczyć, dokąd zmierza. Rozejrzał się, ale nie zauważył nikogo z pozostałych, chociaż słyszał ciche jęki w ciemności. Gdy znów zerknął w stronę ziemi, zorientował się, że zbliża się do rośliny o szerokich liściach przypominających uszy słonia. Próbował rozłożyć ręce i obrócić ciało, aby spaść na sam środek liścia.

Trafił idealnie. Uderzył w słoniowe ucho - zimne, wilgotne i śliskie - i poczuł, jak liść się pod nim ugina, a następnie sprężynuje i błyskawicznie wyrzuca go z powrotem w powietrze jak trampolina. Krzyknął zaskoczony, ponownie wylądował blisko krawędzi, obrócił się i ześlizgnął po mokrej powierzchni aż do czubka liścia.

Po czym spadł.

W ciemności uderzył o kolejny liść. Prawie niczego nie widział. Znow stoczył się w stronę czubka. Wczepił się palcami w zieloną powierzchnię, starając się powstrzymać upadek. Bezskutecznie. Spadł, uderzył w następny liść, spadł, wreszcie wylądował na plecach na mokrym mchu, gdzie znieruchomiał przerażony, rozpaczliwie chwytając powietrze i wpatrując się w baldachim liści przesłaniających niebo.

- Będiesz tak leżał?

Obejrzał się. Obok niego stała Karen.

- Jesteś ranny? - spytała.

- Nie.

- Więc wstawaj.

Z trudem się podniósł. Zauważył, że mu nie pomogła. Stał niepewnie na wilgotnym mchu, czując, jak przemakają mu buty. Miał zimne i mokre stopy.

- Stań tutaj - poleciła, jakby mówiła do dziecka.

Przysunął się do niej, stając na kawałku suchego gruntu.

- Gdzie pozostali?

- Gdzieś w okolicy. To może chwilę potrwać.

Peter pokiwał głową, spoglądając na leśne poszycie, które z nowej perspektywy, z wysokości dwunastu milimetrów nad ziemią, wydawało się niezwykle nierówne. Omszałe przegniłe pnie wznosiły się jak wieżowce, a opadłe gałązki tworzyły poszarpane łuki o wysokości kilku metrów. Nawet martwe liście były od niego większe, a kiedy na nich stawał, przesuwaly mu się pod stopami. Zupełnie jakby próbował chodzić po gnijącym kompoście.

Poza tym wszystko było mokre, śliskie, w wielu wypadkach oślizgłe. Gdzie dokładnie wylądowali? Długo wożono ich samochodem. Mogli być wszędzie na Oahu, a przynajmniej wszędzie, gdzie rósł las.

Karen podskoczyła na dużej gałęzi, niemal spadła, złapała równowagę, po czym usiadła, dyndając nogami. Następnie włożyła palce do ust i przenikliwie zagwizdała.

- Wszyscy powinni to usłyszeć. - Zagwizdała ponownie.

Wtedy coś masywnego i ciemnego z chrzęstem wyłoniło się z poszycia. Początkowo nie widzieli, co to takiego, ale po chwili w blasku księżyca ujrzeli olbrzymiego chrząszcza, czarnego jak smoła, który minął ich pewnym krokiem. Jego złożone oczy słabo lśniły. Pokrywał go kilkuczęściowy czarny pancerz, a odnóża były porośnięte sterczącymi włoskami. Karen z szacunkiem podciągnęła nogi, gdy chrząszcz przepęłził pod gałązką, na której siedziała.

Erika Moll wyłoniła się spomiędzy łodyg, ociekając wodą.

- No proszę, to zapewne Metromenus. Biegacz, nie potrafi latać. Nie drażnijcie go, jest mięsożerny, ma groźne szczęki i z pewnością pryska jakąś paskudną substancją.

Nie zamierzali dać się oblać trucizną ani stać kolejnym posiłkiem chrząszcza. Przestali rozmawiać i znieruchomieli, podczas gdy owad badał teren, najwyraźniej polując. Nagle zaskakująco szybko zaszarżował i chwycił szczękami coś małego, co zaczęło się rozpaczliwie rzucać. W ciemności nie widzieli, co złapał, ale usłyszeli chrzęst, gdy miażdżył ofiarę. Wokół rozniósł się ostry, bardzo nieprzyjemny zapach.

- To, co czujemy, to substancje obronne chrząszcza - wyjaśniła Erika. - Kwas octowy oraz być może octan decylu. Wydaje mi się, że za ostrą woń odpowiada benzochinon. Te substancje są przechowywane w woreczkach w odwłoku chrząszcza, ale mogą także krążyć w jego krwi. Patrzyli, jak owad znika w ciemności, wlokąc za sobą upolowaną ofiarę.

- To przykład nieprzeciętnego projektu ewolucyjnego. Znacznie nas przewyższa, przynajmniej w tym otoczeniu - dodała Erika.

- Ma pancerz, szczęki, broń chemiczną i dużo nóg - rzekł Peter.

- Tak, znacznie więcej niż my.

- Większość zwierząt chodzących po ziemi ma co najmniej sześć nóg - wytłumaczyła

Erika. Wiedziała, że dodatkowe odnóża ułatwiają wędrówkę w trudnym terenie. Wszystkie owady mają po sześć nóg, a znamy ich prawie milion gatunków. Wielu naukowców podejrzewa, że na nazwanie czeka kolejne trzydzieści milionów insektów, co czyni z owadów najbardziej zróżnicowaną formę życia na ziemi, nie licząc mikroskopijnych organizmów, takich jak wirusy i bakterie. - Owady niezwykle skutecznie skolonizowały wszystkie lądy.

- Myślimy, że wyglądają prymitywnie - powiedział Peter. - Uważamy, że mniejsza liczba nóg to oznaka inteligencji, że skoro chodzimy na dwóch nogach, to jesteśmy mądrzejsi i lepsi od zwierząt, które poruszają się za pomocą czterech lub sześciu odnóży.

Karen wskazała leśne poszycie.

- Dopóki nie trafimy w takie miejsce. Wtedy żałujemy, że nie mamy więcej nóg.

Usłyszeli drapanie i spod jednego z liści wyłonił się krągły kształt. Przypominał kreta i szybko pocierał nos rękami.

- To wszystko jest do dupy - stwierdził, wypluwając pył. Wciąż miał na sobie tweedową marynarkę.

- Danny?

- Nie zgodziłem się, żeby mnie zmniejszono do centymetra. Zawsze wiedziałem, że rozmiar jednak ma znaczenie. Co teraz zrobimy? Na początek możesz przestać biadolić -

odparła Karen. - Musimy opracować jakiś plan. Przeprowadzić inwentaryzację.

- Inwentaryzację czego?

- Posiadanej broni.

- Broni? Co wy wygadujecie? Nie mamy żadnej broni! - krzyknął Danny. - Niczego nie mamy.

- To nieprawda - spokojnie odrzekła Karen. Zwróciła się do Petera. - Mam plecak. -

Zeskoczyła z gałązki, chwyciła plecak leżący na ziemi i go uniosła. - Zabrałam go tuż przed tym, jak Drake nas skurczył.

- Czy Rick przeżył? - spytał ktoś.

- Żebyś wiedział - zabrzmiał czyjś głos w ciemności po ich lewej stronie. - To dla mnie bułka z masłem. Tak samo jak dżungla w nocy. Kiedy prowadziłem badania terenowe w Kostaryce...

- Tak, to Rick - potwierdził Peter. - A inni?

Gdzieś w górze rozległ się odgłos uderzenia i plusk kropel wody. Po chwili Jenny ześlizgnęła się po liściu i wylądowała obok pozostałych.

- Nie śpieszyłaś się - zauważyła Karen.

- Zaczepiłam się o gałąź jakieś trzy metry nad ziemią. Musiałam się uwolnić. - Jenny usiadła ze skrzyżowanymi nogami, ale od razu się poderwała. - Ojej. Wszystko jest mokre.

- To las deszczowy - rzekł Rick, wyłaniając się spomiędzy liści za ich plecami. Miał przemoczone dzinsy. - Wszyscy jesteście cali? - Uśmiechnął się szeroko. - Jak się masz, Danny, koleżko?

- Odpierdol się - burknął Danny. Wciąż pocierał nos.

- Daj spokój - odparł Rick. - Poczuj ducha przygody. - Wskazał na księżyc, który przeświecał przez korony drzew. - Studiujesz naukoznawstwo! Czyż to nie kwintesencja conradowskich motywów? Egzystencjalna konfrontacja człowieka z dziką przyrodą, prawdziwe jądro ciemności nieskażone fałszywymi przekonaniem i literackimi konceptami...

- Niech ktoś mu powie, żeby się zamknął.

- Rick, daj facetowi spokój - poprosił Peter.

- Zaraz, zaraz, nie tak szybko - zaprotestował Rick. - To ważne. Dlaczego przyroda

tak bardzo przeraża, współczesny umysł? Dlaczego tak trudno ją zaakceptować? Ponieważ jest obojętna. Nie wybacza błędów, nie wykazuje zainteresowania. Wszystko jej jedno, czy przeżyjesz, czy zginiesz, wygrasz czy przegrasz, odczuwasz przyjemność czy ból. Nie potrafimy tego znieść. Jak można żyć w świecie, któremu na nas nie zależy? Dlatego przedefiniujemy przyrodę. Nazywamy ją matką naturą, mimo że nie jest rodzicem w żadnym znaczeniu tego słowa. Umieszczamy bogów w drzewach, powietrzu i oceanie oraz w naszych domach, żeby nas bronili, zapewniali nam szczęście, zdrowie i wolność, ale przede wszystkim chronili nas przed samotnością. Ale dlaczego samotność jest tak trudna do zniesienia? Dlaczego nie możemy jej wytrzymać? Ponieważ ludzie są dziećmi, ot co. Ale to wszystko tylko przebrania, które stwarzamy dla przyrody. Danny uwielbia nam opowiadać, że naukowy dyskurs jest w rękach władzy, nie istnieje żadna obiektywna prawda i liczy się tylko to, kto jest na szczycie. To władza opowiada historie, które wszyscy uznają za prawdę. - Zaczerpnął powietrza. - Ale do kogo teraz należy władza, Danny? Czujesz? Weź głęboki oddech. Czujesz? Nie? Więc ci powiem. Władzę sprawuje ten sam byt co zawsze. Przyroda, Danny. Nie my. My możemy najwyżej dołączyć do przejażdżki i starać się nie wypaść na zakręcie.

Peter objął Ricka ramieniem i odprowadził go na bok.

- Na razie wystarczy.

- Nienawidzę tego skurwiela - mruknął Rick.

- Wszyscy trochę się boimy.

- Ja nie - odparł Rick. - Jestem spokojny. Podoba mi się, że mam dwanaście

milimetrów wzrostu. Stanowię idealny kąsek dla ptaka. Jestem cholerną przystawką dla szpaka, a moje szanse przetrwania kolejnych sześciu godzin są jak jeden do czterech, może jeden do pięciu...

- Musimy obmyślić plan - spokojnie powiedziała Karen.

Amar wyłonił się zza pnia leżącego po ich lewej stronie. Był cały ubłocony i miał podartą koszulę, jednak sprawiał wrażenie niezwykle spokojnego.

- Wszyscy jesteście cali? - spytał Peter.

Przytaknęli.

- A facet z Nanigenu? - przypomniał sobie Peter. - Hej, Kinsky! Jesteś gdzieś tutaj?

- Jestem - cicho odpowiedział Jarel. Siedział nieruchomo pod pobliskim liściem z nogami pod brodą i w milczeniu obserwował pozostałych.

- Nic ci nie jest? - spytał Peter.

- Mówcie trochę ciszej - odparł Kinsky, zwracając się do całej grupy. - One słyszą lepiej od nas.

- One? - zdziwiła się Jenny.

- Owady.

Zapadła cisza.

- Tak lepiej - rzekł Kinsky.

Zaczęli rozmawiać szeptem.

- Podejrzewasz, gdzie jesteśmy? - spytał Peter Kinsky'ego.

- Chyba tak. Popatrz tam.

Odwrócili się w kierunku światła świecącego w oddali między drzewami. Oblewało blaskiem róg drewnianego budynku ledwie widocznego pośród roślinności i odbijało się czerwonymi refleksami od szyb.-

- To szklarnia - ciągnął Kinsky. - Jesteśmy w arboretum Waipaka.

- Mój Boże - odezwała się Jenny. - To całe kilometry od siedziby Nanigenu. - Usiadła na liściu i poczuła, że coś porusza się pod jej stopami i w nie uderza. Ruch nie ustawał, aż w

końcu coś małego wspięło się jej na nogę. Chwyciła stworzenie i odrzuciła je od siebie. To był roztocz, ósmionożna niegroźna istota. Jenny zdała sobie sprawę, że w glebie żyje mnóstwo małych organizmów, które zajmują się swoimi sprawami. - Ta ziemia żyje - powiedziała.

Peter uklęknął, strzepnął małego robaka ze swojego kolana, po czym zwrócił się do Jarela Kinsky'ego.

- Co wiesz o takim procesie miniaturyzacji?

- Używa się terminu „zmiana wymiaru” - odparł Kinsky. - Nigdy wcześniej mnie to nie spotkało. Oczywiście rozmawiałem z zespołami terenowymi.

- Nie wierzyłbym w ani jedno jego słowo - wtrącił się Rick. - Facet jest lojalny wobec Drake'a.

- Zaczekaj - spokojnie odrzekł Peter. - Co to za „zespoły terenowe”? - spytał Kinsky'ego.

- Nanigen wysyła je do mikroświata. Każdy składa się z trzech osób - odpowiedział szeptem Kinsky. Wyglądało na to, że bardzo boi się wydawać głośniejsze dźwięki. - Zostają poddani zmianie wymiaru, mają po dwanaście milimetrów wzrostu. Obsługują maszyny do robót ziemnych i zbierają próbki. Mieszkają w stacjach zaopatrzeniowych.

- Masz na myśli tamte małe namioty, które widzieliśmy?

- Tak. Zespoły nigdy nie zatrzymują się tam na dłużej niż czterdzieści osiem godzin.

Dłuższe pozostawanie w zmienionym stanie grozi chorobą.

- Chorobą? Co masz na myśli? - spytał Peter.

- To coś w rodzaju choroby dekompresyjnej - wyjaśnił Kinsky.

- Jak to? - drążył Peter.

- Jest to schorzenie, które rozwija się u ludzi poddanych zmianie wymiaru. Pierwsze

objawy pojawiają się po trzech, czterech dniach.

- Co się wtedy dzieje?

- Cóż... mamy niewiele danych. Nasi ludzie najpierw zaczęli testować generator pola tensorowego na zwierzętach. Zmniejszali myszy, które następnie trzymali w małych szklanych pojemnikach i obserwowali pod mikroskopem. Po kilku dniach wszystkie zmniejszone myszy zdechły. Dostały krwotoku. Później poddano procedurze króliki, a wreszcie psy. Ponownie wszystkie zwierzęta zdechły. Nekropsje wykonane po przywróceniu ich do normalnych rozmiarów wykazały niewielkie silnie krwawiące skaleczenia oraz krwotok wewnętrzny. We krwi zwierząt brakowało substancji odpowiadających za krzepliwość krwi. Wszystkie zdechły na hemofilię. Podejrzewamy, że zmiana wielkości zaburza szlaki enzymatyczne w procesie krzepnięcia, ale nie mamy pewności. Odkryliśmy, że zwierzę może przeżyć w zmniejszonym stanie, jeśli przywróci się do normalnej wielkości w ciągu dwóch dni. Ta choroba przypomina nam zagrożenia, na które są narażeni nurkowie. Jednak wydaje się, że krótkotrwałe pozostawanie w stanie zmniejszenia nie niesie ze sobą szkodliwych skutków. Potem pojawili się ochotnicy, a wśród nich projektant pierwszego generatora. Chyba nazywał się Rourke. Wszystko wskazywało na to, że ludzie mogą przez kilka dni bezpiecznie przetrwać w mikroświecie. Ale wydarzył się... wypadek. Generator miał awarię i straciliśmy trzech naukowców. Zostali uwięzieni w mikroświecie i nie mogli powrócić do normalnych rozmiarów. Jedną z ofiar był projektant. Od tamtej pory napotkaliśmy także kilka innych... problemów. Jeśli człowiek dozna silnego stresu lub zostanie poważnie ranny, choroba może zaatakować nagle i wcześniej, niż się spodziewamy. W ten sposób straciliśmy kolejnych pracowników. Właśnie dlatego pan Drake wstrzymał prace do czasu, aż ustalimy, jak chronić ludzi przed śmiercią w mikroświecie. Widzicie, on naprawdę troszczy się o bezpieczeństwo...

- Jak przebiega ta choroba u ludzi? - przerwał mu Rick.

- Najpierw pojawiają się sińce, zwłaszcza na rękach i nogach - kontynuował Kinsky. -

Skaleczenia nie przestają krwawić. Zupełnie jak w przypadku hemofilii, można się wykrwawić za sprawą niewielkiej rany. Przynajmniej tak słyszałem. Ale starają się zachować dyskrecję. Ja tylko obsługuję generator.

- Czy istnieje jakieś lekarstwo? - spytał Peter.

- Tylko dekompresja. Jak najszybsze przywrócenie do pełnego rozmiaru.

- No to mamy kłopot... - mruknął Danny.

- Musimy zrobić przegląd stanu posiadania - zdecydowanym głosem oznajmiła Karen.

Położyła na opadłym liściu plecak, który zabrała z sali z generatorem. W blasku księżyca zaczęła go opróżniać i układać poszczególne przedmioty na liściu niczym na stole.

Pozostali zgromadzili się wokół niej, uważnie przyglądając się zawartości plecaka.

Znajdowały się w nim: apteczka zawierająca także podstawowe leki i antybiotyki, nóż, krótka lina, kołowrotek przypominający sprzęt wędkarski, przymocowany do paska, wiatroodporna zapalniczka, srebrna folia termiczna, cienki wodoodporny namiot, latarka zakładana na głowę oraz dwie pary słuchawek z laryngofonami.

- To komunikatory do porozumiewania się z bazą - wyjaśnił Kinsky.

W plecaku znajdowała się także drabinka z drobnej siatki oraz kluczyki albo element kontrolny rozrusznika od jakiegoś niewiadomego urządzenia. Karen schowała wszystko oprócz latarki z powrotem do plecaka i zasunęła suwak.

- Same śmieci - skwitowała, po czym wstała i założyła latarkę na głowę. Poświeciła na okoliczne rośliny i liście. - Przydałaby się nam broń.

- Proszę, czy mogłabyś to zgasić - wyszeptał Kinsky. - Światło zwabia różne istoty...

- Jakiej broni potrzebujemy? - spytał Amar Karen.

- Słuchajcie - wtrącił się Danny, jakby nagle coś sobie uświadomił. - Czy na Hawajach są jadowite węże?

- Nie - odparł Peter. - W ogóle nie ma tutaj węży.

- Skorpionów też jest niewiele, zwłaszcza w lesie deszczowym. Tutaj dla nich za mokro - dodała Karen. - Jest hawajska stonoga, która może paskudnie ukąsić człowieka. Z pewnością mogłaby nas zabić przy naszych obecnych rozmiarach. Prawdę mówiąc, wiele zwierząt jest dla nas śmiertelnie niebezpiecznych. Ptaki, ropuchy, różnorakie insekty, mrówki, osy i szerszenie...

- Wspominałaś o broni, Karen - przypomniał jej Peter.

- Potrzebujemy jakiejś broni miotającej - odpowiedziała. - Czegoś, czym można zabijać na odległość...

- Dmuchawki - wtrącił Rick.

Karen pokręciła głową.

- Nie. Miałaby dwa milimetry długości. Bez sensu.

- Zaczekaj, Karen. Mógłbym wykorzystać pusty segment bambusa. Ma długość dwunastu milimetrów.

- Do tego drewniana strzałka - dodał Peter.

- Jasne - odparł Rick. - Naostrzona za pomocą...

- Gorąca - rzekł Amar - jako czynnika hartującego. A jako trucizny można użyć...

- Kurary - dokończył Peter, wstając i rozglądając się wokoło. - Założę się, że wiele rosnących tutaj roślin zawiera...

- To moja specjalność - przerwał mu Rick. - Gdyby udało nam się rozpaść ognisko, moglibyśmy ugotować korę oraz rośliny i wytrącić truciznę. A gdybyśmy zdołali znaleźć kawałek metalu, żelaza... żeby wykonać końcówkę strzałki...

- Może nada się klamra od mojego paska? - zaproponował Amar.

- A co potem?

- Zagotujemy truciznę i ją wypróbujemy.

- To długo potrwa.

- Nie ma innego wyjścia.

- A może użyjemy skóry żaby? - spytała Erika.

W nocy wszędzie wokół rozlegał się rechot.

Peter pokręcił głową.

- Tutaj nie występują odpowiednie gatunki. To, co słyszycie, to bufo, duże ropuchy.

Mają wielkość pięści. Oczywiście przed zmniejszeniem. Są szare, a nie jaskrawokolorowe.

Owszem, wytwarzają nieprzyjemne toksyny skórne zwane bufoteninami, ale nie zawierają one kurary jak u żab z Ameryki Środkowej...

- Dobrze już, na litość boską! - zachnął się Danny.

- Ja tylko wyjaśniam...

- Już zrozumieliśmy!

Erika objęła Petera ramieniem i skinęła głową do Danny'ego. Wciąż pocierał nos, drapiąc go obiema rękami zagiętymi jak łapy kreta.

- Załamanie? - szepnęła wystraszona Erika.

Peter pokiwał głową.

- A więc ta trucizna, którą polecacie... - rzekł Amar.

- Weźmiemy kawałki kory kulczyby, dodamy trochę żywicy oleandra, nie liści, potem kawałek pnącza chondrodendronu, jeśli znajdziemy, i będziemy gotować tę miksturę co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

- Bierzmy się do pracy - rzekła Karen.

- O wiele łatwiej będzie nam znaleźć te rośliny przy dziennym świetle - zauważyła

Jenny. - Po co ten pośpiech?

- Widzisz te halogeny przy wejściu? - odparła Karen. - Być może Vin Drake właśnie wraca, żeby nas pozabijać. - Zarzuciła plecak na ramiona i zacisnęła paski. - Więc nie traćmy czasu.

Rozdział 13

Alapuna Road 29 października, godzina 2.00

W jasnym świetle księżyca byli widoczni jak na dłoni. Gęste krzaki hau, które rosły od strony urwiska, skończyły się na wysokości drogi gruntowej, więc bez trudu można było obserwować dwa samochody jadące wzdłuż wulkanicznego grzbietu. Po lewej teren łagodnie się obniżał i przechodził w pola uprawne, po prawej zaś strome zbocze urywało się wśród huczących fal na północnym brzegu Oahu.

Alyson prowadziła pierwsze auto, kabriolet Bentleya. Za każdym razem, gdy się wahała, Vin Drake popędzał ją gestem ze swojego bmw. Wciąż pozostało im trochę drogi do zerwanego mostu. W końcu Drake ujrzał go w blasku księżyca, kremową betonową budowlę pochodzącą z lat dwudziestych dwudziestego wieku. Niesamowite, że tak długo wytrzymała. Alyson zatrzymała auto i zaczęła wysiadać.

- Ależ nie! - zawołał Vin, nakazując jej zostać w pojeździe. - Musisz go przystroić.

- Przystroić?

- Tak. Doktoranci są stłoczeni w bentleyu, pamiętasz? Urządzili sobie imprezę.

W torbie mieli ubrania i inne przedmioty, które młodzi ludzie zostawili w recepcji i w aucie zaparkowanym przed siedzibą firmy: kilka telefonów, krótkie spodenki, koszulki, kostiumy kąpielowe, ręcznik, dwa zwinięte numery pism „Nature” i „Science”, tablet. Alyson zaczęła rozrzucać je po wnętrzu samochodu.

- Nie, Alyson. Powinniśmy ustalić, gdzie każdy siedział.

- Denerwuję się.

- Rozumiem, ale i tak musimy to zrobić.

- Przecież wszystko i tak się pomiesza, kiedy zepchniemy go z urwiska.

- Alyson. Musimy to zrobić.

- Ale policja... przecież nie znajdą ciała. Nie będzie ich w samochodzie.

- W wodzie szaleją silne prądy i roi się tam od rekinów. Morze pochłania zmarłych.

Właśnie dlatego to robimy, Alyson.

- No dobrze - uległa ze znużeniem. - Kto siedzi z tyłu?

- Danny.

Wyjęła sweter i sfatygowany egzemplarz powieści Conrada Gra losu.

- Jesteś pewien, Vin? To z daleka wygląda na oszustwo.

- W środku jest jego nazwisko.

- Niech będzie. Kto siedzi obok niego?

- Jenny. Jest jej go żal.

Delikatny szal z nadrukiem, biały pasek ze skóry pytona.

- Drogi. Czy to nie jest nielegalne?

- Skóra pytona? Tylko w Kalifornii.

Potem okulary Petera Jansena, które ciągle gubił, kostium kąpielowy Eriki Moll oraz para bermudów.

Przystroili przednie siedzenie, umieszczając Karen King za kierownicą. Potem Vin rozlał alkohol z tyłu samochodu, rozbił butelkę i rzucił ją na przód, gdzie utknęła pod tablicą rozdzielczą.

- Nie chcę przesadzić. - Rozejrzał się, zerkając na puszyste granatowe chmury i białe

spienione fale w dole. - Cudownanoc - rzekł, kręcąc głową. - Żyjemy w pięknym świecie. -

Podszedł do bentleya od lewej strony i przyjrzał mu się z pewnej odległości. - Kilka metrów przed nami zaczyna się zbocze. Podjedź do niego i wysiądź, a wtedy razem zepchniemy samochód.

- Hej. - Alyson uniosła dłonie. - Nie... nie chcę znów tam wsiadać, Vin.

- Nie wygłupiaj się. Masz do przejechania trzy metry, nie więcej.

- Ale jeśli coś...

- Nic się nie stanie.

- Dlaczego ty nie chcesz podjechać do zbocza, Vin?

- Alyson. - Stanowcze spojrzenie w ciemności. - Jestem wyższy, więc musiałbym odsunąć siedzenie. To od razu wzbudziłoby podejrzenia policji.

- Ale...

- Umówiliśmy się. - Otworzył przed nią drzwi. - No dalej.

Zawahała się.

- Umówiliśmy się, Alyson.

Usiadła za kierownicą, drżąc, mimo że noc była ciepła.

- A teraz zamknij dach - poprosił.

- Dach? Po co?

- Żeby wszystko zostało w samochodzie.

Uruchomiła silnik, po czym wcisnęła guzik i dach bentleya się rozłożył. Vin cofnął się

i gestem dłoni nakazał jej podjechać do przodu. Auto przechyliło się, ześlizgnęło o metr -

Alyson wrzasnęła - po czym znieruchomiała.

- W porządku, idealnie - ocenił Vin, sięgając do kieszeni po rękawiczki ochronne. -

Zostaw włączony silnik.

Kiedy się zbliżył, Alyson właśnie zaczynała wysiadać. Nie słyszała trzasków zakładanych rękawiczek. Szybkim ruchem zamknął drzwi, po czym sięgnął do środka i chwycił ją obiema rękami za włosy. Uderzył jej głową o metalową ramę przedniejszyby, gdzie nie było miękkiego obicia. Zaczęła wrzeszczeć, ale wtedy uderzył ponownie i jeszcze raz. Potem dla pewności kilkakrotnie walnął jej czołem o kierownicę. Wciąż była przytomna, ale to już wkrótce miało być bez znaczenia. Sięgnął za jej plecami i wrzucił bieg. Był to niewygodny manewr i Drake przewrócił się do tyłu, gdy Bentley go mijał. Auto pomknęło po zerwanym moście, a następnie runęło, wirując, w stuosiemdziesięciometrową przepaść do rzeki i oceanu.

Vin z trudem wstał. Nie zdążył zobaczyć uderzenia, jednak słyszał odgłos metalu rozdieranego na skałach. Kabriolet wylądował kołami do góry. Drake przez chwilę wypatrywał oznak ruchu pod autem. Jedno z kół się obracało, ale nic więcej się nie działo.

- Przede wszystkim zaufanie, Alyson - rzekł cicho, po czym się odwrócił, zdejmując rękawiczki.

Zostawił swój samochód sto metrów wcześniej, a gruntowa droga była twarda jak skała i wysuszona, więc nie pozostały na niej odciski opon. Wsiadł do auta i powoli wycofał się wąską ścieżką - żeby tylko teraz nie popełnić błędu! - aż znalazł miejsce na tyle szerokie, by zawrócić. Następnie ruszył na południe w stronę Honolulu. Policja dopiero za kilka dni znajdzie samochód u podnóża urwiska, więc zapewne powinien nieco przyspieszyć bieg wydarzeń. Rano zatroskany zgłosi zaginięcie doktorantów, którzy wieczorem pojechali się zabawić w mieście w towarzystwie uroczej panny Alyson Bender.

Nie martwił się, że sprawa nabierze rozgłosu i wieści dotrą do Cambridge i Bostonu. Hawaje żyją z turystów i tutejsi mieszkańcy niechętnie informują o tym, ilu ludzi zostaje porwanych przez fale, spada z nierównych górskich szlaków albo ginie w innych

okolicznościach, podziwiając piękno przyrody. Historia młodych ludzi z Cambridge z pewnością na kilka dni zagości w mediach, ale wkrótce zastąpią ją atrakcyjniejsze tematy: śmierć austriackiej księżniczki w wypadku helikoptera podczas urlopu narciarskiego na Mount Rainier, zaginięcie nurków u wybrzeży Tasmanii, śmierć milionera z Teksasu w obozie w Khumbu, dziwny wypadek w Cinque Terre, pożarcie turysty przez warana z Komodo.

Zawsze były bardziej soczyste wiadomości. Sprawa przycichnie.

Oczywiście nie da się uniknąć komplikacji w firmie. Ta wizyta miała zapewnić

Nanigenowi duże wsparcie kadrowe, niezwykle istotne ze względu na niedawno poniesione straty. Spółka dostałaby wiatru w żagle. Musiał to finezyjnie rozegrać.

Sportowe auto, podskakując, mknęło po drodze gruntowej, a Drake mocno ścisnął kierownicę. Jechał na południe do Kaena Point („gdzie dusze opuszczają planetę”), a fale szalały po obu stronach szlaku. Musi pamiętać, żeby zmyć morską sól z karoserii i opon.

Najlepiej zaprowadzić samochód do myjni w Pearl City.

Zerknął na zegarek. Wpół do czwartej rano.

Co ciekawe, wcale nie czuł nerwowości ani potrzeby pośpiechu. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby wrócić na drugą stronę wyspy do Waikiki, w pobliżu Diamond Head. A także by poszukać w pokojach hotelowych, w których zatrzymali się młodzi ludzie, przywiezionych przez nich naukowych łupów.

Miał też dość czasu, żeby potem wrócić do swojego luksusowego apartamentu w Kahala i wślizgnąć się do łóżka, a rano zareagować szokiem na wieść o absurdalnym zachowaniu swojej dyrektorki finansowej i utalentowanych doktorantów, których sprowadziła na manowce.

Rozdział 14

Dolina Manoa 29 października, godzina 4.00

Siedmioro doktorantów i Kinsky szli gęsiego przez las, rozglądając się i nasłuchując, pogrążeni w ciemności i cieniach, otoczeni obcymi dźwiękami. Rick potykał się pośród liści pokrywających ziemię i gramolił pod martwymi gałęziami, które wydawały się większe od powalonych sekwoi, niosąc na ramieniu włócznię samodzielnie wykonaną z trawy. Karen niosła plecak, a w dłoni ścisnęła nóż. Peter szedł na czele, bacznie się rozglądając i wybierając trasę. Z jakiegoś powodu został po cichu liderem grupy. Nie korzystali z latarek zakładanych na głowę, gdyż nie chcieli zwabić drapieżników. Peter niemal nie widział terenu przed sobą.

- Księżyc zaszedł - zauważył.

- Wkrótce nadejdzie... - zaczęła Jenny.

Przerwał jej straszliwy krzyk, niskie zawodzenie, które po chwili zmieniło się w serię chrapliwych wrzasków dobiegających gdzieś z góry. Upiorny odgłos wręcz ociekał przemocą. Rick gwałtownie się obrócił, unosząc włócznię.

- Co to było, do diabła?

- Chyba śpiew ptaka - odrzekł Peter. - Słyszemy dźwięki w niższej tonacji. -

Sprawdził godzinę. Kwadrans po czwartej. Miał cyfrowy zegarek, który działał normalnie pomimo skurczenia. - Zbliża się świt.

- Gdyby udało nam się znaleźć którąś ze stacji zaopatrzeniowych, moglibyśmy skontaktować się z siedzibą spółki przez radio - zasugerował Jarel Kinsky. - Jeśli usłyszą nasz sygnał, z pewnością nas uratują.

- Drake by nas zabił - zaproponował Peter.

Kinsky nie zaprotestował, ale było widać, że tak nie uważa.

- Powinniśmy się dostać do generatora, żeby odzyskać normalny wzrost - ciągnął

Peter. - W tym celu musimy wrócić do budynku Nanigenu. Nie wiem w jaki sposób, ale sądzę, że byłoby błędem prosić Drake'a o pomoc.

- Może zadzwonimy na policję? - wtrącił się Danny.

- Świetny pomysł, Danny. Tylko powiedz nam jak - zakpił Rick.

Jarel Kinsky wyjaśnił, że radionadajniki w stacjach zaopatrzeniowych mają zasięg zaledwie trzydziestu metrów.

- Jeśli ktoś z Nanigenu znajdzie się w pobliżu i będzie nasłuchiwał na właściwej częstotliwości, to będziemy mogli się z nim skontaktować. W przeciwnym razie nikt nie odbierze naszego sygnału. - Dodał, że nadajniki nie mogą korzystać z częstotliwości zarezerwowanych dla policji i służb ratunkowych. - Mikronadajniki Nanigenu nadają na częstotliwości około siedemdziesięciu gigaherców. To bardzo wysoka częstotliwość, która dobrze się sprawdza w komunikacji na niewielką odległość między zespołami terenowymi, ale jest bezużyteczna na dłuższe dystanse.

- Kiedy Drake'a oprowadzał nas po arboretum, wspomniał ciężarówkę, która regularnie jeździ do siedziby firmy z doliny Manoa - przypomniała Jenny. - Moglibyśmy się nią zabrać.

Wszyscy umilkli. Jenny wpadła na bardzo dobry pomysł. Rzeczywiście Vin Drake'a mówił o transporcie próbek. Ale skorzospoły terenowe wycofano z mikroświata, to czy ciężarówka nadal kursuje? Peter zwrócił się do Jarela.

- Czy ciężarówka wciąż wozi próbki do Nanigenu?

- Nie wiem.

- O której godzinie zazwyczaj pojawia się przy arboretum?

- O czternastej.

- Gdzie się zatrzymuje?

- Na parkingu obok szklarni.

Wszyscy zaczęli analizować tę informację.

- Myślę, że Jen ma rację - rzekł Peter. - Powinniśmy spróbować dostać się do ciężarówki, wrócić do siedziby Nanigenu, a następnie wejść do generatora...

- Chwileczkę... niby jak wespniemy się na ciężarówkę, skoro jesteśmy tacy mali? -

ostro spytał Rick, stając naprzeciwko Petera. - Ten plan to szaleństwo. A jeśli tam nie będzie żadnej ciężarówki? Siedziba Nanigenu jest oddalona o prawie dwadzieścia pięć kilometrów.

Jesteśmy stukrotnie mniejsi niż kiedyś. Zastanówcie się. To znaczy, że tak naprawdę będziemy musieli pokonać dwa i pół tysiąca kilometrów. Powtórzyć wyczyn Lewisa i Clarka, i to w niecałe cztery dni, w przeciwnym razie zabije nas choroba dekompresyjna. Mamy gówniane szanse.

- Rick uważa, że powinniśmy załamać ręce i się poddać - odparła Karen.

- Po prostu musimy postępować rozsądnie - odpowiedział Rick ze złością.

- Wcale nie postępujesz rozsądnie. Po prostu użalasz się nad sobą - odrzekła Karen.

Peter próbował załagodzić sytuację. Stanął pomiędzy Rickiem i Karen, uznając, że lepiej będzie samemu stać się obiektem ich wściekłości, niż pozwolić im na dalsze docinki.

- Proszę - powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Ricka. - Kłótnie nikomu nie pomogą.

Skupmy się na najbliższych zadaniach.

Ponownie ruszyli, idąc w milczeniu.

Przy dwunastu milimetrach wzrostu niewiele widzieli na leśnym poszyciu nawet po wschodzie słońca. Wszędzie rosły gęste paprocie, które sprawiały im wyjątkowo dużo problemów, ponieważ zasłaniały widok i rzucały rozległy cień. Stracili z oczu budynek szklarni i nie potrafili odnaleźć żadnego charakterystycznego obiektu. Mimo to nie przerywali marszu. Słońce wspięło się wyżej i jego promienie przebijały się przez korony drzew.

W świetle dnia wyraźniej widzieli grunt pod nogami. Roilo się w nim od małych organizmów - nicieni, roztoczy i innych drobnych stworzeń. To właśnie one ocierały się o stopy Jenny w ciemności. Roztocze przypominały małe pająki. Występowały w wielu różnych odmianach, pełzając wokół lub kryjąc się w pęknięciach ziemi. Niewidoczne gołym okiem dla człowieka normalnego wzrostu, w odniesieniu do mikroludzi nabierały rozmiarów porównywalnych z ziarenkami ryżu, a nawet piłeczkami do golfa. Wiele z nich miało jajowate ciała pokryte grubymi pancerzami i sterczącymi włoskami. Roztocze to pajęczaki, więc Karen co chwila się zatrzymywała, żeby im się przypatrzeć. Chociaż było ich wiele, nie rozpoznała ani jednego gatunku; wydawało się, że wszystkie osobniki należą do nieznanymi odmian. Nie mogła wyjść z podziwu nad bogactwem przyrody. Jak okiem sięgnąć królowała biologiczna różnorodność. Roztocze były wszędzie. Przypominały jej kraby na skalistym wybrzeżu: małe i niegroźne, pracowite i ruchliwe, zajęte swoim drobnym, skrytym życiem. Podniosła jednego osobnika i położyła go sobie na dłoni.

Stworzenie wydawało się takie delikatne, wręcz idealne. Karen poczuła przypływ entuzjazmu. Co się dzieje? Ku swemu zaskoczeniu zdała sobie sprawę, że czuje się szczęśliwa w tym dziwnym nowym świecie.

- Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że przez całe życie szukałam takiego miejsca. Czuję się tak, jakbym wróciła do domu.

- A ja nie - odparł Danny.

Roztocz wspął się po ręce Karen, uważnie ją badając.

- Uważaj, może cię ugryźć - ostrzegła Jenny.

- Bez obaw - odrzekła Karen. - Widzisz jego otwór gębowy? Jest przystosowany do wsysania martwych odpadków. On się żywi śmieciami.

- Skąd wiesz, że to on?

Karen wskazała odwłok roztocza.

- Ma penisa.

- Facet zawsze pozostanie facetem, niezależnie od rozmiarów - skwitowała Jenny.

Karen coraz bardziej się ożywiała.

- Roztocze są niesamowite. Wysoce wyspecjalizowane. Wiele z nich jest pasożytami i bardzo starannie wybiera żywiciela. Niektóre żyją tylko na gałkach ocznych pewnego gatunku owocożemych nietoperzy. Inne wyłącznie na odbycie leniwca...

- Błagam, Karen! - zawołał Danny.

- Nie marudź, Danny, to tylko przyroda. Roztocze żyją na rzęsach mniej więcej połowy ludzi na Ziemi. Także na wielu owadach. Co ciekawe, istnieją takie, które żyją na innych roztoczach...

Danny usiadł i ściągnął sobie jednego osobnika z kostki.

- Mały potwór wygryzł mi dziurę w skarpetce.

- Pewnie to jeden z tych, które żywią się odpadami - odparła Jenny.

- To nie jest śmieszne.

- Ktoś chce wypróbować mój naturalny lateksowy krem do skóry? - spytał Rick. -

Może odstraszy roztocze.

Zatrzymali się i Rick podał pozostałym plastikową butelką laboratoryjną. Każdy wtarł niewielką ilość kremu w twarz, dłonie i przedramiona. Substancja straszliwie cuchnęła, ale okazała się skuteczna. Faktycznie odstraszała roztocze.

Rzeczywistość mikroświata atakowała zmysły Amara. Zauważył, że bycie małym zmienia wrażenia dotykowe. Najpierw zwrócił uwagę na podmuchy powietrza na twarzy i dłoniach, targające mu koszulę i mierzwiące włosy. Powietrze wydawało się gęste prawie jak syrop i Amar czuł każdą falę wiatru wijącą się i przepływającą wokół jego ciała. Pomachał

ręką, czując, jak powietrze prześlizguje mu się między palcami. Poruszanie się w mikroświecie trochę przypominało pływanie. Ponieważ ich ciała były tak małe, wyraźniej czuli opór powietrza. Amar zatoczył się w bok pod wpływem nagłego podmuchu.

- Będziemy musieli się poruszać jak marynarze na pokładzie statku - rzekł do pozostałych. - Zupełnie jakbyśmy od nowa uczyli się chodzić.

Inni mieli podobne problemy; zataczali się, czuli szarpanie wiatru, a czasami błędnie wymierzali kroki. Zdarzało się, że próbując na coś wskoczyć, lądowali za daleko. W mikroświecie ich ciała były wyraźnie silniejsze, ale jeszcze nie potrafili kontrolować swoich ruchów.

Jakby chodzili po Księżycu.

- Nie zdajemy sobie sprawy z własnej siły - rzekła Jenny.

Skupiła się, wyskoczyła w górę i chwyciła obiema rękami krawędź liścia. Przez chwilę z niego zwisała, potem zawisała na jednej ręce, co okazało się bardzo proste. Następnie zeskoczyła z powrotem na ziemię. Noszony na zmianę plecak trafił do Ricka. Mimo że był wyładowany sprzętem, Rick odkrył, że bez większego wysiłku może z nim wysoko skakać.

- W tym świecie nasze ciała są silniejsze i lżejsze, ponieważ nie przeszkadza nam grawitacja.

- Mały rozmiar ma swoje zalety - zauważył Peter.

- Ja ich nie dostrzegam - odparł Danny.

Amara ogarniało coraz większe przerażenie. Co żyje pośród liści? Mięsożercy.

Wielonożne opancerzone zwierzęta, które w wymyślny sposób uśmiercają swoje ofiary. Amar wychował się w pobożnej rodzinie hinduistycznej. Jego rodzice, imigranci z Indii, którzy osiedlili się w New Jersey, nie jedli mięsa. Ojciec wolał otworzyć okno i wygonić dokuczliwą muchę, niż ją zabić. Amar przez całe życie był wegetarianinem, nigdy nie spożywał

zwierzęcych białek. Wierzył, że wszystkie zwierzęta, także owady, są zdolne do odczuwania cierpienia. W laboratorium pracował tylko z roślinami. Teraz gdy znalazł się w dżungli, zastanawiał się, czy będzie musiał zabijać zwierzęta i jeść mięso, żeby przetrwać. A może to jego pożre jakieś zwierzę?

- Jesteśmy białkiem - rzekł. - Niczym więcej.

- Co to znaczy? - spytał Rick.

- Jesteśmy chodzącym mięsem.

- Pesymista z ciebie, Amarze.

- Raczej realista.

- Przynajmniej to ciekawe - zauważyła Jenny. Zwróciła uwagę na to, że mikroświat ma charakterystyczny zapach. Jej nozdrza wypełniała złożona ziemista woń, która okazała się całkiem przyjemna. Był to zapach gleby zmieszany z tysiącem nieznanym aromatów, niektórych słodkich, innych ostrych jak woń pizma, unoszących się w gęstym powietrzu. Wiele z tych aromatów przypominało wyszukane perfumy. - To, co czujemy, to feromony, substancje chemiczne, dzięki którym porozumiewają się zwierzęta i rośliny - wyjaśniła. - To niewidzialny język przyrody.

Z entuzjazmem zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy ma okazję doświadczyć pełnego spektrum zapachów świata przyrody. Ta świadomość zarazem ją podniecała i przerażała. Podniosła do nosa i powąchała grudkę ziemi. Roiło się w niej od malutkich nicieni, roztoczy oraz pulchnych niesporczaków. Ziemia pachniała antybiotykami. Jenny знаła przyczynę: znajdowało się w niej pełno bakterii, a wśród nich wiele gatunków bakterii Streptomyces.

- Można tutaj wyczuć bakterie Streptomyces - powiedziała do pozostałych. - To jedyny rodzaj bakterii, które wytwarzają antybiotyki. Pochodzą od nich współczesne leki

przeciwbakteryjne.

Glebę przecinały także cienkie nitki grzybów zwanych strzępkami. Jenny wyciągnęła jedną z nich z ziemi; była sztywna, ale lekko rozciągliwa. W kilkunastu centymetrach kwadratowych gleby mogło się pomieścić kilka kilometrów takich nici.

Coś przeleciało Jenny przed oczami, opadając w gęstym powietrzu. Była to pokryta wybrzuszeniami bryłka wielkości ziarenka pieprzu.

- A cóż to takiego? - zdziwiła się, stając jak wryta. Bryłka upadła obok jej stóp. Po chwili w powietrzu pojawiła się kolejna, a Jenny wyciągnęła dłoń i ją złapała, po czym przetoczyła między kciukiem a palcem wskazującym. Bryłka była twarda jak niewielki orzech. - To pyłek kwiatowy - rzekła zaskoczona dziewczyna. Uniosła głowę i zobaczyła drzewo hibiskusa spowite chmurą białych kwiatów. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu ten widok ją zachwyił i przez chwilę Jenny była szczęśliwa, że jest taka mała. - Myślę, że tutaj jest... cudownie - powiedziała, powoli się obracając, patrząc na kwiaty, otoczona pyłkami opadającymi jak śnieg. - Nawet sobie czegoś takiego nie wyobrażałam.

- Jenny, musimy się śpieszyć. - Peter przystanął, żeby na nią zaczekać i popędzić pozostałych.

Tymczasem Erika, entomolog, wcale nie była zadowolona. Coraz bardziej się bała.

Wiedziała wystarczająco wiele o owadach, żeby teraz czuć przerażenie. One mają pancerz, a my nie, myślała. Ich pancerz jest zbudowany z chityny. To bioplastyczna zbroja, lekka i niezwykle wytrzymała. Erika przesunęła palcami po delikatnej skórze ręki i puszystych włoskach. Jesteśmy miękczy, pomyślała. Jadalni. Nie przyznała się pozostałym, ale pod maską spokoju dławił ją paniczny lęk. Bała się, że w końcu straci nad sobą panowanie. Mocno zacisnęła usta oraz pięści i wędrowała dalej, próbując kontrolować strach.

Peter zarządził postój. Odpoczywali, siedząc na krawędziach liści. Peter zamierzał

niedoc podpytać Kinsky'ego. Jarel obsługiwał generator pola tensorowego, więc z pewnością wiele o nim wiedział. Jeśli uda im się wrócić do siedziby Nanigenu i dostać do wnętrza generatora, będą potrafili uruchomić urządzenie? Jak tego dokonają, skoro są tacy mali?

- Czy będziemy potrzebowali pomocy kogoś o normalnym wzroście, żeby włączyć maszynę? - spytał Kinsky'ego.

Jarel się zawahał.

- Nie jestem pewien - odparł i dźgnął ziemię włócznią z trawy. - Słyszałem plotki, że projektant generatora zamontował w nim mikroskopijny awaryjny panel sterowania, który można obsługiwać po zmniejszeniu. Podejrzewam, że znajduje się on gdzieś w sali kontrolnej, ale nigdy nie udało mi się go znaleźć. Nie zaznaczono go na projekcie. Ale gdybyśmy go odszukali, to potrafiłbym go obsługiwać.

- Będziemy potrzebowali twojej pomocy - rzekł Peter.

Kinsky podniósł włócznię z ziemi i popatrzył na roztocz, który się po niej wspinał, wymachując przednimi odnóżami.

- Chcę jedynie wrócić do swojej rodziny - odpowiedział cicho i potrząsnął włócznią, zrzucając roztocz.

- Twojego szefa ona nie obchodzi - odburknął Rick.

- Rick nie ma rodziny - Danny szepnął do Jenny. - Nie ma nawet dziew...

Rick rzucił się na Danny'ego, który odskoczył z wrzaskiem.

- Przemoc nie rozwiązuje problemów!

- Rozwiąże problem z tobą - mruknął Rick.

Peter chwycił Ricka za ramię i ścisnął, próbując go uspokoić. Jednocześnie zwrócił się do Kinsky'ego.

- Czy są jakieś inne sposoby powrotu do siedziby Nanigenu? Nie licząc ciężarówki,

która być może nie kursuje.

Kinsky zamyslił się z pochyloną głową.

- Cóż... moglibyśmy spróbować dostać się do Bazy Tantalą - odpowiedział po chwili.

- Co to takiego?

- To placówka badawcza umiejscowiona w Kraterze Tantalą, na górskim grzbiecie ponad tą doliną. - Kinsky wskazał w stronę zielonej góry ledwie widocznej przez splątana roślinność. - Znajduje się gdzieś tam.

- Vin Drake wspominał o tym kraterze podczas wycieczki - odezwała się Jenny.

- Pamiętam - przyznała Karen.

- Czy baza jest otwarta? - spytał Peter.

- Wątpię. Zginęli tam ludzie. Pojawiły się drapieżniki.

- Jakiego rodzaju? - dopytywała Karen.

- Podobno osy. Ale słyszałem, że w Bazie Tantalą mają mikrosamoloty - dodał Kinsky z namysłem.

- Mikrosamoloty?

- Małe pojazdy latające dostosowane do naszych rozmiarów.

- Moglibyśmy nimi polecieć do siedziby Nanigenu?

- Nie wiem, jaki mają zasięg - odparł Kinsky - No i nie wiem, czy jakieś zostały w bazie.

- Jak wysoko ponad nami znajduje się baza?

- Sześćset metrów nad doliną Manoa.

- Sześćset metrów! - wybuchnął Rick. - To... niemożliwe dla ludzi naszego wzrostu.

Kinsky wzruszył ramionami. Pozostali milczeli.

Wreszcie Peter przejął inicjatywę.

- No dobrze, oto co według mnie powinniśmy zrobić. Najpierw spróbujemy znaleźć

jedną ze stacji zaopatrzeniowych i zabierzemy z niej wszystko, co się da. Potem postaramy się dotrzeć na parking i zaczekamy na ciężarówkę. Musimy tam jak najszybciej wrócić.

- To oczywiste, że umrzemy - rzekł Danny łamiącym się głosem.

- Nie możemy siedzieć beczynn timer, Danny - odparł Peter, usiłując zachować spokój.

Wyczuł, że Danny jest na krawędzi załamania nerwowego, co może stanowić zagrożenie dla całej grupy.

Pozostali zaakceptowali plan Petera, niektórzy niechętnie, lecz nikt nie miał lepszego pomysłu. Kolejno zaspokoili pragnienie kroplą rosy z liścia, po czym ponownie wyruszyli, szukając szlaku, namiotu albo jakiegokolwiek śladu ludzkiej obecności. Niewielkie przyziemne rośliny wznosiły się ponad nimi, w niektórych miejscach tworząc tunele. Kluczyli nimi, mijając pnie zdumiewających drzew, ale nigdzie nie widzieli ani śladu stacji zaopatrzeniowej.

- No dobrze, a więc wykrwawimy się na śmierć, jeśli szybko się stąd nie wyniesiemy - odezwał się Rick. - Tymczasem nie możemy znaleźć żadnej cholernej stacji zaopatrzeniowej.

Poza tym chce nas zabić psychopatyczny olbrzym. A ja mam Moglibyśmy nimi polecieć do siedziby Nanigenu?

- Nie wiem, jaki mają zasięg - odparł Kinsky. - No i nie wiem, czy jakieś zostały w bazie.

- Jak wysoko ponad nami znajduje się baza?

- Sześćset metrów nad doliną Manoa.

- Sześćset metrów! - wybuchnął Rick. - To... niemożliwe dla ludzi naszego wzrostu.

Kinsky wzruszył ramionami. Pozostali milczeli.

Wreszcie Peter przejął inicjatywę.

- No dobrze, oto co według mnie powinniśmy zrobić. Najpierw spróbujemy znaleźć jedną ze stacji zaopatrzeniowych i zabierzemy z niej wszystko, co się da. Potem postaramy się dotrzeć na parking i zaczekamy na ciężarówkę. Musimy tam jak najszybciej wrócić.

- To oczywiste, że umrzemy - rzekł Danny łamiącym się głosem.

- Nie możemy siedzieć beczynn timer, Danny - odparł Peter, usiłując zachować spokój.

Wyczuł, że Danny jest na krawędzi załamania nerwowego, co może stanowić zagrożenie dla całej grupy.

Pozostali zaakceptowali plan Petera, niektórzy niechętnie, lecz nikt nie miał lepszego pomysłu. Kolejno zaspokoili pragnienie kroplą rosy z liścia, po czym ponownie wyruszyli, szukając szlaku, namiotu albo jakiegokolwiek śladu ludzkiej obecności. Niewielkie przyziemne rośliny wznosiły się ponad nimi, w niektórych miejscach tworząc tunele. Kluczyli nimi, mijając pnie zdumiewających drzew, ale nigdzie nie widzieli ani śladu stacji zaopatrzeniowej.

- No dobrze, a więc wykrwawimy się na śmierć, jeśli szybko się stąd nie wyniesiemy - odezwał się Rick. - Tymczasem nie możemy znaleźć żadnej cholernej stacji zaopatrzeniowej. Poza tym chce nas zabić psychopatyczny olbrzym. A ja mamodciski. Jest jeszcze coś, czym powinienem się przejmować? - spytał sarkastycznie.

- Mrówkami - spokojnie odrzekł Kinsky.

- Mrówkami? - wtrącił Danny drżącym głosem. - Co z nimi?

- Słyszałem, że stanowią problem - odparł Kinsky.

Rick zatrzymał się przed dużym żółtym owocem leżącym na ziemi. Popatrzył w górę, po czym się rozejrzał.

- Zgadza się! - zawołał. - To miodła. Melia azedarach. Jej owoce są silnie trujące, zwłaszcza dla owadów i larw. Zawierają około dwudziestu pięciu różnych substancji lotnych,

głównie pochodnych jednoczynoiki. Są śmiernionośne dla insektów, więc mogę je wykorzystać do sporządzenia kurary. - Wepchnął owoc do plecaka, niemal całkowicie go wypełniając. Jaskrawożółty jajowaty kształt sterczał mu za plecami niczym olbrzymi melon. Karen posłała Rickowi groźne spojrzenie.

- Trucizna będzie wyciekać.

- Bez obaw. - Rick uśmiechnął się i poklepał żółty owoc. - Ma twardą skórę.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- To twoje życie - odparła oschle.

Grupa ruszyła w dalszą drogę.

Danny coraz częściej zostawał w tyle. Poczzerwieniał na twarzy i ocierał czoło rękami.

W końcu zdjął sportową marynarkę i rzucił ją na ziemię. Jego mokasyny z frędzlami pokryły się błotem. Usiadł na liściu i zaczął się drapać pod koszulą, po czym wyciągnął ziarno pyłku kwiatowego i przytrzymał je palcem wskazującym i kciukiem.

- Czy ktokolwiek z was wie, że jestem poważnie uczulony na pyłki? Gdyby jeden z nich wleciał mi do nosa, mógłbym dostać zapaści.

Karen roześmiała się pogardliwie.

- Nie przesadzaj! Gdybyś miał taką silną alergię, już byś nie żył.

Danny pstryknięciem odrzucił pyłek, a ten zatańczył w powietrzu.

Amar nie mógł wyjść z podziwu nad obfitością form życia, malutkich istot, które wypełniały każdy zakątek mikroświata.

- Jejku! Żałuję, że nie mamy kamery. Chciałbym to wszystko udokumentować.

Byli młodymi naukowcami, a mikroświat stanowił cudowną krainę nieznaną form życia. Podejrzewali, że obserwują stworzenia, których nikt nigdy nie widział ani nie nazwał.

- Każdy metr kwadratowy tego miejsca zapewnia materiał na niezwykłą pracę

doktorską - stwierdził Amar. Uznał, że to doskonały pomysł. Wykorzysta tę wyprawę do zrobienia doktoratu. Musi tylko przeżyć.

Po ziemi pełzały zwierzęta przypominające kilkusegmentowe torpedy na sześciu nogach. Były dosyć małe i wszędzie się od nich roiło. Niektóre wsysały nitki grzybów, zupełnie jakby jadły spaghetti. Od czasu do czasu przechodzący ludzie sprawiali, że zaskoczone istoty wydawały z siebie głośny trzask i robiły salto w powietrzu.

Erika zatrzymała się, żeby obejrzeć jedno z tych stworzeń. Podniosła je i patrzyła, jak wiję się jej w dłoni, wymachując ogonem przy wtórze energicznego postukiwania.

- Co to jest? - spytał Rick, wyciągając jednego osobnika z włosów.

- To skoczogonki - wyjaśniła Erika. - W normalnym świecie są bardzo małe, nie większe niż kropka nad literą "i" na stronie tekstu. W odwłoku mają mechanizm, który pozwala im na długie skoki, dzięki czemu mogą uciekać drapieżnikom.

Jak na zawołanie skoczogonek odbił się od jej dłoni, wyskoczył wysoko w powietrze i zniknął za paprocią.

Skoczogonki podskakiwały wokół zaalarmowane ich krokami. Peter szedł na czele.

Czuł, że cały jest zlany potem, i zdał sobie sprawę, że ich ciała szybko tracą wilgoć.

- Musimy dużo pić - oznajmił pozostałym. - W przeciwnym razie się odwodnimy.

Znaleźli kępę mchu pokrytą kroplami rosy. Otoczyli ją i zaspokoili pragnienie, nabierając wodę na złączone dłonie. Powierzchnia kropel była lepka i musieli w nią uderzać, żeby pokonać napięcie powierzchniowe. Gdy Peter uniósł odrobinę wody do ust, płyn utworzył kulkę na jego dłoniach.

Dotarli do potężnego pnia, który wznosił się ponad rozległą podstawą z korzeni. Gdy ją okrążali, poczuli ostrą woń, a następnie usłyszeli rytmiczne postukiwanie niczym odgłos padającego deszczu. Peter, który prowadził grupę, wspiął się na szczyt jednego z korzeni i

zauważył dwie niskie ściany wijące się po poszyciu i znikające w oddali. Były zbudowane z kawałków ziemi pozlepianych jakąś wyschniętą substancją.

Środkiem w obu kierunkach wędrowały kolumny mrówek. Ściany ochraniały ich dróżkę, a w jednym miejscu tworzyły tunel.

Peter przykucnął i polecił towarzyszom, żeby się zatrzymali. Potem ostrożnie przesunęli się do przodu i położyli na brzuchu, obserwując kolumny mrówek. Czy są niebezpieczne? Każda z nich miała długość przedramienia Petera. To nie tak dużo, pomyślał z ulgą, ponieważ spodziewał się, że będą znacznie większe. Jednak z pewnością było ich bardzo dużo. Wędrowały szybko całymi setkami wzdłuż dróżki i przez niewielki tunel, który zbudowały.

Ich ciała miały czerwonawobrazowy kolor i pokrywały je sterczące włoski. Głowy lśniły czarno jak węgiel. Woń mrówek unosiła się nad ich dróżką jak spaliny nad autostradą. Była cierpka i kwaśna, a zarazem doprawiona delikatnym aromatem.

- Ten ostry zapach to kwas mrówkowy, który stanowi ich mechanizm obronny - wyjaśniła Erika, przyklękając i bardzo intensywnie wpatrując się w mrówki.

- A słodka woń to feromon - dodała Jenny. - Zapewne dzięki niemu rozpoznają osobniki należące do tej samej kolonii.

- Wszystkie są samicami - kontynuowała Erika. - To córki królowej.

Niektóre z mrówek niosły martwe owady albo ich rozczłonkowane ciała. Osobniki dźwigające pokarm wędrowały w tym samym kierunku lewą stroną dróżki.

- Gdzieś tam znajduje się wejście do gniazda. Właśnie do niego noszą jedzenie - rzekła Erika, wskazując w lewo.

- Znasz ten gatunek? - spytał Peter.

Erika przez chwilę się zastanawiała.

- Hm... na Hawajach nie występuje żadna rodzima odmiana mrówek. Wszystkie gatunki są inwazyjne i przybyły razem z ludźmi. Jestem pewna, że to Pheidole megacephala.

- Mają jakąś nazwę poza łacińską? - spytał Rick. - Jestem tylko etnobotanikiem ignorantem.

- Nazywa się je mrówkami wielkogłowymi - odrzekła Erika. - Pierwotnie odkryto je na Mauritiusie na Oceanie Indyjskim, ale teraz gatunek ten rozprzestrzenił się po całym świecie. To najliczniejsza odmiana mrówek na Hawajach. - Erika wyjaśniła, że mrówki wielkogłowe okazały się najbardziej niszczycielskim inwazyjnym gatunkiem owadów na świecie. - Wyrządziły wiele zniszczeń w ekosystemie wysp. Atakują zabijają rdzenne owady. Doprowadziły na skraj wymarcia kilka gatunków hawajskich insektów. Poza tym zabijają pisklęta w gniazdach.

- To dla nas zła wiadomość - zauważyła Karen. W końcu pisklęta są od nich znacznie większe.

- Nie widzę, żeby miały szczególnie duże głowy - rzekł Danny.

- To zwykle robotnice. Wielkie głowy mają żołnierze.

- Żołnierze? - spytał Danny z niepokojem.

- Mrówki wielkogłowe dzielą się na dwie kasty: zwykłych robotnic i żołnierzy - ciągnęła Erika. - Pierwsze zajmują się pracą. Są małe i bardzo liczne. Drugie walczą w obronie gniazda. Są duże i rzadko spotykane.

- Więc jak wyglądają żołnierze wielkogłowych?

Erika wzruszyła ramionami.

- Mają wielkie głowy.

Mrówek było mnóstwo, a każdą z nich wypełniała nieludzka energia. Jeden osobnik z pewnością nie stanowił zagrożenia, ale tysiące... podniecone... głodne... Pomimo ryzyka

młodzi naukowcy z fascynacją wpatrywali się w owady. Nagle dwie mrówki zatrzymały się i postukały czułkami, po czym jedna z nich zaczęła poruszać odwłokiem i wydawać grzechoczący odgłos. Druga posłusznie zwymiotowała kropelkę płynu na narządy gębowe towarzyski. Erika wytłumaczyła, co się dzieje.

- Prosiła o pokarm mrówkę ze swojego gniazda. Pomachała odwłokiem i wydała kilka trzeszczących odgłosów, żeby poinformować, że jest głodna. To taki mrówczy odpowiednik piszczenia psa...

- Jakoś nie bawi mnie patrzenie, jak jedna mrówka zwraca drugiej obiad do pyska - przerwał jej Danny. - Chodźmy już.

Dróżka mrówek nie była szeroka. Mogliby ją bez trudu przeskoczyć, ale postanowili ominąć kolumnę, zamiast ryzykować kłopoty. Jak to ujął Peter: „Nie chcielibyśmy, żeby mrówka uczepiła się czyjejs kostki”.

Jarel Kinsky zatrzymał się i zapatrzył na wznoszące się ponad nimi gałęzie olbrzymiego drzewa wspartego na korzeniach szkarpowych.

- Znam to drzewo, to albicja. Jestem pewien, że po drugiej stronie znajduje się stacja zaopatrzeniowa. - Wgramolił się na jeden z korzeni, przeszedł po nim spory kawałek, po czym zeskoczył. - Tak, chyba się zbliżamy.

Kinsky przejął dowodzenie od Petera i ruszył wzdłuż lewego boku drzewa, przeciskając się między martwymi liśćmi paproci, roztrącając przeszkody włócznią ze źdźbła trawy.

Peter przeszedł na tył grupy. Nie spodobały mu się napotkane mrówki i chciał mieć na nie oko. Rick zamykał pochód, krocząc powoli z owocem miodły w plecaku i włócznią w dłoni.

- Hej, Rick, mogę pożyczyć włócznie? Będę zabezpieczał tyły - rzekł Peter.

Rick pokiwał głową, wręczył mu włócznie i powędrował dalej.

Tymczasem Kinsky odsunął sobie z drogi kolejny liść i odezwał się donośnym głosem:

- Jeśli uda nam się wrócić do siedziby Nanigenu, będziemy musieli odnaleźć ukrytą konsolę, żeby uruchomić generator, nawet jeśli pan Drake nie będzie chciał... - Nagle stanął jak wryty. W oddali za korzeniami drzewa dostrzegł namiot. - Stacja! Stacja! - zawołał i puścił się biegiem.

Nie zauważył wejścia do gniazda mrówek.

Był to sztuczny tunel zbudowany z kawałków posklejanej ziemi, który wyłaniał się spod podstawy jednej z palm. Kinsky przebiegł tuż przed jego wlotem. Wokół tunelu stały na straży dziesiątki wielkogłowych mrówczych żołnierzy. Owady były dwa do trzech razy większe od robotnic. Ich matowoczerwone ciała pokrywały rzadkie, sterczące włoski. Lśniące czarne głowymiały olbrzymie rozmiary, były umięśnione i pokryte pancerzem, a także wyposażone w żuwaczki przeznaczone do walki. Oczy przypominały czarne kulki.

Mrówki zauważyły Kinsky'ego biegnącego w stronę namiotu.

Natychmiast zaatakowały. Jarel zobaczył zbliżające się owady i skręcił, żeby ich uniknąć. Jednak mrówki się rozproszyły i ruszyły ku niemu z różnych kierunków, odcinając mu drogę ucieczki. Kinsky przystanął i zaczął się cofać wewnątrz zaciskającego się kręgu żołnierzy, trzymając włócznie nad głową.

- Nie! - krzyknął, po czym zamierzył się na jedną z mrówek, ale ta chwyciła włócznie szczękoczułkami i odłamała jej czubek. Kilka owadów podbiegło do Jarela i próbowało go przewrócić, podczas gdy kolejna mrówka zacisnęła mu szczękoczułki wokół nadgarstka.

Kinsky wrzasnął i potrząsnął dłonią, starając się zrzucić mrówkę, jednak ta mocno go

trzymała i kręciła głową, wbijając się coraz głębiej w ciało. Nagle dłoń Jarela oderwała się od nadgarstka i mrówka spadła na ziemię, po czym uciekła, trzymając zdobycz. Mężczyzna z krzykiem upadł na kolana i przycisnął do siebie zmasakrowaną rękę, z której tryskała krew. Jeden z owadów wspiał mu się po plecach, złapał go szczękami za uchem i zaczął zrywać skórę z głowy. Kinsky upadł na ziemię, wijąc się z bólu. Po chwili mrówki chwyciły go za ręce i nogi, po czym zaczęły ciągnąć na wszystkie strony, próbując go rozerwać. Kolejna mrówka chwyciła Jarela szczękami pod brodą i po chwili wrzaski mężczyzny zmieniły się w chrapliwy bulgot, gdy krew trysnęła z krtani na głowę żołnierza. Mniejsze robotnice przyłączyły się do ataku i Kinsky zniknął pod stertą wściekłych owadów.

Peter ruszył naprzód, wymachując włócznią, pokrzykując na mrówki, usiłując je odpędzić, ale było za późno. Zatrzymał się przed masą kłębiących się żołnierzy, trzymając przed sobą broń i patrząc na przerażającą scenę. Uznał, że może dać pozostałymczas na ucieczkę, więc zaczął iść w stronę mrówek. Nagle zauważył, że obok niego stoi Karen z nożem w dłoni.

- Uciekaj - powiedział Peter.

- Nie - odparła.

Przykucnęła przed mrówkami i wyciągnęła przed siebie nóż. Postanowiła spowolnić owady, żeby pozostali mieli szansę się uratować. Tymczasem coraz więcej żołnierzy wybiegało z gniazda. Mrówki zaczęły krążyć wokoło, szukając wrogów. Jeden z żołnierzy z szeroko rozwartymi szczękoczułkami pomknął w kierunku Petera i Karen.

Peter rzucił w owada włócznią, ale ten jej uniknął i z niezwykłą szybkością pędził w stronę mężczyzny.

- Zostaw mnie, Peterze! - zawołała Karen i zaczęła się wycofywać.

Nagle wyskoczyła w powietrze znacznie wyżej niż normalny człowiek i wylądowała

jak kotka z dala od mrówek. Jednocześnie wyciągnęła zza pasa aerozol z obronnymi substancjami, które zamierzała pokazać Vinowi Drake'owi. Benzochinony. Była pewna, że mrówki ich nie lubią. Rozpyliła substancję w stronę nadbiegającej mrówki, a ta natychmiast się zatrzymała, odwróciła... i uciekła.

- Tak jest! - wykrzyknęła Karen.

Aerozol zadziałał. Mrówki uciekały gdzie pieprz rośnie.

Kątem oka widziała, że jej towarzysze oddalają się od gniazda. Dobrze. Kupiła im trochę czasu. Nie przestawała przyskać aerozolem, a benzochinony powstrzymywały atak owadów. Jednak w butelce znajdowała się tylko niewielka ilość płynu, a nowi żołnierze wciąż wylaniali się z gniazda, w którym ogłoszono alarm. Jedna z mrówek skoczyła na Karen, wylądowała jej na piersi, rozdarła koszulę i usiłowała złapać za szyję.

- Hej! - krzyknęła Karen. Chwyciła mrówkę, uniosła ją w powietrze i drugą ręką wbiła jej nóż w głowę. Ostrze weszło w ciało i trysnął przezroczysty płyn: hemolimfa, owadzia krew. Karen natychmiast odrzuciła mrówkę, która wylądowała na ziemi i zaczęła konwulsyjnie drgać. Miała zniszczony mózg. Jednak mrówki nie znają strachu ani instynktu samozachowawczego, więc nowi żołnierze wciąż nacierali. Gdy zbliżyli się do Karen, ta odskoczyła, robiąc salto w tył jak cyrkowa akrobatka i lądując na nogach.

Potem rzuciła się do ucieczki.

Przed sobą zobaczyła pozostałych ludzi, którzy uciekali z niezwykłą szybkością popędzani strachem, przeskakując liście i łodygi paproci, schylając się pod przeszkodami, mknąc jak gazy. Jak to możliwe, że biegnę tak szybko? Nigdy w życiu tak nie gnałam, pomyślała Karen. W mikroświecie ich ciała rzeczywiście były znacznie silniejsze i szybsze. Karen miała wrażenie, że dysponuje nadludzką mocą, co wprawiało ją w doskonały nastrój. Przeskakiwała przeszkody jak biegaczka na zawodach, seriami sadząc niesamowite susy.

Szacowała, że w skali mikroświata biegnie z prędkością około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Zabiła mrówkę. Nożem i gołymi rękami.

Wkrótce znaleźli się poza zasięgiem wzroku mrówek. Przed sobą w oddali widzieli namiot.

Robotnice wciąż masakrowały ciało Kinsky'ego. Odgryzły mu ręce i nogi oraz pocięły tułów na kawałki, z trzaskiem łamiąc żebra i kręgosłup, po czym wyrwały wnętrzności. Hałasliwie wsysały rozlaną krew. Rozwlekły wokół podarte ubrania, krew i jelita, a mięso przetransportowały pod ziemię.

Karen na chwilę przystanęła, żeby się obejrzeć, i zobaczyła, jak robotnice niosą głowę Jarela do gniazda. Urwana głowa na nią patrzyła. Wyglądała na zaskoczoną.

Rozdział 15

Siedziba Nanigenu 29 października, godzina 10.00

Był słoneczny dzień w środkowej części Oahu, a z sali konferencyjnej Nanigenu rozciągał się widok na połowę wyspy. Okna wychodziły na pola trzciny cukrowej sięgające Farrington Highway i dalej na Pearl Harbor, gdzie okręty marynarki wojennej unosiły się na wodzie jak szare duchy, oraz na białe wieże Honolulu. Za miastem wzdłuż horyzontu ciągnęła się poszarpana linia szczytów zabarwionych na mgliste zielenie i błękity. To były góry Ko'olau, nazywane Pali. Chmury zaczęły się gromadzić nad pasmem.

- Dzisiaj na Pali spadnie deszcz. Tak jak zwykle - mruknął Vincent Drake do siebie.

Deszcz rozwiąże problem, jeśli mrówki już tego nie zrobiły. Oczywiście jeśli ktoś ocaleje, może się schować w którejś ze stacji zaopatrzeniowych. Przypomniał sobie, żeby tego nie przeoczyć.

Odwrócił się od okna i zajął miejsce przy długim stole z polerowanego drewna, gdzie czekało na niego kilka osób. Naprzeciwko siedział Don Makele, szef ochrony. Pojawiła się

także specjalistka od mediów Linda Wellgroen razem ze swoją asystentką oraz grupka osób z różnych wydziałów.

Na przeciwległym końcu stołu samotnie zasiadł szczupłymężczyzna w okularach bez oprawek. Doktor nauk medycznych Edward Catel był głównym przedstawicielem konsorcjum Davros, grupy firm farmaceutycznych, które dostarczały kapitał Nanigenowi. Konsorcjum zainwestowało w Nanigen miliardy dolarów, a Edward Catel monitorował sytuację w spółce na potrzeby inwestorów.

-...siedmioro doktorantów - mówił Drake. - Zamierzaliśmy ich zwerbować do pracy terenowej w mikroświecie, ale zniknęli. Podobnie jak nasza dyrektorka finansowa Alyson Bender.

- Może pojechali popatrzeć na fale na północnym wybrzeżu - zasugerował Don Makele.

Drake popatrzył na zegarek.

- Już powinni się byli odezwać.

- Lepiej zgłoszę zaginięcie - rzekł Makele.

- Dobry pomysł - odparł Drake.

Zastanawiał się, kiedy policja znajdzie firmowy samochód z ciałem Alyson i ubraniami młodych ludzi. Auto wpadło do zatoczki pływowej. Drake sądził, że policja nie odkryje prawdziwych przyczyn wypadku. Miejscowi Stróże prawa nie lubią komplikować sobie życia i wybierają najprostsze rozwiązania, które wymagają do nich najmniej wysiłku. Mimo wszystko nie chciał, żeby policjanci zbyt interesowali się tą sprawą dlatego wydał polecenia Donowi Makele i swoim ludziom odpowiedzialnym za kontakty z mediami.

- Nanigen nie może sobie teraz pozwolić na zainteresowanie mediów. To kluczowy etap naszego błyskawicznego rozwoju. Musimy pracować w spokoju, żeby rozwiązać

problemy z generatorem pola tensorowego, a zwłaszcza z chorobą dekompresyjną. - Zwrócił się do Lindy Wellgroen. - Twoje zadanie będzie polegało na odwróceniu uwagi opinii publicznej od tego wypadku.

Wellgroen pokiwała głową.

- Oczywiście.

- Jeśli ktoś z mediów będzie wścibski, zachowuj się życzliwie i pomocnie, ale nie udzielaj żadnych informacji - ciągnął Drake. - Bądź nudna.

- To moja specjalność - odrzekła Wellgroen z uśmiechem. - „Doświadczona w technikach dezinformacji medialnej w sytuacjach kryzysowych”. To znaczy, że kiedy siedzimy po uszy w gównie, potrafię być równie atrakcyjna dla mediów jak episkopalny wikariusz rozprawiający o wypieku bułeczek.

- Te dzieciaki nie dostały się do generatora? - upewnił się Don Makele.

- Oczywiście, że nie - stanowczo odparł Drake.

Linda Wellgroen zapisała coś w notatniku.

- Czy ktoś podejrzewa, co się stało z panną Bender?

Drake zrobił zatroskaną minę.

- Mówiąc szczerze, ostatnio niepokoił się o Alyson. Wiedzieliśmy, że jest w głębokiej depresji, być może nawet rozpaczy. Miała romans z Erikiem Jansenem, a gdy ten tragicznie utonął... cóż... można powiedzieć, że Alyson zmagiała się z osobistymi demonami.

- Podejrzewa pan, że odebrała sobie życie? - spytała Linda.

Drake pokręcił głową.

- Nie wiem. - Zwrócił się do Dona Makele. - Opowiedz policji o jej stanie umysłu.

Zebranie dobiegło końca. Linda schowała notatnik pod pachą i wyszła z sali w

towarzystwie pozostałych uczestników. Vin w ostatniej chwili dotknął łokcia Dona Makele.

- Zaczekaj.

Szef ochrony został w pomieszczeniu, a Drake zamknął drzwi. Oprócz nich w sali znajdował się jeszcze tylko doradca z Davrosa, doktor Edward Catel, który siedział na krańcu stołu i nie odezwał się przez całe spotkanie.

Drake i Catel znali się od wielu lat. Zarobili spore pieniądze na wspólnych interesach.

Vin uważał, że największą zaletą Eda jest brak emocji. Catel nie okazywał żadnych ludzkich uczuć. Z wykształcenia był lekarzem, ale od dawna nikogo nie leczył. Interesowały go tylko pieniądze, kontrakty i rozwój. Miał w sobie tyle ciepła, co styczniowy śnieg.

Drake chwilę odczekał, po czym rzekł:

- Sytuacja wygląda inaczej, niż opowiedziałem naszym przedstawicielom medialnym.

Ci młodzi ludzie weszli do mikroświata.

- Co się stało? - spytał Makele.

- To szpiedzy przemysłowi - odrzekł Drake.

Catel po raz pierwszy przerwał milczenie.

- Dlaczego tak uważasz, Vin? - Miał łagodny, zrównoważony głos.

- Przyłapałem Petera Jansena w strefie Projektu Omikron. To zamknięty teren. Miał w dłoni pendrive. Kiedy go nakryłem, wyglądał na cholernie zakłopotanego. Musiałem siłą go stamtąd wyprowadzić, w przeciwnym razie zabiłyby go roboty.

Catel uniósł brew; wydawało się, że panuje nad mięśniami twarzy niczym jogin.

- Czyli strefa projektu nie jest zbyt dobrze zabezpieczona, skoro może do niej wtargnąć byle młodzieniec.

Drake się zirytował.

- Jest doskonale strzeżona. Ale roboty nie mogą przez cały czas być aktywne, gdyż wtedy nikt nie mógłby tam wejść. To ciebie powinienem zapytać o kwestie bezpieczeństwa,

Ed. Zapłaciłeś profesorowi Rayowi Houghowi kupę kasy za możliwość zwerbowania doktorantów. Nie zapłaciłem mu ani centa, Vin. Dostał udziały w spółce. Pod stołem.

- I co z tego? Jesteś odpowiedzialny za zachowanie tych młodych ludzi! Dokonałeś manipulacji w Cambridge, żeby ich tutaj ściągnąć.

- Nie rozwiązałeś problemu choroby dekompresyjnej - beznamiętnie odpowiedział doktor Catel. - Zamierzałeś wysłać ich do mikroświata pomimo poważnego ryzyka. Może nie mam racji?

Drakę zignorował go i zaczął krążyć po sali.

- Prowodyrem jest Peter Jansen - tłumaczył gorączkowo. - To brat naszego zmarłego wiceprezesa Erica Jansena. Wygląda na to, że Peter irracjonalnie obwinia Nanigen o śmierć brata. Szuka zemsty. Próbuje ukraść nasze tajemnice. Być może chce sprzedać naszą technologię...

- Komu? - ostro spytał Catel.

- Czy to ważne?

Catel zmrużył oczy.

- Wszystko jest ważne.

Drakę udał, że go nie słyszy.

- W działalność szpiegowską jest zamieszany także jeden z naszych pracowników - ciągnął. - Operator generatora Jarel Kinsky.

- Dlaczego tak uważasz? - dociekał Catel.

Drakę wzruszył ramionami.

- On także zniknął. Podejrzewam, że jest w mikroświecie, w arboretum Waipaka, gdzie pełni funkcję płatnego przewodnika dla doktorantów. Sądzę, że starają się odkryć, w jaki sposób działamy w terenie i czego tam szukamy.

Doktor Catel zacisnął usta, ale nic nie odpowiedział.

- Czy mam rozpocząć akcję ratunkową...? - odezwał się Don Makele.

- Za późno - odparł Drake. - Oni już nie żyją. - Posłał szefowi ochrony gniewne spojrzenie. - Nanigen został zaatakowany, a ty niczego nie zauważyłeś, Don. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

Don zacisnął szczęki. Był ubrany w hawajską koszulę. Miał wydany brzusek, ale na jego obnażonych rękach, potężnych i muskularnych, nie było ani grama tłuszczu. Drake zobaczył, że mięśnie mężczyzny napięły się i stwardniały jak kamień. Don Makele kiedyś służył w piechocie morskiej, w wywiadzie wojskowym, więc wiedział, że takie zaniedbanie - dopuszczenie, by tuż pod jego nosem funkcjonowała siatka szpiegowska - jest niewybaczalne.

- Składam na pana ręce rezygnację ze skutkiem natychmiastowym - rzekł do Drake'a.

Drake uśmiechnął się i wstał, po czym położył dłoń na ramieniu Dona, czując wilgoć, którą przesiąknięta była koszula ze sztucznego jedwabiu. Z zadowoleniem zauważył, że kilka dobrze dobranych słów może wyprowadzić z równowagi nawet byłego żołnierza.

- Nie przyjmuję. - Zmrużył oczy i ostrożnie przyjrzał się mężczyźnie. Upokorzył swojego szefa ochrony, a teraz ten będzie chciał mu się przypodobać. - Jedź do arboretum Waipaka i usuń stacje zaopatrzeniowe. Wszystkie. Przywieź je tutaj. Musimy je oczyścić i doposażyć.

To nie pozwoli nikomu z ocalałych znaleźć w stacjach schronienia.

Doktor Catel podniósł teczkę i ruszył w stronę drzwi. Zerknął na Drake'a i skinął mu głową, po czym wyszedł bez słowa.

Vin Drake doskonale rozumiał, co znaczył gest Catela. Czym prędzej posprzątaj ten bałagan, a konsorcjum Davros o niczym się nie dowie. Podeszedł do okna i wyjrzał. Pasaty jak zwykle wiały pośród gór, przynosząc niekończące się mgły i deszcze. Nie ma powodów do

niepokoju. W przypadku ludzi pozbawionych broni i ochronnych ubrań czas przetrwania w mikroświecie mierzy się w minutach albo godzinach, a nie dniach.

- Przyroda o wszystko się zatroszczy - mruknął pod nosem.

Rozdział 16

Stacja Echo 29 października, godzina 10.40

Siedmioro doktorantów zgromadziło się przed namiotem. Napis nad wejściem głosił:

„Stacja zaopatrzeniowa Echo. Własność Nanigen MicroTechnologies”. Wciąż byli zaszokowani i przerażeni brutalną śmiercią Kinsky’ego, a także zaskoczeni tym, jak szybko uciekali. Danny zgubił mokasyny. Spadły mu z nóg, gdy pędził w tempie, które zawstydziliby olimpijskiego sprintera. Teraz stał z bosymi, ubłoconymi stopami i kręcił głową. Poza tym widzieli, jak Karen walczy z mrówkami. Podziwiali jej skręty i wysokie skoki.

Było oczywiste, że w mikroświecie są zdolni do wyczynów, o jakich wcześniej mogli tylko marzyć.

Szybko spenetrowali stację zaopatrzeniową, wiedząc, że w każdej chwili może nadciągnąć kolumna mrówek. Namiot wypełniony skrzynkami różnych rozmiarów stał na betonowej podstawie. Na jej środku znajdował się okrągły stalowy wąż z blokadą w kształcie koła, jak w grodziach na okręcie podwodnym. Peter Jansen obrócił koło i podniósł wąż, pod którym znalazł drabinę prowadzącą w ciemność.

- Sprawdź, co tam jest. - Założył na głowę latarkę, włączył ją, po czym zszedł po drabinie. Po chwili stanął na środku mrocznego pomieszczenia. Rozejrzał się, omiatając snopem światła prycze i stoły. Potem zauważył na ścianie tablicę z przełącznikami. Za ich pomocą zapalił światła.

Znajdował się w betonowym bunkrze, gdzie urządzono spartańskie kwatery

mieszkalne. Wzdłuż dwóch ścian stały piętrowe prycze. Na długich stołach rozmieszczono podstawowy sprzęt laboratoryjny. Była także jadalnia wyposażona w stół, ławki i kuchenkę. Za jednymi drzwiami Peter dostrzegł źródło prądu: dwie baterie od latarki zawieszono pod sufitem. Kolejne drzwi prowadziły do toalety i pod prysznic. W kufrze leżały woreczki z suszoną żywnością. Bunkier zapewniał ochronę przed drapieżnikami. Pełnił funkcję schronu w niebezpiecznym środowisku.

- To nie jest Disneyland - skwitował Peter.

Siedział zgarbiony z wyczerpania przy stole w bunkrze. Nie był w stanie jasno myśleć.

Wciąż widział przed oczami śmierć Kinsky'ego.

Karen oparła się o ścianę. Była zbryzgana żółtawą mrówczą krwią, lepka, przejrzysta i szybko wysychająca.

Danny siedział skulony przy stole w jadalni. Znow zaczął skubać twarz i nos opuszkami palców.

Na stole laboratoryjnym stał komputer.

- Może czegoś się dowiemy - stwierdziła Jenny i go włączyła. Po chwili na ekranie pojawiło się pytanie o hasło. Oczywiście go nie znali, a już nie mogli poprosić o pomoc Jarela Kinsky'ego.

- Nie jesteśmy tutaj bezpieczni - zauważył Rick. - Drake może się pojawić.

Amar przytaknął.

- Proponuję zabrać zapas żywności i sprzęt, a potem jak najszybciej się oddalić.

- Nie chcę wychodzić na zewnątrz - odparła Erica drżącym głosem, siadając na ławce.

Po co w ogóle wyjechała z uniwersytetu w Monachium? Tęskniła za bezpiecznym światem europejskich badań. Ci Amerykanie wciąż igrają z ogniem. Bomby wodorowe, lasery, bezgłowe aparaty bojowe, mikroludzie... Wywołują demony. Budzą technologiczne

siły, których nie potrafią kontrolować, ponieważ podoba im się poczucie potęgi.

- Nie możemy tutaj zostać - powiedziała do niej Karen uspokajającym tonem.

Widziała, jak przerażona jest Erika. - Najgroźniejszym organizmem, z którym musimy się zmierzyć, nie jest owad, tylko człowiek.

Miała rację, dlatego Peter zaproponował, żeby trzymali się pierwotnego planu: udali się na parking i spróbowali dostać do ciężarówki, a potem do generatora.

- Musimy jak najszybciej odzyskać normalny wzrost. Nie mamy dużo czasu.

- Nie potrafimy obsługiwać generatora - zauważyła Jenny.

- Tym będziemy się martwili później.

- Mamy narzędzia, które pomogą nam się dostać do ciężarówki, na przykład drabinę sznurową znaną w plecaku - rzekł Rick.

Od jakiegoś czasu grzebał w skrzyniach z zaopatrzeniem i właśnie wyciągnął z jednej z nich kolejny mikrofon ze słuchawkami. Mieli już cztery radionadajniki.

- Pozostaje tylko jedno - mruknął Danny, podnosząc słuchawki. - Zadzwoń po pomoc.

- Jeśli skontaktujesz się z siedzibą Nanigenu, Vin Drake przyjdzie nas szukać, i to nie za pomocą szkła powiększającego, ale buta - ostrzegł Rick.

- Peter zasugerował, że dopóki nie znajdą się w sytuacji awaryjnej, powinni zachowywać ciszę w eterze, na wypadek gdyby Drake ich nasłuchiwał.

- Nie widzę takiej potrzeby - odparł Danny. - Powinniśmy wezwać pomoc.

Jenny nie brała udziału w rozmowie. Zamiast tego otwierała kolejne szafki i starannie je przeszukiwała. W końcu natrafiła na laboratoryjne notatki. Otworzyła notes i zaczęła przerzucać kartki. Na pierwszych kilku stronach ktoś odręcznie zapisał odczyty pogodowe oraz daty wypraw po próbki. Jednak po chwili Jenny znalazła mapę.

- Popatrzcie na to - powiedziała, rozkładając notatnik na stole.

Na jednej ze stron ktoś naszkicował mapę doliny Manoa. Zaznaczono na niej lokalizację dziesięciu stacji zaopatrzeniowych rozsianych po Paprociowym Parowie i górskich zboczach u podnóży Szczytu Tantara, położonych w coraz większej odległości od szklarni i parkingu. Stacje oznaczono kolejnymi literami alfabetu fonetycznego NATO, zaczynając od Alpha, Bravo i Charlie, a kończąc na Kilo. Na mapie znajdowała się również strzałka podpisana „do Bazy Tantara - Wielki Głaz”. Krater Tantara ani baza nie zmieściły się na stronie.

Mimo że mapa była prymitywna i niekompletna, zawierała cenne informacje.

Pokazywała rozmieszczenie stacji zaopatrzeniowych, które dało się zlokalizować dzięki zaznaczonym wokół nich charakterystycznym obiektom - drzewom, skałom, kępom paproci.

Jedna ze stacji - Alpha - znajdowała się obok parkingu pod kępą białego imbiru.

- Powinniśmy się kierować do stacji Alpha - stwierdził Peter. - Może tam nie zostaniemy, ale przynajmniej poszukamy kolejnych zapasów i informacji.

- Po co mamy gdziekolwiek chodzić? - spytał Danny. - Kinsky miał rację. Musimy negocjować z Vinem.

- Nie waż się próbować! - wykrzyknął Rick.

- Proszę, przestańcie! - zawołał Amar. Nie znosił konfliktów. Najpierw kłótnie między Rickiem i Karen, a teraz Rick wdał się w awanturę z Dannym. - Rick, ludzie są różni. Spróbuj być bardziej tolerancyjny wobec Danny'ego.”

- Nie chrzań, Amar. Ten facet doprowadzi nas wszystkich do śmierci swoimi idiotycznymi...

Peter czuł, że sytuacja szybko wymyka się spod kontroli. Jeśli coś może ich zgubić, to na pewno konflikty wewnątrz grupy. Powinni stanowić zgrany zespół, w przeciwnym razie

zginą. Wiedział, że w jakiś sposób musi przekonać tych kłótliwych i złośliwych intelektualistów, że przetrwanie wymaga współpracy. Wstał i podszedł do szczytu stołu, gdzie zaczął w milczeniu, aż się uciszą.

- Skończyliście jazgotać? - spytał. - Jeśli tak, to mam wam coś do powiedzenia. Już nie jesteśmy w Cambridge. W akademickim świecie osiągacie sukcesy, pokonując rywali i na każdym kroku udowadniając, że jesteście najmądrzejsi. Ale w lesie nie chodzi o to, kto będzie najlepszy, lecz kto przeżyje. Musimy współpracować. A także zabijać wszystko, co nam zagraża.

- Och, a więc obowiązuje zasada „zabij albo zgiń” - burknął Danny. - Przeszarżała pseudodarwinowska filozofia rodem z wiktoriańskich czasów.

- Danny, musimy robić wszystko, co w naszej mocy, żeby przetrwać - odparł Peter. - Jednak samo zabijanie nie wystarczy. Pomyśl o tym, kim jesteśmy jako ludzie. Milion lat temu nasi przodkowie przetrwali na równinach Afryki dzięki działaniu zespołowemu. Wtedy wszystko robiliśmy w grupach. Milion lat temu nie znajdowaliśmy się na szczycie łańcuchopokarmowego. Polowały na nas rozmaite zwierzęta: lwy, lamparty, hieny, dzikie psy, krokodyle. Na szczęście ludzie już od bardzo dawna potrafią sobie radzić z drapieżnikami. Pozostajemy przy życiu dzięki naszym mózgom, broni oraz zdolności współpracy. Myślę, że ta podróż była naszym przeznaczeniem. Pomyśl o niej jak o wyjątkowej szansie na zobaczenie cudów przyrody, których nikt nigdy nie oglądał. Ale cokolwiek postanowimy zrobić dalej, musimy działać razem, w przeciwnym razie zginieemy. Nasza grupa jest tak silna jak jej najslabsze ogniwo. - Peter umilkł, zastanawiając się, czy nie posunął się za daleko i czy jego przemowa nie przypominała niestrawnego kazania.

Zapadła cisza; wszyscy rozmyślali nad jego słowami.

Danny odezwał się pierwszy, zwracając się do Petera.

- Zakładam, że mówiąc o „najsłabszym ogniwie”, masz na myśli mnie.

- Nie powiedziałem tego, Danny...

- Wybacz, Peterze - Minot wszedł mu w słowo. - Nie jestem małpoludem o

zaciśniętych ustach i krzaczastych brwiach, który trzyma kawałek kamienia we włochatych

łapach i radośnie rozłupuje czaszki lampartów, tylko wykształconym człowiekiem

przywykłym do miejskiego środowiska. To nie jest Harvard Square, ale zielone piekło, w

którym roi się od mrówek wielkości pitbuli. Zostanę w bunkrze i zaczekam na pomoc. -

Postukał w ścianę. - Tutaj mrówki mi nie zagrażają.

- Nikt ci nie pomoże - powiedziała Karen.

- Jeszcze się przekonamy. - Danny odwrócił się i usiadł z dala od pozostałych.

- Peter ma rację - rzekł Amar. - Chcę być częścią drużyny. - Odchylił się na krześle i

zamknął oczy, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Ja także - dodała Karen.

- Peter ma rację - zgodziła się Erika.

- Myślę, że potrzebujemy przywódcy - stwierdziła Jenny. - Peter znakomicie sprawdzi

się w tej roli.

- Jako jedyny dogaduje się ze wszystkimi w grupie - zauważył Rick. - Tylko ty

możesz nas poprowadzić, Peterze.

Szybko potwierdzili swoją decyzję na drodze głosowania, w którym Danny nie chciał

wziąć udziału.

Przyszła pora na skoordynowanie działań drużyny.

- Najpierw powinniśmy coś zjeść. Jestem głodny jak wilk - rzekł Rick.

Rzeczywiście wszyscy byli wygłodniali. Zarwali noc i od wieczora nie mieli nic w

ustach. Poza tym szaleńcza ucieczka przed mrówkami kosztowała ich wiele energii.

- Na pewno spaliliśmy mnóstwo kalorii - przyznał Peter.

- Jeszcze nigdy nie byłam taka głodna - odezwała się Erika.

- Mamy małe ciała. Zapewne znacznie szybciej spalamy kalorie. Zupełnie jak koliber - dodała Karen.

Wydobyli paczki z prowiantem, rozdarli je i pochłonęli zawartość, siedząc przy stole i na podłodze. Jedzenia było mało, więc uporali się z nim w kilka chwil. Znaleźli olbrzymią tabliczkę czekolady, a Karen pocięła ją nożem na siedem kawałków. Czekolada również szybko zniknęła.

Penetrując bunkier w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się im przydać podczas wyprawy na parking, znaleźli plastikowe buteleczki laboratoryjne z zakręcanymi wieczkami i ustawili je na stole. Mogły posłużyć jako pojemniki na wodę albo na związki chemiczne, na które natrafiają podczas wędrówki.

- Będziemy potrzebowali jakiejś broni chemicznej, tak jak owady i rośliny - oznajmiła Jenny.

- Tak, a ja potrzebuję słoika na kurarę - dodał Rick.

- No tak, kurara - mruknęła Karen.

- To straszne świństwo - odrzekł Rick.

- Jeśli ktoś umie ją przyrządzić.

- Ja umiem! - zachnął się Rick.

- A kto cię nauczył? Jakiś myśliwy?

- Czytałem kilka artykułów...

- Artykuły na temat kurary. - Karen zajęła się swoimi sprawami, pozostawiając wściekłego Ricka.

W jednej ze skrzyń znaleźli trzy stalowe maczety. Do każdej z nich był dołączony pas

z pochwą i diamentową osełką schowaną w kieszonce. Peter wydobył ostrze i dotknął go kciukiem.

- No, no, ale ostre. - Na próbę lekko uderzył krawędzią maczety w drewniany blat, a ostrze zagłębiło się w nim jak w miękkim serze. Maczeta była znacznie ostrzejsza od lekarskiego skalpela. - Jest ostra jak mikrotom, którego używaliśmy w laboratorium do cięcia tkanek. - Przesunął diamentową osełką wzdłuż ostrza. Miała za zadanie utrzymać broń w idealnym stanie. - Krawędź jest bardzo cienka, więc zapewne szybko się tępi. Ale możemy ją ostrzyć na bieżąco. - Maczety mogły im się przydać do wyrąbywania sobie drogi pośród roślinności.

Karen zakręciła maczetą nad głową.

- Świetnie wyważona - stwierdziła. - Dobra broń.

Rick cofnął się z niepokojem, gdy dziewczyna wywijiała ostrzem.

- Obetniesz komuś głowę - ostrzegł.

Posłała mu kpiący uśmiech.

- Wiem, co robię. Zajmij się jagodami i dmuchawkami.

- Odczep się ode mnie! - wybuchnął Rick. - O co ci chodzi?

Peter wkroczył pomiędzy nich. Mimo że obiecali działać zespołowo, trudno im było wcielić to postanowienie w życie.

- Proszę was... Rick... Karen... będziemy wam wdzięczni, jeśli przestaniecie się kłócić.

To niebezpieczne dla nas wszystkich.

Jenny poklepała Ricka po ramieniu.

- Karen po prostu w ten sposób okazuje lęk.

To nie spodobało się Karen, ale już nic więcej nie powiedziała. Jenny miała rację.

Karen doskonale wiedziała, że maczety nie powstrzymają niektórych drapieżników, na

przykład ptaków. Prowokowała Ricka, ponieważ się bała. Okazała, strach pozostałym i czuła się zażenowana. Wspięła się po drabinie, otworzyła właz i wyszła na zewnątrz, żeby trochę ochłonać. Zaczęła przeszukiwać skrzynki stojące pod namiotem. W jednej z nich znalazła paczki z prowiantem, a w innej liczne fiołki i próbki, zapewne pobrane przez zespół naukowców. Odkryła stalowy pręt ukryty pod brezentem. Po postawieniu był wyższy od niej. Jeden koniec miał zaostroszony, a drugi powiększony i spłaszczony. Przez chwilę zastanawiała się, czym jest ten olbrzymi metalowy przedmiot. W końcu doznała olśnienia. Zeszła po drabinie i poinformowała resztę grupy o swoim znalezisku.

- To szpilka!

Nie było jasne, co szpilka robi w namiocie. Może użyto jej do przytwierdzenia czegoś do podłoża. W każdym razie była wykonana ze stali, więc mogła posłużyć jako broń.

- Możemy ją naostrzyć diamentową osełką - powiedziała Karen. - Umieścimy na czubku zadziór, dzięki czemu stanie się morderczą bronią. Po wbiciu w ciało ofiary ostrze się nie uwolni. Będzie jak harpun.

Musieli pracować nad szpilką w namiocie, ponieważ była zbyt długa, żeby znieść ją po drabinie. Za pomocą osełek cięli i ostrzyli stal. Najpierw odpiłowali spłaszczoną główkę, dzięki czemu szpilka stała się krótsza i lepiej wyważona, więc łatwiej było ją trzymać i nią rzucać. Kolejno szlifowali czubek, formując na nim zadziór. Diamentowe osełki sprawnie radziły sobie ze stalą. Kiedy skończyli, Peter uniósł harpun i zważył go w dłoni. Trzymał stalowy pręt - masywny, lśniący i wyważony - a jednak miał wrażenie, że broń jest lekka jak piórko. W mikroświecie kawałek stali tej wielkości był akurat na tyle ciężki i ostry, by po odpowiednio silnym rzuceniu uszkodzić ciało owada.

Danny odmówił udziału w przygotowaniach. Siedział na pryczy w bunkrze i obejmował rękami kolana podciągnięte pod brodę. Peterowi zrobiło się go żal, więc podszedł

i poprosił:

- Chodź z nami. Tutaj nie będziesz bezpieczny.
- Powiedziałeś, że jestem najslabszym ogniwem - odparł Danny.
- Potrzebujemy twojej pomocy.
- W samobójstwie - odrzekł Danny z goryczą i pozostał na miejscu.

Rick zajął się przygotowaniem strzałek do dmuchawki. Oddalił się o kilka kroków od namiotu, zabierając ze sobą maczetę do obrony przed mrówkami, i ściął kilka łodyg traw. Po powrocie do bunkra porozcinał je wzdłuż i zaczął oddzielać pasma sztywnego materiału.

Trawa okazała się mocna jak bambus. Rick wykonał kilkadziesiąt strzałek. Teraz musiał je utwardzić. Włączył kuchenkę, po czym ostrożnie podgrzał i zahartował czubek strzałki nad grzałką. Kiedy skończył, rozdarł materac i wyciągnął trochę wypełnienia.

Musiał przytwierdzić nieco miękkiego materiału z tyłu strzałki, żeby można ją było napędzić za pomocą dmuchnięcia. W tym celu potrzebował nitki.

- Amar, masz jeszcze trochę pajęczej nici?

Amar pokręcił głową.

- Zużyłem wszystko, kiedy ratowaliśmy Petera przed wężem.

Trudno. Rick pomyszkował wśród skrzyń i znalazł zwój liny. Uciął kawałek, po czym rozplótł go na pojedyncze pasma, uzyskując stertę bardzo mocnych sznurków. Przyłożył kawałek puchu do końca jednej ze strzałek i owinął go sznurkiem. Otrzymał solidną strzałkę o utwardzonym czubku i puszystej końcówce, gotową do pokrycia trucizną.

Żaden naukowiec nie przyjąłby jednak na wiarę, że strzałka będzie skuteczna, dlatego

Rick musiał ją sprawdzić. Jedna z łodyg trawy posłużyła jako dmuchawka. Włożył do niej strzałkę, wycelował w drewnianą ramę pryczy i dmuchnął. Strzałka ze świstem przemierzyła pomieszczenie, trafiła w pryczę i... odbiła się.

- Cholera - mruknął Rick.

Czubek okazał się zbyt słaby, aby wbić się w drewno, a to oznaczało, że nie poradzi sobie także z owadziim egzozskieletem.

- Kłapa - skomentowała Karen.

- Strzałki muszą mieć metalowe końcówki - stwierdził Rick.

Skąd wziąć metal?

Sztućce. Sztućce z nierdzewnej stali. Rick przyniósł z kuchni widelec i odgiął jeden z jego zębów. Następnie odciął go i naostrzył osełką. Przywiązał stalowy ząb do strzałki, po czym ponownie wycelował w pryczę. Tym razem wydmuchnięta strzałka wbiła się w drewno z przyjemnym stuknięciem i pozostała na miejscu, lekko drżąc.

- To wystarczy na chrząszcza - rzekł Rick.

Kolejno odpiłował zęby od wszystkich widelców, które znalazł w bunkrze, i wykonał ponad dwadzieścia strzałek oraz kilka dmuchawek. Schował strzałki do plastikowego pudełka laboratoryjnego, aby uchronić je przed wilgocią i uszkodzeniem. Wciąż musiał przyrządzić kurarę, ale w tym celu potrzebował kilku dodatkowych składników. Podobnie jak w wypadku wykwinowego sosu, przygotowanie kurary wymaga użycia całej gamy produktów, które po połączeniu stworzą zabójczą miksturę. Na razie miał tylko owoc miodły, który trzymał w namiocie na górze, ponieważ pozostali nie zgodzili się, żeby zniósł do go bunkra, bojąc się toksycznych oparów. Z tego samego powodu nie mógł ugotować kurary na kuchence. Nie miał potrzebnych składników, ale nawet gdyby je zgromadził, przyrządzenie substancji w bunkrze mogło się skończyć zatruciem wszystkich obecnych. Opary zapewne by ich zabiły. Będzie musiał ugotować miksturę na zewnątrz nad ogniskiem.

Znaleźli także lornetkę oraz kolejne dwie latarki zakładane na głowę i schowali je do worków. Amar natrafił na rolkę taśmy klejącej.

- Bez niej nie przetrwamy w dżungli - zażartował.

Rick otworzył jedną ze skrzyń.

- To prawdziwa kopalnia złota! - wykrzyknął, po czym wyjął fartuch laboratoryjny, gumowe rękawiczki oraz ochronne okulary. - Właśnie tego potrzebuję, żeby przyrządzić kurarę. Znakomicie! - Wepchnął znalezione przedmioty do worka. Potrzebował jeszcze naczyń. W malutkiej kuchni w głębi jednej z szafek natrafił na duży aluminiowy garnek. Również schował go do worka, a ten zarzucił sobie na plecy, sprawdzając jego ciężar. Z zaskoczeniem stwierdził, że olbrzymi bagaż wydaje się niezwykle lekki. - Jestem silny jak mrówka - zauważył.

Jenny przeszukała skrzynkę ze sprzętem i znalazła stary, poobijany wojskowy kompas, jakich amerykańscy żołnierze używali od czasu wojny w Korei. Dzięki niemu mogli utrzymać prosty kurs. Jednak nie udało im się znaleźć sprzętu do nawigacji satelitarnej.

- GPS na nic by się nam nie przydał - wyjaśnił Peter. - Takie urządzenia działają z dokładnością do dziesięciu metrów, co przy naszym obecnym rozmiarze odpowiada jednemu kilometrowi. Innymi słowy nie bylibyśmy w stanie określić naszego położenia z dokładnością większą niż kilometr w każdym kierunku. Znacznie bardziej przyda nam się kompas.

Po posiłku i ciężkiej pracy ogarnęła ich senność. Zegarek Petera wskazywał, że zbliża się południe.

- Później skończymy się pakować - zasugerowała Karen.

Poprzedniej nocy nie zmrużyli oka, ale praca laboratoryjna przyzwyczała ich do zarywania nocy. Zwłaszcza Karen chełpiła się swoją wytrzymałością, lecz nawet jej zamykały się oczy. Dlaczego nagle poczuła się taka zmęczona? Może miało to jakiś związek z ich drobnymi rozmiarami i tempem spalania kalorii. W każdym razie nie mogła się skupić i w końcu wpełzła na pryczę, gdzie natychmiast zasnęła. Tak jak pozostali.

Rozdział 17

Dolina Manoa 29 października, godzina 13.00

Na parking obok szklarni w arboretum Waipaka wjechał nowy czarny pickup.

Wysiadł z niego Don Makele, szef ochrony w spółce Nanigen. Założył plecak i przypiął do pasa pochwę z nożem. Przyklęknął obok kępy białego imbiru, która rosła przy krawędzi parkingu, i dobył noża. Był to wojskowy model KABAR o czarnym ostrzu. Delikatnie rozgarnął nim łodygi i znalazł małego namiot: stację zaopatrzeniową Alpha ukrytą w cieniu liści imbiru. Pochylił się, żeby lepiej widzieć, po czym czubkiem noża odsunął klapkę namiotu.

- Jest tam kto? - spytał.

Wiedział, że nie usłyszy odpowiedzi, nawet gdyby ktoś się odezwał. Nie zauważył jednak w środku żadnych zmniejszonych ludzi. Stacja Alpha została opróżniona i zabezpieczona przed miesiącem, gdy opuścił ją ostatni zespół terenowy.

Don wbił nóż w ziemię obok stacji, zakreślił wokół niej okrąg, poruszając ostrzem w tył i przód, po czym wyrwał bunkier. Posypała się ziemia, a namiot załopotał na wierzchu konstrukcji. Makele wstał i postukał bunkrem w podszewę, żeby go oczyścić, a później schował do plecaka.

Wyjął mapę i uważnie się jej przyjrzał. Następny przystanek: stacja Bravo. Szybkim krokiem ruszył ścieżką wiodącą w głąb Paprociowego Parowu. Po piętnastu metrach zszedł ze ścieżki i zagłębił się w lesie, nie zwalniając kroku, bez trudu poruszając się w dżungli.

Według mapy stacja Bravo znajdowała się po południowej stronie jednego z drzew koa, na którego korze pozostawiono znak ułatwiający identyfikację. Po kilku minutach poszukiwań znalazł właściwe drzewo oznaczone odblaskową pomarańczową tabliczką przybitą do pnia.

Przyklęknął, znalazł namiot i zajrzał do środka. Pusto. A w bunkrze?

Wyprostował się i zawołał: „Hej!” a potem tupnął obok namiotu. Jeśli są w bunkrze, po czymś takim powinni wybiec na zewnątrz. Jednak nie zauważył żadnego ruchu, żadnych malutkich biegnących postaci. Przeciął grunt nożem, wydobył bunkier i schował go do plecaka razem ze stacją Alpha. Ponownie zerknął na mapę, a następnie popatrzył wzdłuż wznoszącego się zbocza w stronę górskiego urwiska i Krateru Tantala. Miał wrażenie, że marnuje czas, zbierając wszystkie stacje i dostarczając je do siedziby Nanigenu. Mikroświat najwyraźniej połknął grupkę doktorantów. Ale Don musiał wykonywać polecenia Drake’a. Nie martwiło go, że odbiera młodym ludziom jedyną szansę przetrwania, ponieważ z pewnością już dawno zginęli. Nie robi niczego złego, tylko opróżnia stacje. Idąc wzdłuż zbocza, wykopał stacje Foxtrot, Golf i Hotel. Przemieszczał się szybko, pewnie czując się w dżungli. Wyżej zlokalizował stację India i również wydobył ją z ziemi. Jeszcze wyżej znalazł stację Julia i strząsnął z niej błoto. Wyglądało jednak na to, że stacja Kilo zniknęła. Powinna się znajdować u podnóża zbocza, pośród splątanych pnączy obok niewielkiego wodospadu. Ale Don nie mógł jej znaleźć i w końcu uznał, że pewnie zmyła ją ulewa. Tak się czasami zdarza. Ze względu na niewielkie rozmiary stacji pogoda mocno daje się im we znaki. Wrócił tą samą drogą, schodząc w głąb Paprociowego Parowu. Kierował się do stacji Echo położonej głęboko w parowie pośród drzew albizji.

- Hej! - zagrzmiało w bunkrze i doktoranci gwałtownie się obudzili. Nagle pomieszczeniem szarpnęło jak podczas trzęsienia ziemi i wszyscy z hukiem pospadali z pryczy. Zgasły światła. W ciemności rozlegał się trzask przetaczających się kufków, skrzyń i sprzętu laboratoryjnego. Peter zrozumiał, co się stało.

- Ktoś jest na zewnątrz! - zawołał. - Wychodźcie! Szybko! Szybko! - Po omacku znalazł latarkę obok swojego posłania i ją włączył.

Po chwili światła znów się zapaliły. Baterie grzechotały na stykach.

Rick chwycił swoje strzałki i zaczął się gramolić w górę po drabinie, a w ślad za nim ruszyła Karen. Pozostali rozpaczliwie chwyтали worki, maczety i wszystko, co mogli unieść. Rick dotarł do szczytu drabiny. Położył dłonie na blokadzie wjazdu, gdy nagle całe pomieszczenie podskoczyło, jakby ktoś wyrzucił je w powietrze. Hutter spadł z drabiny. Pozostali również runęli na podłogę. Pokój obrócił się na bok i bunkier zaczął się trząść przy wtórze ogłuszającego łomotu.

- Cozabarachło. - Te słowa wstrząsały bunkrem jak pociski artyleryjskie.

Wyciął okrąg wokół stacji Echo, wydobył ją z gruntu, po czym, mrużąc oczy, zajrzał do namiotu. Zawartość skrzyń była rozrzucona po ziemi. To było nietypowe, więc postanowił otworzyć wjazd i zerknąć do środka. Chwycił blokadę kciukiemipalcem wskazującym, ale ta się oderwała. Cholera. Położył stację na boku, przyklęknął i postukał w pokrywę wjazdu czubkiem noża, lecz to nie na wiele się zdało. Wjazd był szczelnie zamknięty i nawet za pomocą ostrza nie mógł go otworzyć. Uniósł nóż nad głowę. Postanowił rozłupać bunkier. Ostrze noża KABAR, które dla mikroludzi miało wysokość dziesięciopiętrowego budynku, z rykiem przebiło bunkier, zasypując pomieszczenie roztrzaskanymi betonowymi blokami. Następnie wniknęło w ziemię, tworząc ziejącą dziurę w budowlu. Krawędź noża zaczęła piłować ściany, kołysząc się tam i z powrotem.

Rick kurczowo trzymał się spodu wjazdu, starając się zwolnić blokadę i go otworzyć.

Gdy mu się to udało, wyrzucił na zewnątrz swój worek. Jednak wtedy bunkier zaczął się wznosić w powietrze, a następnie obrócił się na bok, tak że Rick położył się na drabinie. Za nim tłoczyli się kolejni uciekinierzy. Spróbował ich dosięgnąć. Chwycił Amara i przepchnął go przez otwarte wyjście, po czym zobaczył, jak ten spada. Bunkier znów się unosił i przechylał. Następny do Ricka dotarł Peter.

- Pomóż mi wydostać pozostałych! - zawołał.

Zdołali wypchnąć na zewnątrz Danny'ego. Usłyszeli jego wrzask i zobaczyli, jak leci ku ziemi. Kolejna była Erika.

Wewnątrz bunkra Jenny została przygwożdżona przez olbrzymie ostrze, a jej ręka utknęła pomiędzy stalową krawędzią a betonem. Karen starała się ją uwolnić, podczas gdy ostrze poruszało się na boki i w każdej chwili mogło ją zmiażdżyć.

- Moja ręka - załkała Jenny. - Nie mogę się ruszyć.

Jeden ze stołów wpadł na Jenny, a po chwili uderzyła w niego bryła betonu i staranowała Karen. Ta odrzuciła beton kopnięciem zaskoczona swoją siłą i dalej rozpaczliwie usiłowała wydostać Jenny. Bunkier ponownie opadł i uderzył o ziemię, a nóż przeciął go na pół, odsłaniając błękitne niebo. Jenny i Karen wypadły na zewnątrz. Na tle nieba wznosiła się olbrzymia sylwetka mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widziały. Nieznajomy otworzył usta, z których wydobył się grzmot. Potem wysoko uniósł nóż.

Karen postawiła Jenny na nogi, obserwując kołyszące się ostrze. Ręka Jen zwisała bezwładnie pod dziwacznym kątem.

- Uciekaj! - wrzasnęła Karen, gdy potężny nóż z błyskiem pomknął w ich stronę.

Rozdział 18

Paprociowy Parów 29 października, godzina 14.00

Nóż zagłębił się w ziemi, rozdzielając Karen i Jenny, po czym wbił się bardzo głęboko w grunt. Następnie wycofał się z dudnieniem, które wstrząsnęło całą okolicą. Jenny klęczała, trzymając się za rękę i jęcząc.

Karen jedną ręką podniosła Jenny z ziemi i zarzuciła ją sobie na plecy, a potem puściła się biegiem. Nóż ponownie opadł, ale tym razem Karen zdążyła zanurkować pod kępę paproci, cały czas dźwigając Jenny na grzbiecie.

Ziemia zapulsowała i zadrżała, po czym hałas zaczął słabnąć. Mężczyzna odchodził,

niosąc połówki rozbitej stacji. Widzieli, jak wrzuca je do plecaka. Po chwili zniknął im z oczu.

Zapadła cisza. Jenny płakała.

- Moja ręka. Boli... tak bardzo boli.

Miała paskudne złamanie.

- Nie martw się, poskładamy cię do kupy - odrzekła Karen, starając się brzmieć pogodnie.

Ręka Jen wyglądała strasznie, doszło do otwartego złamania kości ramiennej. Karen znalazła na ziemi porzucony worek, a w nim słuchawki z radionadajnikiem. Zaczęła nawoływać towarzyszy.

- Żyjecie? Halo? Jestem z Jenny. Ma złamaną rękę. Słyszycie mnie?

Rozległ się głos Petera.

- Nic nam się nie stało. Jesteśmy w komplecie. Zgromadzili się pod paprocią i ułożyli

Jenny na liściu jak na łóżku. Nikt z nich nie znał się na medycynie. Karen otworzyła apteczkę i znalazła strzykawkę z morfiną. Pokazała ją Jenny.

- Chcesz?

Jenny pokręciła głową.

- Nie. Będę otumaniona. - Pomimo bólu chciała być w pełni przytomna. Zażyła tylko dwie tabletki paracetamolu, podczas gdy Karen podarła kawałek materiału i sporządziła temblak. Pomogli rannej usiąść. Jenny się zachwiała; miała blade usta i twarz. - Nic mi nie będzie - zapewniła.

Ale było z nią niedobrze. Ręka szybko puchła, a skóra ciemniała.

Krwotok wewnętrzny.

Karen złowiła spojrzenie Petera i zrozumiała, że oboje myślą o tym samym.

Przypominają sobie, co Jarek Kinsky mówił o chorobie dekompresyjnej. Można się wykrwawić na śmierć z powodu drobnego skaleczenia. A to nie jest drobne skaleczenie. Peter zerknął na zegarek. Była czternasta. Spali dwie godziny. Ziemia była zasypana szczątkami jak po katastrofie statku. Wkoło poniewierały się worki i plecaki. Wiele przedmiotów powypadało z bunkra, gdy rozcinał go nóż. Znaleźli maczety i harpun. Owoc miodły wytoczył się z namiotu i leżał w pobliżu. Przynajmniej nie stracili sprzętu i zapasów, ale dokąd mają pójść? Skoro stacja Echo została zabrana, to co się stało z pozostałymi? Czy ten mężczyzna ich widział? Czy pracuje dla Vina Drake'a?

Musieli zakładać najgorsze. Zostali wykryci. Stacje zabrano. Gdzie mogą się ukryć? Dokąd pójść? Jak teraz wrócą do siedziby Nanigenu?

Gdy tak stali, zastanawiając się, co robić, niebo pociemniało. Podmuchy wiatru szarpały liśćmi pobliskiej rośliny haiwale, odsłaniając ich spód pokryty meszkiem. Peter podniósł wzrok i zobaczył, jak wiatr obraca i targa liście...

Potem usłyszeli dziwny odgłos, donośne chlupnięcie, a po chwili kolejne. Zaskoczeni i oszołomieni zauważyli ogromną spłaszczoną kulę wody, która spadła na ziemię tuż obok nich i rozprysnęła się na setki mniejszych kropelek. Zaczął padać popołudniowy deszcz.

- Wchodzimy wyżej! - zawołał Peter. - Tędy! - Puścili się biegiem, zmierzając w górę zbocza, po drodze chwytając wszystko, co zdołali zabrać. Karen niosła Jenny na plecach, podczas gdy krople deszczu wybuchały wokół nich jak bomby.

W siedzibie Nanigenu Vin Drake odwrócił się od ekranu komputera. Sprawdzał warunki pogodowe w Ko'olau Pali. Na pasatach zawsze można polegać. Gdy uderzają w nawietrzną stronę Oahu, zrzucają wilgoć na góry. Tutejsze szczyty należą do najbardziej wilgotnych miejsc na ziemi.

Don Makele zapukał do drzwi, po czym wszedł i położył na biurku Drake'a fragmenty

stacji Echo.

- Posłania są pogniecione, korzystano z toalety. Poza tym widziałem biegnącą dwójkę z nich. Kazałem im się zatrzymać i próbowałem ich zablokować nożem, ale rozbiegli się jak karaluchy.

- To niedobrze, Don - odrzekł Drake. - Bardzo niedobrze. Kazałem ci się nimi zająć.

- Co mam zrobić?

Vin Drake odchylił się i postukał w zęby złotym ołówkiem automatycznym. Na ścianie z tyłu wisiał jego portret namalowany przez modnego brooklińskiego artystę. Twarz Drake'a na obrazie oddano w odważnych kolorach; był to wizerunek pełen mocy, który bardzo podobał się Vinowi.

- Zamknij bramę przy wjeździe do doliny Manoa. Zatrzymaj ciężarówkę. Odetnij dolinę od świata. No i przyprowadź mi swoich dwóch najlepszych ludzi.

- To będą Telius i Johnstone. Szkoliłem ich w Kabulu.

- Mają doświadczenie w mikroświecie?

- I to duże - odrzekł Makele. - Czym się zajmą?

- Uratują doktorantów.

- Przecież kazał pan odciąć dolinę od świata...

- Po prostu rób, co mówię, Don.

- Jasne.

- Spotkam się z twoimi ludźmi na zewnątrz. Na parkingu B za dwadzieścia minut.

Deszcz bębnił o ziemię, rozrzucając na wszystkie strony drobinki wody pomieszane z ziemią. Peter zniknął w obłoku wilgotnej mgiełki trafiony jedną z kropel. Przeleciał kawałek w powietrzu, po czym kaszląc, runął na ziemię. Pozostali biegli, ślizgając się na błocie, podczas gdy wokół nich lądowały kolejne krople. Nagle rozległ się dźwięk przypominający

łoskot towarowego pociągu.

To była powódź spływająca rozpadliną do Paprociowego Parowu. Ściana brązowej wody rozbiła się o skałę, minęła podstawę paproci i zmiotła ludzi, którzy zaczęli rozpaczliwie walczyć o utrzymanie się na powierzchni. Woda zerwała krzyczącą Jenny z pleców Karen.

- Jenny!

Karen upadła i straciła Jenny z oczu. Kurczowo chwyciła się liścia, który wirował niesiony silnym nurtem. Rick klęczał na liściu płynącym przed nią.

- Złap mnie za rękę! - zawołał, po czym wciągnął ją na swój liść.

Karen kaszlała i z trudem łapała powietrze. Liść kręcił się i pędził z prądem.

- Zgubiłam Jenny! - krzyknęła Karen, rozpaczliwie się rozglądając.

Ze złamaną ręką Jenny nie miała szans utrzymać się na wodzie.

Danny wspiał się na kamień wystający ze spienionego nurtu.

Obok nich przekoziółkowała utopiona dżdżownica. Jenny próbowała płynąć, ale przeszkadzał jej temblak, a złamana ręka była niepokojąco bezwładna. Głowa dziewczyny zniknęła pod powierzchnią. Potem znów się wynurzyła.

Rick położył się na liściu.

- Jenny! - zawołał. - Wyciągnij rękę! Jenny!

- Trzymaj się, Rick! - krzyknęła Karen, chwytając go za stopy, żeby nie ześlizgnął się z liścia.

Jenny obróciła się na bok i wyciągnęła zdrową rękę, ale rozminęła się z Rickiem, tylko ocierając się palcami o jego dłoń. Nie zdołał jej chwycić i krzyknął z frustracji.

Jenny zbliżała się do kamienia, na którym przycupnął Danny.

- Danny, proszę! - wrzasnęła, wyciągając rękę.

Woda targała jej ciałem, wciągając ją pod powierzchnię.

Danny sięgnął w jej stronę. Dotknął jej dłoni, która zacisnęła się na jego palcach.

Wyciągnął drugą rękę i zdołał wsunąć palce pod temblak. Pociągnął Jenny w swoją stronę.

Nagle poczuł, że ześlizguje się z kamienia.

Jenny krzyknęła z bólu, kiedy wykręcił jej złamaną rękę. Ale nie miała mu tego za złe.

- Nie puszczaj mnie, proszę! - Zdrową ręką złapała go za koszulę. Tonący są niezwykle niebezpieczni, gdyż mogą wciągnąć ratujące ich osoby pod wodę. Danny dobrze o tym wiedział.

Rozejrzał się. Czy ktoś na niego patrzy? Potem spojrzał Jenny w oczy.

- Przepraszam - powiedział, po czym rozwarł dłonie i ją wypuścił. Z pewnością wciągnęłaby go do wody i utopiła...

Odwrócił się. Nie mógł znieść wyrazu jej twarzy. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby ją ocalić. Gdyby jej nie puścił, niewątpliwie by go wciągnęła... oboje by zginęli...

Jenny i tak była zgubiona. Jestem dobrym człowiekiem... Skulił się na szczycie kamienia, wokół którego burzyła się woda. Nikt nie widział tego, co zrobił. Oprócz Jenny. Jej spojrzenie...

Karen krzyknęła, widząc, że Danny nie utrzymał dziewczyny.

- Nie! Jenny! Nie!

Jeszcze przez chwilę widzieli jej głowę ponad wodą. Potem zniknęła pod powierzchnią i więcej się nie pokazała.

Rozdział 19

Siedziba Nanigenu 29 października, godzina 14.30

Vin Drake przeciął parking, kierując się w stronę Teliusa i Johnstone'a, którzy czekali na jego skraju pomiędzy dwoma samochodami. Taką rozmowę lepiej przeprowadzić na zewnątrz. Każde słowo może zostać podsłuchane, zarejestrowane, zachowane. Musi zadbać o

każdy szczegół. Szczegóły stanowią dowody, a te mogą się przedostać do świata i wymknąć spod kontroli.

- Doszło do bezprawnego wkroczenia na teren spółki - poinformował Drake dwóch mężczyzn. Telius pochylił ogoloną głowę i uważnie słuchał. Był niski i żylasty, miał wściekle, niespokojne oczy, które błędziły po ziemi, jakby szukał jakiegoś zgubionego drobiazgu. Johnstone był znacznie wyższy, nosił okulary przeciwsłoneczne i stał w swobodnej pozie, trzymając dłonie za plecami. Przez jego krótkie płoche włosy prześwitywał tatuaż. - Mamy do czynienia ze szpiegami przemysłowymi - kontynuował Drake. - Mogą doprowadzić Nanigen do ruiny. Sądzymy, że pracują dla obcego rządu. Jak być może wiecie, Nanigen zajmuje się pewnymi tajnymi projektami, na których rządy nieprzyjaznych państw chętnie położyłyby rękę.

- Nic nam o tym nie wiadomo - odparł Telius.

- Zgadza się - przytaknął Drake.

Jakiś samochód minął ich i zatrzymał się w pobliżu. Drake zamilkł. Trzej mężczyźni odwrócili się i odeszli wzdłuż krawędzi parkingu, przez chwilę nic nie mówiąc, czekając, aż kierowca wejdzie do budynku. Pasat grzechotał owociami akacji, które rosły na pobliskim opustoszałym parkingu.

Drake odwrócił się i popatrzył na blaszany budynek.

- Nasza siedziba nie wygląda okazale, ale już niedługo to, czym zajmujemy się w środku, będzie warte co najmniej sto miliardów dolarów. Sto miliardów. - Umilkł, pozwalając, by ta suma dotarła do ich świadomości. - Niesamowite bogactwo czeka na szczęściarzy, którzy są w posiadaniu udziałów założycielskich Nanigenu. - Zmrużył oczy pod wpływem słońca, po czym zerknął na obu mężczyzn. - Wiecie, czym są udziały założycielskie, prawda? Ich właściciele mogą je sprzedać z olbrzymim zyskiem, kiedy spółka

wchodzi na giełdę.

Czy rozumieją, do czego zmierza? Z ich twarzy nie dało się niczego wyczytać.

Żadnych myśli ani emocji, żadnych wskazówek.

Oblicza zawodowców.

- Chciałbym, żebyście udali się do mikroświata z misją ratunkową i odnaleźli szpiegów. Otrzymacie pełne wyposażenie. Sześciopięć oraz broń, wszystko, co będzie wam potrzebne. Szpiegdy zapewne zostali upuszczeni... to znaczy zaginęli w promieniu mniej więcej dwudziestu metrów od stacji Echo. Dlatego właśnie tam rozpoczniecie poszukiwania. Niewykluczone, że zaginione osoby podążają za mikrośladami, szukając stacji zaopatrzeniowych, by się w nich schronić. Usunęliśmy wszystkie stacje poza Kilo, której nie udało nam się odnaleźć. Ruszycie po śladach od jednej stacji do drugiej, szukając szpiegów. A potem... - Jak to ująć, żeby nie było wątpliwości? - Znajdziecie zaginionych, ale misja ratunkowa zakończy się niepowodzeniem. Rozumiecie? Pomimo waszych starań szpiegów nie uda się odnaleźć. Nie chcę znać szczegółów. Szpiegdy muszą zniknąć, ale nie chcę również słyszeć żadnych plotek dotyczących tego, co się z nimi stało. Jeśli rozpląną się bez śladu, otrzymacie... nagrodę. - Drakę schował ręce do kieszeni i poczuł na twarzy pocałunek wiatru.

- W grę wchodzi wyłącznie niepowodzenie - dodał cicho.

Odwrócił się i popatrzył na dwóch mężczyzn. Niczego nie zobaczył. Ich twarze były pozbawione wyrazu. Obok nich przemknął mały ptak i wylądował na akacji.

- Jeśli akcja ratunkowa się nie powiedzie, w nagrodę otrzymacie po jednym udziale założycielskim spółki Nanigen. Kiedy wejdziemy na giełdę, każdy z tych udziałów będzie wart co najmniej milion dolarów. Rozumiecie?

Mężczyźni popatrzyli na niego beznamiętnie.

Ale zrozumieli. Był tego pewien.

- Właśnie zostaliście inwestorami - rzekł Drake, poklepując Teliusa po ramieniu, po czym odszedł.

Deszcz ustał równie szybko, jak się rozpadał. Gdy rozwiały się chmury, las wypełnił się parującym złotym blaskiem, a woda błyskawicznie ustąpiła. Strugi deszczówki spływały do strumienia przecinającego dolinę Manoa. Woda zabrała im dużą część sprzętu. A także Jenny. Sprawdzili listę obecności, po czym rozproszyli się, żeby szukać ekwipunku, a przede wszystkim swojej towarzyszki. Zeszli ze zbocza, podążając za wodą, komunikując się za pomocą dwóch zestawów słuchawkowych.

- Jenny! Jesteś tam? Jenny! - wołali, ale nie doczekali się odpowiedzi ani nie zauważyli żadnego śladu dziewczyny.

- Jest harpun - odezwał się Rick.

Broń nie spłynęła daleko. Strzałki wciąż były w plastikowym pojemniku w worku, który znaleźli przy jednym z kamieni. Odszukali nawet owoc miodły, który lśnił żółto pod krawędzią liścia.

Karen szła naprzód z rosnącym przerażeniem. Z drzeniem przypominała sobie wyraz twarzy Jenny, gdy ta po raz ostatni zniknęła pod wodą.

Najgorsze są ludzkie koszmary. Co zobaczyła Jenny?

Nagle Karen dostrzegła coś bladego i miękkiego zaczepionego o gałązkę. Ludzką dłoń.

Znalazła Jenny. Jej ciało utknęło pod gałęzią, zmiażdżone i dziwacznie wykręcone, zbryzgane błotem, ze zrozpaczonym obliczem topielca oraz złamaną ręką opartą obiodro i wykrzywioną jak mokra szmata. Oczy Jen były otwarte i puste. Ciało pokrywał całun krzyżujących się nitek przypominających spaghetti, grzybów, które już zdążyły wyrosnąć na zwłokach.

Karen przyklękła obok ciała i zdjęła jedną nitkę z twarzy Jenny, po czym zamknęła dziewczynie oczy i zapłakała.

Pozostali zgromadzili się wokół. Rick z zażenowaniem stwierdził, że nie potrafi powstrzymać łez. Starał się nad sobą panować, ale bezskutecznie. Peter objął go ramieniem, lecz Rick strącił jego rękę.

- Tak bardzo się starałem - załkał Danny. - Ale nie zdołałem jej uratować.

Erika go przytuliła.

- Jesteś odważnym mężczyzną, Danny. Do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Rozległ się trzask. Mieli wrażenie, że całun grzybów pokrywających ciało Jenny drgnął.

- Co to było? - odezwała się Erika. Wytrzeszczyła przerażone oczy, widząc, jak jedna z nitek wygina się i porusza, po czym dotyka skóry Jen jak zakrzywiony palec. Końcówka nitki z chrzęstem przebiła skórę i ciało, szukając substancji odżywczych. Grzyby zaczęły pochłaniać zwłoki. Erika skrzywiła się i wstała.

- Musimy ją pochować... i to szybko - rzekł Peter.

Za pomocą harpuna i maczet wyrabali dziurę w ziemi. Grunt był miękki i żyzny, pełen poruszających się i wijących malutkich stworzeń, zupełnie jakby sam stanowił żywy organizm. Wyglądało na to, że jedynym martwym obiektem jest Jenny. Opuścili ją do wykopanego grobu, krzyżując jej dłonie na piersi i układając złamaną rękę. Próbowali oczyścić ją z grzybów, ale nitki się zacisnęły, przywierając do ciała i je penetrując.

Erika zanosila się płaczem. Peter odciął kawałek płotka z opadłego kwiatu hibiskusa i nakrył nim Jenny jak białym całunem. W ten sposób zasłonił grzyby.

Erika zaproponowała, żeby się pomodlili. Nie była religijną osobą, a przynajmniej się za taką nie uważała, ale odebrała katolickie wychowanie i w Monachium uczęszczała do szkoły prowadzonej przez siostry zakonne. Zakonnice nauczyły ją odmawiać psalm dwudziesty trzeci po niemiecku.

- Der Herr ist mein Hirte - zaczęła Erika niepewnie, próbując przypomnieć sobie dalszy ciąg.

Peter podjął modlitwę po angielsku:

Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach...

- Magiczne zaklęcia - skomentował Danny. - Słowa, które nie mają żadnego odniesienia do tak zwanej rzeczywistości, ale mogą stanowić psychologiczne wsparcie. Podejrzewam, że modlitwa pobudza prymitywne obszary mózgu. Prawdę mówiąc, ja też czuję się nieco lepiej.

Następnie zasypali ciało Jenny ziemią. Wiedzieli, że wkrótce pochłoną je grzyby i nicienie, strawią bakterie oraz pożrą wszechobecne roztocze. Po Jenny Linn nie pozostanie żaden ślad, jej szczątki zostaną połknięte i przetworzone, połączone z ciałami innych stworzeń. W mikroświecie koniec jednego życia oznacza początek innego.

Gdy skończyli, Peter zebrał całą grupę i wygłosił motywującą przemowę.

- Jenny nie chciałaby, żebyśmy się poddali. Odważnie podążała naprzód. Możemy uczcić jej pamięć, walcząc o przetrwanie.

Zabrali plecak i dwa worki. Nie mogli dłużej pozostawać przy grobie Jenny; musieli dalej wędrować w stronę parkingu.

Notatnik z mapą nie zgubił się podczas powodzi; Karen schowała go do plecaka.

Teraz go wyjęli. Zmoczony kartki zaczynały się rozpadać, ale wciąż mogli odczytać mapę.

Widniała na niej ścieżka prowadząca od stacji Echo do Delty, a następnie do stacji Alpha przy parkingu. Czekala ich daleka podróż.

- Nie wiemy, czy którakolwiek ze stacji wciąż znajduje się na miejscu, ale możemy podążać szlakiem.

- Jeśli uda nam się go odnaleźć - odparła Karen.

Nie zdołali znaleźć żadnego szlaku. Ulewa zmieniła ukształtowanie terenu, przenosząc szczątki roślin i tworząc nowe kanały. Peter wyjął kompas i używając odręcznie narysowanej mapy, wyznaczył linię prostą wiodącą w stronę parkingu. Szedł na czele, wyrabując drogę maczetą. Karen wędrowała za nim, niosąc na ramieniu harpun. Rick zamykał pochód, milczący i czujny, z maczetą w gotowości.

Danny co chwila zatrzymywał się, żeby odpocząć.

- Bolać cię stopy? - spytał Peter.

- A jak myślisz? - odburknął Danny.

- Możemy dla ciebie zrobić jakieś buty.

- To nie ma sensu.

- Ale musimy próbować - odpowiedziała Erika. Ja też próbowałem uratować Jenny.

Peter wyciął kilka pasków z martwego źdźbła trawy, a Erika owinęła nimi stopy

Danny'ego, sporządzając prymitywne mokasyny. Amar przypomniał sobie o taśmie klejącej, którą znalazł w stacji Echo. Wydobył ją z worka i zaczął oklejać trawiaste buty, żeby lepiej trzymały się na nogach. Danny wstał i zrobił kilka kroków. Prowizoryczne obuwie okazało się zaskakująco wytrzymałe i niezwykle wygodne.

Wysoko ponad nimi rozległ się grzmot, który dziwnie przypominał odgłos

helikoptera. Po chwili zobaczyli komara. Wyleciał spomiędzy drzew i ich okrążył. Pomimo dużych rozmiarów bez trudu utrzymywał się w powietrzu, bijąc skrzydłami. Wyglądało na to, że im się przygląda. Miał tułów w czarnobiałe paski i pasiaste odnóża. Z jego głowy zwisała długa trąbka. Na jej końcu widzieli dwa ostrza pokryte zaschniętą krwią. Narządy do wysysania krwi wyglądały na dostatecznie ostre, żeby przebić ciało mikroczłowieka.

Danny stracił zimną krew.

- Uciekajmy! - wrzasnął, po czym puścił się biegiem, wymachując rękami i szurając nogami w mokasynach.

Być może komara zwabił ruch Danny'ego, a może jego zapach, w każdym razie owad pomknął za biegnącym mężczyzną, unosząc się tuż nad jego szyją. Bez ostrzeżenia zanurkował iniemal wbił Danny'emu trąbkę między łopatki. Minot rzucił się na ziemię, przetoczył na plecy i zaczął wierzgać nogami.

- Zostaw mnie!

Komar brzęczał tuż nad nim, a po chwili ponownie zaatakował. Wtedy Karen zasłoniła Danny'ego własnym ciałem i wymachując maczetą próbowała odgonić owada. Jednak ten wcale się nie wystraszył.

- Uformujcie obronny okrąg - zawołał Peter.

Ludzie ustawili się wokół powalonego towarzysza, który zmarł z przerażenia. Stanęli twarzami do zewnątrz, trzymając maczety w pogotowiu i obserwując krążącego komara. Ten najwyraźniej wyczuł ich krew oraz dwutlenek węgla, który wydychali. Na zmianę zbliżał się i oddalał, przyglądając się im wylupiastymi oczami i kołysząc trąbką.

- O kurczę - odezwała się Erika Moll.

- Co się stało?

- To samica *Aedes albopictus*.

- Czyli? - spytał Danny, podnosząc się na kolana.

- Azjatycki komar tygrysi. Samice są agresywne i przenoszą choroby.

Rick chwycił Karen za ramię.

- Daj mi harpun...

- Hej! - zawołała Karen, okręcając się w jego stronę, ale Rick już wyrwał jej broń.

Zbliżył się do komara, unosząc harpun.

- Bez pośpiechu, Rick - poradził Peter. - Zaczekaj na dobrą okazję.

Komar pomknął w stronę Ricka, który dostrzegł szansę na zadanie ciosu. Zamachnął się harpunem jak kijem i uderzył owada w głowę.

- Następnym razem zadrzyj z kimś większym od siebie! - wrzasnął Rick.

Komar odleciał, głośno bzycząc i chwiejąc się w powietrzu.

Karen wybuchła śmiechem.

- Co cię tak bawi? - zdenerwował się Rick.

- W Kostaryce komary przepędziły cię do hotelu. Przebyłeś daleką drogę, Rick.

- To nie jest zabawne - odparł.

- Oddawaj - powiedziała, chwytając harpun. Zaczęli gwałtownie wyrywać, ale Karen zwyciężyła. Odebrała broń Rickowi, który paskudnie ją sklął.

Karen nie miała zamiaru tego znieść. Straciła nad sobą panowanie. Podeszła do Ricka i wycelowała harpun w jego twarz.

- Nie mów tak do mnie.

- Spokojnie. - Rick cofnął się, unosząc dłonie.

Karen rzuciła mu harpun pod nogi.

- Bierz.

Peter stanął pomiędzy nimi.

- Stanowimy drużynę, pamiętacie? Musicie przestać ze sobą walczyć.

W Karen aż się gotowało ze złości.

- Wcale z nim nie walczę. Gdyby tak było, już dawno by się trzymał za klejnoty i rzygał jak kot.

Peter Jansen pozostawał na czele grupy, wyznaczając trasę, nieustrudzenie tnąc przeszkody maczetą i co jakiś czas przystając, by naostrzyć ją diamentową osetką. Ostrze

mogło przeciąć wszystko, dopóki dbał o jego krawędź. Starał się podtrzymywać wszystkich na duchu.

- Wiecie, co Robert Louis Stevenson powiedział o podróżowaniu? - zawołał przez ramię. - „Podróż pełna nadziei jest piękniejsza niż osiągnięcie celu”.

- Pieprzyć nadzieję, wystarczy mi, jeśli przeżyję - stwierdził Danny.

Maszerując na końcu grupy, Rick uważnie obserwował pozostałych. Rozmyślał o Karen King. Naprawdę jej nie znosił. Pełna buty, arogancka i agresywna, uważa się za niezrównaną specjalistkę od pajaków i pajęczaków oraz walki wręcz. Nie brakuje jej urody, ale piękno to nie wszystko. Mimo to Rick był zadowolony, że Karen jest z nimi. Jest wojowniczką, tego niesposób jej odmówić. W tej chwili sprawia wrażenie lodowatej, czujnej i niespokojnej, uważnie stawia każdy krok. Jakby toczyła walkę o życie... co oczywiście jest prawdą. Nie znosił jej, a jednak... cieszył się, że jest w pobliżu.

Następnie Rick przyjrzał się Ericie Moll. Błada i wystraszona. Jakoś się trzyma, ale znajduje się na skraju emocjonalnego załamania. Grzyby pożerające ciało Jen... to nią wstrząsnęło. Rick podejrzewał, że jeśli Erika nie weźmie się w garść, to będzie zgubiona. Ale któż może wiedzieć, którzy ludzie dysponują siłą i sprytem, by ujść z życiem z tego królestwa miniaturowych potworności?

Patrząc na Amara Singha, uznał, że ten pogodził się z losem, jakby już uwierzył, że umrze.

Danny Minot dreptał w kapciach z taśmy klejącej. Ten facet jest twardszy, niż nam się wydaje, pomyślał Rick. Może przetrwać.

Potem popatrzył na Petera Jansena. Jak Peter to robi? Wydaje się taki spokojny, niemal łagodny, pogodzony ze sobą w jakiś głęboki i niepojęty sposób. Stał się prawdziwym przywódcą i jest mu z tą rolą do twarzy. Jakby dopiero w mikroświecie w pełni rozwinął

skrzydła.

No i wreszcie sam Rick Hutter.

Nie miał refleksyjnej natury. Rzadko myślał o sobie, ale teraz nie potrafił tego uniknąć. Działo się z nim coś dziwnego, co nie do końca rozumiał. Czuł się dobrze.

Zastanawiał się dlaczego. Przecież powinien być załamany. Jenny nie żyje. Kinsky'ego mrówki rozdarły na strzępy. Kto będzie następny? Jednak Rick zawsze marzył o takiej ekspedycji, choć nigdy nie uważał jej za możliwą. Wyprawa do ukrytego serca natury, do świata niewidzianych cudów.

Zapewne przypłaci tę przygodę życiem. Przyroda nie jest łagodna ani przyjazna. Nie zna litości. Tutaj nie dostaniesz nagrody za dobre chęci. Przetrawisz albo zginiesz. Być może nikt z nich nie przeżyje. Rick zastanawiał się, czy zniknie na zawsze w małej dolinie na obrzeżach Honolulu, połknięty przez labirynt niewyobrażalnych zagrożeń.

Muszę próbować, pomyślał. Bądź sprytny. Bądź cwany. Przejdź przez ucho igielne.

Rick miał wrażenie, że wędruje już wiele kilometrów, gdy nagle poczuł dziwną słodkogorzka woń. Co to takiego? Podniósł wzrok i zauważył malutkie białe kwiaty rozsiane niczym gwiazdy po drzewie o wijących się gałęziach i gładkiej srebrzystoszarej korze. Ich zapach przypominał nasienie, ale była to ostrzejsza woń, która kryła w sobie groźbę.

No tak.

Nwc vomica.

Polecił pozostałym się zatrzymać.

- Zaczekajcie chwilę. Coś znalazłem.

Przyklękł obok poskręcane go korzenia wystającego z ziemi.

- To kulczyba - oznajmił, po czym zaczął uderzać maczetą korzeń, aż odsłonił pasek wewnętrznej kory, który ostrożnie odciął. - Ta kora zawiera brucynę. To substancja

wywołująca paraliż. Wolałbym nasiona, ponieważ są niezwykle toksyczne, ale kora wystarczy.

Uważając, żeby żywica nie zetknęła się z jego dłońmi, przywiązał do kory linę i zaczął ją za sobą ciągnąć.

- Nie mogę jej schować do plecaka. Wszystko by zatrzymała - wyjaśnił.

- Niebezpieczna sprawa - odparła Karen.

- Tylko zaczekaj, dzięki niej zdobędziemy jedzenie. Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

Erika stanęła z boku i węszyła, wyczulona na ostrzegawczą woń mrówek. Powietrze, które wdychała, wydawało jej się ciężkie. Wszędzie, gdzie spojrzała, w każdym pęknięciu i zagłębieniu w ziemi, na każdym źdźble trawy i płożącej się po ziemi roślinie roiło się od małych organizmów - owadów, roztoczy, nicieni. Erika widziała kolonie bakterii glebowych, skupiska małych kropek. Wszystko żyło. Wszystko na coś żerowało. To jej przypomniało, że od dawna nie miała nic w ustach.

Wszyscy byli bardzo głodni, ale nie mieli nic do jedzenia. Napili się wody z otworu w korzeniu drzewa, po czym ruszyli w dalszą drogę. Rick wlekkł za sobą kawałek kory.

- Mamy korę kulczyby i owoc miodły, ale to nie wystarczy - stwierdził. -

Potrzebujemy jeszcze przynajmniej jednego składnika. - Cały czas rozglądał się za znajomymi toksycznymi roślinami. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Pomógł mu węch. Rick rozpoznał ostrą woń wydobywającą się z roślinnego gąszczu. - Oleander - rzekł, podchodząc do kępy krzewów odługich, spiczastych, błyszczących liśćmi. - To sok jest tutaj trującym składnikiem. - Przebijając się przez opadłe liście, dotarł do pnia. Dobył maczety, naostrzył ją i wbił w drewno. Trysnął przejrzysty, mleczny sok, a Rick szybko się cofnął. - Ten płyn błyskawicznie cię zabije, jeśli zetknie się z twoją skórą. Zawiera śmiertelnie śmiertelnie śmiercionośną mieszankę

kardenolidów. W jednej chwili zatrzyma twoje serce. Lepiej też nie wdychać jego oparów, bo można dostać zawału.

Podczas gdy sok ściekał po korze, Rick przetrząsał worek, aż w końcu znalazł i włożył fartuch, gumowe rękawiczki oraz okulary ochronne, które zabrał ze stacji Echo.

Amar wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Rick, wyglądasz jak szalony naukowiec.

- Z szaleństwem mi do twarzy - odrzekł Rick. Otworzył jeden z plastikowych słoiczków laboratoryjnych i podszedł do strumienia soku. Wstrzymując oddech, napełnił pojemnik; sok ściekał mu na rękawiczki. Zakręcił wieczko, po czym opłukał słoik z zewnątrz w kropli rosy. W ten sam sposób napełnił drugi pojemnik i uniósł oba z triumfalnym uśmiechem. - Teraz wystarczy to ugotować, żeby zgęstniało. Będziemy potrzebowali ogniska.

Jednak po ulewie wszystko w lesie ociekało wodą i nie nadawało się do rozpalenia ognia.

- To żaden problem - rzekł Rick. - Aleurites moluccana załatwi sprawę.

- Co to takiego, do cholery? - spytała Karen.

- Tungowiec molukański - wyjaśnił Rick. - Hawajczycy nazywają go kukui. W tym lesie rośnie pełno takich drzew. - Przystanął, popatrzył w górę i obrócił się z uniesioną głową.

- Tak jest! Oto kukui.

Wskazał drzewo o dużych srebrzystych liściach. Stało w odległości dziesięciu metrów, odznaczając się na tle lasu niczym blade czoło burzy. Było obwieszane zielonkawymi kulistymi owocami.

Ruszyli w stronę tungowca. Kiedy dotarli do jego podstawy, zobaczyli leżące na ziemi mięsiste owoce.

- Dajcie maczetę - poprosił Rick. - Patrzcie uważnie. - Zaczął siekać jeden z owoców,

odcinając miąższ. Po chwili dotarł do twardego rdzenia. - To owoc kukui - wyjaśnił. - Jest pełen oleju. Starożytni Hawajczycy wypełniali nim kamienne lampy. To świetne źródło światła. Orzechy zatykali na kijach i używali ich jako pochodni, gdyż doskonale się palą. Orzech kukui, okryty lśniąco twardą skorupą, okazał się trudny do rozbicia. Kolejno uderzali w niego maczetą. Ciężkie ostrze stopniowo zagłębiało się w skorupie. Po kilku minutach dotarli do oleistego miąższu. Zaczęli rąbać go na kawałki, usypując z nich stertę na ziemi. Dodali wyschlę żdźbła trawy, które Peter wydobył z martwych łądyg, suchych pomimo deszczu, a Rick ustawił na szczycie metalowy garnek i nałożył ochronny strój. Poprawił okulary i napełnił garnek paskami kory korzenia kulczyby, kawałkami owocu miodły, dwoma słóiczkami soku z oleandra oraz wodą zebraną z liścia.

Rick rozpalił ognisko wiatroodpoma zapalniczką i po chwili w górę wystrzelił żółty jaskrawy płomień pochłaniający miąższ owoców kukui. Według standardów normalnego świata było to niewielkie ognisko, trochę większe od płomienia świecy, jednak im wydawało się olbrzymie. Pod wpływem gorąca musieli mrużyć oczy i odwracać twarze. Woda w garnku zawrzała w ciągu kilku sekund. Po dwóch minutach gotowania zawartość naczynia zmieniła się w smolistą maź.

- Świeża kurara - oznajmił Rick. - Przynajmniej mam taką nadzieję.

Ostrożnie operując kawałkiem drewna, chroniąc dłonie pod rękawiczkami i wstrzymując oddech, Rick przełożył kurarę do plastikowej butelki. Teraz mógł maczać w niej końcówki strzałek. Miał nadzieję, że otrzymana maź jest trująca, jednak nie mógł mieć pewności, póki nie wypróbował jej podczas polowania. Zakręcił butelkę, po czym przesunął okulary na czoło.

Peter popatrzył na plastikowe naczynie i na umieszczoną w nim brązową pastę.

- Myślisz, że to powali grubego zwierza? - spytał. - Na przykład pasikonika?

Rick posłał mu drwiący uśmiech.

- Jeszcze nie jest gotowa.

- To znaczy?

- Potrzebujemy jeszcze jednego składnika.

- Jakiego?

- Cyjanku.

- Co takiego? - zdziwił się Peter, a pozostali zgromadzili się wokół nich, uważnie się przysłuchując.

- Słyszałeś, co powiedziałem... cyjanku - odparł Rick. - Wiem, gdzie go znaleźć.

- Gdzie? - zaciekał się Peter.

W odpowiedzi Rick powoli obrócił głowę.

- Czuję go. Cyjanowodór. Znany także jako kwas pruski. Pachnie gorzkimi

migdałami... Czujesz? Cyjanek... uniwersalna trucizna, zabija wszystko i robi to

błyskawicznie. Cyjanek... ulubiona trucizna szpiegów podczas zimnej wojny. Wyobraźcie

sobie, że gdzieś tutaj żyje zwierzę, które go wytwarza. Zapewne kryje się pod jakimś liściem.

Pewnie śpi.

Pozostali wbijali wzrok w Ricka, który ruszył przez dżungłę, kierując się węchem, od

czasu do czasu przystając, żeby wciągnąć powietrze nosem. Nagle zaczął przewracać liście,

szarpiąc je obiema rękami. Woń stała się silniejsza; teraz gdy Rick zwrócił na nią ich uwagę,

aż kręciła w nosie. Hutter wsadził głowę pod liść.

- Mam! - szepnął.

Pod liściem załśnił brązowawy, oleisty, wielosegmentowy pancerz otoczony licznymi zakrzywionymi odnóżami.

- To krocionóg - rzekł Rick. - Jestem tylko botanikiem ignorantem, ale wiem, że one

wytwarzają cyjanek.

Erika jęknęła.

- Nie rób tego! To bardzo duże zwierzę. Jest niebezpieczne.

Rick zachichotał.

- Krocionóg? - Zwrócił się do Karen. - Hej, Karen! Jak się zachowuje to zwierzę w obliczu zagrożenia?

Karen się uśmiechnęła.

- Jest wyjątkowo strachliwe.

- Zaraz! Jesteś pewien, że to nie parecznik? - Danny zadrżał, przypominając sobie opowieść Petera o tym, że parecznik potrafi paskudnie ukąsić.

- Nie, ta dziecinka to na pewno nie parecznik - odparła Karen, klękając i zaglądając pod liść. - Pareczniki to drapieżniki. Krocionóg nie żywi się mięsem, tylko zgniłymi liśćmi - wyjaśniła. - To przyjazne stworzenie. Nawet nie ma żądzła.

- Właśnie tak myślałem. - Rick ściągnął liść, odsłaniając krocionoga.

Zwierzę leżało zwinięte i najwyraźniej pogrążone we śnie. Miało cylindryczny kształt, wielosegmentowy pancerz i co najmniej setkę nóg. W porównaniu ze zmniejszonymi ludźmi wydawało się, że ma około czterech i pół metra długości, niczym okazały boa dusiciel. Spokojnie oddychało, wydając gwizdzące odgłosy przez otwory w pancerzu; była to krocionogowa odmiana chrapania.

Rick dobył maczety.

- Obudź się! - krzyknął, po czym uderzył krocionoga płazem ostrza.

Zwierzę gwałtownie się rzuciło. Ludzie się cofnęli, a woń przybrała na sile. Krocionóg zwinął ciało w ciasną spiralę, przyjmując pozycję obronną. Zatykając nos, Rick skoczył do przodu i ponownie uderzył. Nie chciał skrzywdzić zwierzęcia, tylko je wystraszyć. Sztuczka

podziałała. Powietrze wypełnił ostry zapach migdałów zmieszany z paskudnym, gorzkim smrodem, a z porów na pancerzu krocionoga wypłynęły krople oleistego płynu. Rick otworzył czysty plastikowy słoik, po czym szybko włożył rękawiczki, fartuch i ochronne okulary.

Krocionóg nigdzie się nie wybierał. Leżał zwinięty i wyraźnie wystraszony.

Ubrany w ochronny strój Rick podszedł bliżej i zebrał mniej więcej ćwierć litra płynu do słoika.

- To olej. Jest pełen cyjanku - wyjaśnił. Wlał zawartość słoika do pojemnika z kurarą, po czym zamieszał masę patykiem. - Tak wystraszyłem biedaka, że wydzielił cyjanek - powiedział, unosząc słoik z kurarą, który cuchnął śmiercionośnymi substancjami. - A teraz czas na polowanie.

Rozdział 20

Siedziba główna Nanigenu 29 października, godzina 16.00

Vin Drake stał przed szybą, przez którą widać było rdzeń tensorowy. Szyba była kuloodporna i sprawiała, że wnętrze komory przypominało akwarium. Sześciiany kryjące kapsuły do miniaturyzacji zrównano z poziomem plastikowej podłogi. Wokół rdzenia chodzili dwaj mężczyźni: Telius i Johnstone..

Zakładali kolejne segmenty lekkich kevlarowych pancerzy, kamizelki, osłony na ręce, nagolenniki. Pancerze były wystarczająco mocne, by ochronić ich przez szczękami mrówczego żołnierza. Obaj mężczyźni byli uzbrojeni w karabiny gazowe Express kaliber.600. Broń wykorzystywała energię gazów stłoczonych w zbiorniku. Strzelała ciężkimi stalowymi igłami pokrytymi supertoksyną o szerokim spektrum działania. Miała duży zasięg i potężną moc. Supertoksyną była równie skuteczna w wypadku owadów, ptaków i ssaków. Broń zaprojektowano specjalnie w celu ochrony ludzi w mikroświecie.

- Zaczekajcie na sześcionóg - rzekł Drake.

Telius pokiwał głową i rozejrzał się po podłodze, jakby szukał upuszczonej monety.

Nie należał do ludzi rozmownych.

Drake podszedł do drzwi oznaczonych napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Pod spodem widniał znak, który nieco przypominał symbol zagrożenia biologicznego, podpisany „Mikrozagrożenie”.

Było to wejście prowadzące od rdzenia bezpośrednio do Projektu Omikron.

Oczywiście ta nazwa nie została umieszczona na drzwiach.

Drakę podniósł urządzenie do ręcznego sterowania, które trochę przypominało kontroler do gier wideo, po czym wpisał kod na klawiaturze. W ten sposób rozbroił roboty wewnątrz strefy Omikronu i uzyskał dostęp do kilku niewielkich, pozbawionych okien laboratoriów połączonych z rdzeniem tensorowym. Do strefy nie wolno było wchodzić nikomu poza garstką najważniejszych inżynierów Nanigenu. Tak naprawdę tylko nieliczni z pracowników spółki wiedzieli o projekcie. W pomieszczeniach stało kilka stołów laboratoryjnych, a na nich leżały jakieś obiekty owinięte czarnym materiałem.

Materiał zasłaniał tajemnicze przedmioty, których nie mogli oglądać nawet ludzie mający prawo wstępu do strefy Omikronu.

Drakę odkrył jeden z obiektów. Był to robot o sześciu nogach, który nieco przypominał pojazd spacerujący po powierzchni Marsa albo metalowego owada. Miał około trzydziestu centymetrów średnicy.

Vin zaniósł sześcionogiego robota z powrotem do pomieszczenia z rdzeniem generatora i wręczył go Johnstone'owi.

- Oto wasz transport. Jest w pełni naładowany. Cztery mikroakumulatory litowe.

- Może być - mruknął Johnstone, który coś przeżuwał.

- Psiakrew - warknął Drake. - Co masz w ustach?

- Batonika. Można nieźle zgłodnieć...

- Znasz zasady. Żadnego jedzenia w obrębie rdzenia. Mógłbyś zanieczyścić generator.

- Przepraszam.

- W porządku. Połknij to, co masz w ustach. - Drake przyjaźliwie poklepał mężczyznę po plecach. Zawsze warto okazywać współpracownikom wyrozumiałość.

Telius umieścił sześciobokie urządzenie w sześcioboku numer trzy. Mężczyźni stanęli w sześciobokach drugim i pierwszym. Drake wszedł do sali kontrolnej, żeby własnoręcznie uruchomić generator. Wcześniej usunął wszystkich pracowników z rdzenia, aby nikt nie zobaczył, jak zmniejsza ludzi i ich sprzęt. Nie chciał niepotrzebnych świadków.

Zaprogramował trzeci sześciobok w taki sposób, by skurczyć pojazd nieco mniej niż ludzi.

Kiedy uruchomił proces, do sali kontrolnej wszedł Don Makele.

Drake i Makele patrzyli, jak mruczący generator wysuwa się spod podłogi, a sześcioboki się opuszczają. Gdy mężczyźni zostali zmniejszeni, Drake schował ich do jednego pudełka, a w drugim umieścił sześciobok. Wręczył pudełka Donowi Makele.

- Miejmy nadzieję, że misja ratunkowa się powiedzie.

- Miejmy nadzieję - odrzekł Makele.

Peter i pozostali stanowili zagrożenie, ponieważ wiedzieli, że Drake zamordował Erica. Jednak Vin obawiał się także, że Erie opowiedział bratu o potajemnych praktykach Nanigenu, Peter zaś podzielił się tą wiedzą z innymi doktorantami. Gdyby te informacje wyszły na jaw, spółka byłaby zagrożona.

Chodzi tylko o interesy. To nic osobistego, czysta logika. Działania konieczne, by utrzymać Nanigen w grze. Czy Don Makele czegoś się domyślił? Drake nie mógł być pewien, co myśli i wie szef ochrony. Posłał mu przenikliwe spojrzenie.

- Ile masz udziałów założycielskich?

- Dwa.

- Dam ci kolejne dwa.

Wyraz twarzy Makele nie uległ zmianie.

- Dziękuję.

Podczas tej rozmowy Don Makele zarobił dwa miliony dolarów. Teraz na pewno będzie trzymał gębę na kłódkę. przyjacielsko poklepał mężczyznę po plecach. Zawsze warto okazywać współpracownikom wyrozumiałość.

Telius umieścił sześciobokowe urządzenie w sześcioboku numer trzy. Mężczyźni stanęli w sześciobokach drugim i pierwszym. Drake wszedł do sali kontrolnej, żeby własnoręcznie uruchomić generator. Wcześniej usunął wszystkich pracowników z rdzenia, aby nikt nie zobaczył, jak zmniejsza ludzi i ich sprzęt. Nie chciał niepotrzebnych świadków.

Zaprogramował trzeci sześciobok w taki sposób, by skurczyć pojazd nieco mniej niż ludzi.

Kiedy uruchomił proces, do sali kontrolnej wszedł Don Makele.

Drake i Makele patrzyli, jak mruczący generator wysuwa się spod podłogi, a sześcioboki się opuszczają. Gdy mężczyźni zostali zmniejszeni, Drake schował ich do jednego pudełka, a w drugim umieścił sześciobok. Wręczył pudełka Donowi Makele.

- Miejmy nadzieję, że misja ratunkowa się powiedzie.

- Miejmy nadzieję - odrzekł Makele.

Peter i pozostali stanowili zagrożenie, ponieważ wiedzieli, że Drake zamordował Erica. Jednak Vin obawiał się także, że Erie opowiedział bratu o potajemnych praktykach Nanigenu, Peter zaś podzielił się tą wiedzą z innymi doktorantami. Gdyby te informacje wyszły na jaw, spółka byłaby zagrożona.

Chodzi tylko o interesy. To nic osobistego, czysta logika. Działania konieczne, by

utrzymać Nanigen w grze. Czy Don Makele czegoś się domyślił? Drake nie mógł być pewien, co myśli i wie szef ochrony. Posłał mu przenikliwe spojrzenie.

- Ile masz udziałów założycielskich?

- Dwa.

- Dam ci kolejne dwa.

Wyraz twarzy Makele nie uległ zmianie.

- Dziękuję.

Podczas tej rozmowy Don Makele zarobił dwa miliony dolarów. Teraz na pewno będzie trzymał gębę na kłódkę.

Rozdział 21

Paprociowy Parów 29 października, godzina 16.00

- Bądźcie cicho i się nie ruszajcie. Mają świetny wzrok isłuch - powiedziała Erika.

Patrzyła w górę na gałęzie mamaki, której duże, płatowate liście rozpościerały się ponad ich głowami. Jednego z liści trzymał się olbrzymi skrzydlaty owad. Lśnił jaskrawą zielenią, a jego ciało okrywały koronkowe zielone skrzydła przypominające listki. Miał długie czułki, wyłupiaste oczy, kilkusegmentowe nogi oraz wzdęty odwłok wypełniony tłuszczem. Słyszeli ciche syczenie, gdy owad oddychał, a powietrze wlatywało i wylatywało przez otwory umieszczone wzdłuż jego boków.

To był pasikonik.

Rick oparł dmuchawkę o ramię, po czym wsunął do środka strzałkę. Stalowy czubek był pokryty trucizną roztaczającą przykrą woń gorzkich migdałów: kurarą, którą Hutter samodzielnie przyrządził. Z tyłu strzałki przymocował kawałek wypełnienia materaca, które zabrał ze stacji Echo.

Przyklęknął i przyłożył wargi do dmuchawki, uważając, żeby kurara nie dostała mu

się do ust. Od oparów cyjanku zaczęły mu łzawić oczy i zacisnęło się gardło.

- Gdzie on ma serce? - szepnął do Eriki, która przykucnęła obok niego. Najlepiej znała się na owadziej anatomii, więc mogła pokierować jego strzałem.

- Serce? W tylnej grzbietowej części zatułowia.

Rick się skrzywił.

- Gdzie?

Erika się uśmiechnęła.

- Trochę poniżej grzbietu.

Rick pokręcił głową.

- Nie dam rady tam go trafić. Zasłania się skrzydłami.

Celował w różne miejsca, aż w końcu zdecydował się na strzał w brzuch. Przymierzył w dolną część odwłoka, wziął głęboki oddech, po czym dmuchnął.

Strzałka zagłębiła się w ciele pasikonika. Owad sapnął, a jego skrzydła zadygotały.

Przez chwilę mieli wrażenie, że odleci, ale tak się nie stało. Wydał z siebie ogłuszający skrzek, od którego zabolowały ich uszy. Czy był to okrzyk strachu, a może bólu? Pasikonik zaczął szybciej oddychać, po czym sflaczał, ześlizgnął się i zawisł na krawędzi liścia.

Amar się wzdrygnął. Nie spodziewał się, że cierpienie owada zrobi na nim takie wrażenie. Kurara Ricka miała potężną moc.

Czekali. Pasikonik wisiał do góry nogami. Oddychał coraz wolniej i coraz bardziej chrapliwie. W końcu przestał, a po chwili spadł na ziemię.

- Dobra robota, Rick!

- Prawdziwy z ciebie myśliwy!

Początkowo pasikonik nie wydawał się zachęcający dla nikogo poza Eriką.

- W Tanzanii jadłam termity, były pyszne - rzekła Erika. - Mieszkańcy Afryki uważają

owady za przysmak.

Danny usiadł na gałązce, walcząc z mdłościami. Miał ochotę zwymiotować od samego patrzenia na martwego owada.

- Może lepiej poszukajmy budki z hamburgerami - spróbował zażartować.

- Mięso owadów jest lepsze od hamburgerów - odparł Amar. - Zmielone mięśnie, krew i tkanka łączna bydła to coś obrzydliwego. Nigdy nie zjadłbym krowy. Ale pasikonika... cóż... może się skuszę.

Patrzyli na zabite zwierzę i stawali się coraz bardziej głodni. Ich małe ciała bardzo szybko zużywały energię. Musieli coś zjeść. Nie mieli innego wyjścia. Głód przewyciężył niepewność.

Porabali pasikonika maczetami, podczas gdy Erika udzielała im wskazówek anatomicznych. Gdy wyciągnęli mięso i wnętrzności, poleciła im wszystko umyć. Przezrzysta żółtozielona hemolimfa, krew zwierzęcia, wypłynęła spod rozłupanego pancerza. Oddzielili nogi, przecinając twarde bioplastik, żeby dostać się do mięsa. W górnych tylnych odnóżach znaleźli gładkie białe mięśnie. Pocięli największe części nóg na plastry. Krew owada mogła zawierać toksyny ze strzałki, dlatego musieli umyć mięso. Po wymoczeniu i opłukaniu w kroplach rosy wyglądało na czyste i smakowite. Zjedli je na surowo. Miało delikatny słodki smak.

- Nieźle - stwierdził Rick. - Trochę jak sushi.

- Naprawdę świeże - dodała Karen.

Nawet Danny dał się skusić, początkowo nieśmiało, ale już po chwili wepchnął sobie cały plaster mięsa do ust.

- Przydałaby się sól - mruknął.

Z odwłoka zwierzęcia wyciekał miękki żółtawy tłuszcz.

- Tłuszcz na pewno nam nie zaszkodzi - rzekła Erika. Nikt nie miał ochoty spróbować, więc sama nabrała go na dłoń i zjadła na surowo. - Jest słodki. Ma lekko orzechowy posmak. Ich ciała potrzebowały tłuszczu i wkrótce wszyscy zagłębili się w odwłoku pasikonika, wybierając tłuszcz, napychając nim usta i oblizując palce.

- Czuję się jak lew na polowaniu - rzekł Peter.

Pasikonik miał znacznie więcej mięsa, niż byli w stanie zjeść.

Nie chcieli, żeby się zmarnowało, więc zebrali trochę wilgotnego mchu i owinęli nim część mięsa, po czym poupychali w workach tyle, ile mogli unieść. Zabrali wystarczająco dużo kawałków, żeby wystarczyło im na długą podróż.

Czując się znacznie lepiej, przyjrzeni się odręcznie narysowanej mapie. Peter wyznaczał trasę za pomocą kompasu. Wskazał kilka najważniejszych miejsc.

- Myślę, że jesteśmy tutaj - powiedział, pokazując kępę trzech paproci. - Blisko stacji

Bravo. Przed zmierzchem powinniśmy do niej dotrzeć. - Rozejrzał się i popatrzył na niebo.

Robiło się coraz ciemniej; było późne popołudnie. - Miejmy nadzieję, że stacja jest nienaruszona.

Za pomocą kompasu obrał kurs na odległą palmę i wyruszyli, dźwigając worki, od czasu do czasu przystając, żeby węszyć oraz nasłuchiwać, czy w okolicy nie ma mrówek.

Gdyby natrafili na jedną kolejną z pewnością byłyby w pobliżu. Wówczas należało się szybko oddalić, żeby mrówki nie zdążyły się zdenerwować. Największe zagrożenie stanowiło wejście do gniazda. Gdy słońce zaczęło zachodzić, cienie zakryły leśne poszycie, a Peter idący na

czele zaczął się bardziej niepokoić mrówkami i tym, że przypadkowo natrafi na gniazdo.

Jednak na razie szczęście im sprzyjało.

- Stójcie! - zawołał Peter.

Zbadał znak na łodydze ilihii, która przypominała miniaturowe drzewo. Na łodydze znajdowały się nacięcia w kształcie litery V, a ponad nimi symbol X namalowany pomarańczową farbą.

To była strzałka.

Doszli do szlaku.

Peter ruszył dalej i znalazł kolejny X namalowany na kamieniu farbą w aerozolu.

Szlak prowadził w głąb lasu, a niewyraźnym śladom na ziemi towarzyszyły strzałki. Po kilku minutach Peter zatrzymał się na skraju dużej, nierównej dziury. Gleba wokół niej została rozkopana i wywrócona. Dookoła dziury widniały olbrzymie odciski butów wypełnione wodą, niczym baseny pływackie. Peter zerknął na mapę.

- Tu powinna być stacja Bravo - rzekł. - Ale zniknęła.

Odciski butów świadczyły o tym, co się stało. Ktoś wykopał stację z ziemi i zabrał.

- Musimy zakładać najgorsze - odezwała się Karen, zdejmując plecak i siadając obok dołu w ziemi. Otarła czoło. - To robota Vina Drake'a. Wie albo przynajmniej podejrzewa, że wciąż żyjemy, i chce nam odebrać szansę przetrwania.

- A więc na nas poluje - zmartwił się Peter.

- Ale niby jak miałyby nas odnaleźć? - zdziwił się Rick.

Dobre pytanie. Normalny człowiek miałby trudności z zauważeniem ich dwunastomilimetrowych ciał.

- Teraz najważniejsze to zachować ciszę w eterze - stwierdził Peter.

Zniknięcie stacji Bravo oznaczało, że nie mieli gdzie się schować po zmroku. Słońce

zachodziło i szybko zapadała noc, jak to w tropikach.

Erika z coraz większym niepokojem obserwowała obniżające się słońce.

- Chciałam tylko zauważyć, że większość owadów prowadzi nocny tryb życia -

powiedziała. - A wiele z nich to drapieżniki.

- Musimy rozbić obóz - zdecydował Peter. - Zbudujemy fort.

Całkiem niedaleko sześcionogi pojazd szybko przemierzał leśne poszycie, wspinając się na kamyki i odpychając z drogiliście, a jego nogi pracowały z niespożytą energią przy wtórze jęku silniczków.

Johnstone prowadził, trzymając dłoń wewnątrz urządzenia sterowniczego przypominającego rękawicę i odczytując wskazania przyrządów. Informowały go o poziomie mocy dostarczanej do nóg pojazdu przez serwomotory. Telius siedział obok w otwartym kokpicie, wodząc wzrokiem w lewo i prawo, w górę i w dół. Obaj mężczyźni mieli na sobie pancerze bojowe.

Pojazd napędzały nanolaminatowe mikroakumulatory litowe. Miał duży zasięg i mnóstwo mocy. Zwyczajne samochody nie radziły sobie w mikroświecie, gdyż co chwila utykały, bezradnie kręcąc kołami. Nie potrafiły się wspinać na przeszkody. Dlatego inżynierowie postanowili skopiować rozwiązania spotykane u owadów, co doskonale się sprawdziło.

Pojazd dotarł do dziury w ziemi.

- Stój - zawołał Telius.

Johnstone zatrzymał pojazd i popatrzył w głąb otworu.

- To stacja Echo.

- Już nie - poprawił go Telius.

Mężczyźni wyskoczyli wysoko w powietrze i grzechocząc pancerzami, wylądowali na

nogach. Mieli praktykę w poruszaniu się w mikroświecie i wiedzieli, jak wykorzystywać swoją siłę. Zaczęli okrążyć otwór, badając mech i okruchy ziemi. Deszcz, który padał wcześniej, zatarł większość śladów młodych ludzi, jednak nie wszystkie, a Johnstone potrafił wytropić każdego. Jego uwagę zwrócił mech na jednym z kamieni. Przyjrzał mu się z bliska. Mech sięgał mu do pasa. Johnstone dotknął wąskiej łodygi, która z niego sterczała; była to łodyga zarodnika zakończona pękniętą zarodnią. Była wygięta pod kątem prostym i uszkodzona, a zarodniki się wysypały. Niektóre z nich przywarły do mchu. Na lepkich, wilgotnych granulkach Telius zauważył odcisk ludzkiej dłoni. Ktoś chwycił łodygę, złamał ją rozsypały pyłki, po czym się o nie oparł. Nieco dalej Telius znalazł plątaninę śladów stóp na stercie piachu pod rozłożystym liściem, który ochronił ziemię przed rozbryzgami deszczu. Johnstone uklęknął i przyjrzał się śladom.

- Jest ich pięcioro... nie, sześcioro. Idą gęsiego. - Popatrzył w dal. - Kierują się na południowy wschód.

- Co tam jest? - spytał Telius.

- Parking. - Johnstone zmrużył oczy i się uśmiechnął.

Telius popatrzył na niego pytająco.

Johnstone zdjął roztocz, który usiadł mu na łopacie, zgniół go i odrzucił.

- Pierdolony roztocz. Teraz już znamy ich plan.

- Jaki plan?

- Chcą wrócić ciężarówką do siedziby Nanigenu.

Oczywiście miał rację. Telius pokiwał głową i zaczął szybko iść po śladach. Johnstone wskoczył do pojazdu i ruszył za swoim partnerem, który biegł nieśpiesznie, co chwila przeskakując przeszkody. Od czasu do czasu zatrzymywał się, żeby zbadać ślady na miękkim gruncie. Ścigani nie starali się ich zacierać. Nie spodziewali się, że ktoś ich śledzi.

Jednak zaczęła się zmierzchać, a Telius i Johnstone wiedzieli dostatecznie dużo o mikroświecie, by zdawać sobie sprawę, że powinni poszukać schronienia na noc. Pod żadnym pozorem nie wolno wędrować po zmroku.

Zatrzymali pojazd. Johnstone otoczył go palikami, na których na wysokości piersi rozwiesił kabel, tymczasem Telius wykopał dół bezpośrednio pod maszyną. Podłączyli kabel do kondensatora - dzięki czemu miał porazić prądem każde zwierzę, które go dotknie - po czym ukryli się w dole, opierając się o siebie plecami, ustawiając obok naładowane i odbezpieczone karabiny.

Telius odchylił głowę do tyłu i włożył sobie pod wargę odrobinę tytoniu do zucia.

Johnstone zabrał ze sobą radiolokator, dzięki któremu w nocy mógł słuchać transmisji. Nie martwił się. To była jego dziesiąta wyprawa do mikroświata, więc doskonale wiedział, co robić. Włączył urządzenie i obserwował ekran, wypatrując śladów transmisji w paśmie siedemdziesięciu gigaherców, z którego korzystały zestawy słuchawkowe używane w Nanigenie. W eterze jednak panowała cisza.

- Może nie mają nadajników - rzekł do Teliusa.

Telius mruknął coś w odpowiedzi, po czym wypluł strużkę tytoniu.

Zjedli trochę prowiantu. Wyszli osobno, żeby oddać mocz. Gdy jeden oddalił się o kilka kroków, drugi osłaniał go, trzymając karabin, na wypadek gdyby coś usiłowało się przedrzeć przez ogrodzenie. Niektóre z tych bestii mogły wywęszyć sikającego człowieka. Później naprzemiennie pełnili straż i drzemali. Ten, kto akurat stał na straży, zakładał okulary na podczerwień i prowadził obserwację tuż ponad poziomem gruntu.

Johnstone wciąż był pod wrażeniem tego, jak wiele dzieje się w tym świecie po zmroku. W podczerwieni widział nieustanny ruch małych stworzeń zajętych swoimi cholernymi sprawami - milionów wszechobecnych pełzających robaków. Nawet nie wiedział,

czym są. Wystarczy obejrzyć jednego robaka, żeby mieć pojęcie o wszystkich. Chyba że trafi się na drapieznika. Wpatrywał ciepłego kształtu myszy. Tej nocy miał ochotę ustrzelić grubego zwierza. Powalenie myszy z karabinu Express kaliber.600 mogło się równać z upolowaniem bawołu, czego kilkakrotnie dokonał w Afryce.

- Chciałbym rozwalić mysz - rzekł. - Byłoby zabawnie.

Telius stęknął.

- Tylko wolałbym nie trafić na pieprzoną skolopendrę - dodał Johnstone.

Rozdział 22

Okolice stacji Bravo 29 października, godzina 18.00

Sześcioro pozostałych doktorantów wspięło się na podwyższenie u podstawy niewielkiego drzewa. W tym miejscu nie groziło im zalenie, gdyby w nocy spadł deszcz. Drzewem była ohia obsypana czerwonymi kwiatami, które lśniły w wieczornym świetle.

- Powinniśmy zbudować palisadę - stwierdził Peter.

Zebraли suche gałązki i łodygi traw. Porozdzielali je na długie ostre drzazgi, które powbijali w ziemię, tworząc nachylony mur wokół obozu. Pozostawili lukę w palisadzie, na tyle szeroką, żeby prześlizgnął się przez nią człowiek, otoczoną zygzakami palików, które utrudniały przejście. Umacniali fort, dopóki nie zrobiło się całkiem ciemno. Wciągnęli za palisadę martwe liście i sporządzili dach, który miał ich chronić przed deszczem oraz wzrokiem latających drapieźników.

Rozłożyli liście także na ziemi pod dachem. Dzięki temu nie musieli siedzieć na poszyciu, gdzie stale roiło się od malutkich robaków. Rozciąli lekki namiot, przekształcając go w płaską brezentową płachtę, którą rozpostarli na listowiu, żeby uzyskać suche i nieco wygodniejsze podłoże do spania.

Zbudowali fort. Karen przyniosła swój pojemnik z aerozolem. Był niemal pusty -

zużyła większość substancji podczas walki z mrówkami.

- W środku jest benzochinon. Jeśli coś nas zaatakuje, będziemy mieć do dyspozycji przynajmniej kilka strzałów.

- Teraz czuję się znacznie bezpieczniej - rzekł Danny z sarkazmem.

Rick zamoczył grot harpuna w słoiku z kurarą, po czym oparł gotową broń o palisadę.

- Powinniśmy wystawić strażę - przypomniał im Peter. - Będziemy się zmieniać co dwie godziny.

Musieli zdecydować, czy rozpać ognisko. W normalnym świecie ludzie zagubieni w lesie w nocy rozpalają ogień, żeby się ogrzać i odstraszyć drapieżniki. Jednak w mikroświecie sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, co zgrabnie podsumowała Erika:

- Światło przyciąga owady. Jeśli rozpalimy ognisko, możemy zwabić drapieżniki oddalone nawet o kilkaset metrów. Lepiej nie korzystajmy też z latarek.

To oznaczało, że mieli spędzić noc w całkowitej ciemności.

Gdy zmierzch zmienił się w noc, świat stracił kolory, blaknąc do szarości i czerni.

Nagle usłyszeli stukanie i dudnienie, które rozbrzmiewało coraz bliżej - odgłos licznych nóg kroczących po ziemi.

- Co to jest? - spytał Danny drżącym głosem.

Obok obozu przeszło stado widmowych, delikatnych zwierząt. To były kosarze, zwane także łabuńcami, ośmionożne stworzenia poruszające się na chudych, nieprawdopodobnie długich odnóżach, które z punktu widzenia doktorantów miały rozpiętość czterech i pół metra. Ciało każdego z kosarzy przypominało owalną grudkę, na której znajdowała się para błyszczących oczu. Stworzenia sunęły po leśnym poszyciu, stukając odnóżami, szukając pożywienia.

- Olbrzymie pająki - syknął Danny przez zęby.

- To nie pająki - odparła Karen. - Należą do rzędu Opiliones.

- Co to znaczy?

- Są krewnymi pajaków, ale niegroźnymi.

- Kosarze są jadowite - odrzekł Danny.

- Nieprawda! - odburknęła Karen. - Nie wytwarzają jadu. Większość z nich żywi się grzybami i gnijącymi odpadkami. Według mnie są piękne; to żyrafy mikroświata.

- Tylko arachnolog może powiedzieć coś takiego - stwierdził Rick.

Stado kosarzy oddaliło się, a tupot ich nóg ucichł. Mrok zgęstniał i wypełnił las niczym wody przyływu. Odgłosy dżungli się zmieniły. To oznaczało, że z ukrycia wyszły zupełnie nowe stworzenia.

- Zmiana warty - odezwała się Karen w ciemności. - Nowa zmiana będzie głodna.

Ledwie się widzieli.

Wraz z upływem nocy hałasy wokół obozu przybrały na sile i rozbrzmiewały coraz bardziej natarczywie. Z bliska i z daleka dobiegało skrzeczenie, dudnienie, zawodzenie, stukanie, gwizdanie oraz przeciągłe i pulsujące ryczenie. Grunt wibrował, gdyż niektóre owady porozumiewały się za pomocą uderzeń w ziemię lub inne powierzchnie, ale ludzie nie rozumieli tych komunikatów.

Zwinęli się w kłębek na ziemi, a Amar Singh pierwszy stanął na warcie. Trzymając harpun, wspiął się na zbudowany z liści dach fortu, gdzie usiadł wyprostowany, nasłuchując i węsząc. W powietrzu było pełno feromonów.

- Nie znam tych zapachów - wyznał. - Wszystkie są dla mnie obce.

Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mogą cokolwiek wyczuć. Zostali zmniejszeni stukrotnie, czyli atomy w ich ciałach zapewne również są sto razy mniejsze. A skoro tak, to jak mogą wchodzić w interakcje z olbrzymimi atomami w ich otoczeniu? Nie powinni być w

stanie czuć żadnego zapachu ani smaku. Jak to możliwe, że oddychają? Jak małe cząstki hemoglobiny w ich czerwonych krwinkach mogą przenosić wielkie cząstki tlenu z wdychanego powietrza?

- To paradoks - oznajmił pozostałym. - W jaki sposób zmniejszone atomy w naszych ciałach mogą reagować z normalnymi atomami w świecie zewnętrznym? Jak możemy czuć zapachy i smaki? Jakim cudem nasza krew przenosi tlen? Powinniśmy być martwi. Nikt nie znalazł odpowiedzi.

- Może Kinsky by wiedział - zasugerował Rick.

- Niekoniecznie - odparł Peter. - Mam wrażenie, że Nanigen nie do końca rozumie własną technologię.

Rick myślał o chorobie dekompresyjnej. Od pewnego czasu dyskretnie przyglądał się swoim rękóm i dłonióm, szukając sińców. Na razie niczego nie znalazł.

- Może chorobę dekompresyjną wywołuje niedopasowanie atomów - powiedział. -

Może dochodzi do zaburzenia interakcji pomiędzy zmniejszonymi atomami naszych ciał a dużymi atomami wokół nas.

Roztocz wspiał się na Amara, który zdjął go z koszuli i upuścił na ziemię, nie chcąc robić mu krzywdy.

- A co z bakteriami w naszych wnętrznościach? Żyją ich tam tryliony. Czy one także się skurczyły?

Nikt nie wiedział.

- Co się stanie, jeśli nasze pomniejszone bakterie przedostaną się do tego ekosystemu?

- zastanawiał się Amar.

- Może zabije je choroba dekompresyjna - odrzekł Rick.

Srebrzysty blask lekko rozświetlił okolice, gdy księżyc rozpoczął wędrówkę po niebie.

Nagle ponad lasem poniósł się echem upiorny okrzyk: „Puuu... iii... ooo... ooo...”.

- Mój Boże, co to było?

- To chyba sowa. Słyszymy ją w niższej częstotliwości.

Pohukiwanie rozległo się ponownie. Dobiegało ze szczytu drzewa i brzmiało jak śmiertelna groźba spowita w jęk. Poczuli groźną obecność sowy gdzieś w górze.

- Zaczynam rozumieć, jak się czują myszy - rzekła Erika.

Odgłos umilkł i para złowieszczych skrzydeł w całkowitej ciszy przemknęła na tle korony drzewa. Sowa polowała na większe ofiary; nie interesowali jej mikroskopijni ludzie.

Usłyszeli skrzypienie i szelest, po czym ziemia zatrzęsa się im pod stopami.

- Coś jest pod nami! - wykrzyknął Danny, zrywając się na nogi. Stracił równowagę, kiedy grunt zaczął się rozdzielać, i zachwiał się jak na pokładzie statku kołysanego falami.

Pozostali wstali z liści i wyciągnęli maczety, podczas gdy ziemia pod nimi jęczała i drżała. Amar uniósł harpun nad głowę, czując, jak serce tłucze mu się w piersi. Był gotów zabijać. Czuł to. Ludzie rozproszyli się i podbiegli do palisady, zastanawiając się, czy powinni uciec na zewnątrz, czy poczekać, aż zagrożenie się zmaterializuje.

W końcu ujrzeli różowawobrazowy walcowaty kształt o oszałamiających rozmiarach, który wyłonił się z głębi ziemi, pchając przed sobą piach. Danny wrzasnął. Amar o mało nie cisnął harpunem, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

- To tylko dżdżownica, koledzy - powiedział, odkładając broń. Nie miał zamiaru bez potrzeby przebijać dżdżownicy. To łagodne zwierzę po prostu starało się jakoś przeżyć pod ziemią i nie stanowiło zagrożenia dla nikogo.

Dżdżownicy nie spodobało się to, co napotkała na powierzchni. Wycofała się pod ziemię, po czym ruszyła w dalszą drogę, chrzęszcząc jak buldożer i wprawiając w drżenie palisadę.

Gdy księżyc wspiął się wyżej, ze swoich kryjówek wyszły nietoperze. Młodzi ludzie usłyszeli staccato gwizdzących okrzyków i szumiących ryków dobiegających spomiędzy czubków drzew: niepokojące odgłosy sonarów nietoperzy. Latające drapieżniki wykorzystywały wiązki ultradźwięków, żeby szukać zdobyczy w powietrzu. Sonar nietoperza emituje dźwięki zbyt wysokie dla ludzkiego ucha, jednak w mikroświecie zwierzaki brzmiały jak okręty podwodne sondujące głębię.

Usłyszeli, jak nietoperz namierza i zabija ćmę.

Polowanie zaczęło się od powolnej serii pisków. Nietoperz kierował pulsujące dźwięki w stronę ćmy, rozpoznając zdobycz oraz oceniając odległość i kierunek jej lotu. Następnie piski stały się szybsze i głośniejsze. Erika wyjaśniła, co się dzieje.

- Nietoperz „maluje” ćmę za pomocą sonaru. Strzela w nią wiązką ultradźwięków i słucha powracającego echa. W ten sposób poznaje położenie, wielkość i kształt ćmy oraz kierunek jej lotu. Piski stają się coraz częstsze, gdy nietoperz zbliża się do ofiary.

Namierzane ćmy często broniły się, wydając głośne bębniące odgłosy.

- Ćmy mają doskonały słuch - wyjaśniła Erika.

Słyszac sonar nietoperza, ćmy bronią się za pomocą hałasu.

Bębniące odgłosy pochodzą z rezonatorów znajdujących się w odwłoku owada i są w stanie zablokować sonar nietoperza, zaskakując drapieżnika i czyniąc ofiarę niewidoczną. Za każdym razem, gdy nietoperz zbliżał się do ćmy, rozlegała się seria przyspieszających pisków pomieszana z coraz głośniejszym bębnieniem, gdy owad próbował zakłócić działanie sonaru drapieżnika. Pik, pik, pik, wołał nietoperz. Pampampampam, odpowiadała ćma, usiłując zbić go z tropu. Czasami bębnienie ćmy gwałtownie się urywało.

- Nietoperz zjadł ćmę - informowała Erika.

Słuchali jak zahipnotyzowani, a odgłosy nietoperzy rozbrzmiewały ponad ich

głowami. W pewnej chwili jeden z nietoperzy przeleciał tuż nad ich fortem, łopocząc aksamitnymi skrzydłami. Odgłos jego sonaru niemal ich ogłuszył i sprawił, że zaczęło im dzwonić w uszach.

- Ten świat cholernie mnie przeraża - przyznała Karen. - Ale mimo wszystko cieszę się, że tutaj jestem. Chyba zwariowałam.

- Przynajmniej jest ciekawie - stwierdził Rick.

- Przydałoby się ognisko - szepnęła Erika.

- Niemożliwe - odparł Peter. - Zwrócilibyśmy na siebie uwagę wszystkich drapieżników.

To Erika zaleciła, żeby nie rozpalali ognia, jednak jej pierwotna ludzka natura za nim tęskniła. Ogień zapewniał ciepło, światło i pociechę. Kojarzył się z bezpieczeństwem, pokarmem i domem. Teraz otaczały ich tylko ciemność, chłód oraz dziwaczne odgłosy. Erika czuła w gardle łomotanie serca. Zaszło jej w ustach i zdała sobie sprawę, że jeszcze nigdy w życiu nie była tak przerażona. Prymitywna część jej umysłu chciała krzyczeć i uciekać, chociaż racjonalna część wiedziała, że nocny bieg na oślep przez dżunglę to pewna śmierć. Najrozsądniej było siedzieć nieruchomo w milczeniu, lecz Erika czuła, że w każdej chwili może ją przytłoczyć lęk przed ciemnością. Wydawało się, że mrok wiję się wokół ludzi i ich obserwuje.

- Wiele bym dała za chociaż odrobinę światła - wyszeptała Erika. - Od razu poczułabym się lepiej.

Peter zacisnął palce na jej dłoni.

- Nie bój się, Eriko.

Zaczęła cicho płakać, również ściskając jego dłoń.

Amar siedział z harpunem na kolanach. Rozsmarował na jego czubku jeszcze trochę

kurary, pracując na ślepo, mając nadzieję, że się nie skaleczy. Peter zaczął ostrzyć maczetę.

Słyszeli, jak przesuwa osełką po ostrzu. Pozostali spali albo próbowali spać.

Odgłosy uległy zmianie. Po chwili otuliła ich cisza, która obudziła śpiących. Bacznie nadstawili uszu. Cisza wydawała się gorsza od wszystkich hałasów.

- Co się dzieje? - spytał Rick.

- Podnieście broń - szepnął Peter nagłym głosem.

Rozległo się pobrzękiwanie ostrzy, gdy chwycili i przygotowali maczety.

Nagle usłyszeli cichy gwizd. Wydawało się, że dobiega równocześnie z kilku miejsc.

Coraz bardziej się zbliżał. Coś nadchodziło.

- Co to jest?

- Brzmi jak oddech.

- Może to mysz.

- Raczej nie.

- W każdym razie ma płuca.

- Tak... zbyt wiele płuc.

- Przygotujcie latarki - polecił Peter. - Włączcie je, kiedy dam sygnał.

- Co to za zapach? Powietrze wypełnił przykry, zatęchły smród. Stawał się coraz silniejszy i gęstszy, aż w końcu mieli wrażenie, że pokrywa ich skórę jak olej.

- To jad - odparł Peter.

- Jakiego rodzaju? - ostro spytała Karen.

Peter próbował przypomnieć sobie wonie różnych typów trucizn, ale nie zdołał rozpoznać tego zapachu.

- Nie wiem, co...

Jakieś duże i ciężkie zwierzę hałaśliwie mknęło w ich stronę.

- Światła! - zawołał Peter.

Rozbłysło kilka latarek i snopy światła skrzyżowały się na dużym wiju, który biegł w ich kierunku. Miał krwistoczerwoną głowę o czworgu oczach. Pod głową znajdował się złożony otwór gębowy, a po jego bokach czerwone szczękoczułki z czarnymi czubkami. Wij poruszał się na czterdziestu falujących nogach, a jego ciało okrywał wielosegmentowy pancerz w kolorze mahoni. To była olbrzymia hawajska skolopendra, jeden z największych pareczników na ziemi.

Rozdział 23

Paprociowy Parów 30 października, godzina 2.00

Skolopendra przebiła palisadę, rozrzucając kawałki drewna. Ludzie odskoczyli i poprzewracali się na boki, krzycząc i wrzeszcząc. Wij miał czuły węch, a zapach ludzi sprowokował go do ataku. Pomyłkowo uznał za swoją ofiarę liście rozesłane na podłożu i zatopił w nich zęby, dzięki czemu zdołali się rozproszyć. Z zadziwiającą szybkością zwierzę wilo się na ziemi, tryskając z kłów litrami jadu, który wypełniał powietrze paskudną wonią. Każde z odnóży olbrzymiego parecznika kończyło się spiczastym zatrutym kolcem, który mógł posłużyć do zadania ciosu ofierze. Czterdzieści nóg skolopendry tłukło o ziemię, sącząc jad.

Amar ukrył się na dachu z liści. Kiedy skolopendra go roztrzaskała, spadł prosto na nią. Rzucił się twarzą na ziemię, próbując się chronić.

Karen знаła się na anatomii stonóg.

- Uważaj na jej nogi! - krzyknęła do Amara. - Na każdej ma kolec jadowy!

Amar przetoczył się i zaczął się wic na ziemi, podczas gdykolce uderzały wokół niego, chlapiąc jadem. Lada chwila któryś z nich mógł go przebić.

- Amar! - zawołał Peter.

Ruszył naprzód i zaczął uderzać stonogę maczetą próbując odciągnąć zwierzę od kolegi, ale ostrze odbijało się od pancerza. Pośród krzyków i krzyżujących się promieni światła z latarek pozostali również zaatakowali skolopendrę maczetami, starając się odwrócić jej uwagę i dać Amarowi szansę ucieczki. Karen rozpyliła benzochinon, ale wij nawet tego nie zauważył.

Nagle zwierzę puściło liście i zaczęło miotać głową poruszając szczękoczułkami, próbując pochwycić zdobycz. Miało słaby wzrok, ale wyczuwało zapach za pomocą czułków, którymi wymachiwało na wszystkie strony. Jeden z czułków trafił Karen i rzucił ją na ścianę palisady.

Wij odwrócił się i stanął naprzeciwko kobiety.

Amar skorzystał z okazji, odtoczył się na bok, po czym z trudem wstał, wciąż trzymając harpun.

- Hej! - zawołał.

To nie przyniosło żadnego skutku, więc skoczył na grzbiet skolopendry. Stanął na chwiejącym się pancerzu, próbując utrzymać równowagę i zdecydować, gdzie wbić harpun.

- Celuj w serce! - zawołała Karen.

Amar nie miał pojęcia, gdzie skolopendra ma serce; jej ciało było podzielone na liczne segmenty.

- Gdzie? - krzyknął.

- Czwarty segment!

Amar odliczył segmenty, zaczynając od głowy, i uniósł harpun, ale nagle się zawahał.

W tym stworzeniu było coś wspaniałego. Podczas tej chwili niepewności skolopendra gwałtownie poruszyła grzbietem. Amar głęboko wbił harpun, lecz jednocześnie spadł z pancerza. Runął na ziemię, pozostawiając broń w grzbiecie stworzenia. Skolopendra

gwałtownie się obróciła i miotając się po ziemi, zacisnęła szczęki, uderzając jednym kłem w pierś Amara, rozrywając mu koszulę i pokrywając go tryskającym jadem.

Amar zwinął się w kłębek, jęcząc z bólu. Miał wrażenie, że jego klatka piersiowa płonie. Skolopendra wpadła w szal, pobrzękując harpunem tkwiącym w jej ciele. Rick i Karen szybko odciągnęli Amara. Wój z sykiem rozwinął się i ponownie zwinął. Harpun sterczał z jego grzbietu.

- Wspinajcie się! - zawołała Karen. - Pareczniki nie potrafią wchodzić na drzewa!

Obozowali u podnóża drzewa porośniętego mchem. Wskoczyli na nie, chwytając mech dłońmi i wbijając w niego stopy, po czym zaczęli się wspinać. Dzięki temu, że w mikroświecie mniej przeszkadzała im grawitacja, wspinali się szybko i łatwo. Peter wciągał za sobą Amara, trzymając go pod rękę i próbując nie dotykać rany na piersi. Szybko znaleźli się ponad pół metra nad ziemią i zatrzymali w czymś, co przypominało jaskinię w mchu, skąd zaczęli wypatrywać stonogi.

Skolopendra wypełzła z ruin fortu z kołyszącym się harpunem w grzbiecie. Słyszeli, jak syczy. Nie zaszła daleko. Nagle znieruchomiała i przestała oddychać. Amar zadał zabójczy cios. Kurara Ricka zadziałała.

Skulili się w jaskini w mchu pół metra nad ziemią, poza zasięgiem pareczników.

Zgasili latarki na głowach. Amar Singh zachowywał się tak, jakby stracił rozum. Peter i Karen przytrzymywali go, mówili do niego i próbowali uspokoić. Amar był w szoku, obficie się pocił, ale temperatura jego ciała gwałtownie spadła, a skóra była zimna i lepka w dotyku. Owinęli go folią termiczną. Przyjrzeni mu się w świetle latarek. Kieł skolopendry rozciął pierś Amara do kości i mężczyzna stracił mnóstwo krwi. Poza tym został obłany dużą ilością jadu, który wsączył się do rany. Nie wiedzieli, ile jadu dostało się do organizmu ani jaki to wywrze skutek.

Amar szarpał się z nimi, majacząc. Oddychał szybko i płytko.

- Piecze...

- Amarze, posłuchaj. Zostałeś zatruty - rzekł Peter.

- Musimy stąd odejść!

- Leż nieruchomo.

- Nie! - Amar starał się wyrwać, podczas gdy pozostali przytrzymywali go i próbowali wyciszyć.

- Nadchodzi! Zaraz tutaj będzie! - jęczał.

- Co takiego?

- Umrzemy! - wrzasnął, usiłując rzucić się do ucieczki.

Przycisnęli go do podłoża, próbując przełamać jego opór.

Peter wiedział, że jad pareczników nie został dokładnie zbadany przez naukowców.

Nie istniała żadna antytoksyna ani antidotum. Obawiał się, że Amar może przestać oddychać.

Niektóre z objawów zatrucia jadem skolopendry przypominają wściekliznę. Amar

doświadczał hiperestezji i odbierał wszystkie bodźce z nadmierną intensywnością. Dźwięki były zbyt głośne, a najlżejszy dotyk wstrząsał jego ciałem. Cały czas próbował zerwać z siebie folię termiczną.

- Piecze, piecze - powtarzał.

Peter na chwilę zapalił latarkę, żeby mu się przyjrzeć.

- Wyłącz to! - wrzasnął Amar, wymachując rękami. Światło sprawiało mu ból. Z jego oczu popłynęły łzy, chociaż nie płakał. A przede wszystkim jego umysł ogarnęło nieopisane przerażenie. Był przekonany, że lada chwila wydarzy się coś strasznego. - Musimy stąd odejść! - zawodził. - Nadchodzi! Zbliża się! - Jednak nie zdradzał, o czym mówi. -

Uciekajcie! - wrzasnął. Starał się wyczołgać z jaskini i wyskoczyć. Peter i pozostali trzymali

go za ręce i nogi, usiłując powstrzymać go przed rzuceniem się z drzewa w ciemność.

Amar długo walczył i bełkotał, ale w pierwszych godzinach poranka przycichł i najwyraźniej odzyskał spokój. A może po prostu opadł z sił. Peter uznał to za dobry znak.

Miał nadzieję, że Amar się wyliże.

- Umrę - szepnął Amar.

- Wcale nie. Trzymaj się.

- Straciłem wiarę. Kiedy byłem mały, wierzyłem w reinkarnację. Teraz wiem, że po śmierci nic nas nie czeka.

- Majaczysz od trucizny, Amarze.

- Skrzywdziłem tak wielu ludzi. Już nie zdążę im tego wynagrodzić.

- Daj spokój, Amarze. Nikogo nie skrzywdziłeś. - Peter miał nadzieję, że w jego głosie zabrzmiała pewność.

To wszystko działo się w mroku, ponieważ nie odważyli się zapalić latarek. Erika w dzieciństwie panicznie bała się ciemności i teraz ten strach powrócił, gdy słuchała lękliwego bełkotu Amara. Jego cierpienie dotknęło ją bardziej niż pozostałych. Rozpłakała się i nie mogła przestać.

- Czy ktoś łaskawie może powiedzieć tej kobiecie, żeby się zamknęła? - rzucił Danny.

- Jakby było mało, że Amar wariuje, jeszcze ona działa mi na nerwy swoim płaczem.

Zaczął drapać się po nosie, wodząc opuszkami palców po twarzy.

Peter widział, że Danny także nie czuje się najlepiej, ale skupił się na Erice. Objął ją i pogłaskał po włosach. Kiedyś byli kochankami, lecz teraz nie kierowała nim miłość, tylko wola przetrwania. Musiał uchronić swoich ludzi przed śmiercią.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział i uściśnął dłoń Eriki. Dziewczyna zaczęła odmawiać Ojciec Nasz.

- Vater unser im Himmel...

- Zwraca się do Boga, kiedy zawodzi ją nauka - zauważył Danny.

- Co ty możesz wiedzieć o Bogu? - spytał go Rick.

- Tyle samo, co ty, Rick.

Pozostali próbowali spać. Mech był ciepły i miękki, a po ciężkiej walce czuli się wyczerpani. Nie chcieli zasypiać, ale sen i tak delikatnie ich ukołysał.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział i uściśnął dłoń Eriki. Dziewczyna zaczęła odmawiać Ojciec Nasz.

- Vater unser im Himmel...

- Zwraca się do Boga, kiedy zawodzi ją nauka - zauważył Danny.

- Co ty możesz wiedzieć o Bogu? - spytał go Rick.

- Tyle samo, co ty, Rick.

Pozostali próbowali spać. Mech był ciepły i miękki, a po ciężkiej walce czuli się wyczerpani. Nie chcieli zasypiać, ale sen i tak delikatnie ich ukołysał.

Rozdział 24

Dzielnica chińska, Honolulu 30 października, godzina 11.30

Porucznik Dan Watanabe siedział przy stoliku w jadłodajni Deluxe Plate w centrum

Honolulu i trzymał między palcami kawałek sushi z mielonką. Była to kulka smażonego ryżu owinięta wodorostami z kawałkiem mielonego mięsa w środku. Watanabe wgrzył się w potrawę. Wodorosty, ryż i słona mielonka połączyły się w jego ustach w smak, którego nie można znaleźć nigdzie poza Hawajami.

Rozkoszował się nim, powoli żując. Podczas drugiej wojny światowej na Hawaje

przybyły całe statki mielonki przeznaczonej dla żołnierzy. To ona podtrzymywała siły

amerykańskiego wojska. Mielonka i bomba atomowa zapewniły Amerykanom zwycięstwo.

Jednocześnie mieszkańcy Hawajów zakochali się w puszkowanym mięsie i ta miłość nigdy nie osłabła. Dan Watanabe wierzył, że mielonka dobrze działa na mózg, więc pomoże mu dokładniej przeanalizować fakty.

Właśnie myślał o zaginionym dyrektorze Nanigenu. Wszystko wskazywało na to, że Eric Jansen utonął niedaleko Makapu'u Point po tym, jak wyskoczył za burtę, gdy silnik jego motorówki odmówił posłuszeństwa. W kanale Molokai oddzielającym Makapu'u Point od wyspy Molokai pływa wiele żarłaczy białych, które mogły pożreć ciało. Jednak wiatry i prądy morskie powinny raczej znieść zwłoki w okolice Koko Head i tam wyrzucić je na brzeg. Zamiast tego ciało znika, a wkrótce potem na Hawajach pojawia się brat Erica, Peter Jansen. Następnie Peter znika.

Policja w Honolulu odebrała telefon od szefa ochrony Nanigenu, Donalda Makele, który doniósł, że siedmioro doktorantów z Massachusetts zaginęło razem z dyrektorką finansową spółki, Alyson F. Bender. Jednym z zaginionych był Peter Jansen. Doktoranci omawiali warunki zatrudnienia przez Nanigen. Cała ósemka, wliczając pannę Bender, spędziła wieczór w mieście, ale nie wróciła do siedziby spółki.

Zawiadomienie Dona Makele przekazano do wydziału osób zaginionych na posterunku w Honolulu, po czym spisano raport i włączono go do biuletynu informacyjnego, który rano rozesłano do wszystkich wydziałów. Tam natrafił na niego Watanabe. Zatem zaginęła dwójka dyrektorów Nanigenu: Erie Jansen i Alyson Bender. Do tego siedmioro doktorantów.

Zniknęło dziewięć osób powiązanych z Nanigenem.

Oczywiście na Hawajach zdarzają się zaginięcia, zwłaszcza wśród młodych turystów.

Fale bywają bardzo niebezpieczne. Czasami ktoś za dużo wypije albo wypali tyle zioła puna, że zapomina, jak się nazywa. Albo wsiada do samolotu lecącego do Kauai i rusza z plecakiem

na wybrzeże Na Pali, nikogo otym nie informując. Ale dziewięcioro ludzi powiązanych z jedną spółką, pochodzących z różnych miejsc, zajmujących się różnymi rzeczami?

Dan Watanabe wypił łyk czarnej kawy i dokończył sushi. Ogarnęło go nieprzyjemne przeczucie pomieszane z zawodową ciekawością. Niemal wyczuwał zapach potencjalnego przestępstwa. Woń nieujawnionej zbrodni.

- Dolewkę? - spytała kelnerka Misty, podchodząc z dzbankiem kawy.

- Dziękuję.

To była kawa kona, tak silna, że pobudzała aż do popołudnia.

- Może deser? Mamy tort z haupii.

Watanabe poklepał się po brzuchu.

- Raczej nie, Misty. Właśnie zjadłem porcję mielonki.

Misty zostawiła rachunek na blacie, a Dan wyrzwał przez okno.

Obok jadłodajni przeszła stara Chinka ciągnąca wózek z zakupami, spomiędzy których sterczał ogon ryby zawiniętej w gazetę. Po ulicy przemknął cień chmury, na chwilę pogrążając ludzi w ciemności, znów rozbłysło słońce, po czym pojawił się kolejny cień.

Pasaty jak zwykle przynosiły na Oahu deszcz i słońce, które na zmianę pojawiały się nad wyspą. Nad górami często widać było tęcze.

Watanabe założył okulary przeciwsłoneczne i nieśpiesznie ruszył w stronę posterunku, przesuwając językiem po zębach, starając się wydłubać kawałek mielonki spomiędzy trzonowców. Zanim dotarł na miejsce, podjął decyzję.

Postanowił rozpocząć dochodzenie w sprawie Nanigenu.

Dyskretnie.

Kwestia była drażliwa. Nanigen był bogaty, a na jego czele stał ważny człowiek.

Spółka mogła mieć powiązania ze światem polityki. Wiedział, że będzie miał mniej czasu na

śledztwo w dziwacznej sprawie trzech zgonów - prawnika Willy'ego Fonga, prywatnego detektywa Marcosa Rodrigueza i niezidentyfikowanego Azjaty. Ofiary wykrwawiły się na śmierć z powodu licznych skaleczeń, gdy przebywały w zamkniętym gabinecie Fonga.

Bałagan Willy'ego Fonga, jak lubił nazywać tę sprawę, będzie musiał poczekać. Zresztą i tak Dan nie poczynił żadnych postępów.

Na posterunku Watanabe zajrzał do gabinetu swojego szefa Marty'ego Kalamy.

- Chciałbym się przyjrzeć tym zaginięciom w Nanigenie.

- Po co? - spytał Kalama, prostując się na krześle i szybko mrugając.

Watanabe wiedział, że Kalama nie kwestionuje jego metod, a jedynie chce poznać motywację porucznika.

- Najpierw poczekam, czy zaginieni się nie odnajdą. Jeśli tak się nie stanie, zbiorę zespół. Ale na razie chciałbym samodzielnie powęszyć w tej sprawie. Zachowując dyskrecję.

- Podejrzewasz, że doszło do przestępstwa?

- Nie widzę motywu, ale coś tutaj się nie zgadza.

- No dobrze - odrzekł Kalama. - Wyjaśnij.

- Peter Jansen. Kiedy pokazałem mu nagranie, na którym jego brat Erie wypada za burłę, miałem wrażenie, że rozpoznał kobietę, która pojawia się na filmie i jest świadkiem utonięcia. Ale potem stwierdził, że jej nie zna. Myślę, że kłamał. Wysłałem dwójkę swoich ludzi do siedziby Nanigenu, żeby dowiedzieli się czegoś więcej o Ericu Jansenie, dyrektorze, który utonął. Spotkali się z dyrektorem naczelnym, niejakim Drake. Zachowywał się grzecznie, ale moi ludzie mówili, że przypominało im to zatrzymanie samochodu, którego kierowca jest wyraźnie zdenerwowany, chociaż nie powinien mieć ku temu powodu.

- Może pan... eee...

- Drake.

-...Drake był poruszony śmiercią dyrektora.

- Raczej zachowywał się, jakby wioził trupa w bagażniku - odrzekł Watanabe.

Marty Kalama zmrużył oczy za okularami bez oprawek.

- Dan, nie masz żadnych dowodów.

Watanabe poklepał się po brzuchu.

- Mam przeczucie. Przemawia do mnie mielonka.

Kalama pokiwał głową.

- Bądź ostrożny.

- Dlaczego?

- Wiesz, czym się zajmuje Nanigen, prawda?

Watanabe wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ops. Jeszcze nie przyjrzał się działalności

Nanigenu.

- Produkują małe roboty - ciągnął Kalama. - Naprawdę małe.

- No i co?

- Taka spółka może współpracować z rządem. Lepiej z nią nie zadzierać.

- Wie pan coś o Nanigenie? - spytał Watanabe.

- Jestem tylko gliniarzem. My gównu wiemy.

Watanabe się uśmiechnął.

- Nie będę pana mieszał w tę sprawę.

- Ani mi się waż - odburknął Kalama. - Wynoś się. Zdjął okulary i wytarł je

chusteczką, patrząc, jak Dan Watanabe wychodzi z gabinetu. Spokojny i bystry facet, jeden z

jego najlepszych detektywów. Tacy sprawiają największe kłopoty. Jednak tak się składa, że

Marty Kalama lubi kłopoty.

Rozdział 25

Paprociowy Parów 30października, godzina 7.00

Nadszedł ranek i sześcioro ocalałych poruszyło się w zagłębieniu na omszałym pniu drzewa, gdzieś na porośniętym deszczowym lasem zboczu w górach Ko'olau Pali. Ptaki śpiewały powoli i nisko. Brzmiały jak wieloryby nawołujące się w głębi oceanu.

Peter Jansen wychylił głowę z kryjówki na pniu ohii, po czym się rozejrzał. Na ziemi dostrzegł pozostałości fortu rozbitego przez parecznika. Obok leżała martwa skolopendra. Mrówki już usunęły duże części padliny.

Pomyślał, że znajdują się na dnie morza. To było leśne morze, równie głębokie jak najgłębszy ocean.

Podniósł głowę, spoglądając w górę pnia. Drzewo było młode i niskie, a jego koronę pokrywały czerwone kwiaty, przez co wyglądała, jakby stała w płomieniach.

- Myślę, że powinniśmy spróbować wspiąć się na wierzchołek - powiedział.

- Po co? - spytał Rick.

Peter zerknął na zegarek.

- Chciałbym sprawdzić, gdzie jest parking, by się upewnić, że idziemy we właściwym kierunku. No i żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

- Brzmi sensownie - zgodził się Rick.

Obaj cofnęli głowy do kryjówki. Pozostali siedzieli skuleni na mchu wokół Amara owiniętego srebrzystą folią termiczną. Ranny wreszcie zasnął. Na boku jego głowy pojawił się siniak obejmujący lewą skroń. Mógł to być ślad po uderzeniu albo oznaka choroby dekompresyjnej. Tak czy inaczej postanowili, że Rick zostanie przy Amarze, żeby się nim opiekować, podczas gdy reszta spróbuje się wspiąć na drzewo. Dysponowali czterema zestawami słuchawek z radionadajnikiem. Jeden z nich miał zatrzymać Rick, a pozostałe zabrać uczestnicy wspinaczki.

- Powinniśmy utrzymywać ciszę w eterze, nie licząc sytuacji awaryjnych - stwierdził Peter.

- Myślisz, że ktoś z Nanigenu może nasłuchiwać? - spytała Karen.

- Zasięg nadajników wynosi zaledwie trzydzieści metrów, ale jeśli Drake podejrzewa, że żyjemy, to rzeczywiście może to robić - odpowiedział Peter.

Zaczęli się wspinać. Peter prowadził grupę do pierwszego postoju. Założył pas z kołowrotkiem oraz przymocowaną do niego liną i zabrał z plecaka drabinkę sznurową. Karen uzbroiła się w dmuchawkę Ricka, pudełko ze strzałkami oraz słoik z kurarą. Miała pełnić funkcję myśliwego.

Wspinaczka na drzewo okazała się niezwykle łatwa. Mech i porosty oraz szorstka kora zapewniały znakomite oparcie dla dłoni i stóp. W mikroświecie wędrowcy byli na tyle silni, że mogli bez trudu zawisnąć na jednej ręce, a nawet na kilku palcach. Poza tym upadek niczym nie groził. Lądowanie na ziemi obyłoby się bez obrażeń. Zmieniali się na czele grupy. Prowadząca osoba, zabezpieczona liną przymocowaną do kołowrotka na pasie towarzysza czekającego poniżej, niosła drabinkę sznurową, którą następnie mocowała do drzewa i spuszczała pozostałym.

Drzewo pokrywała pobrużdżona kora porośnięta mchem oraz wątrobowcami - małutkimi, często mikroskopijnymi roślinami, które jednak w oczach zmniejszonych ludzi wydawały się duże niczym zarośla. Pień przesłaniała także skorupa licznych rodzajów porostów, falbaniastych, koronkowych i guzowatych. Liście były zaokrąglone i skórzaste, a gałęzie wiły się jak węże.

W końcu Danny się poddał.

- Nie dam rady - powiedział, po czym usiadł i wtulił się w kępkę porostów w ciepłym, nasłonecznionym miejscu.

- Chcesz tutaj zostać, kiedy my pójdziemy dalej? - spytał Peter.

- Szczerze mówiąc, wolałbym być w kawiarni Algiers na Harvard Square, pić espresso i czytać Wittgensteina - odrzekł Danny ze słabym uśmiechem.

Peter wręczył mu słuchawki z radionadajnikiem.

- Daj znać, jeśli będziesz potrzebował pomocy.

- Dobrze.

Peter położył dłoń na ramieniu Danny'ego.

- Wszystko będzie dobrze.

- Oczywiście, że nie. - Danny wcisnął się głębiej w falbaniaste porosty.

- Nie możemy tak po prostu się poddać.

Danny się skrzywił, oparł o porosty i założył słuchawki.

- Próba mikrofonu! - zawołał. Jego głos zatrzeszczał im w uszach.

- Hej... cisza w eterze - ostrzegł go Peter.

- Panie Drake! Pomocy! SOS. Utknęliśmy na drzewie! - krzyknął Danny do mikrofonu.

- Przestań.

- Tylko żartuję.

- Odebrałem transmisję. - Johnstone pochylił się nad radiolokatorem w kokpicie pojazdu, poprawiając słuchawki na uszach. Parsknął śmiechem. - Idioci... wołają Drake'a na pomoc. - Popatrzył w górę, przeczesując wzrokiem korony drzew. - Są gdzieś nad nami, na jednym z drzew.

Telius mruknął coś pod nosem. Na jego szyi wisiała lornetka. Wstał i zaczął wypatrywać oznak ruchu pośród gałęzi oraz nasłuchiwać głosów. Szpiedzy gdzieś tam są. Niełatwo będzie ich znaleźć.

Niczego nie zauważył. W końcu w milczeniu wskazał palcem: jedź tędy.

Johnstone poruszył drążkiem sterowniczym. Sześcionogi pojazd szybko i sprawnie ruszył po leśnym poszyciu, nie wydając niemal żadnego dźwięku, nie licząc cichego jęku silników na nogach.

Telius wskazał podstawę jednego z pandanów, a następnie powiódł palcem w górę pnia.

- Tam - polecił.

Johnstone przesunął dźwignię i pazury na stopach pojazdu schowały się, odsłaniając miękkie poduszeczki pokryte drobną szczecina. To były nano włoski, które upodabniały stopy pojazdu do łap gekona i mogły się przyczepić praktycznie do każdej powierzchni, nawet szkła. Pojazd wspiał się po pniu. Dwaj mężczyźni przypięci pasami wewnątrz kokpitu prawie nie zauważyli, że poruszają się w pionie. Niemal nie czuli przyciągania ziemskiego.

Karen King prowadziła grupę podczas ostatniego etapu wspinaczki na górne gałęzie ohii. Na zmianę czołgając się i idąc, przedostała się wzdłuż konaru do kępy liści sterczących w jaskrawym słonecznym świetle, skąd roztoczył się przed nią wspaniały widok. Pozostali podążyli za nią i stanęli na gałęzi pośród liści. Gałąź kołysała się na wietrze. Czerwone kwiaty ohii przypominały wybuchające fajerwerki. Składały się z promienistych pręcików o nieprawdopodobnie słodkim zapachu.

Wokół rozpościerała się dolina Manoa i górskie grzbiety. Dookoła doliny wznosiły się góry pokryte zielenią naznaczone surowymi urwiskami i wąwozami, okryte całunem chmur. Nitki wodospadów przecinały zalesione zbocza. Szczyt Tantara, zakrzywiona krawędź wulkanicznego krateru, spoglądał w głąb niecki z północy. Na południowym zachodzie za wąskim wlotem doliny wznosiły się budynki Honolulu, które świadczyły o tym, jak blisko stąd do miasta. Jednak siedziba Nanigenu, położona po przeciwnej stronie Pearl Harbor,

równie dobrze mogłaby być oddalona o milion kilometrów.

Na południowym wschodzie zobaczyli szklarnię i parking, piaszczysty teren usiany kałużami. Parking był pusty; nie było na nim ludzi ani pojazdów. Przy wąskim wlocie doliny widać było tunel przecinający górską ścianę oraz bramę wjazdową. Była zamknięta.

Peter popatrzył na kompas.

- Parking jest położony o sto siedemdziesiąt stopni na południopółnocny wschód - poinformował pozostałych.

Następnie zerknął na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści. Ciężarówka przyjedzie dopiero po południu. Jeśli w ogóle się pojawi. Jednak teraz w dolinie nie było widać żadnych śladów ludzkiej aktywności.

Nagle pośród liści nad ich głowami rozległ się huk. Instynktownie przykucnęli, chwytając się liści. Peter rozpląszczył się na gałęzi.

- Uważajcie! - wrzasnął.

Nad nimi przeleciał motyl. Każdemu uderzeniu jego skrzydeł naznaczonych pomarańczowymi, złotymi i czarnymi wzorami towarzyszył huk, gdy stworzenie miotało się i wirowało w blasku słońca. Wydawało się, że owad się bawi. Potem zawisł w powietrzu i wylądował na kwiecie ohii.

Kropelki nektaru lśniły na płatkach. Motyl rozwinął trąbkę i zanurzył ją głęboko wewnątrz kwiatu, dotykając jej czubkiem jednej z kropel. Usłyszeli odgłos ssania i chlupotania, gdy motyl pompował do żołądka ogromne ilości nektaru.

Peter powoli podniósł głowę.

Karen się roześmiała.

- Powinieneś siebie zobaczyć, Peterze. Przestraszyłeś się motyla.

- Cóż, jest imponujący - odparł Peter wstydliwie.

Erika poinformowała, że motyl to Vanessa tameamea z rodziny rusałkowatych, rdzennie występujący na Hawajach. Owad przez chwilę żerował na kwiecie, penetrując go trąbką, podczas gdy wiatr niósł w stronę ludzi jego ostrą woń. Motyl pięknie wyglądał, ale paskudnie cuchnął.

- To substancje obronne - wyjaśniła Erika. - Zapewne fenole. Są wystarczająco nieprzyjemne, żeby wywołać torsje u ptaka.

Motyl zignorował ludzi. Poderwał się z kwiatu, mocno uderzył skrzydłami i dał się ponieść wiatrowi na błękitne powietrzne oceany.

To spotkanie czegoś ich nauczyło. Kwiaty ociekały płynnym cukrem, który mógł im zapewnić niezbędny zastrzyk energii. Karen wczołgała się głową naprzód do wnętrza kwiatu.

Sięgnęła do kropli nektaru i zaczęła kłaść go sobie do ust obiema rękami.

- Musicie tego spróbować - odezwała się głosem stłumionym przez lepki płyn. Gdy tylko przełknęła nektar, poczuła, jak jej ciało wypełnia nowa porcja energii.

Pozostali również wczołgali się do kwiatów i wypili tyle nektaru, ile zdołali.

Kiedy opijali się nektarem, Peter zauważył jakiś ruch w oddali.

- Ktoś się zbliża.

Przerwali ucztę i patrzyli na pojazd jadący krętą drogą prowadzącą z Honolulu. To był czarny pickup. Wspiął się wzdłuż urwiska, a następnie zatrzymał przed bramą broniącą dostępu do tunelu. Kierowca wysiadł. Peter, który obserwował całą scenę przez lornetkę, zobaczył, jak mężczyzna zdejmuje z paki samochodu żółty znak i umieszcza go na bramie.

- Powiesił jakiś znak.

- Co jest na nim napisane? - spytała Karen.

Peter pokręcił głową.

- Nie widzę.

- Czy to ciężarówka kursująca z próbkami?

- Zaczekaj.

Mężczyzna przejechał pickupem przez bramę, która się za nim zamknęła. Po chwili samochód wyłonił się z tunelu, zjechał do doliny i zatrzymał się na parkingu. Kierowca wysiadł.

Peter przyglądał się temu wszystkiemu przez lornetkę.

- To chyba ten sam człowiek, który wykopał stacje zaopatrzeniowe. Muskularny, ubrany w hawajską koszulę. Na aucie widnieje napis „Ochrona Nanigen”.

- To mi nie wygląda na ciężarówkę z próbkami - odrzekła Karen.

- Nie.

Mężczyzna krążył po parkingu, szurając nogami i wpatrując się w ziemię. Wreszcie uklęknął i zaczął wodzić dłonią pod kępą białego imbiru.

- Przeszukuje ziemię przy krawędzi parkingu - poinformował Peter.

- Myślisz, że nas szuka? - spytała Karen.

- Na to wygląda.

- To niedobrze.

- Teraz rozmawia z kimś przez krótkofalówkę. Ojej.

- Co się stało.

- Patrzy prosto na nas.

- Przecież nas nie widzi - zachnęła się Karen.

- Wskazuje w naszą stronę i z kimś rozmawia. Zupełnie jakby wiedział, gdzie jesteśmy.

- Niemożliwe - odparła Karen.

Mężczyzna podszedł do tylnej części pickupa i wyjął stamtąd duży pojemnik z

aerozolem. Zarzucił go sobie na ramię, po czym przeszedł wzdłuż krawędzi parkingu, opryskując rośliny. Potem spryskał także powierzchnię parkingu.

- Co on robi? - zdziwiła się Erika.

- To pewnie trucizna - odparła Karen. - Wiedzą że żyjemy. Domyślili się, że będziemy próbowali dostać się do ciężarówki, więc spryskują parking. Założę się, że ciężarówka już nie przyjedzie. Usiłują uwięzić nas w dolinie. Sądzą że tutaj poumieramy.

- Sprawmy, żeby się pomylili - odrzekł Peter.

Karen popatrzyła na niego sceptycznie.

- Tylko jak?

- Musimy zmienić plan - stwierdził Peter.

- To znaczy? - spytała Karen.

- Wejdziemy na Szczyt Tantala.

- To szaleństwo, Peterze.

- Po co? - spytała Erika.

- Tam jest baza Nanigenu - wyjaśnił Peter. - Może znajdziemy w niej ludzi, którzy nam pomogą. Poza tym Jarel Kinsky wspominał, że mają tam samoloty. Nazwał je mikrosamolotami.

- Mikrosamolotami? - spytała Karen.

- Widziałem jedną z takich maszyn. Zresztą wy także, pamiętacie? Znalazłem ją w samochodzie brata. Amar i ja oglądaliśmy ją w powiększeniu. W kokpicie miała urządzenia sterownicze. Może uda nam się ukraść kilka samolotów i odlecieć.

Karen wbiła wzrok w Petera.

- To kompletne szaleństwo. Nie masz zielonego pojęcia o Bazie Tantala.

- Przynajmniej się nas tam nie spodziewają, więc wykorzystamy element zaskoczenia.

- Tylko popatrz na tę górę - zaoponowała Karen, wykonując szeroki gest ręką.

Rzeczywiście, Szczyt Tantalą przytłaczał swoim ogromem, potężny wulkaniczny stożek porośnięty niemal pionową dżunglą. - Ma sześćset metrów, Peterze. - Umilkła i przez chwilę się namyślała. - Dla nas to jak siedmiokrotnie wspiąć się na Mount Everest.

- Ale nie spowolni nas grawitacja - spokojnie odpowiedział Peter. Wyjął lornetkę i wodził wzrokiem po szczycie. Wypatrzył potężny głaz, który stał na otwartej przestrzeni na skraju krateru. - To może być Wielki Głaz. Według mapy baza znajduje się u jego podnóża. - Jednak jej nie zobaczył; miała około metra średnicy, więc z tej odległości była niewidoczna. Wyjął kompas i wyznaczył położenie głazu. - Trzysta trzydzieści stopni od nas. Wystarczy podążać za wskazaniem kompasu...

- To nam zajmie kilka tygodni - odrzekła Karen. - A my mamy najwyżej dwa dni, zanim zaatakuje nas choroba dekompresyjna.

- Żołnierze potrafią maszerować po pięćdziesiąt kilometrów dziennie - odparł Peter.

- Nie jesteśmy żołnierzami, Peterze - jęknęła Erika.

- Myślę, że możemy spróbować - stwierdziła Karen. - Tylko co z Amarem? Nie może chodzić.

- Zaniemiemy go.

- A co zrobimy z Dannym? Jest jak wrzód na tyłku - dodała Karen.

- Danny jest jednym z nas. Zajmiemy się nim - stanowczo rzekł Peter.

W tym momencie radio Petera zapiszczało i zabrzmiał w nim trzeszczący, rozpaczliwy głos Danny'ego.

- O wilku mowa - mruknęła Karen.

Peter założył słuchawki i usłyszał, jak Danny krzyczy.

- Pomocy! Boże! Pomóżcie mi!

Danny zasnął w słonecznym zakątku na jednej z niższych gałęzi drzewa. Chrapał z uchylonymi ustami. Był wykończony po najdłuższej i najbardziej przerażającej nocy swojego życia. Nie słyszał, jak coś brzęczącego zbliża się i zawisa tuż nad nim, po czym zaczyna go obserwować beznamiętnymi oczami. To była osa.

Wylądowała i ostrożnie się zbliżyła. Lekko dotknęła czułkiem jego lewej ręki, a następnie postukała go w gardło i policzki, smakując jego skórę. Błede i miękkie ciało przypominało jej gąsienicę. Żywiciela. Z jej odwłoka zwisała długa rurka niczym ogrodowy wąż. Na końcu znajdował się przebijak.

Delikatnie chwyciła człowieka przednimi odnóżami, po czym wbiła mu ostrze w ramię, wstrzykując substancję znieczulającą. Następnie głębiej wcisnęła rurkę. Zaczęła posapywać, wydając odgłosy, które niepr2yjennie kojarzyły się z rodzącą kobietą.

Danny śnił. Nagle w jego śnie coś się zmieniło. Trzymał w ramionach piękną dziewczynę. Była naga i dyszała z podniecenia. Pocałowali się. Czuł jej język w swoim gardle... podniósł na nią wzrok i zobaczył złożone oczy sterczące z kobiecej twarzy... chwyciła go i nie zamierzała puścić... gwałtownie się obudził...

- Ach!

Patrzył w oczy olbrzymiej osy. Mocno ścisnęła go nogami i wbijała mu żądło w ramię. A on niczego nie czuł. Jego ręka zdrętwiała.

- Nie! - wrzasnął i chwycił żądło obiema rękami, próbując wyrwać je z ciała. Jednak wtedy osa sama je wyciągnęła, puściła go i odleciała.

Położył się na plecach, kurczowo trzymając się za ramię.

- Aaa! Aj! Pomocy!

W miejscu ręki miał pustkę, balast pozbawiony czucia, jakby ktoś napompował mu ramię prokainą. Zauważył dziurę w swojej koszuli i ciemną wilgotną plamę krwi rosnącą na

materiale. Szarpnięciem rozpiął koszulę i popatrzył na ranę na ramieniu. Była równa i okrągła jak ślad po wiertle i ciekła z niej krew. Danny nie czuł bólu.

Chwycił słuchawki z nadajnikiem.

- Pomocy! Boże! Pomocy! - krzyknął.

- Danny? - rozległ się głos Petera.

- Coś mnie użądliło... Mój Boże.

- Co cię użądliło?

- Nie czuję jej. Jest martwa.

- Co jest martwe?

- Moja ręka. To było takie wielkie... - Zaczął jęczeć z przerażenia. W słuchawkach odezwał się głos Ricka, który został z Amarem w zagłębieniu w mchu położonym niżej na drzewie.

- Co się dzieje?

- Danny'ego coś użądliło - odrzekł Peter. - Danny, zostań tam, gdzie jesteś. Już do ciebie schodzę.

- Odpędziłem to coś.

- Dobrze.

Danny pochylił się, nie chcąc patrzeć na ranę. Koszula nasiąkała krwią. Dotknął swojego czoła. Czy ma gorączkę? Czy zaczyna majaczyć?

- Nie było trucizny... nic mi nie jest... - szeptał. - Nie było trucizny. Nie było trucizny, nie było...

Peter zabrał ze sobą apteczkę. Zejście było proste i nie zajęło mu wiele czasu;

opuszczał się z kolejnych gałęzi, czasami trzymając się tylko jedną ręką. Znalazł Danny'ego zwiniętego w pozycji embrionalnej, z pobladłą twarzą i bezwładną ręką.

- Nie czuję ręki - jęknął Minot.

Peter rozchylił koszulę Danny'ego i przyjrzał się ranie na jego ramieniu. Było to niewielkie nakłucie. Oczyszczył je wacikiem z jodyną, spodziewając się, że Danny poczuje pieczenie, ale tak się nie stało.

Peter wypatrywał oznak zatrucia jadem. Popatrzył rannemu w oczy, sprawdzając, czy źrenice nie są nadmiernie zwężone lub rozszerzone, ale nie zauważył niczego niepokojącego. Zbadał Danny'emu puls, posłuchał oddechu, poszukał zmian na skórze oraz zwrócił uwagę na jego stan psychiczny. Danny sprawiał wrażenie bardzo wystraszonego. Peter obejrzał zranioną rękę. Skóra miała normalny kolor, ale ręka była bezwładna. Uszczypnął ją.

- Poczujesz coś?

Danny pokręcił głową.

- Masz mdłości? Coś cię boli? - pytał Peter.

- Nie było trucizny... Nie było trucizny...

- Raczej nie zostałeś zatruty jadem. - Gdyby w żądle znajdował się jad, Danny bardzo by się pochorował, czułby silny ból, może nawet już by nie żył. Jednak wszystkie oznaki życia pozostawały u niego w normie. - Chyba to coś odstraszyłeś. Co to było?

- Pszczoła albo osa - szepnął Danny. - Nie wiem.

Osy występują znacznie częściej. Na Hawajach zapewne żyją tysiące różnych odmian, z czego wiele nadal nie zostało nazwanych ani zidentyfikowanych. Nie da się określić, który gatunek osy użądlił Danny'ego, jeśli w ogóle była to osa. Peter wyjął bandaż z apteczki i opatrzył ranę na ramieniu kolegi, po czym oderwał rękaw od swojej koszuli i zrobił z niego prowizoryczny temblak. Zastanawiał się, jak przenieść Danny'ego na ziemię.

- Myślisz, że zdołasz zeskoczyć?

- Nie. Może.

- To nie będzie bolało. - Peter połączył się z Karen i Eriką, które wciąż znajdowały się na szczycie drzewa. - Danny i ja zeskoczymy na ziemię. Wy możecie zrobić to samo.

Karen i Erika wychyliły się z kępy liści. Nie widziały ziemi. Karen zerknęła na Erikę, która pokiwała głową.

- Nie ma sprawy - rzuciła Karen przez radio, po czym sprawdziła, czy dmuchawka jest mocno przytwierdzona do jej pleców. - Raz, dwa, trzy...

Erika skoczyła pierwsza, Karen po chwili poszła w jej ślady.

Spadając w otchłań, Karen rozłożyła ręce jak spadochroniarka i zaczęła szybować w powietrzu.

- O rany! - zawołała.

Widziała Erikę, która spadała poniżej i coś wołała. Były w stanie kontrolować swój lot. Karen poruszyła nogami oraz rękami i zaczęła spadać po skosie. Czowała gęste i miękkie powietrze, które opływało jej ciało i podtrzymywało jej ciężar. To przypominało surfowanie bez deski, tylko w powietrzu, a nie w wodzie. Odbiła się od gałęzi, ale nic jej się nie stało.

Ponownie rozpostarła ręce i popłynęła po płynnym wietrze, zniżając się między konarami. W dole zobaczyła Erikę, która ją wyprzedziła i spadała szybciej.

Karen postanowiła zwolnić. Obróciła się w lewo, a następnie w prawo, chwytając wiatr i hamując za pomocą rąk oraz nóg, pokrzykując przy tym z radości. Zbliżała się do liści. Straciła Erikę z oczu, ale nagle usłyszała jej wrzask...

Przebiła się przez liście... i zobaczyła pajęczą sieć. Erika była w niej uwięziona, kołysząc się w górę i w dół, wymachując rękami i nogami, usiłując uciec. Na skraju sieci siedział bladozielony pajak... Ukośnik*... bardzo jadowity...

** W rzeczywistości ukośniki nie budują sieci, polują z zasadzki maczetę.

Karen przetoczyła się w powietrzu, w jednej chwili przywołując całą swoją wiedzę o

tym gatunku pająka. Musi spać w sieć. Tylko tak może ocalić Erikę. Trafić w sieć. Nie bała się. Wiedziała, że poradzi sobie z ukośnikiem... Uderzyła w krawędź pajęczyny i zawisała na niej, kołysząc się w powietrzu.

Dla Karen sieć miała średnicę piętnastu, może dwudziestu metrów, czyli była znacznie większa od siatki zabezpieczającej w cyrku. Jednak w odróżnieniu od niej była lepka, gdyż promieniste nici pokrywały kropelki kleju. Karen czuła, jak klej wsiąka w jej ubranie i przytwierdza ją do sieci. Erika rzucała się panicznie, wzywając pomocy, uwięziona poza zasięgiem koleżanki. Wydawało się, że pająk się waha. Może nie uznawał ludzi za zdobycz. Ale Karen wiedziała, że wkrótce zaatakuje i zrobi to błyskawicznie.

- Nie ruszaj się - zawołała do Eriki. Przetoczyła się, tak że znalazła się oko w oko z pająkiem, po czym wyciągnęła - Jaa! - krzyknęła w stronę ukośnika, jednocześnie omiatając wzrokiem sieć. Dostrzegła sprężystą nić, która łączyła jedną z nóg pająka ze spiralnymi nićmi na środku pajęczyny. Dосkoczyła do niej i ją przecięła.

Pająk wykorzystywał tę nić, żeby wyczuć obecność ofiary w sieci. Jej przecięcie było jak zerwanie nerwu. Zaalarmowało pająka, który nagle uciekł i schował się wewnątrz zwiniętego liścia, gdzie miał dom.

- Większość z nich jest płochliwa - wyjaśniła Karen. Przecięła kolejną nić. i kobiety wypadły z sieci. - Wybacz, kochanie - rzuciła Karen pająkowi na pożegnanie.

Wylądowały na ziemi wśród splątanych lepkich nici. Erika była wyraźnie wstrząśnięta.

- Myślałam, że umrę.

Karen zdjęła z niej jedwabne nici.

- Nie ma się czym przejmować, jeśli zna się budowę pajęczyny.

- Ale ja jestem specjalistką od chrząszczy - odparła Erika.

W pobliżu spadli Peter i Danny, z trzaskiem lądując na liściach. Wreszcie pojawił się Rick, który opuścił Amara na linie. Zgromadzili się u podstawy drzewa i Peter opowiedział im o zmianie planów. Mieli wyruszyć do Krateru Tantalą.

Rick i Peter wspólnie nieśli Amara. Po dziesięciu minutach marszu wkroczyli do paprociowego lasu, pozornie bezkresnego labiryntu paprotników zbrojnych, wysokich i ociekających wilgocią roślin tworzących tunele prowadzące we wszystkich kierunkach. Spomiędzy paproci wyrastały drzewa koa, olopua i białe ketmie, które tworzyły splątany górny poziom lasu.

Peter zerknął na kompas.

- Tamtędy - oznajmił i ruszyli długą, krętą ścieżką pomiędzy paprociami. Wysoko ponad nimi łukowate sklepienie liści okrywało świat zielenią.

Danny wlekl się obok nich. Nagle przystanął i wbił wzrok w Amara, wytrzeszczając oczy.

- On... on krwawi.

Nikt tego nie zauważył. Rick położył Amara, który opadł na kolana, a krew popłynęła mu strużką z nosa na górną wargę, po czym zaczęła skapywać na ziemię.

- Zostawcie mnie - wyszeptał Amar. - Mam chorobę dekompresyjną.

Rozdział 26

Pod zielonym baldachimem 30 października, południe.

- Tam się ukrywają - rzekł Telius do Johnstone'a, patrząc przez lornetkę na gęstwinę paproci porastających leśne poszycie.

Mężczyźni wisieli głowami w dół, przypięci do siedzeń swojego pojazdu. Maszyna trzymała się sześcioma nogami spodniej części liścia pandanu. Udało im się wychwycić transmisję radiową.

Telius przez chwilę patrzył w stronę celu, po czym w milczeniu wskazał palcem:

odłącz nas.

Johnstone wcisnął guzik i poduszki odczepiły się od liścia, a pojazd zaczął swobodnie opadać. Johnstone za pomocą urządzeń kontrolnych złożył jego nogi. Maszyna kilkakrotnie się obróciła, po czym odbiła się od ziemi i znieruchomiła w odwróconej pozycji. Klatka ochronna zapewniła ludziom bezpieczeństwo.

Johnstone rozłożył nogi pojazdu, który błyskawicznie stanął, potem ruszył wzdłuż paprociowego lasu, by po chwili się w nim zagłębić. Telius wstał i zaczął nasłuchiwać, obracając głowę. Gdy usłyszał głosy, wskazał palcem ich źródło i polecił Johnstone'owi wspiąć się na paproć. Sześciornóg zaczął wędrować w górę łodygi, aż w końcu zatrzymał się pośród liści. Telius popatrzył przez lornetkę i zauważył cele. Sześciornóg, na dole. Jeden chory, krwawi z nosa. Może to choroba dekompresyjna. Pozostali stoją wokół niego. Chory wygląda na Hindusa. Krew cieknie mu z nosa na usta i podbródek. Tak... facet ma chorobę dekompresyjną. Już po nim.

- Biedny skurwiel im się wykrwawia - szepnął do Johnstone'a, który mruknął coś w odpowiedzi.

Obserwując grupę, Telius zwrócił uwagę na szczupłego mężczyznę z jasnobrażowymi kędzierzawymi włosami, stojącego nieco z boku i przemawiającego do pozostałych, którzy go słuchali. Telius w każdej sytuacji potrafił rozpoznać przywódcę. Oczywiście jego należy usunąć w pierwszej kolejności.

Okoliczności im sprzyjały. Telius skinął na Johnstone'a, po czym uniósł gazowy karabin i wycelował w lidera grupy, podczas gdy jego towarzysz skierował lornetkę na cel i na bieżąco przekazywał snajperowi informacje. Telius popatrzył przez lunetę i ustawił krzyżyk celownika na głowie przywódcy. Cel był oddalony o jakieś cztery metry. Lekki

podmuch wiatru poruszył liściem paproci i pojazdem. Telius pokręcił głową. Niestabilna pozycja. Strzał będzie obarczony ryzykiem, a on wolał nie ryzykować. Będzie musiał szybko zastrzelić kilka ruchomych celów, gdyż po usunięciu przywódcy pozostali rozpierzchną się jak wystraszone króliki. Gestem nakazał Johnstone'owi, by ten sprowadził ich niżej.

Johnstone obrócił pojazd i zaczęli pełznąć w dół łodygi paproci, szukając bardziej stabilnej pozycji do strzału. Wreszcie Telius kazał towarzyszowi zatrzymać maszynę. Odpiął pasy i wypadł z fotela, po czym obrócił się raz w powietrzu i wylądował na ziemi na czworakach jak kot, z karabinem zawieszonym na plecach. Podczołgał się bliżej celów.

Peter otworzył apteczkę i uklęknął obok Amara, przyciskając mu kompres do nosa.

Nie wiedział, co robić. Krwawienie nie ustawało.

- Już po mnie. Idźcie dalej - rzekł Amar.

- Nie zostawimy cię.

- Jestem już tylko białkiem. Zostawcie mnie.

- Amar ma rację - odezwał się Danny, dotykając swojej ręki na temblaku. - Musimy go zostawić, w przeciwnym razie wszyscy umrzemy.

Ignorując Danny'ego, Peter odsunął kompres od nosa Amara; materiał był mokry.

Amar stracił dużo krwi i zdradzał objawy anemii, a całe ręce miał pokryte sińcami.

Najwyraźniej jad skolopendry przyspieszył postęp choroby. Jediną receptą była dekompresja, jednak wciąż znajdowali się bardzo daleko od siedziby Nanigenu.

- Musimy wezwać pomoc przez radio - stwierdził Danny, siadając na ziemi i ze złością spoglądając na pozostałych.

- Myślę, że Danny ma rację - rzekła Erika. - W Nanigenie może się znaleźć jakiś dobry człowiek...

- Może rzeczywiście powinniśmy spróbować - zgodziła się Karen. - Niewykluczone,

że to jedyna szansa na ocalenie Amara.

Peter wstał i podniósł słuchawki z radionadajnikiem.

- W porządku.

4

Telius zajął miejsce na niższej części łądygi paproci i wycelował z karabinu. Miał przywódcę na celowniku, ale ten pochylił się nad chorym facetem, próbując mu pomóc. Hm. Może uda się trafić obu jednym strzałem. Przymierzył i nacisnął spust, a karabin wściekle podskoczył.

Rozległ się gwałtowny syk. Stalowa igła mniej więcej trzydziestocentymetrowej długości przemknęła obok szyi Petera, rozdzierając mu koszulę, po czym wbiła się w ciało Amara i wybuchła. Eksplozja posłała we wszystkich kierunkach kawałki metalu i krew. Amar został wyrzucony w powietrze i dosłownie rozpadł się na kawałki. Peter znieruchomiał z zaskoczonym wyrazem twarzy, podczas gdy wokół niego spadały fragmenty ciała.

Wstał zalany krwią Amara.

- Co...? - zaczął.

Pozostali patrzyli, nie wierząc w to, co się stało.

Karen się obejrzała.

- Snajper! - krzyknęła. - Kryjcie się!

Już miała się rzucić w stronę najbliższej kępy paproci, ale zobaczyła, że Peter się nie porusza. Sprawiał wrażenie sparaliżowanego, jakby nie potrafił zrozumieć, co się wydarzyło.

Drugi pocisk trafił w liść ponad głową Petera, a wybuch rzucił go na ziemię. Karen zrozumiała, że snajper celuje w Petera. Skręciła, podbiegła do niego i chwyciła go za rękę.

- Pochyl się i biegnij zygzakiem! - wrzasnęła. Peter musiał uciekać, ale nie mógł

wykonywać żadnych przewidywalnych ruchów, ponieważ wtedy snajper bez trudu trafiłby go

w biegu. - Ruszaj! - wydarła się na Petera.

Peter zrozumiał i puścił się biegiem. W lewo, w prawo, w lewo... w lewo... stop. Do przodu. Cały czas zbliżając się do paproci. Karen także biegła, klucząc i nie spuszczać Petera z oczu, ale jednocześnie nie trzymając się zbyt blisko. Zastanawiała się, czy kolejny strzał...

Peter potknął się i runął na ziemię.

- Peterze! - wrzasnęła. - Nie!

Jansen znieruchomiał, stając się łatwym celem.

- Karen... uciekaj... - powiedział, dźwigając się na nogi. To były jego ostatnie słowa.

Po chwili igła przeszła mu pierś i wybuchła. Peter Jansen umarł, zanim upadł na ziemię.

Rozdział 27

Paprociowy Parów 30 października, godzina 12.15

Rick poczuł, jak Karen podnosi go za koszulę i wywleka z miejsca, które uznał za dobrą kryjówkę.

- Wstawaj... ruszaj! - zawołała.

Zabrał z ziemi swoją dmuchawkę i zestaw strzałek, po czym puścił się biegiem w stronę schronienia. Stracił Karen z oczu; nie miał pojęcia, gdzie zniknęła. Przebiegł pod jakimś patykiem, przebił się przez liście i pomknął wśród łodyg paproci, które nad nim górowały. Nagle zauważył pojazd w kształcie owada. Sześcionożną maszynę przyczepioną do liścia paproci i poruszającą się wzdłuż niego z cichym jękiem, kierowaną przez człowieka w pancerzu. Nieznajomy był rozmiarów Ricka. Zmniejszony człowiek. Wyglądał na doświadczonego i pewnego siebie.

Mężczyzna zatrzymał pojazd, po czym uniósł dziwaczną broń owielkokalibrowej lufie. Załadował ją metalową igłą wycelował przez lunetę i wystrzelił. Broń odskoczyła do

tyłu, wydając głośny syk.

Rick rzucił się za kamień, gdzie zaległ na plecach, ciężko dysząc i obserwując strzelającego mężczyznę. Ten sprawiał wrażenie rozluźnionego. Przywykł do zabijania, domyślił się Rick, czując przyływ gorącej wściekłości. Nieznajomy z zimną krwią zamordował Petera i Amara. Rick wciąż trzymał w dłoniach dmuchawkę. Przynajmniej wpakuję w tego drania strzałkę. Karen pewnie ocaliła mi życie. Takie kulenie się w ukryciu to głupota. Wyciągnęła mnie z niezłego gówna.

Otworzył pojemnik ze strzałkami, wyjął jedną i popatrzył na nią z poczuciem beznadziei. To tylko drzazga z metalową końcówką wykonaną z zęba widelca. Nie przebije pancerza tego drania. Mimo wszystko otworzył słoik z kurarą, wbił czubek strzałki w maź i nim zakręcił, tłumiąc kaszel, gdy ostra woń wydobyła się z pojemnika.

Wsunął pocisk do dmuchawki, obrócił się i wyjrzał zza kamienia.

Pojazd zniknął z pola widzenia.

Dokąd się oddalił?

Rick wyczołgał się z ukrycia, uważnie się rozglądając i nasłuchując. Po lewej stronie usłyszał charakterystyczny jęk mechanicznego owada. Wstał i podbiegł w jego kierunku, po czym schował się w kępie mchu i czekał. Gdy odgłos się przybliżył, Rick ostrożnie wyjrzał.

Pojazd wyłonił się z mchu i zatrzymał niemal dokładnie nad nim. Hutter widział jego spód, ale z tego miejsca nie mógł dostrzec człowieka za sterami.

Rozległ się kolejny syk. Mężczyzna ponownie wystrzelił.

Rick nie miał pojęcia, czy ktoś poza nim jeszcze żyje. Być może Karen i Erika zginęły. Przybysze urządzili im rzeź.

To wprawilo go we wściekłość.

Pragnął zabijać. Nawet gdyby miało go to kosztować życie.

Mężczyzna przestał strzelać i pojazd ruszył naprzód. Po chwili znów się zatrzymał i

Rick usłyszał, jak morderca rozmawia z kimś przez radio.

- Na trzeciej masz kobietę. Suka ma nóż.

- Suka.

Karen.

Za chwilę ją zastrzela. Rick zaczął rozpaczliwie czołgać się po mchu, po czym wpełznął się pod opadły liść. Spojrzał w górę na mężczyznę za sterami. Ten miał na sobie hełm, napierśnik i zbrojone płytki zakrywające ręce. Ale podbródek i szyja były odsłonięte. Rick wycelował w szyję. Spróbuje trafić w tchawicę. Powoli wciągnął powietrze, starając się nie wydawać żadnego dźwięku, po czym z całej siły dmuchnął.

Strzałka nie trafiła w szyję, ale wbiła się w miękkie ciało pod brodą tuż nad jabłkiem Adama, zagłębiając się aż po puszystą końcówkę. Mężczyzna wydał z siebie zduszony krzyk, przewrócił się i zniknął Rickowi z oczu. Rozległ się wilgotny kaszel, a potem gwałtowne odgłosy uderzeń. Facet rzucał się w kabinie jak ryba wyjęta z wody. W końcu zapadła cisza.

Rick załadował kolejną strzałkę do dmuchawki i wskoczył na maszynę. Zajrzał do kabiny gotowy do strzału. Mężczyzna leżał na podłodze z twarzą czerwoną jak burak, wytrzeszczonymi oczami i spienioną śliną wydobywającą się z ust - typowymi objawami zatrucia cyjankiem. Widać było tylko puszystą końcówkę strzałki wystającą spod brody ofiary. Strzałka przebiła język, podniebienie i wniknęła w mózg.

- To za Petera - rzekł Rick.

Drżały mu dłonie, a po chwili dreszcze wstrząsnęły całym jego ciałem. Nigdy wcześniej nie zabił człowieka; nie podejrzewał, że jest do tego zdolny.

Po prawej stronie usłyszał kolejny syk.

Okurwa, jeszcze jeden, pomyślał. Następny snajper. Strzela do moich przyjaciół.

Muszę dorwać drania. Zeskoczył z pojazdu i puścił się biegiem w stronę, z której dobiegał dźwięk, trzymając naładowaną dmuchawkę. Biegąc, zauważył, że ponad nim zrobiło się ciemniej, po czym dostrzegł jakiś cień poruszający się w paprociach. Zatrzymał się. Nagle poczuł się bardzo mały i całkowicie bezsilny. Nie mógł uwierzyć w rozmiary tego, co zobaczył.

Karen zauważyła mężczyznę, który wstał z ziemi pomiędzy dwiema łodygami paproci. Był niski, zwinny i poruszał się jak kot. Miał na sobie pancerz w maskujących barwach i rękawicę na prawej dłoni. Lewą dłoń zaciskał na broni, którą wycelował w Karen. Znajdował się w odległości około metra. Wystarczająco blisko.

Karen dobyteła noża, chociaż wiedziała, że jest bezużyteczny w starciu z karabinem. Rozejrzała się. Żadnej kryjówki.

Mężczyzna wyszedł zza paproci, cały czas trzymając kobietę na celowniku.

Wydawało się, że z nią igra, ponieważ mógł bez trudu oddać strzał.

- Znalazłem ją - powiedział do laryngofonu. - Zrozumiałeś? - dodał po chwili.

Najwyraźniej nie otrzymał odpowiedzi. - Zrozumiałeś?

Znów nikt mu nie odpowiedział. Zbliżył się o krok.

Wtedy za jego plecami Karen zauważyła cień. Początkowo nie wiedziała, co to takiego. Dostrzegła coś brązowego i pokrytego futrem, zagrzebanego pomiędzy liśćmi paproci. Tajemnicze stworzenie poruszyło się, po czym znieruchomiało. Widząc jego brązowe futro i olbrzymie rozmiary, pomyślała, że to pewnie jakiś ssak, może szczur. Jednak po chwili zobaczyła długą, zwężającą się nogę o kilku stawach oraz egzoskielet pokryty brązową szczeciną. Liść paproci odsunął się na bok i Karen ujrzała oczy. Wszystkie ośmioro. To był olbrzymi pająk, wielki jak dom. Tak potężny, że trudno było rozpoznać w nim pająka. Ale Karen знаła ten gatunek. *Heteropoda venatoria*, często występujący w tropikach.

Mięsożerny pająk, który nie buduje sieci łownych, tylko poluje na ziemi, atakując z zaskoczenia. Siedział przy samym gruncie, co wskazywało, że właśnie jest na łowach. Miał spłaszczony ciało chronione przez włoski i szczęki w kształcie kos umieszczone pod bulwiastymi przydatkami. To była samica. Składała jaja, więc potrzebowała białka.

Karen zaskoczył bezruch pająka. Ponieważ miał w zwyczaju atakować z zaskoczenia, to, że się nie poruszał, nie zwiastowało niczego dobrego. Oznaczało, że poluje.

Mężczyzna stał plecami do pająka, nie zdając sobie sprawy z jego obecności. Zwierzę skierowało na niego skupisko oczu przypominających kropelki czarnego szkła. Karen usłyszała cichy jęk, gdy pająk wciągnął, a następnie wypuścił powietrze z płuc znajdujących się na odwłoku.

- Johnstone, słyszysz mnie? - odezwał się mężczyzna.

Umilkł, czekając na odpowiedź partnera.

- Co się stało z twoim kolegą? - wyszeptała Karen. Postanowiła zmusić przeciwnika do mówienia.

Jednak ten tylko na nią popatrzył. Najwyraźniej nie należał do rozmownych.

Karen starała się nie poruszać. Nie wykonywać żadnych gwałtownych gestów.

Wiedziała, że pająk ma słaby wzrok pomimo takiej liczby oczu, ale znakomity słuch. Na każdej z jego nóg znajdowało się dziesięcioro „uszu”, otworów w pancerzu, które odbierały dźwięki z otoczenia. W sumie osiemdziesięcioro uszu. A oprócz tego tysiące włosków na odnóżach, służące jako czujniki drgań. Dzięki organom słuchowym na nogach pająk dysponował trójwymiarowym dźwiękowym obrazem świata.

Gdyby Karen wydała z siebie jakiś odgłos albo wywołała wibrację, pająk stworzyłby sobie jej dźwiękowy wizerunek. Uznałby ją za zdobycz i zaatakował w mgnieniu oka. Bardzo powoli uklęknęła i podniosła kamień. Następnie równie powoli uniosła rękę.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Nie krępuj się. Jeśli to poprawi ci humor.

Rzuciła w niego kamieniem, który trafił w napierśnik i odbił się z głuchym hukiem.

Mężczyzna uniósł broń, wycelował przez lunetę i zachichotał. W tej samej chwili potężne szczęki zacisnęły się na nim i porwały go w powietrze, miażdżąc jego karabin.

Wrzasnął.

Pająk zbliżył się o kilka kroków, po czym ku zaskoczeniu Karen przewrócił się na grzbiet. Korzystając z okazji, kobieta uciekła w bezpieczne miejsce. Pająk uniósł mężczyznę i głębiej zatopił w nim kły. Ich ostre jak brzytwa wydrażone końcówki przebiły pancerz i zaczęły pompować jad.

Ciało ofiary napęczniało pod wpływem ciśnienia jadu. Pancerz zatrzęszczał i ze szczelin na jego powierzchni trysnęła krew pomieszana z jadem. Gdy trucizna zaczęła działać, kręgosłup mężczyzny wygiął się w łuk, a głowa zaczęła gwałtownie poruszać się do przodu i do tyłu. Neurotoksyny zawarte w jadzie rozpętały ognistą burzę w centralnym układzie nerwowym ofiary, którą wstrząsnęły konwulsje jak podczas ataku padaczki. Źrenice uciekły do góry, ukazując białka oczu, które nagle poczerwieniały. Naczynka krwionośne popękały pod wpływem zawartych w jadzie enzymów trawiennych rozpuszczających ciało.

Wewnętrzne krwotoki zalały organizm mężczyzny, aż wreszcie jego serce stanęło.

Jad pająka zadziałał jak trzydziestosekundowy atak wirusa Ebola.

Pająk wciąż pompował truciznę w ciało i po chwili pancerz zaczął pękać. Napierśnik odpadł, a spod niego wyłoniły się wnętrzności ociekające jadem. Karen ukryła się za paprocią, gdzie znalazła przykucniętego Ricka z dmuchawką w dłoni.

Razem patrzyli, jak pająk przetwarza swój posiłek.

Zabiwszy ofiarę, ponownie stanął na nogach i zaczął ją rozcinać. Chwycił człowieka

nogogłaszczkami, przypominającymi dłonie przydatkami znajdującymi się po obu stronach otworu gębowego, po czym rozwarł szczękoczułki, które wyglądały jak rozkładane noże o ząbkowanych ostrzach. Ostrza macerowały ciało, siekając je na krwawą miazgę złożoną z mięsa, połamanych kości i zawartości jelit, a także strzępów kevlaru i kawałków plastiku. Za pomocą nogogłaszczek pająk sprawnie radził sobie z mięsną masą lepiąc z niej kulę i jednocześnie wstrzykując do środka płyn trawienny z czubków szczękoczułek. Po jednej albo dwóch minutach ludzkie szczątki zmieniły się w kulistą rozpływającą się papkę upstrzoną kawałkami kości i pancerza.

- Ciekawe - szepnęła Karen, po czym zwróciła się w stronę Ricka. - Pająki trawią pokarm na zewnątrz ciała.

- Nie wiedziałem.

Po strawieniu ofiary pająk mocno chwycił kulę szczękoczułkami i zaczął wysysać z niej płyny, a jego odwłok hałasował jak pompa. Oczy zwierzęcia lśniły - z rozkojarzenia, a może zadowolenia, pomyślała Karen.

- Powinniśmy się martwić? - spytał Rick.

- Nie, jest zajęta. Ale lepiej się stąd wynośmy, zanim znów zaczniesz polować.

Zaczęli nawoływać Erikę i Danny'ego. Erika schowała się pod kwiatem ketmii, a Danny pod korzeniem jednego z drzew.

Pozostało ich czworo. Rick, Karen, Erika i Danny. Zgrupowali się, założyli plecaki i pośpiesznie ruszyli poprzez paprocie, porzucając ciała Petera i Amara, przytłoczeni uczuciem straszliwej pustki. Odszedł Amar Singh, łagodny człowiek, który kochał rośliny. Odszedł Peter Jansen. Śmierć Petera wydawała im się niemożliwa.

Ta strata doprowadziła ich na skraj rozpacz.

- Był taki zrównoważony - rzekł Rick. - Naprawdę sądziłem, że zdoła nas z tego

wyciągnąć.

- Peter był naszą nadzieją - przytaknęła Erika i się rozplakała. - Wierzyłam, że jakimś cudem nas uratuje.

- Właśnie tak przewidywałem - rzekł Danny. Usiadł i wyrównał temblak, po czym zdrową ręką poprawił taśmę klejącą na jednym z butów, próbując mocniej ją zacisnąć.

Następnie schował głowę między kolanami. Pozostałych dobiegł jego stłumiony głos: - Stało się nieuniknione... Katastrofa... Jesteśmy całkowicie, niezaprzeczalnie... martwi.

- Tak się składa, że jeszcze żyjemy - odparł Rick.

- To nie potrwa długo - mruknął Danny.

- Wszyscy wierzyliśmy w Petera - dodała Karen. - Był taki... spokojny. Nigdy nie tracił odwagi. - Otarła pot z twarzy i poprawiła plecak na ramionach. Nie chciała się do tego przyznać przed sobą, ale po raz pierwszy całkowicie straciła zimną krew. Była przerażona.

Nie widziała żadnych szans na powrót do siedziby Nanigenu. - Peter jako jedyny potrafił nami dowodzić. Teraz nie mamy lidera.

- Tak, a poza tym Drake najwyraźniej wie, że wciąż żyjemy, i próbuje nas wykończyć, wysyłając naszym tropem wynajętych zabójców - rzekł Rick. - Pozbyliśmy się dwóch bandziorów, ale kto wie, kogo jeszcze posłał za nami.

- Dwóch? - spytała Karen.

Rick odpowiedział jej z ponurym uśmiechem:

- Patrz przed siebie.

Sześcionogi pojazd stał przekrzywiony na kępie mchu. Rick wskoczył do środka. Po chwili z kabiny wyleciały zwłoki wirując w powietrzu, runęły na ziemię u stóp Karen.

Dziewczyna zobaczyła pancerz trupa i strzałkę wbity pod jego brodą, a także wytrzeszczone oczy... pianę na wysuniętym języku...

Wzięła głęboki oddech. A więc było dwóch snajperów. Rick wcześniej nic o tym nie wspominał.

- Zabiłeś... tego człowieka...

- Wsiadajcie - rzekł Rick, manipulując przyrządami sterowniczymi. - Jedziemy do Krateru Tantara. I mamy broń.

Rozdział 28

Dolina Manoa 30 października, godzina 13.45

Pickup wspinał się krętą jednopasmową drogą prowadzącą do doliny Manoa. To była poobijana toyota pomalowana sprayem na kilka różnych kolorów, z bagażnikiem na deskę surfingową i szerokimi oponami najwyraźniej dotkniętymi słoniowacizną. Zatrzymała się przed bramą prowadzącą do tunelu, po czym kierowca wysiadł. Podeszedł do bramy i przeczytał napis na tabliczce: „Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”.

- Cholera.

Erie Jansen zagrzechotał bramą a następnie przyjrzał się zamkowi z klawiaturą.

Wypróbował kilka firmowych kodów, ale żaden z nich nie zadziałał. Kurwa mać, na pewno Vin zmienił hasło.

Wycofał auto do mijanki i ukrył je w zaroślach. Jeśli zauważy je ktoś z Nanigenu, pomyśli, że jakiś rolnik przyjechał sprawdzić swoją uprawę trawki na zboczu góry. Nikt nie będzie podejrzewał, że to wiceprezes spółki szuka swojego brata.

Erie założył plecak i szybko ruszył drogą po czym precyzyjnie się pod bramą i wbiegł do tunelu. Gdy znalazł się w dolinie, zszedł z drogi i zniknął w lesie. Tam wyjął z plecaka laptop oraz skrzynkę z plataniną elektronicznych obwodów. Wyglądająca własnoręcznie wykonaną; była wyposażona w lutowane płytki i antenę. Założył słuchawki i zaczął nasłuchiwać w paśmie siedemdziesięciu gigaherców. Niczego nie usłyszał. Zmienił

częstotliwość, sprawdzając prywatne pasmo, którego Nanigen używał do bezprzewodowej komunikacji. Usłyszał zniekształcony syk, taki sam jak zawsze. Trajkotanie pracowników spółki. Problem polegał na tym, żeby je odcyfrować.

Słuchał przez trzy godziny, dopóki nie wyczerpała się bateria. Potem spakował sprzęt i szybko wrócił drogą do tunelu i swojego samochodu, po czym odjechał. Nikt go nie zauważył, bo nikogo nie było w okolicy. Zamierzał wrócić następnego dnia i znów nasłuchiwać, na wypadek gdyby Peter i pozostali byli gdzieś w dolinie. Nie miał pojęcia, gdzie są, wiedział tylko, że zaginęli.

Rozdział 29

Honolulu 30 października, godzina 13.00

Ze swojego pozbawionego okien gabinetu Dan Watanabe zadzwonił do wydziału osób zaginionych.

- Dajcie mi znać, jeśli pojawią się jakieś nowe informacje na temat tych doktorantów.
- Co za zbieg okoliczności. Niech pan zadzwoni do Nanci Harfield. Jest teraz w ósmym okręgu.

Sierżant Nanci Harfield pracowała w drogówce, a okręg ósmy obejmował południowozachodnią część Oahu.

- Jestem na Kaena - powiedziała Nanci. - Znaleźliśmy wywrócony luksusowy samochód w zatoczce pływowej pod mostem. Auto zostało zarejestrowane na niejaką Alyson F. Bender z Nanigen MicroTechnologies. Pod samochodem jest uwięzione ciało kobiety. Nie widać innych ofiar.

- Chciałbym to zobaczyć - rzekł Watanabe.

Wsiadł do swojego nieoznakowanego forda crown victoria i pojechał autostradą prowadzącą wokół Pearl Harbor, nie przekraczając stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Dotarł do Waianae, miasteczka położonego na południowozachodnim wybrzeżu Oahu. To była zawietrzna strona wyspy, sucha i słoneczna, gdzie łagodne fale lizały plaże, a nawet najmniejsze keikis mogły się bawić i brodzić w wodzie. Była to jednak gorsza część wyspy pod względem przestępczości. Chociaż rzadko dochodziło do aktów przemocy, zdarzało się tutaj mnóstwo włamań do samochodów i drobnych kradzieży. W dziewiętnastym wieku, w czasach Królestwa Hawajów, zawietrzna strona wyspy była niebezpiecznym miejscem, schronieniem bandytów, którzy okradali i mordowali zapuszczających się tam ludzi. Teraz dotykały ją głównie przestępstwa przeciwko mieniu.

Na Kaena Point w płytkiej wodzie leżał odwrócony samochód. Na drodze zaparkował ciężki policyjny dźwig, który już wciągał wrak, chociaż opuszczenie kabla przez gęste zarośla z pewnością nie było łatwe. Auto przechyliło się, gdy dźwig je pociągnął, po czym przewróciło się na lewy bok. To był ciemnoniebieski bentley kabriolet. Miał podarty i zmiażdżony rozkładany dach. Z wnętrza samochodu wylewała się woda i sypał piasek, a na siedzeniu kierowcy siedziała martwa kobieta, upiornie wyprostowana.

Watanabe zaczął schodzić ze zbocza. Rozdarł sobie spodnie, ślizgał się i zjeżdżał w dół, żałując, że ma na nogach sportowe obuwie.

Kiedy dotarł do samochodu, dźwig zdążył go wyciągnąć na skały. Martwa kobieta była ubrana w ciemny żakiet. Poskręcane włosy otaczały jej twarz i zatykały usta. Nie miała oczu; zjadły je ryby żyjące na rafie.

Dan pochylił się i rozejrzał po wnętrzu samochodu. Zobaczył ubrania poprzyklejane do mokrej tapicerki, siedzeń i poskręcanych metalowych elementów dachu. Szorty. Pasek z węzowej skóry przeżuty przez ryby. Żółtawozielone kobiece majtki. Kolejna para szortów, tym razem dopiero co kupionych, jeszcze z metką. Koszula od Hilo Hattie. Para dzinsów dzwonoń z dziurą na prawym kolanie.

- Jechała do pralni? - powiedział Dan do jednego z policjantów. Takie ubrania zazwyczaj noszą młodzi ludzie. Zauważył foliową torebkę wciśniętą pod tablicę rozdzielczą, wyjął ją i przeczytał etykietkę. - Etanol. Hm.

Na tylnym siedzeniu znalazł portfel, a w nim prawo jazdy wydane w stanie Massachusetts, należące do Jenny H. Linn. Jednej z zaginionych doktorantek. W aucie nie było jednak żadnych ciał poza zwłokami kobiety, którą mogła, ale nie musiała być Alyson Bender. To się okaże w laboratorium medycyny sądowej.

Watanabe wspiął się z powrotem na drogę. Tam Nanci Harfield i kolejni funkcjonariusze fotografowali i mierzyli ślady opon na zwirowym poboczu.

Watanabe popatrzył na Harfield.

- Co o tym sądzisz?

- Wygląda na to, że samochód zatrzymał się tutaj, a potem stoczył w przepaść. -

Harfield uważnie przeszukiwała okolicę, wypatrując odcisków butów. Żwir był poruszony, ale nie znalazła żadnych wyraźnych śladów. - Wydaje się, że auto tutaj przystanęło - kontynuowała. - A potem spadło z urwiska, nawet nie próbując hamować. Gdyby kierująca chciała zatrzymać pojazd, widzielibyśmy ślady hamowania na ziemi. Skoro ich nie ma, to najwyraźniej nie próbowała powstrzymać upadku. Być może stała tutaj przez chwilę, zastanawiając się, po czym wcisnęła gaz i runęła w dół.

- Samobójstwo? - spytał Watanabe.

- Możliwe. Na to by wskazywały ślady.

Zespół zbierający dowody zrobił zdjęcia i nagrał film. Potem schowali ciało do worka i załadowali je do karetki, która odjechała w ciszy, migając światłami. W ślad za nią pojechała policyjna laweta ze zniszczonym bentleyem, który wciąż ociekał morską wodą.

Watanabe wrócił za swoje biurko na posterunku i wbił wzrok w podrapaną metalową

ścianę, na którą czasami patrzył, żeby zebrać myśli. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś specjalnie włożył te ubrania do samochodu. Zwłaszcza portfel. Ludzie, którzy zamierzają wyjechać, nie zostawiają dokumentów. Gdyby Jenny Linn odeszła z własnej woli, zabrałaby portfel. A jeśli ktoś ją zmusił do odejścia? Porwał? Może wydarzył się wypadek na morzu? Zaginiona łódź wyjaśniłaby jednocześnie zniknięcie tylu osób.

Zadzwonił do wydziału przestępstw przeciwko mieniu i spytał, czy ostatnio zgłoszono zaginięcie jakiejś jednostki. Okazało się, że nie. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w ścianę.

Chyba nadszedł czas na awaryjną porcję sushi z mielonką.

Nagle zadzwonił telefon. To był policjant z wydziału osób zaginionych.

- Mam dla ciebie jeszcze jednego.

- Tak? Kogo?

- Joanna Kinsky zgłosiła, że jej mąż wczoraj nie wrócił z pracy. Jest inżynierem w Nanigenie.

- Kolejny zaginiony pracownik Nanigenu? Chyba sobie żartujecie...

- Pani Kinsky twierdzi, że dzwoniła do firmy, ale nikt nie widział jej męża od wczorajszego popołudnia.

Szef ochrony ich o tym nie poinformował. Jak na takie spokojne miasteczko zbyt wielu ludzi związanych z jedną spółką znikło bez śladu.

Kolejny telefon. Tym razem od Dorothy Girt, specjalisty kryminalistyki z wydziału

badawczodochozeniowego.

- Dan... przyjdź do nas, musisz coś zobaczyć. Chodzi o sprawę Fonga. Coś znalazłam.

Psiakrew. Bałagan Willy'ego Fonga. W tej chwili było mu to nie na rękę.

Don Makele wszedł do gabinetu Vina Drake'a. Był wyraźnie zdenerwowany.

- Telius i Johnstone nie żyją.

Drakę zazgrzytał zębami.

- Co się stało?

- Straciłem z nimi kontakt radiowy. Zlokalizowali ocalałych i rozpoczęli... eee... akcję

ratunkową - wyjaśnił Makele. Znow zaczął się pocić. - W trakcie jej trwania coś ich

zaatakowało. Usłyszałem krzyki, a potem Telius... został pożarty.

- Pożarty?

- Wszystko słyszałem. Dopadł go jakiś drapieżnik. Radionadajnik Teliusa umilkł.

Długo próbowałem go wywołać, ale już się nie zgłosił.

- Jak myślisz, co się stało?

- Myślę, że wszyscy zginęli.

- Dlaczego?

- Moi ludzie byli najlepsi, a jednak coś poradziło sobie z ich bronią i pancerzami.

- Zatem doktoranci...

Makele pokręcił głową.

- Nie mieli szans.

Drakę rozparł się na krześle.

- Więc wydarzył się wypadek z udziałem drapieżnika.

Makele cmoknął.

- Kiedy byłem w Afganistanie, zauważyłem pewną prawidłowość dotyczącą

wypadków.

- To znaczy? - spytał Drake.

- Częściej przytrafiają się dupkom.

Drake zachichotał.

- To prawda.

- Misja ratunkowa... zakończyła się niepowodzeniem.

Drake zorientował się, że Don Makele dokładnie zrozumiał, co jego przełożony miał na myśli, mówiąc o ratunku. Mimo to wciąż miał wątpliwości.

- Skąd ta pewność, Don, że misja ratunkowa się... nie powiodła?

- Nikt nie ocalał. Jestem tego pewien.

- Pokaż mi ciała.

- Przecież nie ma żadnych...

- Nie uwierzę, że doktoranci nie żyją dopóki nie zobaczę dowodu. - Drake odchylił się do tyłu. - Póki jest nadzieja, nie będziemy szczydzili wysiłków, aby ich ocalić. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Wyrażam się jasno?

Makele bez słowa wyszedł z gabinetu. Nie było nic do dodania.

Z kolei Vin Drake był zadowolony z tego, co spotkało Teliusa i Johnstone'a. To oznaczało, że nie będzie musiał im wypłacić premii w postaci cennych udziałów. Nie mógł jednak zakładać, że wszyscy doktoranci zginęli. Już wcześniej wykazali się zaskakującymi zdolnościami przetrwania i wytrwałością dlatego zamierzał nadal próbować ich wykurzyć, na wypadek gdyby część z nich ocalała.

Rozdział 30

Pali 30 października, godzina 16.00

- Oto recepta na korki w Bostonie - stwierdziła Karen.

Wjeżdżała sześcionogim pojazdem po stromym zboczu, lawirując pomiędzy kamieniami i źdźbłami traw. Maszyna gwałtownie szarpnęła.

- Proszę! Uważaj na moją rękę.

Danny siedział na miejscu pasażera i trzymał się za lewą rękę, która zwisała bezwładnie z temblaka jak kawałek kiełbasy, tak mocno opuchnięta, że wypełniała rękaw koszuli. Pojazd poruszał się miarowym tempem przy wtórze mechanicznego jęku nóg, wspinając się poprzez rozległy pionowy świat lśniący milionem odcieni zieleni. W części bagażowej z tyłu siedziała skulona Erika przywiązana liną. Rick szedł obok pojazdu, trzymając w pogotowiu gazowy karabin i wypatrując drapieżników. Zarzucił na ramię pas z igłami.

Teren stał się bardzo stromy. Gleba ustąpiła miejsca kruchym kawałkom lawy i zwirowi, spod których wystawały skały wulkaniczne, a wszystko zdobiły girlandy traw i niewielkich paproci. Drzewa koa i gujawy wiły się we wszystkich kierunkach, a wśród nich sterczały cienkie i proste pnie palm loulu. Wiele drzew było oplecionych pnączami. Gałęzie grzechotały na wietrze, który nieustannie chłostał górskie zbocze, a podmuchy od czasu do czasu wstrząsały pojazdem i jego pasażerami. Obłok mgły na chwilę ogarnął roślinność, po czym znów zaświeciło słońce.

Śmierć Petera i Amara przygnębiła doktorantów. Z ósemki zagubionej w mikroświecie pozostała czwórka. Ich liczba spadła o połowę w ciągu zaledwie dwóch dni. Pięćdziesięcioprocentowa śmiertelność. To fatalna statystyka, pomyślał Rick. Gorzej niż wśród żołnierzy walczących na plażach Normandii. Rick spodziewał się kolejnych zgonów, jeśli jakimś cudem nie nadejdzie ratunek. Jednak teraz nie mogli się pokazać w siedzibie Nanigenu, ponieważ Vin Drake zmobilizował wszystkie siły, żeby ich odnaleźć i uciszyć na zawsze.

- Drake nadal nas szuka - stwierdził Rick. - Jestem tego pewien.

- Wystarczy - odparła Karen. Nie było sensu rozmawiać o Drake'u, skoro czuli się przez to jeszcze bardziej bezsilni. - Peter nigdy by się nie poddał - dodała spokojniej; kierowała maszyną prowadząc ją po rozległej skalnej ścianie. Rick wskoczył do kabiny. Wjechali między górską roślinność. Co jakiś czas przez prześwity w koronach drzew widzieli oszałamiającą panoramę. Wokół nich wznosiły się urwiska i szczyty Pali, a w pobliżu grzmiał wodospad. Gdzieś ponad nimi zakrzywiony grzbiet tworzył krawędź Krateru Tantara. Nogi maszerującego pojazdu płoszyły rozmaite stworzenia. Wystraszone skoczogonki odskakiwały im z drogi, koziołkując w powietrzu; robaki wiły się i roily w glebie; roztocze dreptały wokoło, czasem wspinając się na nogi maszyny. Musieli je strącać, w przeciwnym razie wpęłyby do kabiny oraz silnika, pozostawiając małe kulki nawozu i wszystko brudząc. W powietrzu krążyły tysiące owadów, bzycząc, wirując i lśniąc w słońcu. Mam dosyć tego całego życia - narzekał Danny Pochylił się nad swoją chorą ręką, sprawiając żałosne wrażenie.

- Jeśli wytrzyma akumulator, przed zmierzchem możemy dotrzeć do krateru - odrzekł Rick.

- A co wtedy? - spytała Karen, kierując pojazdem.

- Zrobimy rekonesans. Przyjrzymy się bazie i wtedy zdecydujemy, jaki wykonać ruch.

- A jeśli bazy nie będzie? Może została wyrwana tak jak stacje?

- Czy musisz być taką pesymistką?

- Staram się nie tracić kontaktu z rzeczywistością Rick.

- W porządku, Karen. Więc jaki masz plan?

Karen nie miała planu, więc nie odpowiedziała. Miała nadzieję, że dotrą do bazy, a wtedy wpadną na jakiś pomysł. Jednak to nie był plan, tylko pobożne życzenia. Gdy tak

wędrowali, Karen analizowała sytuację, w której się znaleźli. Była bardzo wystraszona, ale strach sprawiał, że żyła pełnią życia. Zastanawiała się, ile czasu jej zostało. Może dzień, może kilka godzin. Chciała zrobić z nich jak najlepszy użytek, na wypadek gdyby okazało się, że jej życie ma być krótkie jak u owada.

Zerknęła na Ricka. Jak on to robi? Maszeruje z karabinem na ramieniu, lekko się chwiejąc, i wygląda, jakby nie miał żadnych trosk. Przez chwilę mu zazdrościła, mimo że nie darzyła go sympatią.

Usłyszała jęk. Erika siedziała z tyłu pojazdu, obejmując kolana rękami.

- Wszystko w porządku? - spytała Karen.

- W porządku.

- Boisz się...?

- Oczywiście, że się boję.

- Postaraj się nie bać za bardzo. Wszystko się ułoży - odparła Karen.

Erika nie odpowiedziała. Wyglądało na to, że nie jest w stanie wytrzymać trudów tej podróży. Karen jej współczuła i martwiła się o nią.

Don Makele odwiedził centrum komunikacyjne w siedzibie Nanigenu, niewielkie pomieszczenie wyposażone w radiostację z urządzeniem szyfrującym oraz główny moduł bezprzewodowej firmowej sieci. Zaczepił młodą kobietę, która monitorowała firmowe kanały.

- Chciałbym namierzyć sprzęt, który zgubiliśmy w dolinie Manoa.

Podał jej numer seryjny urządzenia.

- Co to za sprzęt? - spytała.

- Eksperymentalny.

Nie miał zamiaru zdradzać, że chodzi o zaawansowany sześcionogi pojazd

wyprodukowany w ramach Projektu Omikron.

Wpisując

komendy

zdalnie,

kobieta

włączyła

potężny

siedemdziesięciodwugigahercowy przekaźnik umieszczony na dachu szklarni w arboretum

Waipaka.

- Gdzie mam wycelować?

- Na północny zachód. W stronę stacji zaopatrzeniowej Echo.

- W porządku. - Wystukała namiary na klawiaturze.

- A teraz niech pani wyśle sygnał.

Młoda kobieta wprowadziła polecenie i popatrzyła na ekran.

- Niczego tam nie ma.

- Niech pani przeszuka najbliższą okolicę.

Przez chwilę pisała na klawiaturze, ale również tym razem nic się nie wydarzyło.

- Teraz niech pani przesunie przekaźnik w górę zbocza i wyśle serię sygnałów.

Po chwili kobieta się rozpromieniła. Mam. Dostałam odpowiedź.

- Gdzie jest sprzęt?

- Ojej, na urwisku. W połowie wysokości. - Wywołała na ekranie obraz terenu i

wskazała położenie urządzenia na zboczu, wysoko ponad dnem doliny. - Jak ten sprzęt się tam dostał?

- Nie wiem - odparł Makele.

Ktoś przetrwał i teraz wspina się sześcioniogiem na urwisko. Ciekawe.

Makele wrócił do gabinetu Drake'a.

- Z czystej ciekawości namierzyłem sześcionóg. Niech pan sobie wyobrazi, że jest w połowie drogi do Krateru Tantalą.

Drakę zmrużył oczy. Co to znaczy, do diabła? Ktoś przeżył atak drapieźnika, który pożarł Teliusa i Johnstone'a.

- Czy możemy odnaleźć i odzyskać pojazd?

- Urwisko jest bardzo strome. W tej chwili raczej nie uda nam się tam dotrzeć. Poza tym nie możemy dokładnie namierzyć pojazdu. Znamy tylko jego przybliżone położenie, z dokładnością do stu metrów.

Kąciki ust Drake'a nieznacznie się uniosły, po czym na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech.

- Ciekawe... może zmierzają do Bazy Tantalą.

- Tak, to możliwe.

Drakę wybuchnął śmiechem.

- Baza Tantalą! Ha! Chciałbym zobaczyć ich miny, kiedy tam dotrą. Czeka ich paskudna niespodzianka... jeśli w ogóle zdołają osiągnąć cel. - Nagle spoważniał. - Wjedź na krater i wszystko przygotuj. Ja będę śledził ich wspinaczkę.

Rick siedział za sterami, gdy rozległ się pisk i panel komunikacyjny pojazdu rozbłysnął światłami. Na wyświetlaczu pojawił się napis: „ODPOWIEDŹ 23094-451”. Co to było, do cholery? - odezwał się Rick.

Danny opadł na fotel obok niego.

- Zgaś to.

- Nie mogę. Gównno samo się włączyło.

Czyżby ktoś próbował się z nimi skontaktować? - zastanawiał się Rick. Może Drake.

Nagle panel ponownie zgasł. Mimo to Rick miał wrażenie, że Drake wie, gdzie są. A skoro tak, to co zrobią jeśli ich znajdzie? Z karabinu gazowego nie zranią człowieka normalnych rozmiarów. Karen szła obok pojazdu.

- Radio dziwnie się zachowuje - poinformował dziewczynę.

Wzruszyła ramionami.

Teren stawał się coraz bardziej stromy. Dotarli do niskiego urwiska i pojazd zaczął się na nie wspinać. Na szczycie ominęli kępę turzycy i natrafili na kamień.

- Stój! - zawołał Rick. Zbliżył się do kamienia i coś pod nim zauważył. Coś czarnego i błyszczącego. - Tam się kryje jakiś chrząszcz. Eriko, co to za gatunek?

Erika skupiła się na chrząszczu. To był Metromenus, taki sam jak ten, którego spotkali wkrótce po przybyciu do mikroświata.

- Ostrożnie - powiedziała Erika. - Pyskają paskudną substancją.

- No właśnie - dodał Rick.

- Co się dzieje? - spytała Karen.

- Nam także przydałaby się broń chemiczna.

- Wcale nie - odparła Karen. - Już mamy benzochinony.

Wyjęła z kieszeni buteleczkę zawierającą obronny związek, który przygotowała w laboratorium i zamierzała pokazać Vinowi Drake'owi. Kiedy jednak nacisnęła pompkę aerozolu, nic się nie stało. Zużyła całą zawartość podczas walki ze skolopendrą.

Rick postanowił napełnić buteleczkę substancją pochodzącą od chrząszcza. Zbliżył się do niego z karabinem, wycelował. Co to było, do cholery? - odezwał się Rick.

Danny opadł na fotel obok niego.

- Zgaś to.

- Nie mogę. Gówno samo się włączyło.

Czyżby ktoś próbował się z nimi skontaktować? - zastanawiał się Rick. Może Drake.

Nagle panel ponownie zgasł. Mimo to Rick miał wrażenie, że Drake wie, gdzie są. A skoro tak, to co zrobią, jeśli ich znajdzie? Z karabinu gazowego nie zranią człowieka normalnych rozmiarów. Karen szła obok pojazdu.

- Radio dziwnie się zachowuje - poinformował dziewczynę.

Wzruszyła ramionami.

Teren stawał się coraz bardziej stromy. Dotarli do niskiego urwiska i pojazd zaczął się na nie wspinać. Na szczycie ominęli kępę turzycy i natrafili na kamień.

- Stój! - zawołał Rick. Zbliżył się do kamienia i coś pod nim zauważył. Coś czarnego i błyszczącego. - Tam się kryje jakiś chrząszcz. Eriko, co to za gatunek?

Erika skupiła się na chrząszczu. To był Metromenus, taki sam jak ten, którego spotkali wkrótce po przybyciu do mikroświata.

- Ostrożnie - powiedziała Erika. - Pyskają paskudną substancją.

- No właśnie - dodał Rick.

- Co się dzieje? - spytała Karen.

- Nam także przydałaby się broń chemiczna.

- Wcale nie - odparła Karen. - Już mamy benzochinony.

Wyjęła z kieszeni buteleczkę zawierającą obronny związek, który przygotowała w laboratorium i zamierzała pokazać Vinowi Drake'owi. Kiedy jednak nacisnęła pompkę aerozolu, nic się nie stało. Zużyła całą zawartość podczas walki ze skolopendrą.

Rick postanowił napełnić buteleczkę substancją pochodzącą od chrząszcza. Zbliżył się do niego z karabinem, wycelowali strzeł. Igła przebiła pancerz owada. Rozległ się stłumiony wybuch i chrząszcz zadrżał, po czym w agonii rozpylił wokół siebie kwaśno cuchnące

chemikalia.

Erika zapewniła ich, że w ciele chrząszcza pozostało jeszcze mnóstwo substancji. Rick włożył strój szalonego naukowca - gumowy fartuch, ochronne okulary i rękawiczki - po czym zabrał się do pracy.

Najpierw przewrócił martwego chrząszcza na grzbiet. Potem zaczął stukać maczetą w kilkusegmentowy odwłok, szukając szpary.

Erika udzielała mu wskazówek.

- Przetnij go pomiędzy szóstym i siódmym segmentem. Odchyl skleryty... delikatnie.

Rick wbił ostrze w chrząszcza, tnąc wzdłuż łączenia segmentów, a później naparł na maczetę, odchylając płytki pancerza. Odpadły z głośnym trzaskiem, odsłaniając tłuszcz.

Zaczął go ostrożnie ciąć.

- Poszukaj dwóch worków u podstawy odwłoka - wyjaśniła Erika, przyklękając obok Ricka. - Tylko ich nie przebij, bo pożałujesz.

Rick kolejno wydobyl dwa organy przypominające kształtem piłki futbolowe. Worki z chemikaliami. Były zamknięte - mięśnie zacisnęły się wokół ich wylotów. Kierując się wskazaniem Eriki, przeciął mięsień, a wtedy z pierwszego z worków zaczął wyciekać cuchnący płyn.

- To benzochinon - powiedziała Erika. - Jest zmieszany z detergentem, kwasem kaprylowym, dzięki któremu lepiej przywiera do spryskanych powierzchni, co zwiększa jego skuteczność obronną. Nie pozwól, żeby ci chlapnął na skórę.

Karen z zadowoleniem patrzyła, jak Erika się angażuje. Ostatnio była taka milcząca i przygnębiona. Teraz przynajmniej czymś się zajęła.

Rick nabrał płynu do butelki, po czym ją zakręcił i wręczył Karen.

- Proszę. Dla ochrony.

Karen z podziwem popatrzyła na Ricka. Z pewnością nie brakowało mu energii.

Powinna była pomyśleć o tym, żeby zabrać więcej płynu. Wydawało się, że Rick świetnie sobie radzi w mikroświecie, a nawet mu się tutaj podoba. Nie czuła przez to do niego większej sympatii, ale ku swemu zaskoczeniu cieszyła się, że jej towarzyszy.

- Dzięki - powiedziała, wpychając butelkę z powrotem do kieszeni.

- Nie ma o czym mówić.

Rick zdjął ochronny strój i schował go do bagażu, a potem ponownie podjęli wspinaczkę.

Teren stał się niemożliwie stromy, niemal pionowy, i po chwili stanęli u stóp bezkresnego urwiska. Jak okiem sięgnąć ciągnęła się pokryta bąblami wulkaniczna skała ozdobiona porostami i mchem oraz usiana kępami paproci uluhe. Wydawało się, że nie ma sposobu na jej ominięcie.

- Chrzanić urwisko, cała naprzód - zarządził Rick.

Upewnili się, że cały sprzęt jest mocno przymocowany, po czym Rick i Erika wskoczyli na tył pojazdu i przywiązali się linami. Karen siedziała za sterami. Stopy pojazdu sprawnie przywarły do skały i maszyna ruszyła w górę. Przemieszczali się w znakomitym tempie, szybko nabierając wysokości.

Jednak urwisko zdawało się bezkresne.

Dzień dobiegał końca i nie wiedzieli, jak daleko dotarli ani ile drogi jeszcze im pozostało. Wskaźnik poziomu naładowania akumulatora pokazywał, że mają do dyspozycji już tylko jedną trzecią mocy.

- Myślę, że powinniśmy urządzić postój na urwisku - rzekł Rick. - Możliwe, że tutaj będziemy najbezpieczniejsi.

Znaleźli skalny występ i zaparkowali na nim pojazd. Mieli stąd piękny widok na

dolinę. Zjedli ostatnie kawałki mięsa pasikonika.

Danny rozłożył kilka przedmiotów z tyłu pojazdu, gdzie zamierzał spędzić noc. Wciąż miał opuchniętą rękę, która sprawiała wrażenie wzdętej i pozbawionej życia. Wydawało mu się, że już nie należy do niego, ale stanowi zbędny balast.

- Ała - szepnął, po czym chwycił się za rękę i wykrzywił twarz.

- Co znowu? - spytał Rick.

- Moja ręka strzeliła.

- Jak to strzeliła?

- Coś w niej zahałasowało.

- Pokaż. - Rick pochylił się nad Dannym.

- Nie.

- Daj spokój. Podwiń rękaw.

- Nic mi nie jest.

Lewa ręka Danny'ego wciąż była sparaliżowana i bezwładnie zwisała z temblaka.

Szczelnie wypełniała rękaw koszuli, napinając brudny materiał.

- Lepiej wystaw skórę na powietrze - poradził Rick. - Może się wdać zakażenie.

- Odczep się. Nie jesteś moją matką. - Danny podłożył sobie zwiniętą szmatę pod

szyję i zwinął się w kłębek na podłodze.

Ciemność zapadła nad Pali. Ponownie rozległy się nocne odgłosy, tajemnicze owadzie dźwięki.

Rick usadowił się na fotelu pasażera.

- Prześpij się, Karen. Ja będę czuwał.

- Może lepiej ty się zdrzemnij, a ja pierwsza stanę na straży?i»‘.

#

W końcu żadne z nich się nie położyło i w gęstej ciszy razem pilnowali śpiących Eriki i Danny'ego. Nietoperze ruszyły na łowy i wkrótce wokoło rozległy się charakterystyczne piski, gdy zwierzaki zaczęły krążyć po niebie, uganiając się za ćmami i innymi latającymi owadami.

Danny się poruszył.

- Nie dają mi spać - mruknął, ale po chwili usłyszeli jego chrapanie.

Księżyc wspiął się wysoko ponad dolinę Manoa, zmieniając wodospady w srebrzyste nitki spadające w pustkę. Wokół jednego z wodospadów lśnił świetlny łuk. Rick się na niego zapatrzył. Wydawało mu się, że światło zmienia się i migocze.

Karen także je zauważyła i wskazała harpunem.

- Wiesz co to jest, prawda?

- Nie mam pojęcia.

- To tęcza księżycowa. - Dotknęła jego ręki. - I to podwójna, patrz!

Rick nawet nie wiedział, że istnieje coś takiego jak tęcza księżycowa. Byli jak podróżni w groźnym Edenie. Pech chciał, że utknął w raju akurat z Karen. Zorientował się, że na nią patrzy. Cóż, nie da się zaprzeczyć, że jest piękna, zwłaszcza w blasku księżyca. Nic nie jest w stanie jej powstrzymać ani pognać. Karen to świetna towarzyszka na czas niebezpiecznej wyprawy, nawet jeśli nie potrafią się dogadać. Z pewnością nie brakuje jej odwagi. Szkoda, że ma taką niesforną i pełną sprzeczności osobowość. Odpłynął w sen, a gdy się obudził, zobaczył, że Karen śpi oparta głową o jego ramię, spokojnie oddychając.

Rozdział 31

Beretania Street, Honolulu 30 października, godzina 16.30

- Dziwne. - Dorothy Girt, starszy specjalista kryminalistyki z policji w Honolulu, w skupieniu patrzyła przez okulary mikroskopu Zeissa. - Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

Wstała, a Watanabe zajął jej miejsce. Znajdowali się na otwartej przestrzeni podzielonej stołami laboratoryjnymi, na których stał sprzęt do badań i obrazowania, mikroskopy oraz komputery. Dan ustawił okulary i skupił wzrok.

Najpierw zobaczył... niewielki metaliczny obiekt.

- Jakiej jest wielkości? - spytał.

- Jeden milimetr.

Nieco większy od ziarenka maku. Jednak mieli do czynienia z maszyną a przynajmniej z czymś, co na nią wyglądało.

- Co to ma znaczyć, do cholery?

- Tak samo zareagowałam.

- Skąd on się wziął?

- Z biura Fonga - odrzekła Dorothy. - Zespół przeszukujący pomieszczenie znalazł go na taśmie, którą zdejmowano odciski palców z zamka w oknie.

Watanabe zmienił ustawienia ostrości i przesunął wzrokiem wzdłuż obiektu.

Przedmiot wyglądał na zmiażdżony i pokrywała go ciemna, smolista substancja. Nieco przypominał odkurzacz, tylko że był wyposażony w jakiś wiatrak schowany pod osłoną.

Jakby silnik odrzutowy. Dan zauważył także długą elastyczną rurę zakończoną dwoma ostrymi, płaskimi kawałkami metalu.

- To pewnie wypadło z czyjegoś komputera - stwierdził.

Dorothy stała obok oparta o stół. Wyprostowała się.

- Czy w komputerze znajdują się noże? - spytała cicho.

Popatrzył ponownie. To, co wziął za płaskie kawałki metalu wystające z rury, bardziej przypominało ostrza. Skrzyżowane lśniące sztylety na końcu elastycznego ramienia.

- Myślisz, że...? - zaczął.

- Chciałabym poznać twoje zdanie, Dan.

Watanabe pokręcił gałką, coraz bardziej powiększając sztylety. Okazały się precyzyjnymi przyrządami, starannie wyprofilowanymi i wypolerowanymi. Przypominały mu tantó, japońskie sztylety używane przez samurajów. Ostrza były wysmarowane czymś ciemnym i brudnym. Nagle zrozumiał, na co patrzy. To były zaschnięte krwinki wymieszane z fibryną.

- Jest na nich krew.

- Widziałam.

- Jak długie są te ostrza?

- Mają niecałe pół milimetra - odpowiedziała Girt.

- Więc nic z tego - odparł. - Ofiary wykrwawiły się na skutek skaleczeń o głębokości do dwóch centymetrów. Miały rozcięte szyje. Te ostrza są o wiele za małe, żeby poderznąć komuś gardło. Równie dobrze można by próbować zabić wieloryba scyzorykiem. Nie da rady. Oboje przez chwilę milczeli.

- Chyba że podczas urodzin - dodał Watanabe.

- Słucham...?

- Czym tniesz papier, kiedy pakujesz prezent urodzinowy?

- Nożyczkami.

- Te ostrza to nożyczki, dlatego mogły zadać ofiarom głębokie rany.

Zaczął uważnie przyglądać się urządzeniu, szukając znaków rozpoznawczych - numeru seryjnego, napisów, firmowego logo. Niczego nie znalazł. Ktokolwiek zbudował tę maszynę, nie pozostawił na niej żadnych oznaczeń albo starannie je wymazał. Innymi słowy, chciał uniknąć namierzenia.

- Czy podczas sekcji zwłok znaleziono więcej takich urządzeń? W ranach albo krwi?

- Nie - odparła Girt. - Ale lekarze pewnie by ich nie zauważyli.

- Co się stało z ciałami?

- Fonga poddano kremacji. Rodrigueza pochowano. Trzeci mężczyzna, którego tożsamości nie udało się ustalić, jest w chłodni.

- Trzeba ponownie mu się przyjrzeć.

- Załatwione.

Watanabe wstał od mikroskopu i z rękami w kieszeniach zaczął krążyć po laboratorium. Zmarszczył czoło.

- Dlaczego urządzenie znalezione na oknie? Jak się tam znalazło, skoro było w ciele ofiary? Jak się dostało do wnętrza ciała? - Wrócił do mikroskopu i przyjrzał się malutkiemu wiatrakowi. O rany... to śmigło. - A niech mnie, to coś mogło latać.

- Nie mamy co do tego pewności - odparła Dorothy oschle.

- Mogło pływać we krwi.

- Zapewne.

- Czy możesz zbadać DNA zawarte we krwi, która jest na ostrzach?

- Mogę pobrać DNA z kichnięcia pchły - odparła z szerokim uśmiechem.

- Chciałbym sprawdzić, czy krew na urządzeniu należy do którejś z ofiar.

- To byłoby ciekawe - odrzekła Dorothy, a w jej cynicznych oczach pojawił się błysk.

- Produkują małe roboty - szepnął Dan.

- Słucham?

Watanabe wstał.

- Dobra robota, Dorothy.

Dorothy Girt posłała porucznikowi niewyraźny uśmiech. Czyżby nie wiedział, że cały czas wykonuje świetną robotę w laboratorium? Bardzo ostrożnie podniosła malutki obiekt

pęsetą i włożyła go do plastikowej fiolki mniejszej od swojego małego palca, po czym zaniósła ją do szafki z materiałami dowodowymi. W końcu może mieć do czynienia z narzędziem zbrodni.

Watanabe zamyślony wyszedł z laboratorium. Nanigen. Małe roboty. Wygląda na to, że pojawił się związek pomiędzy bałaganem Willy'ego Fonga a Nanigenem.

Najwyższy czas porozmawiać z dyrektorem naczelnym.

Vin Drake zajrzał do centrum komunikacyjnego. Wyrzucił z pomieszczenia młodą operatorkę, zamknął drzwi na klucz i sam zasiadł przy radarze. Popatrzył na ekran, na którym wyświetlała się trójwymiarowa mapa północnozachodniej ściany doliny Manoa, od dna doliny aż po Krater Tantała położony sześćset metrów wyżej. Niedaleko szczytu, u podstawy krateru, zobaczył okrąg oznaczony krzyżykiem. Oto przybliżone położenie skradzionego pojazdu. Jak widać, uciekinierzy dotarli już prawie do zbocza Krateru Tantała. W tym tempie do rana znajdą się w bazie, chyba że zaatakują ich jakiś drapieźnik. Vin nie miał kontroli nad drapieźnikami, ale mógł kontrolować Bazę Tantała.

Wyjął firmowy telefon z koderem i zadzwonił do Dona Makele.

- Sześćset się zbliża.

Rozdział 32

Urwisko 31 października, godzina 9.45

Pojazd pokonał skalny nawis i wkroczył na omszały płaski teren. Znajdował się tam lśniący staw, do którego skapywał malutki wodospad. Krople lądujące w wodzie wywoływały na powierzchni pryzmatyczne błyski.

Rick, Karen i Erika wyszli z pojazdu. Stanęli nad brzegiem stawu i zapatrzili się w wodę. Była krystalicznie czysta i przypominała lustro.

- Jesteśmy tacy brudni - zauważyła Erika.

- Chętnie bym popływała - dodała Karen.

Zobaczyli swoje odbicia w wodzie. Byli zmęczeni i spoceni, a ich ubrania podarły się i ubrudziły. Karen uklękła, chcąc zanurzyć rękę. Jej palec wgiął powierzchnię wody, ale jej nie przebił. Dotykała elastycznego menisku. Nacisnęła mocniej, napierając ciężarem ciała, i jej dłoń w końcu wniknęła w głąb stawu.

- Trudno się oprzeć - rzekła.

- Nie rób tego. Zginiesz - rzucił Danny, który został w pojeździe.

- Tutaj nie ma niczego groźnego - zaproponowała Karen.

Rick nie był tego taki pewien. Zaczął dźgać dno stawu harpunem, wzburzając wodę.

Miał nadzieję, że jeśli żyje tam jakieś paskudne stworzenie, to on w ten sposób wywabi je z ukrycia. W wodzie unosiły się i wirowały migoczące jednokomórkowe organizmy, ale żaden z nich nie wydawał się niebezpieczny.

Staw był na tyle mały i płytki, że widzieli go w całości. Nie wyglądał groźnie.

- Popływam trochę - postanowiła Erika.

- Ja nie - burknął Danny.

Rick i Karen wymienili spojrzenia.

Erika schowała się za kępą mchu, po czym wróciła naga.

- Coś nie w porządku? - spytała, widząc spojrzenie Danny'ego. - Przecież jesteśmy biologami. - Weszła na powierzchnię stawu. Woda ugięła się pod jej stopami, ale ją utrzymała. Erika nacisnęła mocniej i nagle zapadła się po szyję. Podeszła do wodospadu i pod nim stanęła. Westchnęła, gdy spadające krople rozbiły się jej na głowie. - Jest cudownie.

Chodźcie.

Karen zaczęła się sprawnie rozbierać. Rick nie był pewien, co zrobić. Czuł się zażenowany, gdy patrzył na rozbierającą się Karen, a jeszcze większym wstydem nappełniała

go myśl o pływaniu z dwiema nagimi kobietami. Szybko zrzucił ubranie i wskoczył do wody.

- Witajcie w raju - rzekła Erika.

- Niebezpiecznym raju. - Rick zanurzył głowę i zaczął szorować włosy.

Badając staw, Karen stwierdziła, że jest pełen żyjących stworzeń, ale nie były to ryby, tylko jednokomórkowe organizmy. Stworzenia wirowały, unosiły się i przyspieszały. Zbliżyło się do niej zwierzątko w kształcie torpedy.

To był pantofelek, stworzenie żyjące w stawach, pierwotniak zbudowany z pojedynczej komórki. Pokrywały go falujące rzęski, które napędzały go w wodzie. Pantofelek zaczął uderzać Karen w rękę, łaskocząc jej skórę. Złożyła dłonie i nabrała trochę wody, podnosząc stworzonko. Czowała, jak rzęski chłoczą jej dłonie, gdy komórka wiała się w potrzasku. Przypominała kota, który nie lubi być trzymany na rękach.

- Nie zrobię ci krzywdy - powiedziała do pierwotniaka, delikatnie głaszcząc go palcem. Gdy dotknęła rzęsek, te zmieniły kierunek ruchu, uderzając ją w palce. Miała wrażenie, że głaszcze zbuntowany aksamit.

Dlaczego mówię do pojedynczej komórki? To idiotyczne. Komórka to maszyna.

Białkowy mechanizm w torbie pełnej wody. A jednak nie mogła się opędzić od myśli, że ta komórka to także niewielka żywa istota, która ma własne cele i pragnienia. Oczywiście nie jest inteligentna w ludzkim znaczeniu tego słowa. Nie potrafi wyobrazić sobie galaktyk ani skomponować symfonii, ale stanowi złożony biologiczny układ idealnie przystosowany do tego środowiska i nastawiony na wytworzenie jak największej liczby kopii samego siebie.

- Powodzenia - powiedziała głośno, rozwierając dłonie i wypuszczając pantofelka na wolność. Patrzyła, jak szybko umyka, wirując w wodzie. - Nie różnimy się aż tak bardzo od tych pierwotniaków - rzekła do Ricka.

- Nie dostrzegam podobieństwa - odparł Rick.

- W dniu poczęcia człowiek też jest pierwotniakiem. Jak lubi mawiać biolog John

Tyler Bonner: „Istota ludzka to jednokomórkowy organizm ze złożonym owocnikiem”.

Rick się uśmiechnął.

- To nasza najlepsza część.

- Prostack - burknęła Karen.

Erika posłała mu kpiący uśmiech.

Po powierzchni stawu przemknął cień, a w górze odbił się echem krzyk.

Instynktownie schowali głowy pod wodę. Kiedy znów się wynurzyli, Rick bacznie się rozejrzał.

- Ptaki - stwierdził.

- Jakiego rodzaju? - spytała Karen.

- Nie mam pojęcia. Zresztą już odleciały.

Uprali ubrania, usuwając z nich pył i błoto. Później rozłożyli je, żeby wyschły, i przez chwilę opalali się na mchu. Ubrania wkrótce były suche.

- Musimy iść dalej - rzekł Rick, zapinając koszulę.

Nagle odległe krzyki stały się głośniejsze i kilka mrocznych kształtów przemknęło w powietrzu nad ich głowami. Zerwali się na równe nogi.

Stado ptaków pędziło wzdłuż ściany urwiska, co chwila lądując i znów podrywając się do lotu. Szukały pożywienia. Ich okrzyki przeszywały powietrze.

Jeden z nich wylądował przed ludźmi. Był olbrzymi, miał lśniące czarne pióra, żółty dziób i czujny wzrok. Podskakiwał, uważnie oglądając teren przed sobą, i chrapliwie pokrzykiwał. Nagle odleciał. Po chwili pojawiły się kolejne osobniki i zaczęły zataczać kręgi, rozglądając się oraz przysiadając na drzewach wyrastających z urwiska. Ludzie czuli na sobie ich spojrzenia. Okrzyki ptaków otaczały staw.

Rick rzucił się w stronę pojazdu i chwycił karabin.

- To gwarki! - zawołał. - Kryjcie się!

Gwarki są mięsożerne.

Danny wytoczył się z kabiny i skulił pod pojazdem. Karen przypadła do ziemi za kamieniem, a Erika wcisnęła się w kępę mchu. Rick przyklęknął na otwartej przestrzeni i uniósł karabin, obserwując czarne kształty przemykające wzdłuż urwiska, słuchając okrzyków niesionych wiatrem.

Ptaki go zobaczyły. Nie bały się czegoś tak małego. Jeden z gwarków wylądował, po czym zaczął podskokami zbliżać się do Ricka. Mężczyzna wystrzelił. Karabin syknął i odrzucił Ricka do tyłu, ale w tej samej chwili gwarek wyskoczył w powietrze i odleciał z wiatrem. Hutter spudłował. Rozpaczliwie przeładował broń, wpychając kolejną igłę do komory. Karabin miał ręczny mechanizm ryglowy, więc strzelał pojedynczymi pociskami.

Rick szacował, że otacza ich dwadzieścia do trzydziestu ptaków. Krążyły wokół urwiska, ogłuszająco krzycząc.

- Polują stadami - wyjaśnił Rick.

Kolejny gwarek wylądował.

Rick pociągnął za spust. Nic się nie stało.

- Cholera!

Broń się zacięła. Zaczął rozpaczliwie szarpać zamkiem. Ptak zbliżył się o krok i przekrzywił głowę. Następnie chwycił dziobem broń. Błyszczący przedmiot przyciągnął jego uwagę. Uderzył karabinem o skałę, zginając go, po czym odrzucił na bok. Potem podniósł głowę, otworzył dziób i zawył, wydając z siebie okrzyk, od którego niemal zatrzęsała się ziemia.

Rick przypadł do ziemi i zaczął się czołgać w kierunku harpuna leżącego obok stawu.

Gwarek odwrócił się w stronę Eriki, która przykucnęła pośród mchu i stamtąd na niego spoglądała. Nagle straciła zimną krew. Opuściła głowę i z jękiem rzuciła się do ucieczki.

- Eriko, nie! - krzyknął Rick.

Ruch przyciągnął uwagę ptaka, który skoczył ku dziewczynie. Karen obserwująca całą tę sytuację podjęła nagłą decyzję. Postanowiła się poświęcić, aby uratować Erikę. Żeby dać jej szansę. To było dobre życie, pomyślała, po czym wstała i pobiegła w stronę ptaka, wymachując rękami.

- Hej! Weź mnie!

Ptaka skręcił i spróbował ją dziobnąć, ale nie trafił. Karen upadła na ziemię.

Tymczasem Erika wskoczyła do pojazdu i usiłowała uruchomić silnik. Wpadła w panikę; nie wiedziała, co robi, pragnęła jedynie uciec.

- Stój! - krzyknął Danny. - Natychmiast przestań!

Ale Erika nie zwracała na niego uwagi. Pojazd ruszył z miejsca i zaczął się wspinać po skałach wystawiony na atak.

Erika porzuciła towarzyszy.

- Zawracaj! - wrzasnęła Karen.

Jednak Erika już nikogo nie słyszała.

Sześcionogi błyszczący pojazd idący w górę zbocza najwyraźniej wyglądał jak coś smakowitego i ciekawego. Jeden z gwarków zbliżył się i porwał Erikę z siedzenia kierowcy. Pakunki i sprzęt wyleciały z kabiny, gdy maszyna spadła z urwiska, odbijając się od skał. Po chwili zniknęła im z oczu.

Gwarek wylądował, trzymając Erikę w dziobie. Kilkakrotnie uderzył nią o ścianę, potrząsając głową w tył i w przód, żeby uśmiercić ofiarę. Potem wzbił się do lotu, unosząc ze

sobą zwłoki. Po chwili wdał się w sprzeczkę z innym gwarkiem. Ptaki zaczęły walczyć o ciało Eriki i rozdarły je na kawałki w powietrzu.

To nie był koniec. Rick chwycił harpun i się rozejrzał. Gdzie jest Karen? Leżała na otwartej przestrzeni pod nogami gwarka. Ptak, którego dziób zdobił nietypowy czarny pasek, wylądował i patrzył na dziewczynę. Jakby się zastanawiał, co z nią zrobić. Czy to coś jest jadalne?

- Karen! - zawołał Rick, po czym rzucił w ptaka harpunem.

Cienki jak nitka metalowy harpun wbił się w ptasie pióra, ale niezbyt głęboko.

Gwarek się otrząsnął i broń upadła na ziemię. Ptak uważnie przyjrzał się Karen.

Skuliła się, próbując wyglądać na małą i nieapetyczną.

- Tutaj! - krzyknął Rick i puścił się biegiem, mając nadzieję, że odwróci uwagę gwarka.

- Nie, Rick!

Ptak przekrzywił głowę, gdy dziewczyna się odezwała. Następnie chwycił ją i błyskawicznie połknął, odrzucając do tyłu głowę. Potem odleciał przy wtórze huku skrzydeł.

- Niech cię szlag! - wrzasnął Rick w ślad za gwarkiem. Wymachiwał harpunem,

patrzając, jak ptak zmienia się w małą kropkę na niebie. - Wracaj! - Stado na drzewach

świergotało i wrzeszczało. Już nie był w stanie stwierdzić, który z ptaków zjadł Karen. -

Wracaj! Wracaj i stań do uczciwej walki! - Podskakiwał, wymachując rękami i potrząsając harpunem.

Miał ochotę się rozplakać. Zrobiłby wszystko, żeby tylko gwarek z paskiem na dziobie wrócił. Nie mógł się poddać.

Nagle przypomniał sobie coś, czego kiedyś dowiedział się o ptakach. Nie mają żołądka, tylko wole*.

* Błąd autora, ptaki oprócz dwóch żołądków mają wole.

Rozdział 33

Krawędź Krateru Tantalą 31 października, godzina 10.15

Karen leżała w pozycji embrionalnej wewnątrz wola gwarka, wstrzymując oddech.

Umięśnione ściany wola napierały na jej ciało, przytrzymując ją w miejscu, tak że nie mogła się poruszać. Były oślizgłe i straszliwie cuchnęły. Jednak w wolu nie ma płynów trawiennych.

To po prostu worek służący do przechowywania jedzenia, zanim zostanie ono przekazane do dalszych części przewodu pokarmowego.

Karen wiedziała, że ptak leci, ponieważ czuła regularne skurcze mięśni piersiowych poruszających skrzydłami. Przesunęła ręce w okolice twarzy i pchnęła, zyskując odrobinę przestrzeni dla nosa i ust.

Zaczerpnęła powietrza.

Wokół niej unosił się potworny kwaśny smród gnijących owadów. Dało się oddychać, lecz powietrza nie było zbyt wiele. Niemal natychmiast zrobiło się jej duszno i zaczęła szybko dyszeć. Ogarnęła ją fala klaustrofobii. Próbowwała się uspokoić. Wiedziała, że jeśli zacznie krzyczeć i walczyć, błyskawicznie zużyje powietrze i się udusi. Jedynym sposobem na przeżycie było zachowanie spokoju i wykonywanie jak najoszczędniejszych ruchów.

Wyprostowała plecy i nogi, dzięki czemu naciągnęła: wole i zyskała nieco miejsca. Mimo to zaczynało jej się kończyć powietrze.

Próbowwała wydobyć nóż, ale tkwił głęboko w kieszeni na biodrze i nie mogła go dosięgnąć. Umięśnione ściany wola blokowały jej rękę.

Cholera. Muszę go wyjąć.

Obiecała sobie, że w przyszłości zawsze będzie nosiła nóż na szyi. Oczywiście, jeśli czeka ją jakaś przyszłość. Przesunęła prawą rękę w dół, napierając na otaczające ją elastyczne

ściany. Wcisnęła palce do kieszeni, ze świstem wypuściła powietrze, po czym wzięła kolejny paskudny oddech i zakaszła. Jej palce zacisnęły się na jakiejś buteleczce. Co to takiego? Aerozol wypełniony substancją którą Rick pobrał dla niej od chrząszcza.

Broń.

Skrzywiła się i wyciągnęła buteleczkę z kieszeni.

W tej samej chwili ptak skręcił w locie. Wole się zacisnęło, pozbawiając ją resztek oddechu. Ogarnęło ją poczucie nieważkości, zupełnie jakby spadała. Potem z gwałtownym wstrząsem ptak wylądował, a Karen straciła przytomność.

Gwarek wrócił w to samo miejsce, w którym złapał Karen, szukając kolejnej zdobyczy. Popatrzył na Ricka, przekrzywiając łeb.

Rick rozpoznał czarny pasek na dziobie. To ten sam ptak, który połknął Karen. Nie wiadomo, czy dziewczyna jeszcze żyje, ale to możliwe. Zamachał przed sobą harpunem i zbliżył się do gwarka.

- Spróbuj mnie złapać, tchórze.

Masajskie pchnięcie, właśnie to musi zrobić. Młody masajski wojownik, chłopiec w wieku trzynastu albo czternastu lat, potrafiwole i zyskała nieco miejsca. Mimo to zaczynało jej się kończyć powietrze.

Próbowała wydobyć nóż, ale tkwił głęboko w kieszeni na biodrze i nie mogła go dosięgnąć. Umięśnione ściany wola blokowały jej rękę.

Cholera. Muszę go wyjąć.

Obiecała sobie, że w przyszłości zawsze będzie nosiła nóż na szyi. Oczywiście, jeśli czeka ją jakaś przyszłość. Przesunęła prawą rękę w dół, napierając na otaczające ją elastyczne ściany. Wcisnęła palce do kieszeni, ze świstem wypuściła powietrze, po czym wzięła kolejny paskudny oddech i zakaszła. Jej palce zacisnęły się na jakiejś buteleczce. Co to takiego?

Aerozol wypełniony substancją, którą Rick pobrał dla niej od chrząszcza.

Broń.

Skrzywiła się i wyciągnęła buteleczkę z kieszeni.

W tej samej chwili ptak skręcił w locie. Wole się zacisnęło, pozbawiając ją resztek oddechu. Ogarnęło ją poczucie nieważkości, zupełnie jakby spadała. Potem z gwałtownym wstrząsem ptak wylądował, a Karen straciła przytomność.

Gwarek wrócił w to samo miejsce, w którym złapał Karen, szukając kolejnej zdobyczy. Popatrzył na Ricka, przekrzywiając łeb.

Rick rozpoznał czarny pasek na dziobie. To ten sam ptak, który połknął Karen. Nie wiadomo, czy dziewczyna jeszcze żyje, ale to możliwe. Zamachał przed sobą harpunem i zbliżył się do gwarka.

- Spróbuj mnie złapać, tchórze.

Masajskie pchnięcie, właśnie to musi zrobić. Młody masajski wojownik, chłopiec w wieku trzynastu albo czternastu lat, potrafi zabić lwa za pomocą włóczni. Rick powtarzał sobie, że to wykonalne. Wszystko zależy od techniki.

Ptak skoczył w jego stronę.

Rick szacował odległość, chcąc dokładnie wymierzyć cios, oceniając, pod jakim kątem ustawić harpun. Musiał wykorzystać siłę i masę gwarka, tak jak robią masajscy myśliwi, polując na lwa. Prowokują go do ataku, po czym w ostatniej chwili wbijają koniec włóczni w ziemię, kierując grot w stronę zwierzęcia, iklękają za swoją bronią, a lew wpada na włócznię i zostaje nią przebity.

Ptak zaatakował dziobem, a wtedy Rick wbił rękojeść harpuna w ziemię, kierując ostry koniec w górę pod kątem. Puścił broń i skoczył naprzód, nurkując pod pierś gwarka, żeby usunąć mu się z drogi.

Harpun trafił ptaka w szyję, gdy ten próbował dziobnąć mężczyznę. Końcówka zaostzona jak chirurgiczna igła i pokryta trucizną przebiła skórę gwarka i w niej utknęła. Ptak cofnął się z harpunem dyndającym u szyi. Potrząsał głową próbując usunąć ostrze, a Rick oddalał się, pełznąco po ziemi. W końcu usiadł i dobył maczety.

- No chodź, walcz! - zawołał do ptaka.

Karen usłyszała jego głos i odzyskała przytomność. Zaczęła łapczywie chwytać powietrze, ale było go za mało. Iskierki światła rozbłyły jej w oczach od niedotlenienia. Zorientowała się, że ściska w dłoni aerosol. Wcisnęła guzik i poczuła straszliwe pieczenie, gdy otoczyła ją chmura chemikaliów. Ściany wola zacisnęły się mocniej i iskierki zmieniły się w mgłę, a potem w nicość...

Gwarek nie był zachwycony. Harpun przebił mu skórę, a dodatkowo coś drażniło go wewnątrz wola. Zwymiotował.

Karen wylądowała na mchu, a ptak odleciał.

Była nieprzytomna. Rick przyklęknął obok niej i poszukał pulsu na jej szyi. Okazało się, że serce Karen wciąż bije. Przyłożył usta do jej ust i wdmuchnął powietrze do płuc.

Złapała chrapliwy oddech, zakaszła i otworzyła oczy.

- Och.

- Oddychaj, Karen. Nic ci nie jest.

Nadal kurczowo ściskała aerosol. Rick rozwarł jej dłoń i uwolnił buteleczkę. Potem wciągnął dziewczynę pod paproć. Tam pomógł jej usiąść i mocno objął.

- Oddychaj głęboko.

Zdjął jej z twarzy kosmyk, po czym pogładził włosy. Nie wiedział, gdzie są ptaki, czy wciąż polują w tej okolicy, czy może odleciały. Ich okrzyki rozbrzmiewały gdzieś w oddali.

Oparł Karen o łodygę i usiadł obok, podciągając kolana. Cały czas ją obejmował.

- Dziękuję, Rick.

- Jesteś ranna?

- Tylko kręci mi się w głowie.

- Nie oddychałaś. Myślałem, że...

Okrzyki ptaków ucichły. Stado się oddaliło.

Rick dokonał szybkiego przeglądu pozostałego sprzętu. Ich przetrwanie było poważnie zagrożone. Stracili pojazd. Erika zginęła. Większość zapasów spadła z urwiska.

Gwarek odleciał z harpunem wbitym w szyję. Plecak leżał obok stawu. Wciąż mieli dmuchawkę i kurarę. Na ziemi leżała jedna maczeta. Danny gdzieś zniknął.

Nagle usłyszeli głos dobiegający z góry. Spanikowany Danny wspiał się po pnączu na szczyt skały. Siedział tam skulony, machając zdrową ręką.

- Widzę Wielki Głaz! Jesteśmy prawie na miejscu.

Rozdział 34

Nanigen 31 października, godzina 10.20

Drakę przejął kontrolę nad salą komunikacyjną. Właśnie wpatrywał się w ekran systemu zdalnego namierzania, który wskazywał położenie sześciennego pojazdu, i był nieco zaskoczony tym, co widzi. Krzyżyk w przybliżeniu określający pozycję maszyny nagle przesunął się o sto pięćdziesiąt metrów w dół. Początkowo Drakę podejrzewał błąd systemu, jednak położenie pojazdu nie uległo zmianie.

Pozwolił sobie na skromny uśmiech. Wygląda na to, że to cholerstwo spadło z urwiska. Na pewno właśnie tak się stało. Pojazd runął w przepaść.

Vin wiedział, że zmniejszone ciało człowieka może przetrwać upadek z każdej wysokości. Jednak to, że maszyna się nie poruszała, sugerowało, że została uszkodzona. Być może trwale.

Zrozumiał, że uciekinierzy z pewnością są teraz ogarnięci paniką. Nie zbliżają się do bazy i pewnie zaczynają dostrzegać u siebie pierwsze objawy choroby dekompresyjnej. Raczej nie są w radosnych nastrojach.

Zadzwoił do Makele.

Rozdział 35

Park przemysłowy Kai i ki m a ki 31 października, godzina 10.30

Porucznik Dan Watanabe postawił swojego brązowego forda na pojedynczym miejscu parkingowym oznaczonym napisem „Dla gości”. Pomalowany blaszany budynek stał pomiędzy szkieletem na wpół ukończonego magazynu a pustym parkingiem upstrzonym kępami krzaków. Obok magazynu znajdował się teren wysypany żwirem. Watanabe zbliżył się i podniósł kilka kamyków. Żwir wapienny. Ciekawe. Taki sam znaleźli w bieżnikach opon Rodrigueza. Wrzucił kilka kawałków do kieszeni koszuli. Później pokaże je Dorothy Girt.

Parking wokół siedziby Nanigenu był pełen samochodów.

- Jak interesy? - spytał Dan recepcjonistkę.

- Niewiele mi mówią.

Z ekspresu stojącego na stole wydobywał się zapach kawy podgrzewanej od kilku godzin.

- Zaparzyć panu kawy? - zaproponowała recepcjonistka.

- Chyba już pani to zrobiła.

Wszedł szef ochrony. Don Makele był krępy, muskularnym mężczyzną.

- Wiadomo coś o zaginionych doktorantach? - spytał.

- Możemy porozmawiać w pańskim gabinecie?4

Weszli do głównej części budynku, mijając pozamykane drzwi. Pomieszczenia miały okna wychodzące na korytarz, ale zasłonięto je od wewnątrz czarnymi żaluzjami. Po co?

Dlaczego żaluzje są czarne? Dan Watanabe słyszał brzęczenie i wyczuwał wibracje przenikające podłogę, wskazujące na przepływ dużych ilości energii elektrycznej. Do czego ją wykorzystywano?

Makele zaprosił Watanabe do swojego gabinetu. W pomieszczeniu nie było okien.

Porucznik zauważył zdjęcie kobiety, zapewne żony Makele. Dwoje dzieci, jeszcze keikis.

Poza tym na ścianie wisiała plakietka. Amerykańska piechota morska.

Watanabe usiadł na krześle.

- Ładne dzieciaki.

- Kocham je nad życie - odparł Makele.

- Służył pan w piechocie morskiej?

- W wywiadzie.

- Super. - Luźna pogawędka nigdy nie zaszkodzi, a może pozwolić zdobyć cenne informacje. - Znaleźliśmy waszą wiceprezes Alyson Bender...

- Wiemy. Ostatnio była bardzo przygnębiona.

- Z jakiego powodu?

- Straciła swojego chłopaka, Erica Jansena. Utonął.

- A więc panna Bender i pan Jansen byli parą. - Watanabe wyczuwał u szefa ochrony podskórną nerwowość. Tak mu podpowiadał policyjny instynkt. - Rzadko się zdarza, żeby siedem osób zniknęło bez śladu na Hawajach. Sprawdzałem, czy nie pojawili się w innym miejscu, na przykład na Molokai. Tam wszyscy się znają. Gdyby na wyspie zjawiła się siódemka młodych ludzi z Massachusetts, miejscowi by o nich rozmawiali.

- Wiem coś o tym, urodziłem się na Moloka'i - odparł Makele.

Watanabe zauważył, że mężczyzna wymawia nazwę wyspy w dawny sposób, z przydechem. Zastanawiał się, czy Makelemowi po hawajsku. Niektórzy ludzie urodzeni na

Molokai znają ten język, gdyż uczą się go od dziadków albo „wujków”, tradycyjnych nauczycieli.

- To piękne miejsce - stwierdził policjant.

- Część starych Hawajów. Tego, co z nich pozostało.

Watanabe zmienił temat.

- Czy zna pan mężczyznę o nazwisku Marcos Rodriguez?

Makele popatrzył na niego obojętnie.

- Nie.

- A Willy'ego Fonga? To prawnik, który ma kancelarię na północ od autostrady. -

Watanabe nie wspomniał, że obaj mężczyźni nie żyją.

Jednak Makele i tak się zorientował.

- Jasne... - Zmrużył oczy, robiąc zaskoczoną minę. - To oni zostali zasztyletowani, prawda?

- Zgadza się, w biurze Fonga. Fong, Rodriguez i jeszcze jeden mężczyzna, którego wciąż nie zidentyfikowaliśmy.

Makele sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

- Czy coś przegapiłem? - spytał, rozkładając ręce.

- Nie wiem. - Watanabe obserwował Makele, sondując jego reakcje.

Szef ochrony wyglądał na zdziwionego i poirytowanego, ale wciąż zachowywał spokój. Detektyw jednak z zadowoleniem stwierdził, że jego rozmówca zaczął się wiercić na krześle. Denerwował się.

- Wiem o tych morderstwach tylko tyle, ile usłyszałem w wiadomościach - dodał Don

Makele.

- Dlaczego pan uważa, że to były morderstwa?

- Tak powiedzieli w telewizji. - Makele umilkł.

- Powiedzieli, że podejrzewają samobójstwo - odparł Watanabe. - Pan uważa, że to morderstwo?

Makele zareagował niespokojnie.

- Panie poruczniku, czy rozmawia pan o tym ze mną z jakiegoś konkretnego powodu...?

- Fong ani Rodriguez nie pracowali dla Nanigenu?

- Chyba pan żartuje! Nanigen nigdy nie zatrudniłby takich partaczy.

Don Makele doskonale wiedział, co się stało z Fongiem i Rodriguezem.

Dziewiętnaście robotów obronnych Nanigenu zniknęło w noc włamania. Opadły intruza, przebiły się do wnętrza jego organizmu i krążyły w krwiobiegu, rozcinając tętnice od środka.

Jednak nie takie było ich przeznaczenie. Nie zostały zaprogramowane do zabijania. Miały sfotografować intruza i delikatnie ponacinać jego skórę, żeby pozostawił ślady krwi, oraz

włączyć dyskretny alarm. To wszystko. Nic niebezpiecznego, a na pewno nie

śmiercionośnego. Tymczasem ktoś przeprogramował je tak, by zabijały. Makele podejrzewał, że zrobił to Vin Drake. Roboty pocięły intruza od wewnątrz, po czym wydostały się z jego ciała i przeskoczyły na kolejną ofiarę jak pchły. Krwiożercze, śmiercionośne pchły.

Włamywacz i jego znajomi zginęli. Wypadki częściej przydarzają się dupkom. Ale jak dużo wie detektyw? Makele nie był pewien i to go niepokoiło.

Postanowił grać ostrzej. Nachylił się i odezwał oficjalnym głosem:

- Czy ta spółka lub którykolwiek z jej pracowników są podejrzani o przestępstwo?

Watanabe odczekał chwilę w milczeniu.

- Nie - odpowiedział w końcu.

Na razie.

- Miło mi to słyszeć, poruczniku. Ponieważ Nanigen kieruje się surowymi normami etycznymi. Założyciel spółki Vincent Drake słynie z przekazywania pieniędzy na badania nad leczeniem rzadkich chorób, którymi nikt inny się nie zajmuje, gdyż to zbyt mało dochodowy interes. Pan Drake to dobry człowiek, który kieruje się biblijną zasadą że serce zawsze powinno być tam, gdzie nasz skarb.

Porucznik Dan Watanabe słuchał tego z obojętną miną.

- Chyba raczej skarb powinien być tam, gdzie serce.

- Właśnie tak powiedziałem - odparł Makele, posyłając detektywowi nieprzychylnie spojrzenie.

Watanabe położył swoją wizytówkę na biurku szefa ochrony i zapisał na niej numer telefonu.

- To numer mojej komórki. Może pan dzwonić o każdej porze, jeśli coś się wydarzy.

Pan Drake już chyba na mnie czeka.

Vin Drake siedział za swoim biurkiem rozparty w prezesowskim fotelu. Podłogę gabinetu przykrywał stary orientalny dywan. W powietrzu unosił się przyjemny aromat cygara. Watanabe ocenił po zapachu, że cygaro musiało kosztować ponad dziesięć dolarów. W gabinecie nie było okien. Na suficie zamontowano panele świetlne o łagodnym blasku. Za drzwiami z boku gabinetu detektyw zauważył osobistą łazienkę z marmurową armaturą. Ciekawy widok wewnątrz magazynu. Widać, że facet potrafi osiebie zadbać.

- Bardzo nas zaniepokoiły ostatnie wydarzenia - rzekł Drake. - Mamy nadzieję, że może nam pan pomóc.

- Robimy, co w naszej mocy - odparł Watanabe. - Chciałbym dowiedzieć się nieco więcej o zaginionych osobach.

- Oczywiście.

Detektywowi spodobał się portret Drake'a wiszący na ścianie za plecami prezesa. Nie był zły. Może nieco pretensjonalny, ale pełen życia.

- Czy może mi pan powiedzieć, czym zajmuje się pańska firma? Mówiąc w skrócie, produkujemy małe roboty, które wykorzystujemy do badań terenowych w celu odkrywania nowych leków służących ratowaniu życia.

- Jak małe?

Drakę wzruszył ramionami, po czym zbliżył do siebie kciuk i palec wskazujący na odległość około centymetra.

Watanabe zmrużył oczy.

- Centymetrowe? Wielkości orzeszka?

- Może mniejsze - przyznał Drakę.

- O ile mniejsze?

- Nieco.

- Na przykład milimetrowe?

Drakę energicznie się uśmiechnął.

- To byłoby trudne.

- A jednak państwo tego dokonali?

- Czego?

- Wyprodukowali roboty wielkości milimetra.

- Wchodzimy na grunt zastrzeżonych informacji. - Drakę odchylił się do tyłu.

- Czy zdarzyły się jakieś wypadki z udziałem robotów?

- Wypadki? - Drakę zmarszczył czoło, po czym zachichotał. - Tak, to się często zdarza.

- Ktoś został ranny?

- Odwrotnie - roześmiał się Drake. - Ludzie często depreczą roboty, które nie mają szans w takim starciu. - Westchnął i zerknął na zegarek. - Zaraz mam zebranie.

- Oczywiście. Jeszcze tylko jedna sprawa. - Watanabe postanowił opisać to, co widział pod mikroskopem, ale nie zamierzał pokazywać Drake'owi zdjęcia, ponieważ stanowiło ono dowód, a dowodów nie należy ujawniać. Dlatego wyrażał się mało konkretnie. - Doszły nas słuchy o pewnym urządzeniu, dosyć małym, które jest wyposażone w ostrza oraz coś, co może pełnić funkcję śmigła. Możliwe, że urządzenie to jest zdolne do lotu bądź pływania w krwiobiegu. Czy to produkt Nanigenu?

Drake nie od razu odpowiedział; Watanabe miał wrażenie, że prezes zwleka odrobinę za długo.

- Nie - odparł Vin. - Nie produkujemy takich robotów.

- Czy ktoś inny się tym zajmuje?

Drake posłał detektywowi ostrożne spojrzenie. Do czego zmierza ten gliniarz?

- Wydaje mi się, że opisuje pan urządzenie, które istnieje tylko w teorii.

- Co to za urządzenie?

- Mikrorobot chirurgiczny.

- Słucham?

- Mikroskopijny robot używany podczas zabiegów medycznych. W teorii mógłby mieć na tyle niewielkie rozmiary, by poruszać się w krwiobiegu pacjenta, i byłby wyposażony w skalpele. Grupa takich robotów mogłaby wykonać zabieg mikrochirurgiczny. Można by je wstrzyknąć do organizmu chorego, żeby dotarły krwiobiegiem do tkanki wymagającej leczenia. Mogłyby na przykład usuwać złoże w tętnicach albo polować na komórki nowotworowe przy przerzutach. Zabijałyby takie komórki jedna po drugiej, całkowicie eliminując raka. Na razie jednak mikroroboty chirurgiczne to fantazja, a nie rzeczywistość.

- Więc ich nie budujecie?

- Nie, nie odbywa się to w taki sposób.

- Przepraszam, ale nie rozumiem - odrzekł Watanabe.

Drakę westchnął.

- Wchodzimy na delikatny grunt.

- Dlaczego?

- Nanigen prowadzi badania... w pańskim imieniu.

- Moim? - Watanabe sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Płaci pan podatki? Oczywiście.

- Zatem pracujemy także dla pana.

- Aha, więc wykonujecie rządowe...?

- Nie możemy o tym rozmawiać, poruczniku.

Realizują tajne rządowe zlecenia dotyczące małych robotów.

Drakę właśnie go ostrzegł, sugerując, że rząd może mu sprawiać kłopoty, jeśli będzie drażył temat. Niech i tak będzie. Watanabe nagle zmienił taktykę.

- Dlaczego wasz wiceprezes wyskoczył z motorówki?

- Słucham? Co pan ma na myśli?

- Erie Jansen był doświadczonym żeglarzem. Wiedział, że najbezpieczniej jest zostać na pokładzie, nawet jeśli łódź zmierza w kierunku skał. A jednak z jakiegoś powodu wyskoczył. Dlaczego to zrobił?

Drakę poczerwieniał na twarzy i zerwał się z miejsca.

- Nie mam pojęcia, do czego pan zmierza. Poprosiliśmy was o odnalezienie zaginionych doktorantów. Nikogo nie znaleźliście. Straciliśmy dwoje kluczowych pracowników. W tej sprawie także nam nie pomogliście.

Watanabe również wstał.

- Znaleźliśmy pannę Bender. Wciąż szukamy Erica Jansena.

Wyjął swoją wizytówkę z portfela.

Drakę przyjął wizytówkę i na nią popatrzył, a po jego twarzy przemknął nieprzyjemny grymas.

- Szczerze mówiąc, policja z Honolulu nas rozczarowała. - Upuścił wizytówkę na biurko. - Można się zastanawiać, czym wy tak naprawdę się zajmujecie.

- Cóż, proszę pana, policja w Honolulu ma dłuższą historię niż w Nowym Jorku... nie wiem, czy zdaje pan sobie z tego sprawę. Będziemy dalej pracowali, tak jak zawsze.

- Mamy jeszcze pięć. - Dorothy Girt ułożyła zdjęcia na swoim stole laboratoryjnym.

Widniały na nich takie same urządzenia, wyposażone w śmigła ukryte pod osłonami oraz przewody zakończone ostrzami. - Znalazłam je w tym niezidentyfikowanym Azjacie.

Śmierząca sprawa.

- Jak je znalazłaś, Dorothy? Są bardzo małe.

Dorothy Girt uśmiechnęła się triumfalnie, po czym odsunęła szufladę i wyjęła z niej jakiś ciężki przedmiot. Był to przemysłowy magnes w kształcie podkowy.

- Przesunęłam nim ponad ranami. Ciężkie cholerstwo.

Odłożyła magnes, po czym pokazała powiększone zdjęcie jednego z robotów, który został równo przecięty. Przekrój ukazywał niewiarygodnie małe układy scalone i obwody, a także coś, co wyglądało jak bateria, wał napędowy, koła zębate...

- Przecięłaś go na pół! Jak tego dokonałaś?

- To nic trudnego. Zatopiłam go w bloczku żywicy epoksydowej, a następnie przecięłam za pomocą mikrotomu. Tak samo jak robię z próbkami tkanek. - Mikrotom o niezwykle cienkim ostrzu przekroił mikrorobotą dokładnie na pół. - Popatrz tutaj, Dan -

rzekła Dorothy, wskazując palcem.

Pochylił się nad zdjęciem i skupił wzrok na kanciastym obiekcie wewnątrz mechanizmu. Nadrukowano na nim małą literę „n”.

- A więc dyrektor mnie okłamał. - Miał ochotę poklepać koleżankę po plecach, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Dorothy Girt nie należała do osób, którym spodobałby się taki gest. Zamiast tego uklonił się jej z szacunkiem na japońską modłę. Był to nawyk wyniesiony z domu rodzinnego. - Znakomicie się spisałaś.

Kobieta parsknęła lekceważąco. Zawsze znakomicie się spisywała.

Rozdział 36

Krater Tantalą 31 października, godzina 13.00

- Pieprzona matka natura - mruknął Danny Minot. - Wydaje na świat same nienasycone potwory.

Powłóczył stopami odzianymi w buty z trawy i przytrzymał opuchniętą rękę.

Wydawało się, że stała się jeszcze większa, tak że na rękawie koszuli pojawiły się niewielkie pęknięcia. Rick i Karen szli obok Danny'ego. Rick dźwigał plecak, a Karen trzymała w pogotowiu obnażoną maczetę. Została ich tylko trójka. Z trudem brnęli przez rozległą, zakręcającą tukiem połąc terenu pokrytą piaskiem i żwirem, krawędź Krateru Tantalą.

Otwarta przestrzeń sięgała linii ogromnych bambusów wznoszących się w oddali. Pomiędzy nimi widać było głaz wielkości góry, pokryty mchem i poźłobiony rowkami. Mieli wrażenie, że dzieli ich od niego wiele kilometrów.

Dokuczało im słońce. Nad kraterem nie padało od wielu godzin. Zaczynali odczuwać silne pragnienie. Ich małe ciała szybko traciły wilgoć.

Karen czuła, że są łatwym celem. Poruszali się przez pustkowia bez żadnej osłony.

Gdy jakiś ptak przeleciał im nad głową, skuliła się i mocniej zacisnęła dłoń na maczecie.

Jednak to nie był gwarek, tylko sokół krążący nad kraterem, a oni byli zbyt mali, aby stanowić dla niego łakomy kąsek. Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Wszystko w porządku, Karen? - spytał Rick.

- Nie musisz się o mnie martwić.

- Ale...

- Nic mi nie jest. Sprawdź, co z Dannym. Kiepsko wygląda.

Danny usiadł na kamieniu i wyglądało na to, że nie ma siły dalej iść. Dotykał chorej ręki, poprawiając temblak, a jego twarz pobiadła.

- W porządku, stary?

- Co ma znaczyć to pytanie?

- Jak twoja ręka?

- Nic mi nie jest!

Ale Danny wpatrywał się w swoją rękę, obserwując, jak mięsień na zmianę rozluźnia się i napina, napierając na materiał. Wydawało się, że Danny nad nim nie panuje.

- Dlaczego ona tak się zachowuje? - spytał Rick, patrząc, jak skurcze mięśni przesuwały się wzdłuż ręki, zupełnie jakby ta żyła własnym życiem.

- Nic się nie dzieje - upierał się Danny.

- Ależ Danny, przecież drga...

- Nie! - krzyknął Danny, odpychając Ricka, po czym chwycił się za rękę i odsunął ją poza jego zasięg, odwracając się do kolegi plecami, jak futbolista broniący dostępu do piłki.

Rick zaczął podejrzewać, że Danny stracił kontrolę nad ręką.

- Możesz nią poruszać?

- Właśnie to zrobiłem.

Nagle rozległ się trzask, jakby coś pękło. Danny jęknął.

- Nie... nie...

Rękaw koszuli wreszcie pękł, odsłaniając straszny widok. Skóra ręki stała się przejrzysta jak natłuszczony pergamin. Pod nią lekko drgały tłuste białe jajowate obiekty. Wyglądały na zadowolone.

- Osa złożyła jaja - rzekł Rick. - To pasożyty.

- Nie! - wrzasnął Danny.

Z jaj wyszły larwy. Czerwie pożywiające się tkanką ręki. Danny na nie patrzył, podtrzymując rękę i jęcząc. Trzaski, które wcześniej słyszał, towarzyszyły wykluwaniu się larw. Czerwie wgryzały się w ciało... żuły jego rękę... Załkał, po czym zaczął krzyczeć.

- Wyklują się!

Rick usiłował go uspokoić.

- Zabierzemy cię do lekarza. Już prawie dotarliśmy do bazy...

- Umieram!

- Nie zabiją cię. To pasożyty. Jesteś im potrzebny żywy.

- Po co?

- Żeby mogły dalej się pożywiać...

- Boże, mój Boże...

Karen podniosła go z ziemi.

- Chodź. Musisz iść.

Ruszyli w dalszą drogę, ale Danny ich spowalniał. Wciąż się potykał i siadał. Nie mógł oderwać wzroku od swojej ręki, zupełnie jakby czerwie go hipnotyzowały.

W połowie drogi przez otwartą przestrzeń napotkali okrągłą rurę ulepioną z kawałków gliny. Wystawała spod ziemi jak wygięty komin.

- Szkoda, że nie ma z nami Eriki - rzekła Karen. - Ona mogłaby nam powiedzieć, jakie

zwierzę to zbudowało.

Musieli zakładać, że w glinianym kominie kryje się coś niebezpiecznego, zapewne jakiś owad. Okrążyli budowlę dużym łukiem, gotowi do błyskawicznej ucieczki. Zbliźali się do Wielkiego Głazu.

Była matką. Podobnie jak motyle żywiła się tylko nektarem kwiatów. Jednak była także drapieżnikiem i polowała dla swoich dzieci, które jadały mięso. Jak wszyscy drapieżcy była inteligentna, obdarzona znakomitą pamięcią i potrafiła się uczyć. W końcu miała aż dziewięć mózgow, jeden główny i osiem mniejszych rozmieszczonych wzdłuż rdzenia kręgowego niczym koraliki nawleczone na nitkę. Była jednym z najbystrzejszych owadów. Łączyła się ze swoim mężem, który zaraz po seksie padał trupem. Była królową, która całe życie wiodła w izolacji. Osą samotnicą.

Wyszła ze swojego komina i popatrzyła na słońce. Najpierw spod ziemi wyłoniła się jej głowa, potem ciało. Skrzydła zazwyczaj leżały płasko na grzbiecie jak złożony wachlarz. Rozpostarła je i wprawiła w wibracje, rozgrzewając mięśnie w promieniach słońca. Gdy wyszła z komina, ludzie zamarli. Była olbrzymia. Jej kilkusegmentowy odwłok znaczyły żółte i czarne paski. Rozłożyła skrzydła i zamachała nimi z hukiem, po czym wzbiła się w powietrze, dyndając zwieszonymi nogami.

- Na ziemię!

- Nie podnoście się!

Przypadli do ziemi i zaczęli się czołgać w poszukiwaniu czegoś, co mogło im posłużyć za kryjówkę, na przykład kępy trawy albo kamyków.

Osa początkowo ich nie zauważyła. Jednak po opuszczeniu komina zaczęła lecieć zygzakiem, przygotowując się do polowania. Badała okolicę, dokładnie obserwując ziemię. Miała w pamięci szczegółową mapę terenu.

Nagle zobaczyła coś nowego.

Trzy obiekty w południowowschodniej ćwiartce obok komina. Żywe istoty pełzające po ziemi. Wyglądały jak zdobycze.

Natychmiast zmieniła kierunek lotu i zanurkowała.

Osa zawróciła i błyskawicznie się zniżyła. Wybrała Ricka i na nim usiadła.

Rick przetoczył się na plecy, wymachując maczetą. Osa objęła go odnóżami i zaczęła uderzać skrzydłami, a następnie lekko chwyciła szczękami.

- Rick! - krzyknęła Karen, biegnąc w jego stronę z uniesioną maczetą.

Nie mógł oddychać, gdyż szczęki ścisnęły jego klatkę piersiową. A jednak go nie skaleczyły. Osa postępowała z nim delikatnie.

Nagle wygięła odwłok i skierowała w stronę Ricka żądło. Płytki pancerza na końcu odwłoka rozsunęły się, a spod nich wyłoniły się dwie kołyszące się miękkie głaszczki pokryte włoskami. Przesunęły się po szyi i twarzy Huttera, smakując jego skórę.

Osie spodobał się smak człowieka.

Użądlenie nastąpiło błyskawicznie. Z otworu pod głaszczkami wysunęły się dwa osłonięte kolce. Osłona wbiła się w skórę Ricka tuż pod pachą po czym żądła kolejno wniknęły w ciało, poruszając się tam i z powrotem, coraz bardziej się zagłębiając.

Rick poczuł ukłucie igieł i nieopisany ból. Westchnął.

Karen rzuciła się na osę, biorąc zamach maczetą ale się spóźniła. Owad wystartował, unosząc ze sobą Ricka, przytrzymując go odnóżami. Karen zobaczyła, że Rick wierzga nogami, ale po chwili jego ciało zwiotczało.

Osa wylądowała na kominie, po czym wepchnęła człowieka głową naprzód w głąb korytarza. Następnie weszła za nim i jej pasiasty odwłok zanurzył się w otworze. Ostatnie zniknęło żądło.

Skuleni na piaszczystym terenie Karen i Danny debatowali, co dalej robić. Osa

zawróciła i błyskawicznie się zniżyła. Wybrała Ricka i na nim usiadła.

Rick przetoczył się na plecy, wymachując maczetą. Osa objęła go odnóżami i zaczęła uderzać skrzydłami, a następnie lekko chwyciła szczękami.

- Rick! - krzyknęła Karen, biegnąc w jego stronę z uniesioną maczetą.

Nie mógł oddychać, gdyż szczęki ścisnęły jego klatkę piersiową. A jednak go nie skaleczyły. Osa postępowała z nim delikatnie.

Nagle wygięła odwłok i skierowała w stronę Ricka żądło. Płytki pancerza na końcu odwłoka rozsunęły się, a spod nich wyłoniły się dwie kołyszące się miękkie głaszczki pokryte włoskami. Przesunęły się po szyi i twarzy Huttera, smakując jego skórę.

Osie spodobał się smak człowieka.

Użądlenie nastąpiło błyskawicznie. Z otworu pod głaszczkami wysunęły się dwa osłonięte kolce. Osłona wbiła się w skórę Ricka tuż pod pachą po czym żądła kolejno wniknęły w ciało, poruszając się tam i z powrotem, coraz bardziej się zagłębiając.

Rick poczuł ukłucie igieł i nieopisany ból. Westchnął.

Karen rzuciła się na osę, biorąc zamach maczetą ale się spóźniła. Owad wystartował, unosząc ze sobą Ricka, przytrzymując go odnóżami. Karen zobaczyła, że Rick wierzga nogami, ale po chwili jego ciało zwiotczało.

Osa wylądowała na kominie, po czym wepchnęła człowieka głową naprzód w głąb korytarza. Następnie weszła za nim i jej pasiasty odwłok zanurzył się w otworze. Ostatnie zniknęło żądło.

Skuleni na piaszczystym terenie Karen i Danny debatowali, co dalej robić.

- Rick zginął - rzekł Danny.

- Skąd wiesz? - odparła Karen.

Danny przewrócił oczami.

Karen straszliwie żałowała, że nie ma z nimi Eriki. Może ona wiedziałaby coś o osach.

- Być może wciąż żyje.

Danny tylko stęknął.

Karen rozpaczliwie usiłowała sobie przypomnieć to, czego nauczyła się o osach na podstawowym kursie z entomologii.

- Wydaje mi się, że to była samotnica.

- I co z tego? Lepiej już chodźmy.

- Zaczekaj. - Przypomniała sobie tamte zajęcia dotyczące owadów... - Osy samotnice to oczywiście samice. Budują gniazdo dla swoich młodych. Chyba paraliżują ofiary, ale ich nie zabijają. Karmią nimi dzieci. - Nie miała pojęcia, z jakim dokładnie gatunkiem osy mają do czynienia, ani jaki tryb życia on prowadzi.

- Chodźmy! - Danny wstał i zaczął się oddalać.

Karen dobyła maczety.

- Co robisz? - spytał Danny.

- Rick ocalił mi życie - odparła Karen.

- Oszalałaś.

Nie odpowiedziała. Wyjęła osełkę, którą nosiła przy pasku, po czym przeciągnęła nią wzdłuż ostrza.

- Ta suka złapała Ricka.

- Nie, Karen! Nie rób tego!

Zignorowała go. Wyjęła z plecaka słuchawki z radionadajnikiem oraz latarkę zakładaną na głowę. Następnie rzuciła Danny'emu drugi zestaw słuchawkowy.

- Załóż to. - Wstała i szybkim krokiem zbliżyła się do komina. Następnie odezwała się

do mikrofonu. - Słyszysz mnie, Danny? Leżał na brzuchu w cieniu niewielkiej rośliny.

- Zwariowałaś! - krzyknął do niej przez nadajnik.

Przyłożyła ucho do komina. Był zbudowany z wyschniętej gliny i dziwacznie pachniał. Owadzią śliną która posłużyła jako klej. Pod stopami czuła powolne pulsowanie - osa machała skrzydłami pod ziemią. W dole znajdowało się gniazdo. Pulsowanie trwało jeszcze przez chwilę, po czym odgłos zaczął się zbliżać. Osa ponownie wychodziła z komina. Karen stanęła po zacienionej stronie budowli, starając się wtopić w otoczenie.

Gdy przywarła do ściany komina, z otworu wyłoniła się głowa osy. Dwa półokręgi złożonych oczu popatrzyły na dziewczynę. Była pewna, że owad ją zauważył, ale osa nie zareagowała, tylko wzbiła się w powietrze. Przeleciała zygzakiem nad okolicą ustalając swoje położenie, a następnie pomknęła na północny zachód, kierując się ku jakimś odległym terenom łowieckim.

Kiedy zmieniła się w kropkę na niebie, a potem zniknęła, Karen cofnęła się o krok i uderzyła maczetą w komin. Stopniowo rozbiła go na kawałki, cały czas zerkając na północny zachód, obawiając się, że osa wróci. Jednak niebo pozostawało puste. Uprzątnęła kawałki błota, po czym wsunęła się nogami do przodu w głąb tunelu.

- Nie zostawiaj mnie! - zawołał Danny.

Karen poprawiła słuchawki.

- Słyszysz mnie? - zapytała.

- Zginiesz, Karen. Zostanę zupełnie sam...

- Daj znać, jeśli ją zobaczysz.

- Och...

- Bez odbioru - rzuciła Karen i się rozłączyła. Musiała szybko znaleźć Ricka i wydostać go na powierzchnię. Osa mogła w każdej chwili wrócić do gniazda.

Tunel miał okrągłe ściany wyłożone utwardzoną gliną. Schodził stromo w dół. Karen opuszczała się nogami do przodu, podpierając się dłońmi i łokciami. Korytarz był ciasny. Światło słoneczne wpadało przez otwór wejściowy za jej plecami, ale im głębiej schodziła, tym stawało się słabsze. Włączyła latarkę. W tunelu unosiła się ostra woń, która jednak nie była nieprzyjemna. Zapewne feromony matki osy. Wkrótce z ich zapachem zmieszał się zatęchły smród, który przybierał na sile, gdy Karen schodziła w głąb gniazda.

Nagle dotarła do spadku. Tunel skręcał w dół, zmieniając się w pionowy szyb. Gdy Karen spojrzała w dół, chwyciła ją w szpony klaustrofobia. Zobaczyła mroczną dziurę bez dna, w której ziała nicość. Niestety, Rick gdzieś tam jest, pomyślała. Uratował mi życie, więc muszę spłacić ten dług, chociaż faceta nie lubię.

Obróciła się, napierając na ściany tunelu, po czym usiadła na krawędzi szybu, zwieszając nogi. Opuściła się w głąb otworu i zaczęła schodzić, przyciskając stopy i kolana do ścian, szukając oparcia. Chciała za wszelką cenę uniknąć upadku. Gdyby utknęła w szybie, mogłaby się nie wydostać. Naszła ją przerażająca myśl o uwięzieniu w pionowym korytarzu razem z olbrzymią osą. Nie, nie myśl o tym.

Na zewnątrz Danny otworzył plecak i poszukał jedzenia. Musiał podtrzymywać siły, nawet jeśli już był trupem. Zdjął słuchawki i położył je obok siebie, a następnie zaczął oglądać swoją rękę. Sprawiała potworne wrażenie.

Odezwało się radio.

- Co? - rzucił do mikrofonu.

- Widzisz coś?

- Nie.

- Posłuchaj, Danny. Bądź czujny. Jeśli zobaczysz osą, daj mi znać, żebyśmy zdążyła wyjść. To leży w twoim interesie.

- Dobrze, dobrze.

Założył słuchawki i usiadł w cieniu, opierając się plecami o kamień, zwracając się ku północnemu zachodowi, dokąd odleciała osa.

Karen dotarła do dna komina. Tunel lekko się rozszerzył i skręcił pod kątem prostym.

Po chwili wpełzła do komory i poświeciła dookoła latarką. W komorze brało początek ponad dwadzieścia koncentrycznie rozchodzących się tuneli. Każdy z nich prowadził w ciemność.

- Rick?

Był w którymś z tych tuneli. Być może martwy.

Wpełzła do jednej z odnóg. Wkrótce dotarła do ściany zbudowanej z luźnych ziarenek piasku i żwiru posklejanych śliną, między którymi widniały szpary i luki. Poświeciła latarką w jedną ze szpar, starając się zobaczyć, co znajduje się dalej.

Zorientowała się, że otwory w ścianie służą do oddychania. Za stertą gruzu znajdowało się coś żywego. Pozlepiane kamyki służyły jako korek. Przez szpary słychać było odgłosy chrupania i mlaskania oraz trzaski. Towarzyszył im zapach zgnilizny. W pomieszczeniu za blokadą znajdowało się coś głodnego, co bez przerwy jadło.

- Rick! - zawołała. - Jesteś tam?

Trzaski na chwilę ucichły, po czym znów się rozległy. Nie było innej odpowiedzi.

Przyłożyła oko do szpary i skierowała snop światła na drugą stronę. Światło padło na lśniąca powierzchnię w kolorze starej kości słoniowej. Była podzielona na segmenty, które przez dłuższy czas kolejno przesuwały się przed szparą jak wagoniki metra. Karen słyszała oddychanie, ale nie był to ludzki odgłos. Przerazał ją rozmiar istoty po drugiej stronie.

Wydawała się wielka jak mors.

Pozostało jeszcze wiele tuneli do spenetrowania. Karen wróciła do głównej komory, po czym wpełzła do kolejnego korytarza, gdzie ponownie spróbowała zajrzeć za blokadę z

kamieni i wyschniętego błota.

- Rick? - krzyknęła. - Słyszysz mnie?

W słuchawkach rozległ się głos Danny'ego, słaby i trzeszczący, ponieważ Karen znajdowała się głęboko pod ziemią.

- Co się dzieje?

- Dotarłam do dużej komory. Odchodzi od niej co najmniej dwadzieścia tuneli prowadzących we wszystkich kierunkach. Wydaje mi się, że na końcu każdego z nich znajduje się larwa...

Uderzyła maczetą w blokadę i zaczęła się przebijać przez błotną maź.

- Rick! - zawołała. - Jesteś tam?

Może mnie słyszy, ale nie może odpowiedzieć. A może nie żyje. Chyba powinnam stąd uciekać. Ale ten jeden raz spróbuję. Poszerzała wycięty otwór, aż w końcu udało się jej przedostać na drugą stronę.

Znalazła larwę osy większą od siebie, syczące, ciężko dyszące opasłe cielsko z pozbawioną oczu głową. Otwór gębowy otaczała para czarnych żuwaczek. Matka osa zaopatrzyła swoje dziecko w zapas pożywienia. Na ziemi leżały dwie gąsienice, żuk koa i żałośnie wyglądający pająk. Obecnie larwa pożywiała się żukiem o lśniącym zielonym pancerzu. Wokół wały się strzaskane kawałki owadzych pancerzy ogryzione z mięsa, a także głowy owadów, nienapoczęte i cuchnące rozkładem.

Karen ostrożnie weszła do pomieszczenia, trzymając się z daleka od groźnie wyglądającego otworu gębowego larwy, która była zajęta posiłkiem. Dziewczyna nadstawiła ucha. Usłyszała świst powietrza przedostającego się przez otwory w egzoszkielecie ofiar. Dobrze. To oznaczało, że schwytane stworzenia były sparaliżowane, ale żywe. Zatem Rick też żyje. Odwłok sparaliżowanego pająka falował pod wpływem oddechu, jednak poza tym

zwierzę trwało w śmiertelnym bezruchu i miało szkliste oczy.

Czerw potrząsnął głową wyrrywając pasek mięsa żuka, po czym wciągnął go jak spaghetti. Pożerana ofiara również żyła.

Karen powstrzymała odruch przebicia larwy. Chciała zabić to ohydztwo, ale zrezygnowała. Czerw osy stanowi część przyrody. Nie jest gorszy od lwiątko pożywiającego się mięsem dostarczonym przez matkę. Osy są lwami pośród owadów. Spełniają pożyteczną funkcję, ograniczając liczebność roślinożernych owadów, podobnie jak lwy, które uzdrawiają ekosystem. Mimo to Karen nie podobała się myśl, że osa może pożreć Ricka.

Wypęzła z korytarza i wślizgnęła się do kolejnego tunelu. Zawołała przez otwór w blokadzie, po czym go rozcięła i przeszła na drugą stronę. Tam znalazła dorodną larwę, która właśnie kończyła ostatnią gąsienicę, wcześniej uporawszy się z innymi ofiarami.

- Rick! - zawołała.

Gleba stłumiła jej głos. Rick mógł być wszędzie, ponad nią poniżej, z boku, ukryty w którymś z tuneli.

W jej słuchawkach rozległy się trzaski.

- Co się dzieje? - spytał Danny.

- Nie mogę znaleźć Ricka. To prawdziwy labirynt.

Przebiła się przez kolejną blokadę. Za nią znajdował się jedwabny kokon, przez który widać było ciasno owiniętą nienarodzoną osę, która wkrótce miała się wydostać na świat swej dorosłej postaci. Gdy światło latarki padło na kokon, osa zadrżała. Karen wycofała się i ponownie zablokowała tunel kamieniami. Tylko tego brakowało, żeby w gnieździe pojawiła się młoda osa uzbrojona w żądło.

- Rick! To ja, Karen! - krzyknęła, po czym wstrzymała oddech i nasłuchiwała.

Do jej uszu nie docierał żaden dźwięk poza chrupaniem czerw i biciem jej bardzo

wystraszonego ludzkiego serca.

Rick leżał na końcu tunelu w całkowitej ciemności, nie mogąc się poruszyć ani odezwać. Użądlenie go sparaliżowało, ale był w pełni świadomy. Czuł wybrzuszenia na piaszczystym podłożu, które wbijały mu się w plecy i nogi. Czuł woń gnijącego owadziego mięsa. Nie widział czerwia, który żył w tej komorze, ale wyraźnie go słyszał. Stworzenie coś jadło, chrupiąc i zasysając pokarm. Rick mógł normalnie oddychać, a także mrugać, ale kiedy spróbował poruszyć palcem, nie był w stanie stwierdzić, czy mu się udało.

Pomocy. Niech mi ktoś pomoże.

To była tylko myśl.

Zdał sobie sprawę, że jad osy sparaliżował jedynie część jego układu nerwowego, układ somatyczny podlegający świadomej kontroli. Autonomiczny układ nerwowy, który pozostaje poza kontrolą świadomości, wciąż funkcjonował normalnie. Serce biło, płuca oddychały, wszystkie systemy działały. Nie mógł jednak zmusić swojego ciała do jakiegokolwiek ruchu. Było jak silnik pracujący na jałowym biegu, a on nie potrafił znaleźć urządzeń sterujących ani dodać gazu. Coś go zabolalo i przez dłuższą chwilę nie wiedział, co to takiego, dopóki nie poczuł rozlewającego się pod sobą ciepła. Jego pęcherz sam się opróżnił. Rick przyjął to z ulgą.

Dla os jad pełnił rolę lodówki. Utrzymywał zdobycz żywą i świeżą gotową do zjedzenia.

Chrupanie i zasysanie wciąż rozbrzmiewało w pobliżu jego stóp. Wyglądało na to, że larwa niemal skończyła posiłek, ponieważ Rick słyszał grzechotanie połamanych kawałków egzoszkieletu. Czerw grzebał pośród resztek przy wtórze trzasków i szurania. A więc stwor ma szczęki. Rick bał się chwili, gdy te go dotkną. Zastanawiał się, którą część jego ciała larwa zje najpierw. Czy zacznie od ogryzienia twarzy? A może zje genitalia lub wgrzyzie się w

brzuch?

Pomimo potworności sytuacji czuł się dziwnie znudzony. Sparaliżowany w ciemności nie miał nic do roboty poza wyobrażaniem sobie nadchodzącej śmierci. Postanowił skupić się na rzeczach, które czyniły go szczęśliwym za życia. Być może to jego ostatnia okazja do wspomnień. Przypomniawszy sobie, jak szedł na spotkanie falam w Belmar na wybrzeżu New Jersey, gdzie jego rodzina każdego lata spędzała tydzień w motelu, gdyż tylko na to było ich stać. Jego ojciec pracował jako dostawca dla sieci sklepów wielobranżowych. Rick przypomniał sobie, jak w wieku pięciu lat stał na siedzeniu ciężarówki ojca i mówił wszystkim, że będzie kierowcą tak jak jego tata. Zobaczył, jak otwiera list z informacją o przyjęciu na Uniwersytet Stanforda i czyta go z niedowierzaniem... dostał pełne stypendium. Potem studium podyplomowe na Harvardzie, ponownie dzięki finansowemu wsparciu. Zobaczył siebie w Kostaryce podczas rozmowy ze starą curanderą, która parzyła leczniczą herbatę z liści plumerii.

Przeniósł się myślami do laboratorium. Pewnego wieczoru próbował uzyskać wyciąg z liści plumerii. Karen King pracowała do późna, doglądając jakiegoś doświadczenia z pajakami. Byłi sami w pomieszczeniu. Pracowali ramię w ramię przy tym samym stole laboratoryjnym, nie odzywając się ani słowem. W powietrzu wyczuwało się obustronną niechęć. Jednak w pewnej chwili ich dłonie przypadkowo się zetknęły... Może wtedy powinien był spróbować szczęścia... Chociaż pewnie dostałby w twarz...

Umierający mężczyzna rozmyśla głównie o zmarnowanych okazjach do seksu. Kto to powiedział? Może to prawda...

Zaczął odczuwać senność... odpływać...

- Rick!

Jej głos go obudził. Dobiegał do niego niewyraźnie poprzez warstwy ziemi.

Jestem tutaj, Karen, wykrzyknął w myślach. Ale nie mógł zmusić swoich ust do ruchu.

- Rick! Gdzie jesteś?

Pośpiesz się. Jest tutaj ze mną odkurzacz z zębami.

Błysnęła latarka, pierwsze światło, jakie widział od dawna. Potem znów pochłonęła go ciemność. Karen poszła dalej.

Wracaj, zawołał w myślach. Przegapiłaś mnie!

Cisza. Odeszła.

Wtedy z ciemności nadszedł największy z koszmarów. Coś wilgotnego i bardzo śliskiego przesunęło się po kostce Ricka, przyciskając jego stopę do ziemi. To nie może dziać się naprawdę. Poczul, jak kolejne segmenty larwy prześlizgują się po jego nodze, hop, hop, hop. Nie! Teraz segmenty sunęły po jego brzuchu, następnie po piersi, pozbawiając go oddechu. Nie! Błagam, nie! Czerw położył się na nim i wgniatał go w ziemię, dusząc. Rick czuł bicie serca larwy. Słyszał wilgotne trzaski. Szczęki zaczynały pracować.

Klik, klik. Cap, cap. Szczęk.

Światło powróciło. Promień wpadł do pomieszczenia, wydobywając z mroku czarne ostrza poruszające się wokół dziwacznie miękkiego otworu gębowego przypominającego blady odbył. Tuż przed jego twarzą.

Karen poświeciła na niego latarką i zobaczyła, co się dzieje.

- Mój Boże, Rick!

Zaczęła siec maczetą gruzy blokujące tunel i odrzucać kamienie.

Zęby dotknęły jego czoła. Pędrak szukał miękkiego miejsca, od którego mógłby zacząć posiłek. Pozostawił na ramieniu Ricka strużkę śliny. Mężczyzna poczul, jak zęby wbijają się w skórę na jego nosie. Larwa otarła się wilgotnym, zaślinionym otworem gębowym o jego usta, jakby składała na nich pocałunek. Rick odruchowo się zakrztusił.

- Trzymaj się...!

Pośpiesz się, ten drań chce mi zostawić malinkę.

Karen przedostała się przez blokadę i rzuciła na pędraka, kopiając go obiema nogami i odpychając od Ricka.

- Zostaw go! - zawołała, po czym cięła stworzenie maczetą.

Czerw sapnął, wydmuchując powietrze przez otwory w ciele. Karen wyrwała ostrze, zamachnęła się i jednym ciosem odrąbała larwie okrągłą głowę. Ciało czerwia zaczęło się spazmatycznie wić, co chwila przyjmując kształt litery C. Karen nie przestawała go dźgać i siec, ale wydawało się, że to tylko potęguje jego ruchy.

Objęła Ricka i wyciągnęła go z komory, pozostawiając bezgłową larwę uderzającą o ściany. Podążała za nimi dziwna woń.

Niedobrze, powiedział Rick w myślach. Feromon alarmowy.

Karen także to zrozumiała. Umierająca larwa wzywała pomocy, przywołując matkę językiem zapachów. Woń wypełniła gniazdo. Jeśli matka ją wyczuje...

- Co się dzieje? - rozległ się głos Danny'ego.

- Mam Ricka. Żyje. Zaraz go wyprowadzę z gniazda. Rick był bezwładny jak worek ziemniaków, ale Karen czuła w sobie niezwykłą siłę. Znalazła go i teraz prędzej umrze, niż go porzuci. Przedostała się przez główną komorę, kierując się w stronę pionowego szybu...

Nagle w słuchawkach zabrzmiał głos Danny'ego.

- Wróciła!

Rozdział 37

Krater Tantalą 31 października, godzina 14.00

Osa samotnica powoli wracała, niosąc kołyszącą się sparaliżowaną gąsienicę.

Przeleciała nad gniazdem, kreśląc kilka zygzaków w powietrzu, po czym zniżyła się, szukając błotnego komina.

Po chwili zauważyła, że komin został roztrzaskany na kawałki. Jakiś intruz zniszczył jej gniazdo i wtargnął do środka.

Danny przywarł do kamienia, kryjąc się pod liśćmi, starając się wyglądać jak skała albo roślina.

- Ty idiotko! - szepnął do Karen. Został sam w mikroświecie.

Matka wylądowała, niosąc gąsienicę. Wibrując skrzydłami, zbliżyła się do wlotu tunelu. Nagle wyczuła zapach swojego umierającego dziecka. Wściekle zamachała skrzydłami, wypełniając powietrze hukami. Upuściła zdobycz i wpadła do otworu.

Karen usłyszała nad sobą hałas - brzęczenie skrzydeł osy igrzechot jej egzoszkieletu.

- Danny! - zawołała. - Co się dzieje?

Nie było odpowiedzi.

- Odezwij się, Danny! Osa mknęła tunelem. Toksyczny, opancerzony kłębek matczynej wściekłości.

*

Karen słuchała zbliżającej się osy. Przykucnęła w komorze u wylotu pionowego szybu, ułożywszy obok siebie Ricka. Odgłosy były przerażające, ale pozwalały jej zorientować się w sytuacji. Do pomieszczenia wtargnęła fala ostrej woni, zapowiedź matczynej furii.

Karen wyjęła osełkę i zaczęła szybko ostrzyć maczetę. Brzęk, szur, brzęk.

- Trzymaj się, Rick - mruknęła. Przesuwała diamentem po stali, doprowadzając krawędź maczety do idealnego stanu. Będzie musiała przeciąć mocny bioplastyczny pancerz. Kiedy skończyła, ustawiła się obok wylotu szybu, unosząc ostrze nad głowę. - No chodź, no chodź - wyszeptała.

Matka dotarła do końca szybu. Zapadła cisza.

Potem olbrzymia czamożółta głowa osy pojawiła się w otworze.

Była skierowana czułkami do dołu.

Karen z całych sił zamachnęła się maczetą. Ostrze odbiło się od oka osy, pozostawiając na nim ślad. Dama miała opancerzone oczy.

Osa wsunęła głowę do komory, po czym chwyciła szczękami maczetę, wyrwała ją

Karen z rąk i wciągnęła do szybu. Dziewczyna usłyszała metaliczny zgrzyt. Osa niszczyła jej jedyną broń.

Pomieszczeniem targnął wstrząs: osa uderzała skrzydłami w ściany tunelu.

Przygotowywała się do szarży. Karen usłyszała jej sapanie.

Zerknęła przez ramię i promień światła z jej latarki padł na Ricka. Wyglądał na martwego...

Kiedy obracała głowę, poczuła, że z szyi zwisa jej niewielkinóż. Obiecała sobie, że już nigdy nie będzie go nosiła w kieszeni. Mój nóż. Otworzyła ostrze kciukiem i zerwała sznurek z szyi.

Głowa osy - wciąż pochylona - ponownie znalazła się w pomieszczeniu i owad spróbował złapać Karen szczękami. Dziewczyna przypadła do ziemi i wślizgnęła się pod tę głowę, po czym zacisnęła dłonie na porastających ją włoskach. Osa szarpnęła się w górę i w dół, uderzając Karen o grunt. Cały czas obserwowała intruza trojgiem przyoczek.

Karen kurczowo trzymała się osy, która kręciła głową i uderzała nią o ściany tunelu, z

trzaskiem zaciskając szczęki. Dziewczyna dostawała straszliwe lanie. Mimo to udało się jej zaczepić palcami o szew potyliczny, szparę pomiędzy głową a pierwszą opancerzoną płytką tułowia. U osy był to odpowiednik karku. Znajdowało się tam łączenie części pancerza. Karen poczuła pod palcami miękką tkankę w głębi szpary.

Szyja była tak wąska, że mogła ją całkowicie objąć. Mocno zacisnęła palce. Może zdoła udusić osę.

Nagle osa skoczyła w głąb tunelu, ciągnąc dziewczynę za sobą. Karen utknęła w wąskim korytarzu miażdżona przez owada, który wciąż uderzał głową. Zwierzę wygięło ciało i Karen zrozumiała, że stara się podwinąć odwłok, żeby ją uządlić. Osa ponownie wepchnęła ją do komory, po czym zaczęła się wić, próbując zrzucić intruza z szyi. Jednak Karen nie zwalniała uścisku. Gdy zlokalizowała kręg szyjny, chwyciła nóż i wsunęła jego czubek w szparę. Następnie szybko przesunęła ostrzem wokół szyi, poruszając nożem jak piłą.

Głowa osy odpadła i wtoczyła się na Karen, która znalazła się z powrotem w komorze ścigana przez tryskającą krew.

Żuwaczki kłapnęły dwukrotnie, po czym znieruchomiały. Ciało szybko się wykrwawiało; krew wylewała się z rozciętej szyi prosto na Karen. Skrzydła bezgłowego ciała coraz słabiej tłukły w ściany tunelu, aż w końcu martwa osa znieruchomiała. Karen odsunęła się i uklękła obok Ricka, biorąc go za rękę. Dygotała na całym ciele.

- Udało mi się.

Kątem oka Rick zobaczył ruch za jej plecami. Zamrugał, po czym krzyknął w myślach: Uważaj!

Główny mózg znajdujący się w odciętej głowie stracił kontakt z ośmioma mniejszymi mózgami, ale te wciąż wysyłały komunikaty do ciała osy. Odnóża zaczęły ciągnąć bezgłowy tułów do wnętrza komory. Odwłok podwinął się i wysunęło się z niego żądło.

Hałas za plecami sprawił, że Karen się obróciła. W ostatniej chwili zobaczyła zbliżające się żądło i odskoczyła w bok, a odwłok owada przygniótł ją do ściany. Zaczęła walczyć uwięziona, podczas gdy żądło poruszało się przed jej twarzą. Widziała ocierające się o siebie bliźniacze ostrza oddalone od jej oczu zaledwie o kilka centymetrów. Głaszczki wyskoczyły na zewnątrz, postukały ją w policzek i wsunęły się jej do ust. Wreszcie obnażone żądło znieruchomiło, delikatnie oparte o jej mostek. Na końcu ostrzy zastygła kropla jadu. Karen widziała w niej odbicie swojej twarzy.

Ostrożnie odsunęła się od żądła, unikając kontaktu z płynem i ostrzami. Następnie uklękła i otarła brud z twarzy Ricka.

- Jak się trzymasz, żołnierzu?

Wyglądało na to, że jest całkowicie sparaliżowany. Jego twarz przypominała maskę.

Oczy się poruszały, powieki mrugały, ale oblicze było pozbawione jakiegokolwiek wyrazu.

Mięśnie twarzy przestały działać, podobnie jak zwieracze, przez co Rick zmoczył spodnie.

Przynajmniej oddychał i jego serce biło. Karen zrozumiała, że jad osy to zmyślna substancja, która potrafi unieruchomić tylko część układu nerwowego. Czyżby Rick próbował coś powiedzieć? Nie była pewna.

- Możesz mrugnąć? - spytała. - Mrugnięcie będzie oznaczało tak. Brak mrugnięcia: nie. Rozumiesz?

Mrugnął. Tak. Potem jego twarz zadrżała.

- Rick! Czy ty się uśmiechasz?

Tak. Próbuję.

- To już coś. Boli cię?

Tak.

- Co cię boli?... Mniejsza z tym. Przeniosę cię. Sprawি ci to ból?

Nie zamrugał. Nie.

Uniosła Ricka, trzymając go pod pachami, po czym przeciągnęła go wokół zabitej osy, omijając szerokim łukiem kroplę jadu, która wciąż zwisała z żądła. Jednak po drodze zorientowała się, w jak ciężkim stanie jest Rick. Nie przetrwa, jeśli nie zacznie poruszać mięśniami. Jego układ nerwowy potrzebuje pomocy. Ten pieprzony jad - kropelka trucizny lśniła w blasku latarki, zawieszona na czubku żądła - zadziałał jak inteligentna bomba, wyłączając tylko część układu nerwowego. Paskudna trucizna, ale zarazem bardzo złożona. Przyroda potrafi tworzyć substancje chemiczne, z którymi nie mogą się równać leki produkowane przez ludzi.

Rick potrzebuje pomocy, w przeciwnym razie umrze.

Wpatrując się w przezroczystą kroplę, Karen doznała olśnienia. Jad, który sparaliżował Ricka, może także ocalić mu życie.

Musi go zebrać. Sięgnęła do pasa i znalazła zawieszoną na sznurku manierkę z wodą.

Opróżniła ją, po czym zbliżyła wylot naczynia do kropli i patrzyła, jak płyn ścieka do środka.

Zakręciła manierkę. W porządku.

- Mam plan. Jest szalony, ale może zadziałać.

Rick tylko wbijał w nią wzrok.

Karen przyciskała kolana do ścian szybu, wspinając się do wyjścia i pchając Ricka przed sobą. Czowała się jak superbohater; w normalnym świecie nie byłaby do tego zdolna.

Czekała ją długa droga, którą pokonywała etapami, co jakiś czas zatrzymując się, żeby odpocząć. Była wdzięczna losowi za siłę mrówki. W końcu dotarła do wyjścia z gniazda.

Danny już porzucił wszelką nadzieję, dlatego nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy z otworu wyłonił się Rick, a tuż za nim poobijana Karen.

- Znalazłam go - rzuciła wściekle, po czym zarzuciła sobie Ricka na ramiona.

Przeniosła go po piasku i położyła w cieniu rośliny obok Danny'ego.

Uklęka obok rannego i dokładnie mu się przyjrzała. Danny skulił się w pobliżu, chowając się przed wiatrem.

- Możesz wstać? - spytała Ricka.

Mrugnął.

- Naprawdę? Chcesz spróbować?

Pomogła mu stanąć na nogi. Zachwiał się i zatoczył, po czym padł na kolana i runął na ziemię.

Pokazała mu manierkę z jadem osy.

- To może cię uratować, Rick. Ale żadnych gwarancji. Teraz musimy... - popatrzyła na bambusy wznoszące się ku niebu po drugiej stronie otwartej przestrzeni - ...wrócić do lasu.

Myślała o martwym snajperze, który dostał ataku padaczki pod wpływem jadu pająka.

Śmierć tego człowieka dała jej wiedzę, która może ocalić Ricka.

Rozdział 38

Baza Tantała 31 października, godzina 14.30

Wiatr chłostał krawędź Krateru Tantała. Karen i Danny powoli szli wzdłuż grzbietu, niosąc Ricka na noszach zrobionych z koca termicznego. Karen dźwigała plecak i dmuchawkę zarzuconą na plecy. Szli noga za nogą zmuszeni brnąć w stronę ściany bambusów i Wielkiego Głazu. Z noszy dobiegał chrapliwy oddech Ricka.

- Postawmy go - powiedziała Karen.

Uważnie przyjrzała się Rickowi. Miał bladą ściągniętą twarz i posiniąte usta. Był wyraźnie niedotleniony. Karen najbardziej niepokoił jego nierówny, nieregularny i płytki oddech. Jad osy mógł podziałać na ośrodek oddechowy w pniu mózgu. Jeśli Rick przestanie oddychać, będzie po nim.

Rozchyliła jego koszulę i zauważyła siniaka na piersi. Co to jest? Czyżby oznaka choroby dekompresyjnej? A może po prostu ślad po starciu z osą? Muszą opuścić otwartą przestrzeń. Tutaj stanowią łatwy cel dla ptaków albo kolejnej osy.

- Jak się czujesz, Rick?

Powoli pokręcił głową.

- Nie za dobrze? Tylko nie zaśnij, dobrze? Bardzo cię proszę.

Karen przyjrzała się bambusowemu lasowi na horyzoncie.

- Musimy się tylko dostać pod tamte rośliny. To już niedaleko.

Miała nadzieję, że tam, pośród liści, znajdzie to, czego potrzebuje.

Usłyszała westchnienie.

- Jak się czujesz?

Cisza. Rick stracił przytomność. Szybko nim potrząsnęła.

- Rick! Ocknij się! To ja, Karen!

Otworzył oczy, po czym ponownie je zamknął. Zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością.

No dobrze. Może uda jej się go zdenerwować. W tym zawsze była dobra. Uderzyła go otwartą dłonią w twarz.

- Hej, Rick!

Gwałtownie otworzył oczy. Sposób okazał się skuteczny.

- Prawie zginęłam, wyciągając cię z tej przeklętej dziury. Ani mi się waży teraz umierać.

- Być może będziemy musieli go zostawić - rzekł Danny cicho.

Odwróciła się w jego stronę z wściekłością.

- Nigdy więcej tak nie mów.

W końcu znaleźli się w cieniu roślin i położyli Ricka w chłodzie. Karen napoiła go kroplą wody trzymaną w złączonych dłoniach. Następnie popatrzyła na liście w górze. Nie była pewna, z jakim gatunkiem rośliny ma do czynienia, jednak to nie było takie istotne. Najważniejsze, żeby na liściach żyły pająki.

Szukała konkretnego gatunku.

Uklękła obok Ricka.

- Przyda ci się solidny kopniak w tyłek.

Uśmiechnął się słabo.

- Co zamierzasz? - spytał Danny.

Nie odpowiedziała. Przez chwilę grzebała w plecaku, po czym wyjęła czystą pustą plastikową butelkę. Zaczęła krążyć pod liśćmi, uważnie się im przypatrując. W końcu zabrała dmuchawkę oraz pojemnik ze strzałkami i wbiegła między gęstą roślinność.

- Dokąd idziesz?! - zawołał Danny.

- Pilnuj go, Danny. Jeśli pozwolisz, żeby coś mu się stało, to...

- Karen!

Zniknęła. Zauważyła mignięcie koloru pod jednym z liści. Fluorescencyjna zieleń, czerwień, żółć. Może właśnie tego szuka.

Rzeczywiście.

Chciała znaleźć pająka, który nie byłby bardzo jadowity. Wszystkie pająki używają jadu do zabijania swojej zdobyczy, przeważnie owadów, ale ten bardzo różnie działa na ludzi i inne ssaki. Do najniebezpieczniejszych należy jad czarnej wdowy. Jej ugryzienie może zabić konia. Jednak inne pająki nie są tak groźne dla człowieka.

Karen stanęła pod pająkiem i popatrzyła w górę. Był niewielki, miał nogi przezroczyste jak szkło i ciało pokryte kolorowymi wzorami, które przypominały ludzką

twarz wykrzywioną uśmiechem - oblicze klauna.

To był *Theridion grallator*, jeden z najczęściej spotykanych pajaków na Hawajach, dobrze zbadany przez naukowców. Jego ugryzienie nie wyrządzało człowiekowi żadnej krzywdy.

Pająk siedział na niewielkiej pajęczynie chaotycznie utkanej pod liściem.

Karen wiedziała, że to wyjątkowo płochliwy gatunek, który czmycha, gdy tylko wyczuje zagrożenie.

- Tylko mi nie uciekaj - wyszeptała.

Zacząła się wspinać po łodydze w pewnym oddaleniu od pająka, po czym usiadła na liściu, wyjęła strzałkę z pudełka i otworzyła butelkę wypełnioną po brzegi jadem osy.

Zamoczyła czubek strzałki w jadzie, załadowała dmuchawkę i wycelowała.

Pająk się cofnął, bacznie ją obserwując. Wyglądał na wystraszonego. Skulił się na swojej małej sieci.

Karen wiedziała, że pająk ją słyszy i tworzy jej dźwiękowy wizerunek za pomocą „uszu” na odnóżach. Zapewne nigdy nie spotkał człowieka, więc nie miał pojęcia, z czym ma do czynienia.

Karen dmuchnęła.

Strzałka wbiła się we wzorzysty grzbiet pająka.

Zwierzak cofnął się, wymachując nogami. Próbował się rzucić do ucieczki, ale jad zadziałał błyskawicznie i po chwili pająk znieruchomiał. Karen usłyszała cichy gwizd powietrza w jego płucach i zobaczyła, że bok pająka unosi się i opada. Dobrze. Stworzenie wciąż oddycha, a jego serce bije. To ważne. Krew musi krążyć w ciele, żeby pająk mógł pompować jad.

Wspięła się na pajęczynę, po czym potrząsnęła jedną z nici.

- Hej! - krzyknęła.

Pająk się nie poruszył. Karen wczułgała się na sieć i zbliżyła do pająka, po czym dotknęła jednego z włosków na jego nodze. Nic się nie wydarzyło.

Leżąc na pajęczynie, odkręciła pusty pojemnik i ustawiła go pod zębami zwierzęcia.

Dwoma palcami obnażyła jeden z zębów, patrząc pająkowi w oczy.

Jak sprawić, żeby wypłynął jad? Gruczoły jadowe znajdują się na czole za oczami.

Postukała pająka w czoło pięścią. Pająk drgnął i kilka kropel płynu ściekło po jego zębach.

Zakręciła pojemnik. Miała nadzieję, że pająkowi nie stanie się krzywda. Przecięła sieć pod sobą i opadła na ziemię.

Nachyliła się nad Rickiem.

- Ten pajęczy jad - uniosła pojemnik, żeby mógł go zobaczyć - może u ciebie wywołać wstrząs. Zawiera ekscytotoksyny. Rozumiesz?

Popatrzył na nią i mrugnął. Tak, rozumiem.

- Ekscytotoksyny pobudzą twój układ nerwowy. Ale istnieje ryzyko. Nic nie wiem o tym jądzie, więc nie mogę dokładnie dobrać dawki. Może zabić komórki twojego ciała. Może zacząć cię trawić.

Przypomniała sobie ciało snajpera rozkładane przez soki trawienne.

Ujęła Ricka za rękę i mocno ją ścisnęła.

- Boję się, Rick.

Odwzajemnił uścisk.

- Chcesz tego? - spytała.

Mrugnął. Tak.

Wyjęła z pudełka jedną ze strzałek. Czystą, bez kurary. Zanurzyła czubek w jądzie pająka, pokrywając go minimalną ilością płynu. Pokazała strzałkę Rickowi.

- Jesteś pewien?

Tak.

Oparła czubek strzałki o jego przedramię, a następnie delikatnie wbiła go w skórę nad żyłą i wepchnęła głębiej. Nie za głęboko. Potem chwyciła Ricka za rękę i się nad nim pochyliła.

- Rick...

Przez kilka chwil nic się nie działo. Zaczęła się zastanawiać, czy nie podała zbyt małej dawki, ale nagle Rick westchnął. Jego oddech przyśpieszył. Dotknęła jego szyi i wyczuła szalejący puls. Jad silnie zadziałał.

Rozległ się gwałtowny odgłos, gdy Rick wciągnął haust powietrza do płuc. Potem dostał ataku. Zaczął wściekle miotać wkoło wzrokiem, napierając na Karen, wytrzeszczając oczy, dygocząc na całym ciele. Położyła się na nim, przyciskając jego ręce do ziemi, ale bała się zbyt mocno go przygnieść. Sapał, łapczywie chwytając oddech, wyginając przy tym plecy. Oparła się na nim całym ciężarem, starając się przygwoździć go do podłoża, bojąc się, że zrobi sobie krzywdę.

Rick jęknął. Nagle gwałtownym ruchem chwycił ją za szyję. Palce zacisnęły się, blokując krtań.

Próbował ją udusić. Aż tak jej nienawidził.

Jednak po chwili rozluźnił uchwyt i puścił jej gardło. Pogłaskał ją po ramieniu. Jego dotyk zmienił się w pieszczotę. Przesunął dłonią po jej szyi, a następnie pod uchem, delikatnie gładząc skórę. Potem wplótł rozczapierzone palce w jej włosy. Karen go pocałowała, a on z radością odwzajemnił pocałunek.

W końcu Karen się od niego oderwała.

- Boli cię?

- Jak... cholera... - wychrypiał. - Ale... mógłbym... to... polubić...

Pomogła mu usiąść. Miał zawroty głowy i prawie się przewrócił, ale go podtrzymała, obejmując i cicho zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

- Uratowałeś mi życie, Rick. Uratowałeś mi życie.

Danny patrzył na ich czułości z wyraźnym zakłopotaniem.

W jego opinii takie zachowania nijak nie przybliżyły ich do siedziby Nanigenu.

Potrzebował pomocy lekarza. Zerknął na swoją rękę i prawie zwymiotował. Larwy zrobiły się jeszcze tłustsze.

Po chwili Rick zdołał wstać. Podjęli wędrówkę i wkrótce weszli do bambusowego lasu, zanurzając się między łodygami wysokie jak sekwoje. Przedostali się na drugą stronę, a wtedy roztoczył się przed nimi oszałamiający widok. Stali przed Wielkim Głazem na krawędzi Krateru Tantala i zagłądali do jego wnętrza.

Pod nimi rozciągał się krater, basen zarośnięty lasem deszczowym, okolony jałową ziemią i kępami karłowatych drzew połamanych przez wiatr. Wokół krateru szczyty Ko'olau Pali wznosiły się niczym wyprostowane palce ku kłębiącym się chmurom, a efektu dopełniał chłoszczący wiatr. U podnóża Wielkiego Głazu znajdowała się Baza Tantala.

Człowiek normalnego wzrostu zapewne nigdy by jej nie zauważył. Obok bazy wytyczono pas startowy o długości około metra. Przynajmniej Karen sądziła, że to pas startowy: widziała przerywaną linię oraz wyznaczoną drogę kołowania. Obok pasa znajdowało się skupisko miniaturowych betonowych budynków. Największy z nich wyglądał na hangar lotniczy. Pozostałe były mniejsze i przypominały schrony przeciwlotnicze.

Budynki były częściowo zagłębione w ziemi i okryte martwymi liśćmi oraz resztkami roślin, dzięki czemu stapiały się z otoczeniem.

Karen się zatrzymała.

- Ojej, Rick! - zawołała. - Udało się nam!

Obejrzał się na nią i uśmiechnął. Pomasowała jego dłonie i ręce, żeby przywrócić w nich krążenie.

- Masz już cieplejsze dłonie. Chyba z tobą lepiej.

Nie chcieli zwracać na siebie uwagi, ponieważ nie wiedzieli, czego się spodziewać po mieszkańcach bazy, pracownikach Nanigenu, którzy mogli wykonywać rozkazy Vina Drake'a. Postanowili przez jakiś czas obserwować bazę, wypatrując oznak ludzkiej aktywności. Ułożyli się pod rośliną mamaki. Wielki Głaz piętrzył się ponad nimi jak góra.

Nie widzieli żadnego ruchu na pasie startowym. Okolica wyglądała na opuszczoną.

Na pasie leżały kamienie, wyschnięte błoto, szczątki roślin. Obok wznosił się piaszczysty stożek mrowiska. Ścieżka mrówek przecinała pas i prowadziła w dół zbocza w stronę dna krateru.

- To nie wygląda dobrze - wyszeptał Danny.

Karen poczuła przygnębienie. Jeśli nie ma tutaj żadnych zmniejszonych ludzi, to nie będzie także ciężarówka kursującej do siedziby Nanigenu, ich jedynej szansy. Nikt nie dbał o to miejsce; zawładnęły nim mrówki.

Ale może pozostały jakieś samoloty.

Powoli zeszli ze zbocza i weszli do hangaru. Znaleźli liny służące do mocowania samolotów, ale maszyn nie było. Rick został z Dannym, żeby odpocząć, a Karen postanowiła spenetrować bazę. Trafiała do pomieszczenia, w którym kiedyś zapewne przechowywano części mechanizmów oraz zapasy, ale teraz było ono puste, a ze ścian i podłogi sterczały metalowe kolce i pręty. Przeszła do innego pokoju. Pusto. W kolejnym pomieszczeniu mieściły się kwatery mieszkalne, zalane przez deszcz i do połowy wypełnione błotem. Nigdzie nie było żywej duszy. Baza Tantała została porzucona. Nie było także drogi

do Honolulu, ciężarówce ani samolotów. Tylko pasat, który bezustannie atakował ziemię i gwizdał w pustych wnętrzach.

Wyszli z kompleksu i usiedli obok pasa startowego, spoglądając w głąb krateru, a także na miasto widoczne przez lukę w ścianie wulkanu i błękitny Pacyfik, który rozciągał się za miastem. Od siedziby Nanigenu dzieliło ich wiele kilometrów i nie mieli jak tam dotrzeć.

Danny położył się pośród gruzów, trzymając się za rękę. Zaczął szlochać. Jego płacz odbił się echem od hangaru i uniósł pod niebo naznaczone szarymi kłębkami chmur targanych wiatrem.

Karen patrzyła na mrówkę, która pośpiesznie przemierzała pas startowy, dźwigając nasionko. Potem zwróciła wzrok ku Wielkiemu Głazowi, a następnie ku linii horyzontu i obłokom. Coś poruszyło się na tle nieba obok głazu. Karen zorientowała się, że to ludzka postać.

Rozdział 39

Baza Tantała 31 października, godzina 17.00

Karen nie wiedziała, jak długo ten człowiek tam stoi - może obserwował ich przez cały czas, odkąd zaczęli penetrować bazę. Miał długie białe włosy powiewające na wietrze.

Był ubrany w jakiś rodzaj pancerza, ale nie potrafiła stwierdzić, z czego go wykonano. Nawet z tej odległości było widać, że ma surowe i zimne oczy. Uniósł jakiś przedmiot, a Karen zdała sobie sprawę, że to gazowy karabin.

- Na ziemię! - wrzasnęła, chwytając Ricka.

Nieznajomy wystrzelił. Rozległ się syk i pocisk z metalicznym błyskiem minął ich, po czym wbił się w ziemię i wybuchł z głuchym hukiem. Karen zaczęła się czołgać, ciągnąc za sobą Ricka, ale nie mieli gdzie się schować. Kolejny snajper... Drake ich znalazł...

Usłyszeli głos męczyzny niesiony wiatrem.

- To było ostrzeżenie. Wstańcie z uniesionymi rękami. Jeśli macie broń, rzućcie ją

przed siebie.

Usłuchali. Karen pokazała napastnikowi dmuchawkę, po czym upuściła ją na ziemię.

Obok położyła pojemnik ze strzałkami.

- Połóżcie ręce na głowę.

Karen wykonała polecenie.

- Mamy dwóch rannych! - zawołała. - Potrzebujemy pomocy.

Mężczyzna nie odpowiedział. Zbliżył się do nich, nie opuszczając karabinu.

Zobaczyli, że jest starcem o pobrużdżonej twarzy brązowej od słońca i głęboko osadzonych niebieskich oczach. Był umięśniony i emanował fizyczną siłą. Ile mógł mieć lat? Wydawało się, że równie dobrze pięćdziesiąt, jak i osiemdziesiąt. Miał na sobie ochronny strój wykonany z elementów pancerza chrząszcza. Jego czoło przecinała blizna, która biegła w dół szyi i znikła pod napierśnikiem. Uważnie przyglądał się ich twarzom.

Nagle szybko się rozejrzał. Karen zrozumiała, że wypatruje drapieżników. Machnął w ich stronę bronią.

- Jak się nazywacie?

Karen podała ich nazwiska, po czym dodała:

- Kim pan jest?

Zignorował jej pytanie.

- Moja ręka... - zaczął Danny, ale umilkł, kiedy mężczyzna wycelował mu broń prosto w twarz.

- Potrzebujemy pomocy lekarskiej - rzekła Karen.

Mężczyzna tylko na nich patrzył. Trącił nogą dmuchawkę.

- Sprytne - stwierdził, po czym podniósł jedną strzałkę, uważnie się jej przyjrzał i powąchał. - Zatruta?

Karen pokiwała głową.

- Gdzie macie broń palną?

- Mieliśmy jeden karabin, ale straciliśmy go podczas ataku ptaka...

- Wysłał was Vin Drake - przerwał jej nieznajomy. - Po co?

- Nie, Drake próbował nas zabić...

Mężczyzna ją uciszył.

- To jedna z jego sztuczek.

- Będzie pan musiał uwierzyć nam na słowo.

- Skąd przyszliście?

- Z arboretum.

- I dotarliście aż tutaj? Niemożliwe.

Karen podeszła do niego i odepchnęła jego karabin.

- Proszę mi oddać moją broń.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy, być może z zaskoczenia, a może z wściekłości. Po

chwili opuścił karabin i otworzył komorę spustową. Uśmiechnął się, ukazując białe uzębienie.

- Zaimponowałaś mi - przyznał, po czym oddał jej dmuchawkę. - Witajcie w Bazie

Tantala. Nazywam się Ben Rourke. Jestem wynalazcą generatora tensorowego.

Karen zmierzyła go wzrokiem.

- Jak pan tutaj trafił?

- Jestem rozbitkiem z przypadku i pustelnikiem z wyboru - odpowiedział.

Ben Rourke mieszkał w labiryncie jaskiń w pobliżu Wielkiego Głazu, mniej więcej

dwa metry ponad bazą. Poprowadził ich w górę zbocza ku głazowi, pomagając iść Rickowi.

Wejście do jaskini miało postać dziury w ziemi u podnóża głazu. Poziomy tunel przypominał

wejście do kopalni. Ruszyli w głąb korytarza, w którym robiło się coraz ciemniej. Wkrótce

dotarli do drewnianych drzwi zamkniętych na żelazny haczyk. Rourke je otworzył i weszli do kolejnego tunelu pogrążonego w ciemności. Mężczyzna pstryknął przełącznikiem i na stropie rozbłysnął rząd diod.

- Witajcie w Reducie Rourke'a. Tak nazywam swoje mieszkanie. - Zatrzasnął drzwi i zamknął je na żelazny bolec. - To dla ochrony przed skolopendrami. - Ruszył przed siebie na sztywnych, patykowatych nogach. Tunel zakręcił, po czym zaczął opadać w głąb góry. Wił się w lewo i prawo. Mijali wloty bocznych tuneli prowadzących w ciemność.

- To opustoszałe gniazdo szurów - wyjaśnił Rourke. - Ludzie Drake'a uważali, że szczury zagrażają ludziom w Bazie Tantara, więc je wytruli i zapieczętowali gniazdo. Otworzyłem tunele i się wprowadziłem.

Na stropie w równych odstępach rozmieszczono diody, które rzucały niebieski blask.

- Skąd pan bierze energię elektryczną? - spytała Karen.

- Z kolektora słonecznego na drzewie. Kabel łączy go z akumulatorem. Przyciągnięcie tego cholerstwa z bazy zajęło mi trzy tygodnie, chociaż korzystałem z sześciomogła. Vin Drake nie ma pojęcia, jakie skarby zostawili jego ludzie, gdy odeszli z bazy. Sądzi, że nie żyją.

- Co pana łączy z Drakiem?

- Nienawiść.

- Co się stało?

- Na wszystko przyjdzie pora.

Ben Rourke był tajemniczą postacią. Skąd się tutaj wziął? Jak udało mu się uniknąć choroby dekompresyjnej?

Rick poruszył kończynami i rozmasował ręce. W blasku diod widział, że jest pokryty siniakami. Przynajmniej mógł się poruszać. Zastanawiał się, ile mają czasu, zanim odczują skutki choroby. Jak długo przebywają w mikroświecie? Miał wrażenie, że spędzili tutaj całe

wieki, ale przypomniał sobie, że minęły dopiero trzy dni. Objawy pojawiają się trzeciego albo czwartego dnia.

Dotarli do kolejnych drewnianych drzwi. Pełniły podobną funkcję jak gródź na statku, oddzielając poszczególne części labiryntu. Rourke zabarykadował drzwi, gdy przez nie przeszli, tłumacząc, że lepiej nie kusić losu, gdyż w okolicy grasują drapieżniki. Znow pstryknął przełącznikiem i ich oczom ukazała się sala z wysokim sufitem pełna mebli, półek z książkami, sprzętu laboratoryjnego i różnego rodzaju zapasów. Znaleźli się w kwaterach mieszkalnych.

- Nie ma jak w domu - rzekł Rourke.

Zaczął zdejmować elementy pancerza i wieszać je na ścianie w schowku. Boczne tunele prowadziły do kolejnych pomieszczeń. W jednym z nich dostrzegli sprzęt elektroniczny.

Stało tam biurko z komputerem oraz kilka foteli wykonanych z gałązek i uplecionych z trawy. Na środku znajdowało się okrągłe palenisko, a obok niego stelaż, na którym wisiały paski wędzonego owadziego mięsa. Rourke zgromadził także zapas suszonych owoców, jadalnych nasion i kawałków suszonych bulw kolokazji.

Łóżko Rourke'a było zrobione z łupiny owocu tungowca wyłożonej miękką posiekaną korą. Pod jedną ze ścian piętrzyła się wysoka sterta kolejnych pokrojonych owoców. Ben przyniósł do paleniska kilka kawałków oleistego miąższu i rozpałił ogień za pomocą gazowego palnika. Płomienie wypełniły pomieszczenie światłem i ciepłem, a dym wyleciał przez otwór w suficie.

Wyglądało na to, że Rourke zna się na wszystkim. Wydawał się szczęśliwy w swojej fortecy, jakby odnalazł życie, które sprawiało mu przyjemność. Zastanawiali się, jak potoczyły się jego losy. Jak tutaj trafił? Dlaczego nienawidzi Vina Drake'a? Co Drake mu

zrobił? Karen i Rick zerknęli na swoje dłonie i ramiona, zauważając na nich siniaki. Muszą przekonać Rourke'a, że wkrótce powinni wyruszyć do siedziby Nanigenu, albo dowiedzieć się od niego, jak uchronił się przed chorobą dekompresyjną.

Jednak najpierw Rourke zajął się obrażeniami Ricka i Danny'ego. Zaczął od Ricka.

Pomasował jego kończyny, popatrzył mu w oczy i zadał kilka pytań. Potem otworzył niewielką skrzynkę, która przypominała kuferek z lekarstwami, jaki kapitanowie statków zabierają w długi rejs. W środku znajdowały się między innymi kleszcze, nożyczki, jałowe kompresy, długi skalpel, piła do kości, butelka jodyny oraz flaszka Jacka Danielsa. Rourke obejrzał ranę kłutą pod pachą Ricka zadaną przez żądło osy. Polał ją jodyną a Rick aż podskoczył z bólu.

- Zagoi się. Powinniście się wykąpać - dodał.

- Jesteśmy w mikroświecie od trzech dni - odezwała się Karen.

- Trzy dni - rzekł Rourke z namysłem. - Prawdę mówiąc, spędziliście tutaj więcej czasu. Chyba zwróciliście uwagę na kompresję czasową?

- Co pan ma na myśli? - spytał Rick.

- Czas płynie dla nas szybciej. Wasze ciała szybciej się poruszają serca biją jak u kolibra.

- Musieliśmy spać w ciągu dnia - zauważyła Karen.

- Oczywiście. Wasz czas się kończy. Widzę, że choroba dekompresyjna już was dopadła. Wkrótce nastąpi kryzys. Sińce, ból stawów, krwawienie z nosa, koniec.

- Jak pan uniknął choroby? - spytała Karen.

- Nie uniknąłem. Prawie mnie zabiła. Ale znalazłem sposób na jej przetrwanie. Może niektórzy ludzie są do tego zdolni.

- Co pan zrobił? - spytał Rick.

- Na razie musimy się zająć jego ręką. - Ben skupił się na Danny'm.

Danny usiadł na fotelu obok ogniska. Mebel wykonano z wikliny przeplatanej włoskami paproci i małutkimi gałązkami; był potężny i bardzo wygodny. Minot rozprostował ciało, trzymając się za rękę. Rękaw całkowicie się oderwał, a larwy wyraźnie odznaczały się pod skórą. Ben przyjrzał się ręce, delikatnie jej dotykając.

- Zapewne pasożytnicza osa złożyła w niej jajeczka. Pomyliła twoją rękę z gąsienicą.

- Umrę?

- Oczywiście. - Danny z przerażeniem otworzył usta. - Pytanie tylko: kiedy? - dodał

Rourke. - Jeśli nie chcesz umrzeć teraz, musimy uciąć rękę. - Wyjął długi skalpel i wręczył

Danny'emu butelkę jacka danielsa. - Znieczulenie. Zaczynaj pić, a ja wygotuję narzędzia.

- Nie.

- Jeśli nie amputuję ręki, larwy mogą się przemieścić.

- Dokąd?

- Do mózgu. - Rourke podniósł piłę do kości i dotknął jej zębów.

Danny zerwał się z krzesła i cofnął, trzymając przez sobą butelkę jak pałkę.

- Nie zbliżaj się!

- Nie rozlej whisky. Niewiele mi zostało.

- Nie jesteś lekarzem! - Danny pociągnął łyk. - Chcę do prawdziwego lekarza! - Otarł usta i zakaszłał.

- Na razie nigdzie się pan nie wybiera, panie Minot - odparł Rourke, chowając narzędzia do skrzynki. - Nadchodzi noc, a w nocy lepiej zostać pod ziemią.

Rozdział 40

Reduta Rourke'a 31 października, godzina 19.00

Ben dorzucił do ognia kilka kawałków owocu tungowca i umieścił nad paleniskiem

metalowy kocioł. Naczynie wisiało na haku przymocowanym do żelaznego pręta białego w ziemię. Wszystkie kawałki metalu Rourke wyniósł z Bazy Tantała. Kilka łyżeczek wody niemal natychmiast zawrzało. Rourke zanurzył w kotle mniejsze wiaderko i przeniósł porcję gorącej wody do drewnianej wanny stojącej w zagłębieniu w ścianie.

To była jego prywatna łazienka. Dolał do wrzątku nieco zimnej wody ze zbiornika opadowego.

Rick moczył się w wodzie. Jad wciąż krążył w jego organizmie, przez co czuł się odrętwiały i miał zawroty głowy. Obok wanny leżała kostka miękkiego mydła. Rourke uzyskał je średniowieczną metodą z popiołu oraz tłuszczu jakiegoś owada. Cudownie było umyć się po trzech dniach pełzania w błocie. Jednak Rick nie mógł nie zauważyć cieni, które rozprzestrzeniły się po jego rękach i dolnej części nóg. Próbował wmówić sobie, że to siniaki powstałe podczas starcia z osą. Czuł się dziwnie, ale zapewne powodował to jad.

Danny odmówił kąpieli, bojąc się, że woda może pobudzić larwy. Siedział na krześle, pił whisky z butelki i wpatrywał się w ogień.

Karen jako kolejna odprężyła się w wannie z gorącą wodą. Cóż za niesamowite uczucie wreszcie się umyć. Wyprała i rozwiesiła ubrania, po czym owinęła się szlafrokiem, który pożyczył jej Rourke, i odświeżona usiadła przy ognisku. Rick miał na sobie spodnie Rourke'a oraz roboczą koszulę. Ubrania były znoszone, ale wygodne i czyste.

Tymczasem Rourke przyrządzał kolację dla swoich gości. Zagotował wodę w garnku i dodał wędzone owadzie mięso, poszatowaną bulwę jakiegoś warzywa, kawałki zielonych liści oraz sól. Zupa szybko się zagotowała, wypełniając pomieszczenie apetyczną wonią.

Wywar z owadów i warzyw okazał się pyszny i szybko przywrócił młodym ludziom siły.

Rozsiedli się na dziwnych fotelach wokół ogniska. Przyszedł czas na opowieść.

Ben Rourke był fizykiem i projektantem systemów, który specjalizował się w

najsilniejszych polach magnetycznych. Pewnego razu natrafił na dane dotyczące dawnych wojskowych eksperymentów w Huntsville i postanowił zgłębić metodę miniaturyzacji materii w polu tensorowym. Zdołał poradzić sobie z kilkoma pozornie nierozwiązywalnymi równaniami turbulencji w takich polach. Kiedy Vin Drake dowiedział się o pracy Rourke'a, zatrudnił go na stanowisku jednego z głównych inżynierów Nanigenu. Wspólnie z pozostałymi inżynierami Ben zbudował generator tensorowy ze zmodyfikowanego sprzętu przemysłowego zakupionego głównie w Azji. Drake uzyskał ogromną dotację od konsorcjum Davros. Wszystko, czego dotknął, zmieniało się w złoto. Roztaczał przed pozostałymi wizję fascynujących odkryć i niezmiernych bogactw.

Ben Rourke zgłosił się na ochotnika i jako pierwszy człowiek poddał się działaniu generatora. Podejrzał, że proces może być niebezpieczny, i czuł, że powinien najpierw sam podjąć ryzyko. Żywe organizmy są złożone i delikatne. Zwierzęta, które zmniejszono w generatorze, często zdychały, zazwyczaj z powodu wykrwawienia.

- Drake lekceważył ryzyko - rzekł Rourke. - Twierdził, że nie pojawią się żadne komplikacje.

Rourke pozostawał w zmniejszonym stanie tylko przez kilka godzin, po czym został przywrócony do normalnych rozmiarów. Jednak kolejni zmniejszowani ludzie spędzali w mikroświecie coraz więcej czasu i wkrótce okazało się, że cierpią z powodu niewyjaśnionych dolegliwości. Na ich ciałach pojawiały się sińce i dostawali krwotoków. Szybko przywrócono ich do normalnej wielkości i przebadano. Badania wykazały niewytłumaczalne zmniejszenie krzepliwości krwi.

Tymczasem Nanigen, nurzając się w pieniądzech od inwestorów, śmiało eksplorował mikroświat. Spółka postanowiła najpierw skupić się na badaniu Krateru Tantalą.

Występowało w nim niezwykle zróżnicowanie form życia oraz związków chemicznych i

biologicznych. Bazę Tantalą zbudowano z modułów.

- Budowaliśmy każdy z modułów jako model w skali jeden do dziesięciu, po czym zmniejszaliśmy je w generatorze, aby miały wielkość odpowiednią dla zminiaturyzowanych ludzi.

Moduły wypełnione zapasami i sprzętem umieszczono w Kraterze Tantalą.

Początkowo zespołom terenowym zezwalano na pozostawanie w bazie najwyżej trzydzieści sześć godzin, następnie odwożono je do siedziby Nanigenu i powiększano. Potem Nanigen rozmieścił stacje zaopatrzeniowe w arboretum Waipaka w dolinie i zaczął obsadzać je ludźmi.

Trudno było obsługiwać roboty i pobierać próbki, skoro zespoły tak często musiały się zmieniać. Dlatego Vin Drake chciał zatrzymać ludzi w mikroświecie na dłużej pomimo ryzyka. Spytał Rourke'a, czy ten zgodziłby się na próbę spędzić więcej czasu w bazie, żeby sprawdzić, czy ludzkie ciało może się stopniowo przystosować do pobytu w mikroświecie.

- Wierzyłem w Vina i w swój wynalazek - rzekł Rourke. - Nanigen opatentował mój projekt i w razie sukcesu miałem otrzymać duże pieniądze. Dlatego byłem gotów zgodzić się na ryzyko dłuższego pobytu w mikroświecie, żeby pomóc spółce w rozwoju.

Ben Rourke zaproponował, że poprowadzi grupę ochotników, którzy spróbują pozostać w bazie przez tydzień.

- Skoro zaprojektowałem generator, uznałem, że to ja pierwszy powinienem zaryzykować dłuższy pobyt.

Do Rourke'a dołączyła dwójka ochotników z Nanigenu, inżynier Fabio Farzetti oraz lekarka Amanda Cowells, która miała nadzorować stan ich zdrowia. Zostali zmniejszeni w generatorze i umieszczeni w Bazie Tantalą.

- Początkowo wszystko szło dobrze - rzekł Rourke. - Prowadziliśmy doświadczenia,

testowaliśmy sprzęt w bazie. Pozostawialiśmy w regularnym kontakcie z Nanigenem, korzystając ze specjalnego systemu komunikacji, łączą wideo z modulatorem częstotliwości audio, dzięki któremu mogliśmy rozmawiać z dużymi ludźmi. - Wskazał otwarte drewniane drzwi w salonie, za którymi zobaczyli sprzęt elektroniczny oraz ekran. - Oto właśnie to urządzenie. Przeniosłem je tutaj z Bazy Tantała. Może pewnego dnia Drake przestanie dowodzić Nanigenem, a wtedy będę mógł zadzwonić do domu. Ale dopóki on stoi na czele spółki, nie mogę skorzystać z tego sprzętu. Drake myśli, że nie żyję. Ujawnienie się byłoby śmiertelnym błędem.

Po kilku dniach spędzonych w bazie u całej trójki ochotników wystąpiły objawy choroby dekompresyjnej.

- Na naszych rękach i nogach pojawiły się sińce. Potem Farzetti poważnie się rozchorował. Doktor Cowells zdiagnozowała u niego kilka krwotoków wewnętrznych, więc poprosiła o jego ewakuację.

Fabrio Farzetti musiał natychmiast trafić do szpitala, w przeciwnym razie czekała go śmierć.

- Wtedy Drake poinformował nas, że nie może zabrać Farzettiego, ponieważ generator się zepsuł. Twierdził, że usiłuje go naprawić.

Ben Rourke wiedział o generatorze tensorowym więcej niż ktokolwiek inny. Zaczął kierować procesem naprawy z mikroświata za pomocą łącza wideo, a zespół inżynierów w siedzibie Nanigenu wykonywał jego polecenia. Jednak z jakiegoś powodu maszyna nie dawała się naprawić; wciąż psuła się na nowo. W końcu Farzetti zmarł pomimo wysiłków doktor Amandy Cowells.

- Podejrzewam, że Drake specjalnie uszkodził generator - stwierdził Ben.

- Po co? - spytała Karen.

- Byliśmy królikami doświadczalnymi. Drake chciał zdobyć dane dotyczące stanu naszego zdrowia aż do chwili zgonu.

Później zachorowała doktor Cowells. Ben się nią opiekował, jednocześnie błagając o pomoc przez łącze wideo.

- W końcu zrozumiałem, że pomoc nie nadejdzie. Vin Drake koniecznie chciał doprowadzić swój podły eksperyment do końca, do naszej śmierci. Zamierzał lepiej zrozumieć chorobę dekompresyjną ale jego działania przypominały eksperymenty nazistów. Próbowałem powiedzieć o tym innym pracownikom Nanigenu, lecz nikt mi nie wierzył. Myślę także, że Drake z przyjemnością patrzył, jak umieramy. On czerpie satysfakcję z cierpienia innych ludzi. Zupełnie jakby po zmniejszeniu kogoś do mikroskopijnych rozmiarów przestawał postrzegać go jak człowieka. Ale nikt w to nie wierzył. Ludzie tacy jak Vincent Drake działają poza granicami moralności. Ich zło może się stać niewidzialne, ponieważ nikt normalny nie wierzy, że ktokolwiek byłby zdolny do takich czynów. Psychopata może przez lata pozostawać niewykryty, jeśli dobrze się maskuje.

Karen spytała Rourke'a, czy według niego Drake działał sam.

- Miał jakichś współników?

- W Nanigenie są ludzie, którzy podejrzewają, jaka jest prawda - odrzekł Ben. -

Członkowie Projektu Omikron z pewnością coś wiedzą.

- Co to takiego?

- Projekt Omikron? To mroczne oblicze Nanigenu.

- Mroczne oblicze?

- Nanigen prowadzi tajne badania dla amerykańskiego rządu. Właśnie tym się zajmuje w ramach projektu.

- Co to za badania?

- Dotyczą broni - odparł Rourke. - Ale nic więcej nie słyszałem.

- Więc skąd pan o nich wie?

- Pracownicy plotkują, to nieuniknione.

Uśmiechnął się i pogładził po podbródku, po czym wstał i podszedł do sterty owoców tungowca. Wziął duży kawałek i wrzucił go do paleniska, podsycając ogień.

Karen doszła do wniosku, że jak na pustelnika Ben wydaje się samotny. Patrząc w ogień, przypominała sobie swoje życie na Wschodnim Wybrzeżu. Ona także żyła jak pustelniczka w ciasnym, obskurnym mieszkaniu w Somerville i spędzała większość czasu w laboratorium. Regularnie zostawała w pracy na noc. Nie miała żadnych przyjaciół, nie umawiała się na randki, nawet nie chodziła sama do kina. Poświęciła normalne życie, żeby zrobić doktorat i zostać naukowcem. Od ponad roku nie spała z mężczyzną. Wydawało się, że mężczyźni się jej boją: jej pajaków, wybuchowości i oddania pracy laboratoryjnej. Wiedziała, że ma wybuchowy charakter. Może właśnie taki los jest jej pisany. Może będzie szczęśliwsza w samotności, tak jak Ben Rourke w swojej pustelni. W tej chwili miała wrażenie, że jej życie w Cambridge toczyło się w innym wszechświecie.

- A gdybym chciała pozostać w mikroświecie? Myślisz, że mogłabym przetrwać?

Zapadła długa cisza. Rick wpatrywał się w Karen.

Rourke wstał i wrzucił do ognia kolejny kawałek owocu.

- Po co miałabyś tutaj zostawać?

Karen popatrzyła w płomienie.

- Tutaj jest niebezpiecznie... ale także... pięknie. Widziałam rzeczy... o których nigdy mi się nie śniło.

Rourke nałożył sobie kolejną porcję zupy, wrócił na swoje krzesło i zaczął dmuchać na gorącą potrawę.

- Według filozofii zen mądry człowiek może żyć wygodnie nawet w piekle - rzekł w końcu. - Tutaj wcale nie jest tak źle. Trzeba tylko zdobyć kilka nowych umiejętności.

Karen patrzyła, jak dym ucieka przez otwór w suficie. Zastanawiała się, dokąd prowadzi komin. Zrozumiała, że Rourke zapewne samodzielnie go wykopał. Tyle pracy tylko po to, by móc rozpalić ogień. Jak to będzie próbować przetrwać w mikroświecie? Benowi się udało. Czy ona też ma szansę?

- Pozwól, że ci o czymś przypomnę - zwrócił się do niej Rick. - Kończy się nam czas.

Miał rację.

- Ben, musimy wrócić do siedziby Nanigenu.

Rourke odchylił się do tyłu, patrząc na nich spod przymrużonych powiek.

- Zastanawiam się, czy mogę wam zaufać.

- Możesz, Ben.

- Mam nadzieję. Chodźcie ze mną, zobaczymy, co da się zrobić. Macie przy sobie coś metalowego?

Karen musiała zostawić nóż.

Od salonu odchodził krótki tunel zakończony drzwiami. Gdy Rourke je otworzył, ich oczom ukazał się leżący na ziemi olbrzymi dysk z szarego lśniącego metalu z otworem pośrodku, przypominający pączka z dziurką.

- To magnes neodymowy o sile dwóch tysięcy gausów - wyjaśnił Ben. - Wytwarza potężne pole. Po śmierci Farzettiego i Cowells ja także zachorowałem. Jednak opracowałem hipotezę, według której silne pole magnetyczne może stabilizować wahania wymiarowe wywołujące zaburzenia niektórych reakcji enzymatycznych, na przykład krzepnięcia krwi. Poddawałem się działaniu tego pola nieprzerwanie przez dwa tygodnie. Byłem chory jak diabli. Prawie umarłem. Ale w końcu wydobrzałem. Teraz wygląda na to, że jestem odporny

na chorobę dekompresyjną.

- Więc gdybyśmy pozostali w zasięgu pola tego magnesu, teoretycznie moglibyśmy przeżyć? - spytał Rick.

- Teoretycznie - podkreślił Rourke.

- Wolałbym się dostać do generatora - odparł Rick.

- Oczywiście. Dlatego pokażę wam sekret Bazy Tantalą.

Wyszli z pomieszczenia z magnesem, po czym powędrowali długim tunelem, który zakręcał, a następnie piał się w górę. Podążali za Rourkiem, zastanawiając się, dokąd ich prowadzi. Wyglądało na to, że Ben lubi tajemnice. Weszli do szerokiej, długiej komory pogrążonej w cieniu, wypełnionej niezidentyfikowanymi kształtami. Rourke pstryknął przełącznikiem, a wtedy na stropie zamigotał i rozblysnął rząd diod. Na posadzce stały trzy samoloty. W pomieszczeniu znajdował się podziemny hangar. Szerokie drzwi zamykały wlot jaskini.

- O rany - westchnęła Karen.

Każdy z samolotów miał otwarty kokpit, pękate skośne skrzydła, podwójny ogon i śmigło z tyłu. Maszyny stały na wysuwanych kółkach.

- Były popsute, więc ludzie Drake'a po prostu je zostawili. Naprawiłem je i dodałem kilka znalezionych części. Latałem nimi nad całymi górami. - Poklepał kokpit jednego z samolotów. - Wyposażyłem je także w broń.

- Gdzie ona jest? Nie widzę żadnych karabinów maszynowych - odrzekł Rick, oglądając skrzydła.

Rourke sięgnął do wnętrza kokpitu i wyciągnął maczetę.

- Trochę prymitywne rozwiązanie, ale tylko na to było mnie stać.

Wsunął maczetę z powrotem do kabiny.

- Moglibyśmy nimi polecieć do siedziby Nanigenu? - spytała Karen.

- Trudna sprawa. - Rourke wyjaśnił, że maksymalna prędkość mikrosamolotu wynosi jedenaście kilometrów na godzinę. - Pasaty nad Oahu wieją ze średnią prędkością dwudziestu czterech kilometrów na godzinę. Gdybyście spróbowali lecieć pod wiatr, tylko byście się cofali. Przy tylnym wietrze moglibyście się przedostać na drugą stronę Pearl Harbor. Albo inie. To zależy także od tego, czy zgodzę się udostępnić wam swoje samoloty. Mam tylko trzy jednomiejscowe maszyny, a was jest troje, więc zostałbym bez samolotu, prawda?

- Doktorze Rourke, zapłacę panu bardzo dużo pieniędzy za jeden z pańskich samolotów - oświadczył Danny. - Odziedziczyłem fundusz powierniczy. Przekażę go panu.

- Nie potrzebuję pieniędzy.

- Więc co pana przekona?Chciałbym, żebyście załatwili Vincenta Drake'a. Jeśli obiecacie to zrobić, dostaniecie moje samoloty.

- Oczywiście, że go dopadniemy - odparł Danny.

Karen cały czas milczała. Rick na nią zerknął, zastanawiając się, co ją gryzie. Potem spytał Rourke'a, jak ten przetrwa bez samolotu.

- Zbuduję sobie nowy - odrzekł Rourke wymijająco. - Zebrałem mnóstwo zapasowych części. - Potem przejął inicjatywę. Usadził ich w kokpitach i pokazał, jak działają przyrządy sterownicze. - To bardzo proste. Wszystkim steruje komputer. Tutaj jest drążek. Jeśli popełnicie błąd, komputer go skoryguje. Macie także radio z zestawem słuchawkowym. Po starcie będą mogli pozostawać ze sobą w kontakcie. Nie było jednak radaru ani przyrządów nawigacyjnych.

Jak znajdą siedzibę Nanigenu?

- Park przemysłowy Kalikimaki łatwo dostrzec z powietrza. To skupisko magazynów przy Farrington Highway. - Wskazał im kierunek.

- W porządku - rzekł Rick. - A co, kiedy już dotrzemy do Nanigenu?

- Rdzenia tensorowego pilnują roboty obronne.

- Roboty obronne?

- Latające mikroroboty. Ale raczej nie powinniście mieć z nimi kłopotu. Jesteście zbyt mali, żeby ich czujniki was wykryły. Przeleciecie obok nich niezauważeni. Generator można obsługiwać także w zmniejszonym stanie. Sam zaprojektowałem układ sterujący. Znajduje się pod klapą w podłodze pomieszczenia, na środku trzeciego sześcioboku. Jest oznaczony białym okręgiem. Powinniście go zobaczyć z powietrza.

- Czy obsługa generatora jest skomplikowana?

- Nie. Wystarczy otworzyć klapę i wcisnąć czerwony guzik awaryjny. Zostaniecie powiększeni... - Rourke zamilkł i wbił wzrok w rękę Ricka.

Rick z podwiniętym rękawem koszuli opierał się o jeden z samolotów. Rourke patrzył na sińce pokrywające jego rękę.

- Niedługo czeka cię kryzys - powiedział.

- Kryzys? - Rick nie zrozumiał.

- Kiedy zaczną się krwotoki, będzie po tobie. Musisz się szybko znaleźć w polu magnetycznym - rzekł Rourke ostro. - Masz tylko kilka godzin.

Karen popatrzyła na swoje ręce. One również nie wyglądały najlepiej. Czekał ich wyścig z czasem. Muszą poczekać do świtu, mając nadzieję, że do tego czasu żadne z nich nie zacznie krwawić.

Rourke zalecił im, żeby spali wewnątrz magnesu. Nie mógł niczego zagwarantować, ale stwierdził, że pole magnetyczne powinno opóźnić wystąpienie objawów. W pomieszczeniu z magnesem również znajdowało się palenisko. Rourke przeniósł tam kilka kawałków owocu tungowca i rozpałił ogień. Karen i Rick weszli w otwór pośrodku magnesu,

owinęli się kocami i ułożyli do snu. Nie było im wygodnie, ale czuli się straszliwie zmęczeni.

W mikroświecie czas płynął szybciej, więc potrzebowali odpoczynku.

Danny odmówił spania w magnesie. Stwierdził, że woli się położyć w głównej sali.

Usadowił się na jednym z foteli i owinał kocem.

Rourke dorzucił do ognia, po czym wstał.

- Idę do hangaru przygotować samoloty. Będziecie musieli wylecieć o świcie.

Oddalił się tunelem. Musiał sprawdzić mechanizmy i przyrządy oraz naładować

baterie, przygotowując maszyny do startu tuż po wschodzie słońca.

Danny został sam, zwinięty na fotelu w głównej sali. Nie mógł spać. Wypił resztkę

whisky i wyrzucił butelkę. Jego ręka drgała i poruszała się samoistnie, a skóra wybrzuszała

się i trzeszczała. Podniósł koc, żeby się jej przyjrzeć, i zobaczył, że larwy się poruszają. Nie

mógł już tego wytrzymać. Zaczął płakać. Może sprawił to alkohol albo potworny stan jego

ręki, - a może ogólna sytuacja, w jakiej się znalazł, w każdym razie stracił nad sobą

panowanie. Szlochał i patrzył w głąb korytarza, którym odszedł Rourke. Jak długo go nie

będzie?

Wtedy jego ręka pękła.

Rozległ się trzask przypominający odgłos rozdieranego papieru. Danny niczego nie

poczuł, ale spojrzał tam, skąd dobiegł dźwięk. Zobaczył olbrzymią larwę, która przepychała

się przez rozszerzającą się szparę w skórze, wijąc się, wymachując lśniąca głową i coraz dalej

wysuwając się na zewnątrz.

- Boże, wykluwają się! - wyszeptał.

Larwa zaczęła robić coś dziwnego i straszego. Pluła cienkimi, lepкими strużkami

jakiegoś płynu. Nie, to była jedwabna nić. Mimo że wciąż niemal do połowy tkwiła w ciele

Danny'ego, zaczęła gwałtownie kołysać głową i tkać wokół siebie jedwabną osłonę.

Co ona robi? Wcale nie zamierza się wykluć! Po prostu przechodzi w kolejną fazę rozwoju. Tworzy kokon. Ale nie chce opuszczać ręki!

Przerażony szarpnął larwę, próbując ją wyciągnąć. Wygięła się wściekle, plując nicią i usiłując ugryźć go malutkimi zębami. Nie miała ochoty wyjść. Zamierzała pozostać zagnieżdżona w jego ręce i zbudować dla siebie jedwabną osłonę.

- Karen? Rick? - Danny odezwał się cicho. Drzwi do pomieszczenia z magnezem były zamknięte. Nie słyszeli go. Zresztą i tak nie mogliby mu pomóc. - Och...

Stłumił okrzyk paniki. A co z ekranem w sąsiednim pokoju? Rourke twierdził, że to część systemu komunikacji umożliwiającego połączenie z Nanigenem. Danny się rozejrzył.

Ricki Karen byli zamknięci w salce z magnezem. Rourke poszedł do hangaru. Danny odrzucił koc, wstał i wszedł do pokoju komunikacyjnego, gdzie dokładnie przyjrzał się ekranowi.

Znalazł obiektyw małej kamery. W podstawie ekranu znajdowała się klapka, pod którą odkrył przycisk włączający urządzenie oraz czerwony guzik podpisany „łącze”. Nic trudnego.

Uruchomił komunikator i po chwili ekran rozbłysnął na niebiesko. Wtedy wdusił czerwony przycisk.

Niemal natychmiast usłyszał kobiecy głos, ale ekran pozostał pusty.

- Służba bezpieczeństwa spółki Nanigen. Skąd państwo dzwonią?

- Z Tantalą. Potrzebuję pomocy...

- Kim pan jest? Jaka jest pańska sytuacja?

- Nazywam się Daniel Minot...

Nagle na ekranie pojawiła się twarz kobiety o eleganckim, profesjonalnym wyglądzie.

- Niech mnie pani połączy z Vinem Drakiem - poprosił Danny.

- Jest środek nocy.

- To sytuacja awaryjna! Niech mu pani powie, że jestem w Tantalą i potrzebuję

pomocy.

Rozdział 41

Plaża Waikiki 31 października, godzina 22.30

Vincent Drake siedział przy najlepszym stoliku w The Sea, jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji na Hawajach, ze swoją aktualną kochanką Emily St. Claire, surferką i projektantką wewnątrz. Z okien lokalu rozciągał się widok na plażę Waikiki. Stolik znajdował się w specjalnie wydzielonym narożniku sali, przy otwartym oknie wychodzącym na Diamond Head. Delikatny wiatr owiewał kochanków i szemrał pośród liści pobliskiej palmy. Właśnie skończyli jeść kolację. Emily dźgała widelcem czekoladową tartę i sączyła Château d'Yquem.

Drake poruszył szerokim kieliszkiem, mieszając jednosłodową szkocką Macallan rocznik 1958.

- Muszę na kilka dni wrócić na Wschodnie Wybrzeże.

- Po co? - spytała Emily.

- Żeby spotkać się z partnerami. Chcesz pojechać ze mną?

- Listopad w Bostonie? Raczej nie.

W domach ciągnących się wzdłuż podnóża Diamond Head migotały światła. Latarnia morska na zmianę błyskała i gasła.

- Potem moglibyśmy się wybrać do Paryża - zaproponował Drake.

- Hm - odpowiedziała. - Może gdybyśmy polecieeli gulfstreamem.

Nagle rozległo się brzęczenie i Drake dotknął swojej marynarki. Dzwonił jego firmowy telefon z koderem.

- Przepraszam - powiedział, wyjmując aparat z kieszeni. Wstał, odłożył serwetkę, po czym podszedł do otwartego okna pomiędzy stolikami. Na ekranie telefonu widział

bezpośredni przekaz wideo. Wpatrywał się w niego Danny Minot. - A więc jesteście w Bazie

Tantala? - spytał Drake.

- Niezupełnie - drzekł Danny.

- W fortecy Bena Rourke'a.

- Co takiego?

- Ma tutaj całą masę sprzętu...

- Czyli Ben Rourke żyje?

- Jak najbardziej - odparł Danny, zerkając porozumiewawczo. - I bardzo pana nie lubi, panie Drake.

- Jak wygląda ta... forteca.

- To dawne gniazdo szczurów. Potrzebuję pomocy lekarskiej...

Drake mu przerwał.

- Gdzie dokładnie jest to gniazdo szczurów?

- Na zboczu wzgórza, dwa metry ponad Bazą Tantala.

Drake przez chwilę milczał. A więc wspięli się na urwisko.

Przeżyli w niezbadanej dżungli, w której powinni zginąć w ciągu kilku minut.

- Panie Drake! Muszę trafić do szpitala! - Danny mówił coraz szybciej. - Moja ręka została zakażona. Niech pan popatrzy...

Drake zobaczył na ekranie telefonu, jak Danny unosi rękę i podwija rękaw. Jego ręka spuchła i pokryła się... białymi krostami. Olbrzymimi wrzodami, które... poruszały się... drgały. Drake'owi zrobiło się niedobrze.

- One się wykluwają panie Drake! Danny przybliżył rękę do kamery. Drake wyraźniej zobaczył jeden z wrzodów. To była głowa larwy, która przeciskała się przez dziurę w ręce Danny'ego. Otwór gębowy pędraka pulsował i pluł jedwabną nicią. Oko kamery się

przesunęło, ukazując kolejne larwy, które wiły się i przebijały przez skórę.

- Dziękuję, panie Minot, już dosyć widziałem...

- To okropne! Całą rękę mam zdrętwiałą.

- Przykro mi, Danielu... - Drake poczuł ucisk w krtani. Zerknął na Emily, która zaczynała się niecierpliwić.

- Na miłość boską niech mi pan pomoże! - błagała mała twarz na ekranie komórki.

- Kto tam jeszcze jest? - ostro spytał Drake, przysuwając telefon do ucha.

- Nie widzę pana twarzy!

Drake obrócił aparat, tak żeby Danny mógł go zobaczyć.

- Pomożemy ci - rzekł delikatnie. - Kto jest z tobą?

- Chcę iść do najlepszego szpitala...

- Tak, tak, do najlepszego szpitala. Kto jest z tobą?

- Karen King i Rick Hutter.

- A co z pozostałymi?

- Wszyscy zginęli, panie Drake.

- Peter Jansen też?

- Tak.

- Na pewno nie żyje?

- Zastrzelili go. Wybuchła mu klatka piersiowa. Widziałem na własne oczy.

- Straszne. Gdzie są King i Hutter?

- Oni mnie nie obchodzą! Zabierzcie mnie do szpitala!

- Ale gdzie oni są?

- Śpią - odparł Danny naburmuszonym głosem, wskazując głową. - Rourke jest w hangarze.

- W jakim hangarze, Danielu? Ukradł kilka samolotów z Bazy Tantalą. To złodziej, panie Drake...

Zatem Rourke ma mikrosamoloty. Ale jak przetrwał chorobę dekompresyjną? Musiał poznać jakiś sposób na jej zwalczenie. To niezwykle cenna wiedza.

- W jaki sposób Rourke poradził sobie z chorobą dekompresyjną, Danielu?

Po twarzy Danny'ego przemknął przebiegły grymas.

- To akurat bardzo proste.

- Co zrobił?

- Powiem panu... jeśli mi pan pomoże.

- Danielu, robię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

- Ben zna tajemnicę - odrzekł Danny.

- Na czym dokładnie ona polega?

- To banalne.

- Powiedz mi!

Danny wiedział, że ma Drake'a na widelcu. Nie ufał mu, ale zdawał sobie sprawę, że jest od niego inteligentniejszy.

- Niech mnie pan przetransportuje do szpitala, panie Drake, a powiem panu, jak pokonać chorobę dekompresyjną.

Drakę zacisnął usta.

- W porządku...

- Takie proponuję warunki i od nich nie odstąpię.

- Oczywiście się zgadzam. A teraz powiem ci, co masz zrobić, Danielu. Dokładnie wykonaj moje polecenia.

- Po prostu mi pomóżcie...!

- Czy potrafisz pilotować taki samolot?

Byle idiota sobie z tym poradzi, nawet ty, mój drogi Danielu.

- Niech pan sprowadzi pomoc...

- Staram się ze wszystkich sił.

- Zabierzcie mnie stąd...! - krzyczał Danny przez telefon.

- Wysłuchasz mnie wreszcie? Drake wychylił się przez otwarte okno. Musi go stamtąd wydostać. Porozmawiać z nim, nakręcić go, wyciągnąć z niego informacje o Rourke'u... a potem po kolei zająć się wszystkimi małymi ludźmi. Popatrzył wzdłuż plaży Waikiki. Daniel będzie potrzebował jakiegoś punktu orientacyjnego. Drake zobaczył krótkie mignięcie światła...

Latarnia morska przy Diamond Head.

Po lewej stronie w głębi lądu ujrzał chmury wiszące nad górskimi szczytami. To znak, że wieje pasat. Od Krateru Tantalą ku Diamond Head. To ważne.

- Danielu, wiesz, jak wygląda Diamond Head, prawda?

- Jak każdy.

- Chciałbym, żebyś wsiadł do jednego z samolotów i poleciał w tamtą stronę.

- Słucham?

- Łatwo się je pilotuje. Nie sposób się rozbić. Po prostu odbijają się od przeszkód.

Cisza.

- Słuchasz mnie, Danielu?

- Tak.

- Kiedy zbliżysz się do Diamond Head, zobaczysz migające światło niedaleko brzegu.

To latarnia morska. Polecisz w jej stronę. Nie da się jej przegapić. Będę czekał w czerwonym sportowym samochodzie zaparkowanym obok latarni. Wylądujesz na dachu auta.

- Chcę, żeby helikopter od razu zabrał mnie do szpitala.

- Najpierw musimy cię powiększyć. Jesteś za mały, żeby polecieć helikopterem.

Danny zaczął chichotać.

- Mogliby mnie zgubić, prawda? Ha, ha!

- Zabawne, Danielu - odparł Drake. - Przewieziemy cię do najlepszego szpitala.

- One się wykluwają!

- Polec do latami morskiej. - Drake rozłączył się i schował telefon do kieszeni, po czym wrócił do stolika, gdzie pocałował Emily w policzek. - Sytuacja awaryjna. Przepraszam.

- Jezu, Vin. Dokąd idziesz?

- Do firmy. Jestem tam potrzebny.

Przywołał kelnera do stolika.

Emily potrząsnęła włosami i upiła łyczek wina, po czym odstawiła kieliszek.

- Jak sobie chcesz - odpowiedziała, nie patrząc na Drake'a.

- Wynagrodzę ci to, Emily, obiecuję. Polecimy gulfstreamem na Tahiti.

- Mało oryginalne. Wolałabym do Mozambiku.

- Załatwione. - Sięgnął do marynarki i wyjął gruby plik studolarówek. Wręczył pieniądze kelnerowi, nawet na nie nie patrząc. - Proszę się zająć panią.

Potem pośpiesznie wyszedł z restauracji.

Pojechał do dużego sklepu z przecenionymi artykułami przy Kapiolani Boulevard. Po drodze zadzwonił do Dona Makele.

- Spotkaj się ze mną przy latami morskiej, jak najszybciej możesz. Przywieź mikronadajnik. Przyjedź wozem ochrony. Będę go potrzebował.

Drake wyszedł ze sklepu, niosąc foliową torbę z pękatą zawartością. Schował ją do bagażnika.

Danny wyłączył ekran komunikatora, po czym wrócił do głównej sali, gdzie napił się wody z wiadra. Straszliwie męczyło go pragnienie. Gdy larwy przebiły skórę, z ręki zaczął się sączyć płyn, który zamoczył mu koszulę i ściekał na spodnie. Najgorsze, że pędraki owijały się jedwabną nicią, tworząc kokony zagnieżdżone w jego ciele! Serce biło mu zbyt szybko.

Był przerażony, ale wiedział, co musi zrobić. W tym świecie trzeba zabijać, jeśli nie chce się zginąć. Zwinął się w kłębek na fotelu przy palenisku. Kiedy Rourke wrócił z hangaru, Danny zamknął oczy i udał, że śpi, pochrapując, żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości.

Patrzył spod przymrużonych powiek, jak Rourke dorzuca opału do ognia, po czym kładzie się na swoim pościeliu.

Danny wstał i po cichu ruszył w stronę tunelu.

- Dokąd idziesz? - spytał Rourke.

Danny zamarł.

- Do toalety.

- Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

- Jasne.

Minął wejście do toalety, po czym szybko przeszedł tunelem do hangaru. Gdy dotarł na miejsce, zapalił światło. Zobaczył trzy mikrosamoloty. Który wybrać? Zdecydował się na najokazalszy, mając nadzieję, że dysponuje największym zasięgiem i mocą. Odczepił kabel, który wystawał z baterii samolotu i zniknął pod piaszczystym podłożem. Zorientował się, że zapomniał otworzyć drzwi hangaru.

Odsuwane drzwi były zablokowane za pomocą metalowych prętów. Wyciągnął je i otworzył drzwi, odsłaniając nocne niebo, na którym widać było zwrotnikowe gwiazdy, przybywający księżyc oraz upiorne sylwetki drzew. Wszedł do kokpitu, zapiął pasy i dotknął tablicy rozdzielczej.

Nagle z przerażeniem stwierdził, że nie ma kluczyka.

Przeszukał panel sterowniczy i znalazł guzik z symbolem mocy. Gdy go wcisnął, panel się rozświecił, a samolot drgnął. Elektryczny silnik zbudził się do życia i maszyna była gotowa do startu. Lewa ręka spoczywała mu na kolanach niczym rekwizyt z horroru. Rękaw podarł się na kawałki, gdy pędraki wygryzły sobie drogę na zewnątrz. Dwie kolejne larwy przebiły skórę i zaczęły tkać kokony. To potworne; jak natura może być taka okrutna? To takie obrzydliwe, nieludzkie i niesprawiedliwe.

Danny chwycił i pociągnął drążek sterowniczy, a wtedy lotki samolotu się poruszyły. Zwiększył moc silnika. Śmigło przyspieszyło, wyjąc za jego plecami. Samolot ruszył, podskakując na posadzce. Danny szarpał drążkiem i klął, aż w końcu zapanował nad maszyną a ta wystrzeliła z hangaru i wzbiła się w nienasycone nocne niebo.

Rozdział 42

Waikiki 31 października, godzina 23.15

Eric Jansen wyszedł wieczorem na Kapiolani Boulevard, żeby kupić coś do jedzenia, i właśnie wracał do swojego mieszkania, niosąc styropianowy pojemnik z wieprzowiną kalua i ryżem. Na podjeździe przywitał się z dwoma mężczyznami, którzy siedzieli na ogrodowych krzeselkach obok kolorowego pickupa, pili piwo i słuchali muzyki. Przeszedł na tył budynku i wspiął się po schodach na pierwsze piętro.

Usiadł przy małym stoliku w swojej kawalerce i zabrał się do jedzenia. Nie było go ponad godzinę, więc postanowił sprawdzić wskazania przyrządów. Przeszedł do sypialni i odsunął szufladę komody. Leżały w niej laptop, metalowa skrzynka pełna elektronicznych części, a także elektryczna lutownica, nożyce, obcęgi, taśma klejąca oraz kłębek drutu do lutowania.

Światelko na skrzynce migotało. To oznaczało, że ktoś korzystał z wewnętrznej sieci

komunikacyjnej Nanigenu. Cholera, przegapił to połączenie.

Wiadomość była zakodowana. Postukał w klawisze laptopa i uruchomił program deszyfrujący, który ściągnął z wirtualnej» i sieci prywatnej Nanigenu. Rozkodowanie nagrania zajęło minutę. Potem Erie zaczął słuchać głosów dobiegających z laptopa.

- A więc jesteście w Bazie Tantara?

- Niezupełnie. W fortecy Bena Rourke'a.

- Co takiego?

- Ma tutaj całą masę sprzętu...

- Czyli Ben Rourke żyje?

- Jak najbardziej. I bardzo pana nie lubi, panie Drake.

Erie nachylił się nad komodą, wytężając słuch. To było awaryjne połączenie za pośrednictwem łącza do wideokonferencji zainstalowanego w Bazie Tantara. Nie widział obrazu, ale słyszał ścieżkę audio. Rozmowa toczyła się dalej.

- A co z pozostałymi?

- Wszyscy zginęli, panie Drake.

- Peter Jansen też?

- Tak.

- Na pewno nie żyje?

- Zastrzelili go. Wybuchła mu klatka piersiowa. Widziałem na własne oczy.

Erie westchnął, jakby ktoś uderzył go w żołądek.

- Nie. - Zamknął oczy. - Nie - powtórzył, po czym trzasnął pięścią w komodę. - Nie! -

Odwrócił się i uderzył obiema pięściami w łóżko, podniósł krzesło i cisnął nim o ścianę, wreszcie usiadł na posłaniu i ukrył twarz w dłoniach. - Peterze... och, Peterze... Niech cię szlag, Drake... Niech cię szlag.

Nie płakał długo. Nie miał na to czasu. Wstał i ponownie odtworzył nagranie, wysłuchując go do końca. „Kiedy zbliżysz się do Diamond Head, zobaczysz migające światło niedaleko brzegu. To latarnia morska. Polecisz w jej stronę”.

Monitorował wszystkie główne firmowe pasma komunikacji, licząc na to, że dowie się czegoś o losie swojego brata i pozostałych doktorantów. Był prawie pewien, że Drake gdzieś ich porzucił, na przykład w arboretum. Pojechał tam i wszedł tunelem do doliny, po czym przez jakiś czas nasłuchiwał za pomocą swojego sprzętu, ale bezskutecznie. Mimo wszystko miał nadzieję, że Peter w końcu się odnajdzie. Wierzył w jego zaradność. Czekał na okazję, żeby uratować brata i pozostałych.

Popełnił straszliwy błąd. Powinien był od razu udać się na policję, nawet jeśli to oznaczało dla niego pewną śmierć.

Połączenie nawiązano niemal przed godziną. Cholera! Dlaczego tak się grzebał, kupując jedzenie? Zaklął, zabrał z szuflady laptop i słuchawki z radionadajnikiem, po czym zbiegł po schodach. Dwaj mężczyźni wciąż siedzieli na podjeździe obok zaparkowanego pickupa. Erie nie miał samochodu, ale zawarł układ z jednym z mężczyzn, dzięki czemu mógł wypożyczać auto, za każdym razem płacąc pięćdziesiąt dolarów. Teraz wręczył mu pieniądze i wsiadł do pickupa, kładąc sprzęt na sąsiednim siedzeniu.

- Kiedy wrócisz?

- Nie wiem.

Uruchomił silnik.

- Wszystko w porządku, stary?

- Umarł mi ktoś z rodziny.

- Ojej, bardzo mi przykro.

Wjechał na Kalakaua Avenue i od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Kalakaua to

główna ulica Waikiki, więc zawsze jest pełna samochodów i pieszych. Powinien był pojechać do Diamond Head drugą trasą. Chociaż ona pewnie też nie wygląda lepiej. Gdy powoli mijał skrzyżowania i hotele, ponownie zapłakał. Jednak tym razem się nie powstrzymywał. To moja wina, powtarzał sobie. Mój brat nie żyje przeze mnie.

Drakę, planując zabójstwo, zadbał o dodatkowe środki bezpieczeństwa i wziął pod uwagę kilka scenariuszy. Erie nie był pewien, jak jego szef tego dokonał, ale motorówka odmówiła posłuszeństwa na wzburzonym oceanie, a w stronę Erica zostały wystrzelone dwa hellstormy. Śmiercionośne roboty wyleciały z kajuty, gdy tylko zgasł silnik. Początkowo Erie wziął je za muchy albo ćmy, ale po chwili zauważył śmigła i broń. Po wyskoczeniu za burtę musiał pozostawać pod wodą, żeby się przed nimi uchronić. Wysłał do Petera SMS tuż przed opuszczeniem pokładu, ostrzegając brata, by ten nie przyjeżdżał, ale nie miał czasu, żeby wyjaśnić powody.

Erie był świetnym pływakiem i potrafił sobie radzić na pełnym morzu. Wskoczył do wody bez kapoka, żeby móc nurkować pod większymi falami i ukrywać się przed robotami. Uznał, że w wodzie jest najbezpieczniejszy. Wpłynął do niewielkiej zatoczki, gdzie znajdowała się plaża ukryta pomiędzy dwoma cyplami, nazywana przez miejscowych Sekretną Plażą. Nie było jej widać z większości miejsc na wybrzeżu i dało się do niej dotrzeć tylko szlakiem turystycznym.

Wyszedł z wody dopiero wtedy, gdy upewnił się, że nikt go nie zauważył. Do Honolulu podwieźli go miejscowi, którzy nie zadawali pytań i nie dbali o to, skąd się wziął. Uznał, że nie warto iść na policję. I tak nikt by nie uwierzył, że jego dyrektor wysłał za nim małe latające roboty uzbrojone w supertoksyny, żeby go zabić. Uznaliby go za schizofrenika. Poza tym, gdyby zgłosił się na policję, Drakę dowiedziałby się, że przeżył, i posłałby kolejne hellstormy, co z pewnością skończyłoby się dla Erica szybką śmiercią. W

Honolulu nie wrócił do swojego mieszkania, podejrzewając, że Drake mógł tam zastawić pułapkę. Zamiast tego pojechał do lombardu, gdzie za kilka tysięcy dolarów sprzedał swój zegarek od Hublota. Musiał się ukryć i zastanowić, w jaki sposób doprowadzić Drake'a przed oblicze sprawiedliwości. Pieniądze przeznaczył na wynajęcie obskurnego, dyskretnego mieszkania.

Jako wiceprezes Nanigenu i specjalista od technologii Erie dużo wiedział o firmowej sieci komunikacyjnej. Pomógł mu także dyplom z fizyki. Po wizycie w sklepie Radio Shack skonstruował urządzenie do nasłuchu. Zaczął monitorować firmowe kanały Nanigenu i dowiedział się, że jego brat natychmiast przybył na Hawaje, po czym zniknął razem z pozostałymi doktorantami. Erie podejrzewał, że Drake ma z tym coś wspólnego. Nie sądził, by Vin zaryzykował zamordowanie młodych ludzi; był na to za sprytny. Zapewne na jakiś czas wysłał ich do mikroświata, z którego w końcu powrócą.

Erie czekał, aż Peter się pojawi, ponieważ wierzył w jego możliwości. Ufał, że jego brat jakimś cudem to wszystko przetrwa, a Erie go ocali. Gdyby wspólnie wybrali się na policję, mogliby złożyć zgodne zeznania pogrążające Drake'a.

Tak się już nie stanie.

Wszystko spieprzył. Od razu powinien był pójść na policję. Nawet gdyby mu nie uwierzyli, nawet gdyby Drake go zabił, przynajmniej udałoby się uratować Petera. Głównym źródłem problemów był Omikron. Erie starał się nie zdradzić bratu, czego dowiedział się na temat projektu. Chciał go chronić. Na próżno.

Przejechał przez park Kapiolani, przyśpieszając i wymijając inne samochody, mając nadzieję, że dotrze do latami morskiej na czas.

Rozdział 43

Góry Ko'olau 31 października, godzina 23.10

Na wysokości sześciuset siedemdziesięciu metrów Danny podniósł nos mikrosamolotu, zwiększając pułap, aby przelecieć ponad krawędzią Krateru Tantala. Krater okalały czarne, groźnie wyglądające drzewa. Danny obejrzał się, zastanawiając się, czy nikt za nim nie leci, jednak niczego nie zobaczył. Cały czas nabierał wysokości.

To było prostsze od gier wideo. Mikrosamoloty zaprojektowano w taki sposób, żeby nie dało się ich rozbić. Czy wyposażono je w światła pozycyjne? Danny znalazł odpowiedni przełącznik i zapalił światła, czerwone i zielone na czubkach skrzydeł oraz białe z przodu. Zgasił je, obawiając się, że pozostali go namierzą ale po chwili znów je zapalił. Z jakiegoś powodu widok migających lampek na skrzydłach dodawał mu otuchy.

Pod sobą zobaczył panoramę Honolulu. Hotele w Waikiki wydawały się nieprawdopodobnie olbrzymie. Czerwonobiałe linie samochodów sunęły bulwarami, a w zatoce zacumował statek pasażerski. Za miastem rozciągała się czarna tafla oceanu. Księżyc wisiał nad wodą rzucając na jej powierzchnię migoczącą aleję blasku. Na lewo od plaży Waikiki wznosił się czarny masyw Diamond Head, na który Danny patrzył z góry. Z tej perspektywy miał postać okrągłego krateru, wewnątrz którego płonęło kilka świateł. Dostrzegł zarys górskiej odnogi odchodzącej od najwyższej krawędzi krateru, ale nie widział żadnego migającego światła, tylko mroczny kształt masywu. Gdzie jest latarnia morska? Zwiększył moc i pomknął w kierunku Diamond Head.

Nagle samolot przechylił się na bok i zaczął obracać, a Danny wrzasnął ze strachu. Zderzył się z pasatem kłębiącym się ponad górami. Zaklął i zaczął walczyć ze sterami, podczas gdy zawirowania powietrza miały maszyną. Nagle samolot odzyskał stabilność i wyrównał lot, znacznie przyspieszając. Dostał się w środkową część przepływu laminarnego. To było jak trafienie w główny nurt rzeki. Danny popatrzył w dół na przemykający las. Choć tak naprawdę to on mknął nad drzewami. Wysokościomierz wskazywał dziewięćset metrów.

W blasku księżycy rozciągał się wspaniały widok.

Za nim po stronie nawietrznej rozciągał się Krater Tantalą. Był ciemny jak jaskinia; nie było w nim żadnych świateł, żadnych śladów Reduty Rourke'a ani Bazy Tantalą. Po górskich zboczach wiły się drogi, a wzdłuż nich stały zapalone latarnie. Przed sobą Danny coraz wyraźniej widział miejskie wieżowce, które promieniowały energią i wznosiły się na nieprawdopodobne wysokości. Przez chwilę czuł się tak, jakby wlatywał do stolicy jakiegoś galaktycznego imperium obcych. Jednak to było tylko Honolulu. Nadal nie widział latami morskiej.

Wiatr niósł go w stronę hoteli stojących wzdłuż plaży Waikiki. Spróbował odbić ku Diamond Head. Przez chwilę manipulował drążkiem sterowniczym i przepustnicą. W końcu skręcił w lewo, utrzymując pełną moc silnika, po czym się rozejrzał.

Nie chciał, żeby wiatr wepchnął go do miasta; to by była pewna śmierć. Zostałby zmiądzony przez samochody albo wessany do klimatyzatora któregoś z budynków. Dlatego zwiększył moc do „awaryjnego maksimum” i utrzymywał kurs na górski masyw. Na ekranie pojawiło się ostrzeżenie: „Nadmierne zużycie baterii”. Pozostały czas lotu: 20:25 min... 18:05 min... 17:22 min... zasięg samolotu gwałtownie malał. Wkrótce straci moc.

Danny sprawdził prędkość lotu. Licznik wskazywał jednaście kilometrów i czterysta metrów na godzinę. Znalazł panel radionadajnika i go uruchomił.

- Mayday. Mayday. Tutaj Daniel Minot. Lecę małym samolotem. Bardzo małym. Czy ktoś mnie słyszy? Panie Drake, jest pan tam? Nie dolecę do Diamond Head... zwiewa mnie w stronę miasta... o Boże!

Jeden z hoteli wznosił się ponad nim jak bojowy statek kosmiczny. Danny zobaczył dwoje olbrzymów stojących na balkonie, mężczyznę i kobietę trzymających w dłoniach drinki. Samolot w niekontrolowany sposób się do nich zbliżał niesiony wiatrem. Ich głowy

były większe niż Mount Rushmore. Mężczyzna odstawił drinka i sięgnął ręką w stronę kobiety, ściągnając jej z ramienia ramiączko sukienki, obnażając potężną pierś z dwumetrowym sterującym sutkiem. Zaczął go pieścić przerażająco wielką dłonią a usta kochanków zbliżyły się do siebie... Samolot zmierzał ku nieuniknionej kolizji, a Danny krzychał i szarpał drążek sterowniczy. Z pełną prędkością przeleciał pod nosami olbrzymów, mieląc powietrze śmigłem. Samolot został porwany przez podmuch wiatru i zniknął za rogiem budynku.

Mężczyzna gwałtownie oderwał się od kobiety.

- Co, do cholery...?

Jego kochanka zobaczyła coś dziwnego. Malutkiego człowieka pilotującego malutki samolot z migającymi światłami na skrzydłach. Człowieczek krzychał. Wyraźnie słyszała owadzi pisk zagłuszający brzęczenie silnika i widziała rozwarte usta oraz wytrzeszczone oczy... Niemożliwe. To na pewno sen na jawie.

- Strasznie dużo tutaj robactwa, Jimmy.

- To te latające karaluchy, które mają na Hawajach.

- Wejźmy do pokoju.

Wiatr zelżał i Danny odzyskał kontrolę nad samolotem. Przeleciał w poprzek Kalakaua Avenue, przyglądając się nocnym tłumom. Zauważył, że już nie znosi go w bok. Maszyna była szybsza od wiatru; przemieszczał się do przodu. Skręcił na północny wschód i poleciał wzdłuż plaży Waikiki prosto ku Diamond Head.

Gdy popatrzył na słynny kształt w blasku księżyca, zobaczył światło, które zapaliło się, po czym zgasło. Błysk. Ciemność. Latarnia morska.

- Jestem uratowany!

Zwolnił do „pełnej prędkości przelotowej”. Gdyby teraz wyczerpała mu się bateria,

byłaby to prawdziwa katastrofa. Coraz lepiej sobie radził. Wszystko jest kwestią techniki. Zwiększył pułap. Chciał trzymać się wysoko ponad budynkami. Zabawne, jak szybko los może się odmienić. W jednej chwili myślisz, że jesteś trupem, a za chwilę zmierzasz do szpitala i podziwiasz plażę Waikiki w blasku księżyca. Życie jest piękne, pomyślał Danny. Jakiś kształt wyłonił się z ciemności. Danny zobaczył mignięcie skrzydeł, machnął drążkiem i ledwie uniknął zderzenia.

- Głupia ćma! Uważaj, gdzie lecisz. - Mało brakowało. - Zero mózgu - mruknął.

Kolizja z ćmą mogła go strącić do oceanu, który burzył się w dole.

Nagle do jego uszu dotarł osobliwy dźwięk. Jakby odbijając się echem szelest...

szuszu. Usłyszał go ponownie... szuszu. Wum... wuum... iii... iii... Co to jest? Coś wydaje dziwaczne odgłosy w ciemności. Potem rozległo się bębnienie: pampampampam.

Zobaczył kolejną ćmę i zorientował się, że to ona wydaje taki dźwięk. Nagle ćma zniknęła.

Coś zmiotło ją z nieba.

- O kurwa! - zawołał Danny.

Nietoperze.

Lokalizują ćmy za pomocą sonarów. Wpakował się w sam środek polowania.

Niedobrze.

Zwiększył moc do „awaryjnego maksimum”..

Słyszał pulsowanie sonarów w ciemności, po lewej, po prawej, w górze, poniżej, blisko, daleko... ale wciąż nie widział nietoperzy. To było najgorsze. Wszędzie wokół krążyły drapieżniki. Czuł się tak, jakby w środku nocy brodził w wodzie otoczony przez polujące rekiny. Niczego nie widział, tylko słyszał, jak chwytają ofiary. Szu... wuum... wuum... iii... iii... iii, ii, ii... Zdobycz złapana.

Nagle go zobaczył. Jeden z nietoperzy zabił ćmę tuż przed nosem samolotu. Danny

zauważył przemykający spiczasty kształt, a maszyna zatrzęsała się i podskoczyła na skutek turbulencji wywołanych przelotem drapieżnika. Mój Boże. Nietoperz był większy, niż Danny się spodziewał.

Musi się dostać na ziemię. Po prostu wylądować, gdziekolwiek, choćby na dachu hotelu. Ostro zanurkował na pełnej mocy silników, kierując się w stronę najbliższego hotelu... ale leciał w kierunku plaży... cholera... za daleko od budynku, za blisko wody...

Odgłosy nietoperza przybrały na sile. Nagle omiotła go fala dźwiękowa, a po chwili kolejna trafiła go z całą siłą, aż poczuł drzenie w piersi. Wuum... iiip... iiip... iiiiiiiiii...

Nietoperz lokalizował go za pomocą wiązki ultradźwięków. Piski stały się krótsze i bardziej skoncentrowane. Danny'ego otoczyła chaotyczna mieszanka dźwięków.

- Nie jestem ćmą! - wykrzyknął.

Mocno przechylił drążek sterowniczy i gwałtownie skręcił, nie przerywając lotu nurkowego. Zdrową ręką zaczął uderzać od zewnątrz w kokpit, starając się imitować bębnienie ciem. Może zablokuje radar nietoperza...

Zbyt późno zorientował się, że w ten sposób tylko pokazał nietoperzowi, gdzie dokładnie się znajduje.

Przed oczami mignęło mu brązowe futro i lśniące włoski osrebrzystych końcówkach.

Niesamowicie szerokie skrzydła przesłoniły księżyc. W szeroko rozwartym pysku tkwiły kły jak dłuta...

Mikrosamolot spadł, wirując ze złamanym skrzydłem i pustym kokpitem, po czym zniknął w spienionej wodzie niedaleko plaży.

Rozdział 44

Latarnia morska 31 października, godzina 23.45

Rourke na chwilę przysnął, ale obudził się, gdy zdał sobie sprawę, że Danny nie

wrócił. Czas mijał, ogień się wypalił. W końcu Rourke wstał i pośpiesznie ruszył tunelem do toalety. Danny'ego tam nie było.

Reduta stanowiła rozległy labirynt z wieloma nieużywanymi tunelami. Może Danny zgubił się w jednym z nich. Rourke wszedł do jednego z bocznych korytarzy i zawołał:

- Panie Minot! Jest pan tam?

Żadnej odpowiedzi. Także w kolejnym tunelu panowała cisza. Nagle wyczuł ruch powietrza. Hangar... Gdy tam pobiegł, zastał otwarte drzwi. Jeden z samolotów zniknął.

Zamknął drzwi, po czym obudził Ricka i Karen.

- Wasz przyjaciel uciekł. Zabrał samolot.

Nie byli pewni, co wstąpiło w Danny'ego. Może wpadł w panikę, widząc, w jak fatalnym stanie jest jego ręka, i postanowił samodzielnie polecieć do siedziby Nanigenu. Nie podejrzewali go o taką odwagę.

- Powinniśmy polecieć jego tropem i spróbować go znaleźć - zaproponowała Karen.

Rourke im zabronił. Wiatr mógł go ponieść w dowolne miejsce na wyspie. Poza tym latanie po zmroku jest zbyt niebezpieczne ze względu na nietoperze. To prawie samobójstwo.

Być może Danny zginął. A nawet jeśli przetrwał lot, nie wiedzieli, jak zamierza się dostać do siedziby Nanigenu.

- To bez sensu - stwierdziła Karen.

- Spanikował - orzekł Rick.

Vin Drake siedział w swoim samochodzie. Snop światła z latarni morskiej krążył w górze, przeświecając przez gałęzie drzew. Księżyc oblewał okolicę srebrem. Cóż za piękny świat. Drake był w niemal pokojowym nastroju. Znajdował się wysoko ponad światem, gdzie spacerował po linie, świetnie sobie z tym radząc.

Obok niego zaparkował czarny pickup Dona Makele. Drake wysiadł z auta i dołączył

do swojego podwładnego.

- Jest w powietrzu - wyjaśnił. - Zna lekarstwo na chorobę dekompresyjną. Opowie mi o nim, kiedy wyląduje.

- A potem? - spytał Makele.

Drakę nie odpowiedział. Założył słuchawki i zaczął nadawać, spoglądając w stronę gór.

- Danielu? Danielu, jesteś tam?

Słyszał tylko syk fal radiowych. Odwrócił się w stronę Dona.

- Wypatruj świateł pozycyjnych. Czerwonych i zielonych, bardzo małych.

- Co pan zamierza zrobić z tym chłopakiem? - spytał Makele.

Drakę go zignorował.

- Wiatr wieje od strony Krateru Tantala. Minot powinien lada chwila się pojawić.

Na parking wjechał jakiś samochód. Drakę zdarł słuchawki z głowy i zerknął w jego stronę.

- Sprawdź to.

Makele zbliżył się do zaparkowanego auta i w środku zobaczył parę, która oddawała się igraszkom. Doniósł Drake'owi, że nie musi się niczym przejmować.

Drake znów zaczął nadawać, ale nie otrzymał odpowiedzi. Przejeżdżały kolejne samochody, a snop światła z latami wielokrotnie zatoczył okrąg. Zakochana para odjechała.

Mężczyźni patrzyli w niebo, wypatrując świateł na tle gwiazd.

- Mały Danny nas okłamał - stwierdził Drake.

- W jakiej sprawie?

- Lekarstwa na chorobę dekompresyjną.

Kłamał, żebym go uratował. Ha.

Nasłuchiwali jęku mikrosamolotu. Don Makele zauważył, że wiatr bardzo przybrał na sile. Jeśli nie zobaczą chłopaka, zmiecie go nad ocean. Drake wyjął jakiś przedmiot z bagażnika sportowego auta i położył go z tyłu pickupa.

- Dam ci kolejne trzy udziały. Teraz będziesz ich miał siedem. Są warte około siedmiu milionów netto.

Szef ochrony mruknął coś pod nosem.

- Co zrobimy z chłopakiem? - spytał.

- Przesłuchamy go. - Drake postukał w mikrofon. Nadajnik umożliwiał mu kontakt ze zmniejszonymi ludźmi.

- A potem?

Drake przez chwilę nie odpowiadał. Później oparł się o pickupa i uderzył otwartą dłonią w karoserię.

- Owady są dzisiaj strasznie dokuczliwe - odrzekł, wpatrując się w niebo.

- Rozumiem - odparł Makele.

Jeszcze przez jakiś czas czekali. Makele cofnął się o kilka kroków wzdłuż samochodu, po czym zerknął na przedmiot, który Drake położył na pace. To był plastikowy kanister. Don wyczuł woń benzyny. Drake jeszcze przez chwilę próbował się połączyć z Dannym, po czym zerwał z głowy słuchawki.

- Pan Minot miał wypadek. Albo zmienił zdanie.

Wsiadł do pickupa i wręczył kluczyki od swojego auta Donowi Makele.

- Co mam zrobić z pańskim samochodem?

- Zostaw go przed firmą. Wróć do domu taksówką.

Drake uruchomił silnik i ruszył Diamond Head Road. Patrząc na znikające światła reflektorów, Makele pokręcił głową.

Rozdział 45

Reduta Rourke'a 1 listopada, godzina 1.00

Karen i Rick leżeli zwinięci wewnątrz magnesu, czekając na świt.

- Zostaliśmy sami - odezwała się Karen.

Rick posłał jej niewyraźny uśmiech.

- Nie spodziewałem się, że zostaniemy tylko we dwoje, Karen.

- A czego się spodziewałeś?

- Myślałem, że ty przetrwasz, ale ja nie - odparł.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Świetnie. - Skłamał. Jego twarz pokrywały sińce, a w stawach czuł ból.

Przyglądając się jego siniakom, Karen zastanawiała się, jak sama wygląda. Pewnie jakby mnie ktoś napadł, pomyślała.

- Musisz się dostać do generatora, Rick.

Zerknął na jej twarz widoczną w blasku ognia.

- Ty też.

- Posłuchaj, Rick... - Jak ma mu powiedzieć o tym, co postanowiła? Najlepiej bez owijania w bawełnę. - Ja nie wracam.

- Słucham? Myślę, że nic mi się nie stanie.

- Co takiego?

- Nie polecę do Nanigenu. Spróbuję szczęścia tutaj.

Siedzieli ramię przy ramieniu owinięci kocami i patrzyli w dogasające ognisko. Karen poczuła, że ciało Ricka się napięło. Odwrócił się w jej stronę.

- O czym ty mówisz, Karen?

- Nie mam do czego wracać, Rick. Byłam taka nieszczęśliwa w Cambridge. Nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ale tutaj... jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Owszem, jest tu niebezpiecznie, ale to nowy świat. Tylko czeka, żeby go zbadać.

Rick poczuł nieprzyjemny ucisk w piersi i nie potrafił stwierdzić, czy odpowiada za to choroba, czy jego uczucia...

- Co do...? Zakochałaś się w Benie czy co?

Roześmiała się.

- W Benie? Żartujesz sobie? Ja nikogo nie kocham. Tutaj nie muszę. Mogę być samotna i wolna. Mogę badać przyrodę... nazywać to, co jeszcze nie zostało nazwane...

- Na miłość boską, Karen.

Przez chwilę milczała.

- Dasz radę sam wrócić do siedziby Nanigenu? Ben pewnie z tobą poleci.

- Nie możesz tego zrobić.

Ogień trzaskał i strzelał. Rozczarowanie chwyciło serce Ricka jak zaciskająca się pięść. Próbował zignorować to uczucie. Popatrzył na Karen, zobaczył blask płomieni odbijający się od jej kruczoczarnych włosów, ale nie mógł oderwać wzroku od sińca na jej szyi. Zaniepokoił się. Czy to jego sprawka? Tak mocno chwycił ją za szyję. Nie mógł znieść myśli, że ją skrzywdził...

- Karen - odezwał się.

- Tak? Proszę, nie zostawaj. Możesz tutaj zginąć.

Wzięła go za rękę i mocno ścisnęła.

- Nie rób tego - nie ustępował Rick.

- Zaryzykuję.

- Dla mnie to za mało.

Posłała mu surowe spojrzenie.

- To moja decyzja.

- Ale dotyczy także mnie.

- W jaki sposób?

- W taki, że cię kocham.

Usłyszał, jak Karen bierze głęboki oddech. Odwróciła się i opuściła włosy na twarz, żeby nie mógł odczytać jej wyrazu.

- Rick...

- Nic na to nie poradzę, Karen. Gdzieś po drodze się w tobie zakochałem. Nie wiem, jak to się stało, ale takie są fakty. Kiedy połknął cię ptak i myślałem, że już po tobie, byłem gotów oddać za ciebie życie. A przecież wtedy jeszcze nie wiedziałem, że cię kocham. A gdy cię odzyskałem i okazało się, że nie oddychasz... tak bardzo się bałem... nie mogłem znieść myśli, że mogę cię stracić...

- Rick, proszę... nie teraz...

- Więc dlaczego mnie uratowałaś?

- Musiałam - odpowiedziała sztywno.

- Ponieważ mnie kochasz - ciągnął Rick.

- Posłuchaj, dajmy już temu spokój...

Wiedział, że posunął się za daleko. Karen zapewne go nie kocha, może nawet nie lubi.

Powinien po prostu się zamknąć. Ale nie potrafił.

- Zostanę z tobą. Razem przejdziemy przez chorobę dekompresyjną. Tak jak przeszliśmy przez całą resztę.

- Rick, ze mną nie można zostać. Jestem... samotna z natury.

Objął ją, czując, że jej ciało drży. Odgarnął jej włosy, dotknął policzka opuszkami palców i delikatnie obrócił jej głowę w swoją stronę.

- Nie jesteś sama. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował, a Karen nie starała się go powstrzymać. Namiętnie odwzajemniła pocałunek, mocno go obejmując. Wtedy zorientował się, jak wielkie sprawia mu to cierpienie. Każda część jego ciała płonęła głębokim, rozproszonym bólem, który zaczynał się w stawach oraz kościach i rozlewał po całym organizmie jak płyn. Czyżby miał wewnętrzny krwotok? Nagle Karen się skrzywiła i Rick zastanowił się, czy ona czuje się podobnie. - Wszystko w porządku?

Odepchnęła go, nie odpowiadając.

- Nie zostawaj.

- Dlaczego? Podaj mi jakiś powód.

- Nie kocham cię. Nie potrafię nikogo kochać.

- Karen...

Ich rozmowa dobiegła końca, ponieważ nagle zgasły światła na stropie i pomieszczenie pogrążyło się w ciemności, nie licząc blasku paleniska. Niemal natychmiast tunele wypełniły się dziwną wonią. W sali cuchnęło jak na stacji benzynowej. Zapach przybierał na sile.

Ben Rourke wbiegł do pomieszczenia.

- Benzyna! - zawołał. - Uciekajcie!

Rozdział 46

Krater Tantalą 1 listopada, godzina 1.20

Rozległo się dudnienie, od którego tunele zdrząły jak podczas trzęsienia ziemi, a w otworze kominowym ponad paleniskiem pojawił się żółty blask. Rick i Karen odrzucili koce i zerwali się z ziemi, gdy tylko Rourke wpadł do pomieszczenia.

- Do hangaru! - krzyknął.

Pobiegli tunelem, ale po chwili uderzył w nich podmuch gorącego, zadymionego powietrza. Karen upadła. Rick ją podźwignął i zaczął ciągnąć za sobą, ale zaraz mu się wyrwała. Jednak po chwili upadła na kolana, a następnie zwała się na ziemię. Wyglądało na to, że zemdląca. Rick niczego nie widział, gdyż dym gwałtownie zalał tunele. Podniósł Karen, zarzucił ją sobie na plecy i puścił się biegiem w ślad za Benem. Kręciło mu się w głowie i miał problemy z oddychaniem. Zrozumiał, że z korytarzy jest wysysany tlen. Rourke coś krzychał i starał się go ciągnąć, ale Rick upadł, upuszczając Karen.

Dziewczyna się ocknęła. Natychmiast wstała i zaczęła go za sobą wlec.

- No dalej, Rick! Nie poddawaj się!

Potykając się, krztusząc i kaszląc, biegli poprzez dym unoszący się pod stropem.

- Trzymajcie się poniżej linii dymu! - zawołał Ben.

Zaczęli się czołgać, schylając głowy pod czarnymi kłębami, czując, jak ziemia drży z przerażającym rykiem. W końcu dotarli do hangaru. Rick i Karen wskoczyli do samolotów, podczas gdy Rourke pobiegł otworzyć drzwi. Nagle te runęły, odsłaniając zasłonę płomieni blokującą wylot z jaskini.

Rourke zatoczył się do tyłu i zaniósł kaszlem.

- Ben! - wrzasnęła Karen.

Zobaczyła, jak pada na kolana, a następnie wstaje i popędza ich machnięciem ręki.

- Lećcie!

Mieli tylko dwa samoloty. Ben nie mógł się z nimi zabrać.

- Ben! A co z tobą? - zawołała Karen.

- Uciekajcie!

Rourke zataczał się w stronę tunelu, z którego biły kłęby dymu.

Krztusząc się i walcząc z zawrotami głowy, Karen uruchomiła silnik samolotu, po czym pomachała do Ricka.

- Startuj! - wrzasnęła.

W tej samej chwili wzbili się w powietrze i razem przelecieli przez jaskinię, podczas gdy Rourke chwiejnie cofał się do swojej kwatery. Karen obejrzała się i zobaczyła, że znów upadł na kolana. Czołgał się w głąb reduty. Nie miał czym oddychać; był zgubiony.

Zbliżyli się do ściany ognia. Karen schyliła głowę, kuląc się wewnątrz kokpitu, a mikrosamolot przebił się przez płomienie na chłodne nocne powietrze. Zerknęła w stronę Ricka i stwierdziła, że ten leci obok niej i nic mu się nie stało.

Delikatnie przechyliła samolot, sprawdzając działanie drążka sterowego, po czym się obejrzała. Reduta zamieniła się w morze ognia. Płomienie biły w niebo na tle Wielkiego Głazu, malując jego powierzchnię ognistym blaskiem. Nagle na tle płomieni pojawił się cień olbrzymiego mężczyzny, który trzymał czerwonyplastikowy kanister z benzyną i opróżniał go wokół Bazy Tantała. Mężczyzna cofnął się, rzucił zapalnik, a wtedy w błysku płomieni ukazała się jego twarz. To był Vin Drake. Jego skąpane w blasku pożaru oblicze promieniowało spokojem. Równie dobrze mógłby patrzeć na obozowe ognisko i rozmyślać o czymś przyjemnym. Przechylił głowę na bok, jakby wytrząsał wodę z ucha albo nasłuchiwał.

Rick stracił panowanie nad samolotem. Zrobił beczkę, po czym zderzył się z Wielkim Głazem. Przez moment myślał, że już po nim, ale maszyna odbiła się od głazu, na chwilę wpadła w korkociąg, a potem ustabilizowała lot. Mikrosamoloty okazały się wyjątkowo

wytrzymałe. Rick się rozejrzał; stracił Karen z oczu. Ponad nim wznosiła się spleciona ściana drzew. Omiótł je wzrokiem, ale nie zauważył żadnych świateł, żadnego śladu Karen. W kokpicie znajdował się radionadajnik i Rick przez chwilę się zastanawiał, czy go nie użyć, ale wtedy ujrzał dwa migające światełka, zielone i czerwone. Światła pozycyjne samolotu Karen. Również zapalił światła i pomachał czubkami skrzydeł. Dziewczyna odpowiedziała w ten sam sposób. Dobrze, to znaczy, że się widzą. Zagłębiła się w koronę jednego z drzew, a Rick podążył jej śladem. Ledwie widział otaczające go gałęzie i konary. Leciał mrocznym labiryntem, kurczowo trzymając się Karen.

Zwiększył moc silnika i dogonił ją, gdy okrążyła drzewo. Potem włączył radio.

Trudno, Drake i tak ich nie dogoni, nawet jeśli usłyszysz ich rozmowę.

- Wszystko w porządku, Karen?

- Chyba tak. A u ciebie?

- U mnie też.

- Zrozumiał, że teraz Karen musi polecieć do siedziby Nanigenu. Nie może zostać w

Bazie Tantala, gdyż ta została zniszczona. Postanowił jej o tym nie przypominać.

Krążąc wokół drzewa, widzieli, jak Drake schodzi ze zbocza, a za nim strzelają w niebo kolejne płomienie. Najwyraźniej teraz podpalił jakiś inny obiekt. Cokolwiek to było, widocznie postanowił usunąć wszystkie ślady po Bazie Tantala i Reducie Rourke'a. Pożar rozgorzał w wilgotnym lesie i zapewne wkrótce sam zgaśnie, nie zwracając niczyjej uwagi, ale po reducie i bazie pozostaną tylko zgliszcza.

Drake wszedł do lasu, przyświecając sobie kołyszącą się latarką. Usłyszeli odgłos silnika, po czym zobaczyli pickupa podskakującego na gruntowej drodze biegnącej przy krawędzi krateru. Światła samochodu zniknęły za przeciwległą krawędzią wulkanu i okolica pogrążyła się w ciemności. Jednak ciemność nie była całkowita, gdyż pomiędzy gałęziami

wciąż widzieli migoczący blask Honolulu. Karen wleciała ponad koronę drzewa, wydostając się na otwartą przestrzeń.

- Nietoperze. Musimy gdzieś wylądować - przypomniał Rick.

- Ale gdzie? Na ziemi nie możemy.

Wystawiliby się na atak lądowych drapieżników.

- Leć za mną.

Minął ją i wysunął się na czoło. Omijał gałęzie, liście i inne przeszkody, skręcając w lewo i prawo, cały czas trzymając się w koronach drzew, gdzie nie latały nietoperze. Od czasu do czasu się oglądał i widział światła pozycyjne jej samolotu. Siedziała mu na ogonie. Blask pożarów zbladł za ich plecami, aż w końcu wlecieli w głąb krateru, gdzie wiatr wiał delikatniej, blokowany przez ściany i zbocza wulkanu. Stąd już nie widzieli płonącej bazy.

- Poszukam miejsca do lądowania - powiedział przez radio.

Przeleciał wzdłuż jednego z konarów, dokładnie mu się przyglądając. Gałąź była szeroka, czysta i wolna od mchu. Zapewniała mnóstwo miejsca do kołowania. Wylądował i zatrzymał samolot. Te maszyny potrafiły wylądować na jednocentówce. Karen posadziła samolot tuż obok.

Gałąź kołysała się i drżała. Wiatr bawił się nią, zagrażając samolotom.

- Musimy je przywiązać - stwierdził Rick, po czym wyszedł z kokpitu. Odkrył, że w nosach i ogonach maszyn kryją się liny cumownicze. Z pewnością wpadł na to Ben Rourke.

Rick zabezpieczył oba samoloty.

Karen zaczęła cicho płakać skulona w swoim kokpicie.

- Co się stało?

- Ben. Został uwięziony. Nie miał szansy przeżyć.

Rick uważał, że Ben mógł sobie poradzić.

- Jeszcze bym go nie skreślał.

Jednak nie mogli się dowiedzieć, czy Rourke zdołał uciec, czy też zginął w płomieniach.

Musieli czekać. Zegary na tablicach rozdzielczych pokazywały godzinę pierwszą trzydzieści cztery. Do świtu zostało kilka godzin, ale w nocy nie mogli bezpiecznie lecieć.

Pasat mocno powiewał i konar kołysał się jak pokład okrętu podczas sztormu. Karen widziała sińce na swoich rękach, ciemne plamy w blasku księżyca. Stawały się coraz większe. Zastanawiała się, jak wygląda reszta jej ciała.

Rick dostał mdłości na tańczącej gałęzi i rozmyślał, czy to skutek choroby dekompresyjnej, czy może utrzymujące się efekty jadu pająka i osy. Myślał o tym, jaką odległość będą musieli pokonać o świcie. Prawie dwadzieścia pięć kilometrów, wliczając długi przelot nad Pearl Harbor, czyli nad otwartym oceanem. To niewykonalne, stwierdził. Nigdy nam się nie uda.

Rozdział 47

Droga do Krateru Tantala 1 listopada, godzina 1.40

Kiedy Erie Jansen wjechał na parking przed latarnią morską nikogo tam nie zastał. Nie było śladu po samochodzie Vina Drake'a. Przyjechał za późno. A może za wcześnie? Może Drake jeszcze się nie pojawił. Erie zaparkował w rogu parkingu i zastanawiał się, co robić. Czekać na Drake'a? Ale ten mógł już odjechać. Może powinien pojechać na policję? Ale to może kosztować ocalonych życie, ponieważ Drake wie, gdzie są i niewykluczone, że właśnie zmierza w kierunku Krateru Tantala, żeby ich pozabijać.

Erie wiedział, że także musi się tam udać.

Dlatego poprowadził ryczącego i strzelającego pickupa drogą wiodącą do Krateru

Tantala wzdłuż drogich domów stojących przy ostrych zakrętach. Dojechał do bramy, za

którą ciągnął się żłobiony koleinami piaszczysty szlak. Brama była otwarta. Ruszył szlakiem, który wił się w górę stromego zbocza porośniętego gujawami, a po dotarciu do krawędzi krateru podążał wzdłuż niej przez zagłębienia i parowy. W kilku miejscach szlak został zmyty przez ulewę. Nadawał się tylko dla samochodów z napędem na cztery koła i Erie cieszył się, że jego auto ma szerokie opony. W końcu dotarł do zatoczki, ale nigdzie nie widział samochodu Drake'a. Okolica była opuszczona. Nie miał latarki, co stanowiło poważny problem. Jednak wysiadając z auta, zostawił włączone reflektory skierowane w stronę Wielkiego Głazu. Stał i nasłuchiwał. Za drzewami dostrzegł czerwony blask i zaczął się przedzierać przez zarośla w jego stronę. Kiedy znalazł się obok Wielkiego Głazu, zobaczył, co się stało. Pożar już dogasał, ziemia dymiła i cuchnęła benzyną Drake dopiął swego.

Wszystkich zabił.

Wciąż żałując, że nie zabrał latarki, Erie uklęknął i odszukał wejście do gniazda szczurów, kryjówki Rourke'a.

- Jest tam kto? - zawołał.

Na próżno. Przez chwilę grzebał palcem w ziemi, zastanawiając się, czy ktoś mógł przeżyć. Było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, a oni byli tacy mali. Bał się, że zmiażdży kogoś przez przypadek.

Jednak nikt nie ocalał.

Erie chwiejnym krokiem wrócił do samochodu.

Ze swojej gałęzi Rick i Karen zobaczyli światła dużego samochodu powoli okrążającego krawędź krateru.

Rick przez chwilę obserwował pojazd, po czym rzekł do Karen:

- Polecę sprawdzić.

- Nie rób tego.

Zignorował ją. Odwiązał samolot, uruchomił silnik i wystartował, z jękiem wzbijając się ku krawędzi krateru i Wielkiemu Głazowi.

- Niech cię szlag, Rick! - zawołała Karen. Nie zamierzała zostać sama, więc również uruchomiła maszynę i poleciała jego śladem.

Rick zobaczył mężczyznę wysiadającego z samochodu. Okrążył drzewo, nasłuchując nietoperzy, a gdy upewnił się, że niesłyszcy odgłosów sonarów, podleciał bliżej. Przybysz podszedł do Wielkiego Głazu i uklęknął w ciemności. Jego twarz pozostawała niewidoczna.

Po chwili wstał i oddalił się od głazu, przedzierając się przez zarośla. Rick podążył za czarną sylwetką, lawirując między gałęziami i pniami drzew.

Mężczyzna dotarł do zaparkowanego auta. Był to osobliwie barwny pickup z grubymi oponami. Kierowca wsiadł, a wtedy światło w kabinie oświetliło jego twarz.

Rick już kiedyś go widział. Ale gdzie? Zatoczył krąg obok szyby, gdy silnik samochodu z rykiem zbudził się do życia.

- Karen! - Rick zawołał przez radio. - Kim jest ten facet?

Ominęła Ricka i ostro skręciła obok pickupa. Coraz pewniej radziła sobie w powietrzu; latanie okazało się dosyć proste.

- To brat Petera!

- Myślałem, że on nie żyje. Czyżby był w zмовie z Drakiem?

- Skąd mam wiedzieć? - odburknęła Karen.

Samochód ruszył gruntowym szlakiem.

Karen zwiększyła moc do „awaryjnego maksimum”. Nawet przy pełnej prędkości ich samoloty ledwie nadążały za pickupem powoli podskakującym na szlaku. Wiedzieli, że gdy samochód dotrze do asfaltowej drogi, już go nie dogonią. Musieli szybko zwrócić na siebie uwagę kierowcy.

Jechał z zasuniętymi szybami. Karen ustawiła się obok okna niedaleko jego twarzy i zakołysała skrzydłami. Żadnej reakcji. Po chwili pickup przyśpieszył, pozostawiając ich w tyle w kłębach pyłu.

- Spróbujmy się dostać w strumień powietrza za samochodem! - zawołał Rick.

Za kabiną auta znajdowała się strefa nieruchomego powietrza, więc zanurkował w jej stronę, obserwując tył głowy Erica przez szybę. Samolot przewrócił się na bok i opadł: powietrze zakabiną okazało się niespokojne, tak że Rick mało nie rozbił się opakę samochodu.

Pickup dotarł do miejsca, w którym ulewa wyrwała dziurę w szlaku. Zwolnił, a kierowca odsunął szybę i wychylił się, żeby dokładniej się przyjrzeć przeszkodzie.

Karen wleciała do kabiny samochodu. Zatoczyła krąg, a gdy mężczyzna schował głowę do auta, powoli przeleciała mu przed oczami, robiąc beczkę i migając światłami.

Erie ją zobaczył i wdusił hamulec.

- Hej...!

Powiódł za nią wzrokiem, gdy skręciła i przeleciała nisko nad deską rozdzielczą.

Wyciągnął otwartą dłoń, a Karen na niej wylądowała, po czym wyszła z maszyny.

Tymczasem Rick wleciał do kabiny i posadził samolot na desce rozdzielczej.

- Zkimmamdoczynienia? - spytał Erie dudniącym głosem, starając się zbytnio nie dmuchać, żeby nie zrzucić Karen z dłoni.

Dziewczyna uniosła słuchawki i wskazała je palcem. Pamiętała, że według Jarela

Kinsky'ego nadajniki mogły posłużyć do komunikacji z pełnowymiarowymi ludźmi. Może tak będzie łatwiej im się porozumieć.

- Maszrację. - Erie postawił ją na desce rozdzielczej, otworzył schowek i wyjął własny

zestaw słuchawkowy, po czym podłączył go do chaotycznie wyglądającego urządzenia, które

stało

na

siedzeniu

pasażera.

-

Przełącz się na siedemdziesiąt jeden przecinek dwadzieścia pięć gigaherca.

Rick i Karen założyli słuchawki i włączyli nadajniki.

Mężczyzna otworzył usta i zagrzmiął:

- Teraz mnie rozumiecie? - Po chwili te same słowa wyraźnie rozległy się w

słuchawkach. - Teraz mnie rozumiecie? To urządzenie przyspiesza mój głos i przekazuje go

do waszych słuchawek, a także spowalnia wasze głosy, żebym mógł was zrozumieć.

Wyjaśnili Ericowi, co się stało.

- Musimy jak najszybciej dostać się do generatora - powiedziała Karen.

- Najpierw... opowiedzcie mi o moim bracie.

Tak zrobili. Gdy Karen opisała, jak zginął Peter, Erie uderzył dłońmi w kierownicę,

wyrzucając zmniejszonych ludzi i samoloty w powietrze. Spadli pośród duszących drobinek

kurzu. Cierpliwie czekali, dając mu czas. Gdy w końcu otworzył oczy, na jego oblicze

powrócił spokój.

- Zabiorę was do siedziby Nanigenu. Potem znajdę Vincenta Drake'a.

Rozdział 48

Dzielnica chińska, Honolulu 1 listopada, godzina 2.30

Dana Watanabe obudziło brzęczenie komórki. Sięgnął po nią w ciemności i strącił ze

stolika na podłogę. Po omacku poszukał włącznika światła, obawiając się złych wieści

rodzinnych: może coś się stało jego siedmioletniej córce, którą opiekowała się jego była żona;

albo jego matce... Jednak dzwonił szef ochrony z Nanigenu.

- Ma pan chwilę, poruczniku?

Watanabe przesunął językiem po lepkich ustach.

- Jasne.

- Dziś w nocy na Kraterze Tantala wybuchł pożar.

Watanabe stęknął.

- Co takiego?

- Był niewielki i zapewne nikt go nie zgłosił. Ale zginęło w nim kilka osób.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Tamci doktoranci... zostali zamordowani.

Dan usiadł, w jednej chwili całkowicie się rozbudzając. Trzeba zatrzymać tego człowieka i spisać jego zeznanie.

- Gdzie pan jest? Wyślę samochód...Nie. Chcę tylko porozmawiać.

- Zna pan jadłodajnię Deluxe Plate?

Była otwarta przez całą dobę.

Pił samotnie kawę w boksie na tyłach sali, gdy Don Makele wszedł do lokalu.

Sprawiał wrażenie... zrezygnowanego. Przysiadł się do porucznika.

Watanabe nie tracił czasu na czcze pogaduszki.

- Niech mi pan opowie o doktorantach.

- Nie żyją. Vin Drake zabił co najmniej osiem osób. Zostali zmniejszeni.

- Jak bardzo?

Makele zbliżył kciuk do palca wskazującego na odległość około centymetra.

- Bardzo.

- No dobrze, założmy, że panu wierzę - rzekł Watanabe.

- Nanigen dysponuje maszyną, która może wszystko zminiaturyzować. Nawet ludzi.

Do stolika podeszła kelnerka i spytała, czy Makele ma ochotę na śniadanie. Pokręcił głową, po czym zaczekał w milczeniu, aż kelnerka się oddali.

- Czy ta maszyna może zmniejszyć inną maszynę? - spytał Watanabe.

- Oczywiście.

- Na przykład nożyce?

Makele się skrzywił.

- O czym pan mówi?

- Willy Fong. Marcos Rodriguez.

Makele nie odpowiedział.

- Rozumiem, że chce mi pan opowiedzieć, co się stało z zaginionymi doktorantami - ciągnął Watanabe. - Ale chcęNie. Chcę tylko porozmawiać.

- Zna pan jadłodajnię Deluxe Plate?

Była otwarta przez całą dobę.

Pił samotnie kawę w boksie na tyłach sali, gdy Don Makele wszedł do lokalu.

Sprawiał wrażenie... zrezygnowanego. Przysiadł się do porucznika.

Watanabe nie tracił czasu na czcze pogaduszki.

- Niech mi pan opowie o doktorantach.

- Nie żyją. Vin Drake zabił co najmniej osiem osób. Zostali zmniejszeni.

- Jak bardzo?

Makele zbliżył kciuk do palca wskazującego na odległość około centymetra.

- Bardzo.

- No dobrze, założmy, że panu wierzę - rzekł Watanabe.

- Nanigen dysponuje maszyną, która może wszystko zminiaturyzować. Nawet ludzi.

Do stolika podeszła kelnerka i spytała, czy Makele ma ochotę na śniadanie. Pokręcił głową, po czym zaczekał w milczeniu, aż kelnerka się oddali.

- Czy ta maszyna może zmniejszyć inną maszynę? - spytał Watanabe.

- Oczywiście.

- Na przykład nożyce?

Makele się skrzywił.

- O czym pan mówi?

- Willy Fong. Marcos Rodriguez.

Makele nie odpowiedział.

- Rozumiem, że chce mi pan opowiedzieć, co się stało z zaginionymi doktorantami -

ciągnął Watanabe. - Ale chcę się także czegoś dowiedzieć o mikroskopijnych robotach, które poderzwały gardło Fongowi i Rodriguezowi.

- Skąd pan wie o robotach? - zdziwił się Makele.

- Myśli pan, że policja w Honolulu nie dysponuje mikroskopami?

Makele cmoknął.

- Roboty nie miały nikogo zabijać.

- Więc co poszło nie tak?

- Zostały przeprogramowane.

- Przez kogo?

- Chyba przez Drake'a.

Watanabe przez chwilę się zastanawiał.

- Co się stało z doktorantami?

Makele opowiedział mu o stacjach zaopatrzeniowych w dolinie Manoa i Bazie

Tantala.

- Młodzi pewnie dowiedzieli się czegoś złego o Drake'u, ponieważ nalegał, żebym..

się ich pozbył.

- Zabił?

- Tak. Trafili do doliny Manoa. Drake chciał się upewnić, że nie wyjdą z niej żywi.

Próbowali uciec. Kilkoro z nich dotarło do Krateru Tantalą. - Potem opowiedział o Benie Rourke'u. - Drake spalił jego dom. Poza tym jestem prawie pewien, że zamordował naszą dyrektorkę finansową i wiceprezesa...

Detektywowi zakręciło się w głowie. Wygląda na to, że Vin Drake zabił trzynaście osób. Jeśli to prawda, to jest niezwykle niebezpiecznym człowiekiem.

- Dlaczego nie miałbym pana uznać za wariata? - spytał szefa ochrony.

Makele pochylił się nad stolikiem.

- Zrobi pan, jak uważa. Ale ja musiałem panu powiedzieć prawdę.

- Jest pan zamieszany w te zabójstwa? W zamian za siedem milionów dolarów.

W swojej karierze śledczego Dan Watanabe wielokrotnie spotykał się z przestępcami, którzy przyznawali się do winy. Zawsze był tym zaskoczony. Dlaczego ludzie postanawiają wyznać prawdę? Nigdy nie leży to w ich interesie. Prawda cię nie wyzwoli, tylko pośle za kratki.

- Podczas naszej ostatniej rozmowy, poruczniku, wspominał pan coś o Moloka'i.

Watanabe zmarszczył czoło. Nie pamiętał... A tak... Makele użył tradycyjnej hawajskiej wymowy...

- Twierdził pan, że Moloka'i to najlepsza z wysp - kontynuował szef ochrony. - Chyba miał pan na myśli ludzi, a nie samą wyspę.

- Nie wiem, co miałem na myśli - przyznał Watanabe, po czym pociągnął łyk kawy i odchylił się do tyłu, nie spuszczając wzroku z Makele.

- Urodziłem się w Puko'o - ciągnął Don. - To niewielka osada na wschodzie Moloka'i.

Zaledwie kilka domów nad oceanem. Wychowała mnie babka. Nauczyła mnie hawajskiej mowy... przynajmniej próbowała. Nauczyła mnie także, że zawsze należy przestrzegać zasad. Wstąpiłem do marynarki wojennej, służyłem ojczyźnie, ale potem... Nie wiem, co się ze mną stało. Zacząłem robić różne rzeczy za pieniądze. Ci doktoranci nie zasłużyli na to, co im zrobiliśmy. Zostawiliśmy ich na pewną śmierć. A kiedy nie umarli, Drake wysłał ludzi, którzy mieli ich wykończyć. Zrobię wiele rzeczy za siedem milionów dolarów, ale nie wszystko. Nie będę więcej wykonywał rozkazów Vina Drake'a. Pau hana. - Praca zakończona.

- Gdzie teraz jest pan Drake? - spytał Watanabe.

Ten człowiek był niezwykle niebezpieczny.

- Chyba w siedzibie Nanigenu.

Watanabe otworzył klapkę telefonu.

- Dopadniemy go.

- To niezbyt dobry pomysł, by tak po prostu tam wejść, poruczniku.

- Czyżby? - odparł chłodno Watanabe, odsuwając komórkę od ucha; w słuchawce rozbrzmiewał dzwonek. - Uważam, że jednostki taktyczne są cholernie skuteczne.

- Nie w starciu z latającymi mikrorobotami, które potrafią namierzyć człowieka po zapachu. To prawdziwe gniazdo szerszeni.

- No dobrze. Więc jak mamy się tam dostać?

- Nie da się, jeśli Vin Drake się na to nie zgodzi. To on ręcznie kontroluje roboty, tak jak obsługuje się telewizor za pomocą pilota.

Watanabe dodzwonił się na posterunek.

- Marty? - powiedział, przykładając komórkę do ucha. - Mamy problem w Nanigenu.

Erie wjechał do parku przemysłowego Kalikimaki i minął budynek Nanigenu. Był

niedzielny poranek i nie licząc lamp sodowych oświetlających drzwi wejściowe, cały kompleks był pogrążony w mroku i sprawiał wrażenie wymarłego. Karen i Rick stali na desce rozdzielczej obok swoich samolotów. Górowała nad nimi kołysząca się plastikowa figurka dziewczyny w trawiastej spódnicy.

Erie wjechał do niedokończonego magazynu stojącego obok siedziby Nanigenu, złożonego ze szkieletu i betonowych ścian. Zaparkował za jedną z nich, chcąc pozostać niewidoczny. Zgasił silnik, wysiadł, po czym przez chwilę nasłuchiwał i się rozglądał. Nadszedł czas ruszyć do Nanigenu.

Założył słuchawki z nadajnikiem i odezwał się do mikrofonu:

- Uruchomcie samoloty i lećcie za mną.

Karen i Rick wsiedli do swoich maszyn i wystartowali. Gdy przekraczali parking, zmierzając w stronę siedziby firmy, Erie słyszał jęk śmigieł obok swoich uszu. Zdał sobie sprawę, że doktoranci lecą za jego głową, która osłania ich przed wiatrem.

- Wszystko w porządku? - spytał przez radio.

- Tak - odpowiedziała Karen.

Ale czuła się fatalnie, jakby dopadła ją grypa. Bolały ją wszystkie stawy. Pomyślała, że Rick zapewne czuje się jeszcze gorzej, gdyż w jego krwi krąży potężny ładunek toksyn, które mogą przyspieszyć wystąpienie objawów choroby dekompresyjnej.

Drzwi wejściowe były zamknięte. Erie otworzył je kluczem i przytrzymał, żeby Karen i Rick mogli wlecieć do środka. Potem zamknął za nimi wejście.

Powoli ruszył głównym korytarzem, słysząc za sobą brzęczenie przypominające odgłos komara. Obejrzał się i zobaczył dwa mikrosamoloty z wirującymi śmigłami unoszące się pod sufitem i podążające jego śladem. Maszyny podskakiwały w prądach powietrznych wytwarzanych przez system wentylacyjny budynku oraz chwiały się z powodu turbulencji

wywoływanych przez jego głowę.

- Nie dajcie się wciągnąć do wentylacji - ostrzegł.

- Może wylądujemy ci na ramieniu? Mógłbyś nas zanieść... - zaproponowała Karen.

- Jesteście bezpieczniejsi w powietrzu. Jeśli wpadnę w tarapaty, będziecie musieli

szybko uciekać. - Erie zerknął na samoloty, upewniając się, że wciąż za nim lecą, po czym

zatrzymał się przed zakrętem i wyrzwał za róg. Popatrzył w głąb długiego korytarza, wzdłuż

którego ciągnęły się okna zasłonięte czarnymi żaluzjami. Nikogo nie zauważył. Przeciął

korytarz i bocznym przejściem dotarł do drzwi. Otworzył je i wszedł, wpuszczając za sobą

samoloty. - To mój gabinet.

Pomieszczenie zostało splądrowane. Na podłodze leżały rozrzucone papiery, a

komputer zniknął. Erie otworzył jedną z szuflad biurka i zaczął ją przetrząsać.

- Uff, wciąż tutaj jest. - Wyjął urządzenie przypominające kontroler do gier wideo. -

To urządzenie sterujące. Powinno rozbroić roboty - wyjaśnił.

Potem wyprowadził ich z powrotem na główny korytarz i ruszyli wzdłuż

zaciemnionych okien. Erie zatrzymał się przed drzwiami oznaczonymi napisem „Rdzeń

tensorowy” i je popchnął.

Drzwi nie ustąpiły. Nie były wyposażone w klawiaturę, tylko w zwykły zamek.

- Cholera - rzucił Erie. - Zamknięto je od środka. To oznacza...

- Ktoś tam jest? - spytał Rick.

- Możliwe. Ale istnieje inne wejście do sali z generatorem. Możemy się dostać do

środką przez strefę Omikronu.

Roboty w strefie Omikronu mogły zostać zaprogramowane na zabijanie intruzów. Nie

dało się tego sprawdzić bez wchodzenia do strefy. Erie miał nadzieję, że jego urządzenie

sterujące zadziała. Poprowadził samoloty do skrzyżowania korytarzy, skręcił w prawo, po

czym zatrzymał się przed drzwiami, na których znajdował się tylko mały, nieznajomy symbol podpisany słowem „Mikrozagrożenie”.

Rick przeleciał w odległości kilku centymetrów od symbolu.

- Co to znaczy? - spytał przez radio.

- To znaczy, że po drugiej stronie znajdują się roboty, które mogą spowodować śmierć albo poważne obrażenia, jeśli zostały w taki sposób zaprogramowane. Może tam być nieciekawie. - Podniósł urządzenie sterujące, tak aby Karen i Rick mogli je wyraźnie zobaczyć. - Miejmy nadzieję, że to pozwoli je unieszkodliwić. - Potem złapał za klamkę.

Drzwi nie były zamknięte. Ale zanim je otworzył, wystukał serię cyfr na klawiaturze urządzenia. - Drake myśli, że nie żyję, dlatego podejrzewam, że nie kłopotał się usuwaniem mojego PINu z systemu, skoro miałem już nigdy nie używać tego sprzętu. - Wzruszył ramionami. - Zobaczymy.

Na chwilę znieruchomiał, myśląc o zagrożeniach kryjących się po drugiej stronie drzwi. Następnie otworzył je na oścież i wszedł, po czym wpuścił mikrosamoloty. Znaleźli się w głównym laboratorium Projektu Omikron. Pomieszczenie, w którym panował półmrok, nie było większe od zwykłego laboratorium inżynierskiego. Stało w nim po kilka biurek, stanowisk pracy, stołów wyposażonych w szkła powiększające. Na stalowych półkach leżały setki małych elementów konstrukcyjnych. Okno z grubą szybą wychodziło na rdzeń tensorowy. Obok okna znajdowały się drzwi łączące strefę projektu z rdzeniem.

Erie stanął na środku laboratorium z kontrolerem w dłoni. Rozglądał się i nasłuchiwał.

Na razie wszystko przebiegało po jego myśli. Nie widział robotów, ale wiedział, że kryją się pod sufitem. Próbował wychwycić ich ciche brzęczenie. Być może uda mu się usłyszeć ich turbiny, gdy opadną spod sufitu i go zaatakują. Jeśli nie zostały rozbrojone, zorientuje się dopiero wtedy, gdy zacznie krwawić. Ale niczego nie usłyszał, nie zobaczył ani nie poczuł.

Urządzenie sterujące wciąż działało; rozbroił roboty. Odetchnął z ulgą.

- Nic nam nie grozi.

Na stołach laboratoryjnych leżały jakieś przedmioty przykryte czarnym materiałem.

W niewyraźnym świetle trudno było je zidentyfikować.

- Zaraz wam pokażę, dlaczego Vin Drake chciał mnie zabić - rzekł Erie do Ricka i

Karen. - I dlaczego zabił waszych przyjaciół. - Przystanął na środku pomieszczenia i

wyciągnął bok rękę zgiętą w łokciu. - Wylądujcie na mojej ręce - polecił. - W ten sposób

będziecie mogli wszystko lepiej zobaczyć.

Rick i Karen wylądowali na jego przedramieniu. Poruszając się ostrożnie i osłaniając

samoloty dłonią żeby nie zrzucił ich przypadkowy podmuch, Erie podszedł do najbliższego

stołu, po czym odkrył jeden z obiektów. To był mały, smukły samolot ogroźnym wyglądem.

Nie miał kokpitu.

- Hellstorm BPP - wyjaśnił Erie. - Bezzałogowy pojazd powietrzny.

- To znaczy robot? - spytał Rick.

- Właśnie. Robot. Bez pilota.

Rozpiętość skrzydeł maszyny wynosiła dwadzieścia pięć centymetrów.

Erie zbliżył rękę do robota, żeby Rick i Karen mogli mu się dokładnie przyjrzeć.

- To duży prototyp - wyjaśnił. - Po przetestowaniu w powietrzu zostanie zmniejszony

do wielkości dwunastu milimetrów.

Zamiast podwozia z kołami hellstorm miał cztery kilkusegmentowe nogi zakończone

przyczepnymi poduszkami, podobnie jak stopy sześcionogiego pojazdu. Pod skrzydłami

zamontowano pociski: dwie szklane rurki z długimi stalowymi igłami z przodu, statecznikami

i silnikiem raketowym w ogonie.

- Do czego służy? - spytał Rick.

- No właśnie, do czego? - zawtórował mu Erie. - Wojskowy robot wielkości ćmy.

Może być wykorzystywany podczas inwigilacji. Może także zabijać ludzi. Przechytrzyć każdy system bezpieczeństwa. Przelecieć pod drzwiami albo przez szparę w ramie okiennej. Przyczepić się do skóry albo ubrania. Może pełzać po ścianie. Albo przelecieć wzdłuż kabli elektrycznych w murze, po czym wydostać się na zewnątrz w innym pomieszczeniu. Może zabić każdego, zawsze i wszędzie. Widzicie pociski pod skrzydłami? Zawierają supertoksyny, które Nanigen uzyskał od różnych form życia zbadanych w mikroświecie: robaków, pajaków, grzybów i bakterii. Pocisk ma zasięg dziesięciu metrów. To znaczy, że robot może atakować na odległość. Jeśli jeden z takich pocisków wbije się wam w skórę, błyskawicznie umrzecie. Każdy robot może uśmiercić dwoje ludzi, gdyż jest uzbrojony w dwa pociski.

- Co to za otwory wzdłuż kadłuba? Wloty powietrza? - spytał Rick.

- Nie. To próbniki. Służą do namierzania celu.

- Jak to? - zdziwiła się Karen.

- Hellstorm może was wyczuć. Każdy człowiek wydziela niepowtarzalny zapach, który odróżnia go od innych ludzi. Mamy niepowtarzalne DNA, więc to zrozumiałe, że nasze ciała wydzielają unikatowe kombinacje feromonów. Mikrorobota można zaprogramować tak, aby odszukał zapach konkretnej osoby. Nawet jeśli będziecie na koncercie rockowym, robot odnajdzie was w tłumie i zabije.

- To jakiś koszmar - odrzekła Karen.

- Ten koszmar nie ma końca - ciągnął Erie. - Wyobraźcie sobie uroczystość zaprzysiężenia prezydenta. Tysiąc hellstormów zostaje wypuszczonych w powietrze, a każdy ma za zadanie namierzyć prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wystarczy, że uda się jednemu z nich, a prezydent zginie. Mikroroboty mogą obalić rząd dowolnego państwa: Japonii, Chin, Wielkiej Brytanii, Niemiec, a każdy naród może zostać wybity przez rój hellstormów. -

Powoli się obrócił, pozwalając, by Rick i Karen dokładnie się rozejrzeli. - To pomieszczenie to puszcza Pandory.

- Więc Nanigenowi wcale nie chodzi o nowe lekarstwa - rzekła Karen.

- Ależ tak, tylko że Nanigen działa na obu frontach. Szuka sposobów na ratowanie, a jednocześnie na odbieranie życia. - Delikatnie dotknął robota. - Hellstorm może służyć także do podawania leków.

- Drake postanowił cię zabić, bo się o tym dowiedziałaś?

- Niezupełnie. Wiedziałem o Projekcie Omikron od samego początku. Nanigen podpisał kontrakt z Departamentem Obrony na dostarczenie mikrorobotów. Jednak badania były znacznie bardziej zaawansowane, niż mówiono ludziom z departamentu. Vin zaczął okłamywać rząd. Przekonywać ich, że projekt zakończył się fiaskiem.

- Dlaczego? - spytał Rick.

- Ponieważ miał własne plany dotyczące robotów. Pojawił się problem z patentami. W Dolinie Krzemowej działa spółka Rexatack, która wynalazła i opatentowała część wykorzystanej przez nas technologii. Vin jest w niej inwestorem. Ukradł ich projekty i na ich podstawie zbudował hellstorma. Potem postanowił szybko sprzedać tę technologię, ponieważ Rexatack przygotowywał się do złożenia pozwu przeciwko Nanigenowi. Wpakowałem się w kłopoty, kiedy odkryłem, że Vin próbuje sprzedać projekt mikroroboty na wolnym rynku.

- A nie rządowi? - spytała Karen.

- Właśnie. Vin szybko potrzebował pieniędzy, a za oceanem łatwiej o fundusze.

Niektóre tamtejsze rządy mają góry dolarów. Kraje, których gospodarka rozwija się szybciej od naszej. Zapłacą każdą cenę za taką technologię. Każdą. Nie twierdzę, że amerykański rząd wykorzystałby mikroroboty do szczytnych celów, ale istnieją rządy, które popełniałyby za ich pomocą straszliwe zbrodnie. Część z nich nienawidzi Stanów Zjednoczonych, pogardza

Europą, boi się swoich sąsiadów, a także ma za niewłaśnych obywateli. Nie zawahałyby się przed użyciem mikrorobotów w niecznych celach. Poza tym istnieją międzynarodowe grupy terrorystyczne, które z chęcią zdobyłyby taki sprzęt. Dowiedziałem się, że Drake pojechał do Dubaju, gdzie rozmawiał z przedstawicielami kilku rządów o możliwości sprzedania technologii hellstormów. Sprzeciwiłem się tym planom. Powiedziałem Drake'owi, że takie działania są sprzeczne z amerykańskim prawem i zagrażają całemu światu. Ale wciąż się wahałem.

- Dlaczego? - spytał Rick.

Erie westchnął.

- Drake dał mi udziały w Nanigenie warte miliony dolarów. Gdybym zgłosił się do władz, oznaczałoby to koniec spółki. Moje udziały stałyby się bezwartościowe. Dlatego biłem się z myślami. Z chciwości. Studiowałem fizykę, ponieważ mnie fascynowała, ale nigdy nie przypuszczałem, że dzięki niej zostanę milionerem. A teraz miliony dolarów mogły wymknąć mi się z rąk, gdybym doniósł na Drake'a. Ta chwila słabości miała dla mnie opłakane skutki, ponieważ wkrótce Drake postanowił się mnie pozbyć. Prowadziłem badania na morzu i byłem umówiony z Alyson Bender na lunch w Kaneohe, po nawietrznej stronie wyspy. Alyson albo Drake umieścili hellstormy na mojej motorówce. To były tylko prototypy, ale miały za zadanie mnie zabić. Silnik łodzi zawiódł, po czym zobaczyłem, jak jeden z tych cholernych robotów wylatuje z dziobowej kajuty. Początkowo wziąłem go za owada. Potem zauważyłem śmigła oraz pociski z igłami i już wiedziałem, z czym mam do czynienia. Kiedy zobaczyłem kolejnego hellstorma, wysłałem SMS do swojego brata i wyskoczyłem za burtę. Woda mnie ochroniła. Mikroroboty nie mogły mnie wyczuć, ponieważ płynąłem pod falami. Dotarłem do Honolulu i tam się ukryłem. Gdybym zgłosił się na policję, Drake posłałby moim tropem hellstormy. On upaja się władzą, którą daje mu ta technologia. - Erie westchnął i umilkł.

Nagle inny głos przerwał ciszę.

- Doskonale mnie opisałeś, Ericu. Bardzo mi się podobała twoja opowieść.

W ciemności rozbrłyło kołyszące się światełko i za półką z komputerami pojawił się Vincent Drake.

Rozdział 49

Park przemysłowy Kalikimaki 1 listopada, godzina 3.40

Drake siedział na krześle w ciemności za półką z komputerami. W uchu miał słuchawkę, a w prawej dłoni trzymał pistolet. To był belgijski półautomat FN z latarką taktyczną przymocowaną do osłony spustu. Światło się kołysało. W lewej dłoni miał urządzenie sterujące robotami. Był ubrany w czarną koszulę, czarne dżinsy i ubłocone buty. Wyszedł na środek pomieszczenia i wycelował broń w twarz Erica, a następnie w jego przedramię, świecąc latarką na dwa samoloty.

- A kuku! - zawołał.

Usłyszeli jego głos w słuchawkach. Vin także używał nadajnika przyśpieszającego mowę.

- Startujemy - rzekł Rick do Karen.

Uruchomili silniki i zanurkowali z ręki Erica, rozpędzając śmigła.

Wyglądało na to, że Drake nie przejął się ich ucieczką. Ponownie wycelował i zaświecił Ericowi w twarz, obracając się bokiem i trzymając broń w wyprostowanej ręce. W drugiej ścisnął urządzenie sterujące. Jego ekran rozświetlał mu dłoń. Dotknął kciukiem jednego z przycisków.

- Twój sprzęt nie działa, Ericu. W przeciwieństwie do mojego.

Rick przechylił samolot i zatoczył krąg nad głową Erica. Nigdzie nie widział Karen.

- Trzymaj się blisko mnie! - zawołał do niej przez radio.

- Rick... czy Drake nas słyszy?

- Oczywiście, że was słyszę - zabrzmiał głos Vina w ich słuchawkach.

Nagle Drake machnął bronią i promień lasera zatańczył wokół ich samolotów, a Rick i Karen ujrzeli olbrzymią, nieprzyjemnie uśmiechniętą twarz szefa Nanigenu. Przez chwilę Rick myślał, że Drake do nich strzeli, ale zdał sobie sprawę, że pocisk zapewne nie trafiłby ich samolotów. Byli zbyt mali i zbyt szybko się poruszali.

Drake znów wycelował w głowę Erica. Podniósł urządzenie sterujące i wcisnął jeden z guzików.

- Gotowe - powiedział.

- Co zrobiłeś? - spytał Erie, podnosząc wzrok.

Drake rozejrzał się z uśmiechem.

- Uruchomiłem roboty.

Cofnął się o krok, wyraźnie na coś czekając.

- Ciebie też zaatakują... - rzekł Erie.

- Raczej nie.

Drake skoczył do przodu i uderzył Erica w twarz ręką pistoletu. Tamten stęknął, po czym upadł na kolana.

- Co jest z tymi braćmi Jansen? Wygląda na to, że nie możecie się obejść bez porządnych batów - rzekł Drake i kopnął Erica w żebra. Ten westchnął i wylądował na czworakach. Po chwili zaczął się czołgać. - Dokąd się wybierasz, Ericu? Czegoś szukasz?

- Idź do diabła.

Drake wściekle kopnął go w bok głowy. Erie padł na ziemię i zwinął się w kłębek.

Wydawało się, że stracił przytomność. Vin wymachiwał nad nim pistoletem.

- Widzisz, Ericu, nie rozumiesz jednego. Roboty ignorują mój zapach. Zaatakują

wszystkich oprócz mnie. - Zachichotał. - Szanują mnie.

Erie przyłożył dłoń do twarzy. Na palcach zauważył krew. Na jego czole pojawiło się małe rozcięcie.

- Co za pech, Ericu. Wygląda na to, że jeden z nich już cię znalazł.

Erie podczołgał się w stronę Drake'a, ale ten tylko z uśmiechem odskoczył do tyłu.

Jansen zaczął się otrząsać oraz uderzać dłońmi we włosy i uszy.

- Próbujesz strząsnąć roboty? Czujesz, jak pełzają po twojej twarzy? W twoich włosach? Wkrótce przedostaną się do krwiobiegu. Nie martw się, to nie boli. Po prostu będziesz patrzył, jak się wykrwawiasz.

Podczas gdy Drake zajmował się Erikiem, Rick poleciał w stronę drzwi prowadzących do sali z generatorem. Właśnie tam musieli się dostać razem z Karen. Zbliżył się i powoli je minął. Na ich szczycie zobaczył niewielki otwór wentylacyjny. Niewykluczone, że mógłby się w nim zmieścić mikrosamolot. Wycofał się i podleciał do Karen, tak że ich maszyny niemal zetknęły się skrzydłami. Wyłączył radio i krzyknął:

- Tak nas nie usłyszysz. Leć do drzwi prowadzących do generatora. Chyba zdołamy się przedostać do środka.

Wzniósł się ponad otwór wentylacyjny, zwiększył moc do maksimum, po czym zanurkował. Skrzydła poszerzyły szparę, gdy przez nią przeleciał. Znalazł się po drugiej stronie, a jego maszyna zawirowała, wrywając się spod kontroli. Po chwili jego śladem poszła Karen. Rick szybko odzyskał panowanie nad samolotem. Poleciał ku środkowi sali, widząc pod sobą wzór z sześcioboków. Odnalazł wzrokiem środkowy sześcioboki przechylił maszynę. Po chwili ujrzał niewielki biały okrąg, którym oznaczono położenie panelu sterowniczego. Karen trzymała się jego prawego skrzydła.

- Wyląduję obok okręgu! - zawołał, mając nadzieję, że zdoła przekrzyczeć szum

powietrza.

Nagle w słuchawkach rozległ się głos Drake'a.

- Wiem, co próbujecie zrobić. Widziałem, jak wlecieliście do komory generatora.

Jednak powinniście wiedzieć, że znajdują się tam roboty, które mogą was zobaczyć i wyczuć.

Drakę zaglądał do pomieszczenia przez okno, wodząc za nimi wzrokiem. Podniósł urządzenie sterujące i wcisnął serię przycisków.

- Zmieniłem czułość. Teraz zdołają was znaleźć - rzekł, po czym spojrzał na sufit.

Karen podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyła lśniące kropki rozsiane po suficie. Poruszały się i opadały jak krople deszczu, jednocześnie rozprzestrzeniając się po pomieszczeniu za pomocą własnego napędu. Zobaczyła, jak jeden z obiektów skręca w stronę Ricka i zaczyna go śledzić. Gdy Rick zanurkował w kierunku podłogi, robot za nim podążył. Napędzało go turbośmigło ukryte pod osłoną. Robot miał krętą szyję zakończoną ostrzami, a gdy mijał Karen, zobaczyła u niego parę złożonych oczu niczym u owada. Był to jednak sztuczny mechanizm. Dwoje oczu oznaczało, że robot potrafi widzieć w trzech wymiarach.

- Rick! - zawołała. - Za tobą!

Nie usłyszał. Leciał w stronę białego okręgu na podłodze. Gdy robot zaczął zmniejszać dystans, Karen postanowiła go odpędzić. Nie mając pomysłu, co zrobić, zanurkowała w ślad za robotem i Rickiem. Kątem oka dostrzegła kolejne latające obiekty, a gdy obejrzała się przez ramię, zauważyła za sobą co najmniej kilkadziesiąt robotów.

Wyglądało na to, że zbliżają się do niej i do Ricka, migocząc w locie. Niektóre unosiły się w powietrzu, gwałtownie zmieniały kierunek, tropiły.

- Rick, za tobą! - krzyknęła.

Odwrócił głowę i zobaczył goniącego go robota. Natychmiast poderwał samolot i skręcił, wyprowadzając maszynę z lotu nurkowego, wzbijając się w górę, próbując zgubić

prześladowcę. Jednak robot latał co najmniej równie sprawnie jak Rick i wciąż się zbliżał.

Karen przyspieszyła i zanurkowała w ślad za robotem ścigającym Ricka. Może uda jej się strącić go na ziemię. Jej samolot ma śmigło z tyłu, więc dziób może wykorzystać jako taran. Wycelowała w robota i dodała gazu. Tuż przed uderzeniem skuliła się w kokpicie i schyliła głowę, przygotowując się na wstrząs. Samolot wpadł na robota.

Rozległ się brzęk, gdy jej maszyna odbiła się rykoszetem w jedną stronę, a robot w drugą. Oba pojazdy zawirowały, ale zderzenie nie wyrządziło im żadnej krzywdy. Robot obrócił się i na chwilę zawisł w powietrzu, odzyskując orientację, po czym ruszył za samolotem Karen. Dziewczyna opanowała stery i oddaliła się, obserwując swojego prześladowcę. Robot gwałtownie przyspieszył, a następnie ku zaskoczeniu Karen rozłożył dwa kilkusegmentowe ramiona.

Przywarł lepкими poduszczkami umieszczonymi na końcach ramion do skrzydła jej samolotu. Usiłowała go strącić, wymachując drążkiem sterowniczym, przechylając maszynę na boki, ale robot nie zamierzał puścić. Zaczął przecinać skrzydło ostrzami.

Niszczyl jej samolot.

Rick zawrócił, gdy zobaczył, że robot przywarł do pojazdu Karen. Dziewczyna wpadła w tarapaty. Poleciał w jej stronę, zastanawiając się, jak może uwolnić jej samolot z łap robota do niej i do Ricka, migocząc w locie. Niektóre unosiły się w powietrzu, gwałtownie zmieniały kierunek, tropiły.

- Rick, za tobą! - krzyknęła.

Odwrócił głowę i zobaczył goniącego go robota. Natychmiast poderwał samolot i skręcił, wyprowadzając maszynę z lotu nurkowego, wzbijając się w górę, próbując zgubić prześladowcę. Jednak robot latał co najmniej równie sprawnie jak Rick i wciąż się zbliżał.

Karen przyspieszyła i zanurkowała w ślad za robotem ścigającym Ricka. Może uda jej

się strącić go na ziemię. Jej samolot ma śmigło z tyłu, więc dziób może wykorzystać jako taran. Wycelowwała w robota i dodała gazu. Tuż przed uderzeniem skuliła się w kokpicie i schyliła głowę, przygotowując się na wstrząs. Samolot wpadł na robota.

Rozległ się brzęk, gdy jej maszyna odbiła się rykoszetem w jedną stronę, a robot w drugą. Oba pojazdy zawirowały, ale zderzenie nie wyrządziło im żadnej krzywdy. Robot obrócił się ina chwilę zawisł w powietrzu, odzyskując orientację, po czym ruszył za samolotem Karen. Dziewczyna opanowała stery i oddaliła się, obserwując swojego prześladowcę. Robot gwałtownie przyśpieszył, a następnie ku zaskoczeniu Karen rozłożył dwa kilkusegmentowe ramiona.

Przywarł lepкими poduszczkami umieszczonymi na końcach ramion do skrzydła jej samolotu. Usiłowała go strącić, wymachując drążkiem sterowniczym, przechylając maszynę na boki, ale robot nie zamierzał puścić. Zaczął przecinać skrzydło ostrzami.

Niszczyl jej samolot.

Rick zawrócił, gdy zobaczył, że robot przywarł do pojazdu Karen. Dziewczyna wpadła w tarapaty. Poleciał w jej stronę, zastanawiając się, jak może uwolnić jej samolot z łap robota.

Jego maszyna nie była uzbrojona. Nie miała działek, wyrzutni rakiet ani niczego w tym rodzaju. Ale zaraz... przecież Rourke wyposażył każdy z samolotów w maczetę. Rick pomacał dookoła siebie i natrafił na rękojeść, po czym pomknął w stronę Karen, trzymając broń nad głową jak kawalerzysta.

- Aja! - krzyknął i uderzył robota w szyję, gdy obok niego przelatywał.

Szyja z ostrzami odpadła, wijąc się konwulsyjnie, a pozbawiony głowy robot puścił skrzydło samolotu Karen i oddalił się zygzakiem, wyraźnie zdezorientowany. Karen odzyskała kontrolę nad maszyną.

Wokół nich unosiło się kilkadziesiąt robotów.

Rick krążył między nimi. Nagle któryś uczeplił się jego samolotu i nim potrząsnął, a potem zaczął przecinać skrzydło nożycami. Rick próbował go uderzyć maczetą, ale nie sięgał tak daleko. Samolot wpadł w korkociąg, jednak po chwili chwycił go kolejny robot i powstrzymał upadek. Roboty trzymały maszynę Ricka w powietrzu, zupełnie jakby kłóciły się o zdobycz, jednocześnie tnąc ją na kawałki.

Rick wyskoczył z kabiny, zabierając ze sobą maczetę. Spadając, obrócił się na plecy i zobaczył nad sobą samolot Karen, który wirował chaotycznie, oblepiony robotami. Jeden z nich niszczył śmigło, a kolejny rozrywał burtę. Rick wylądował na plecach, nie odnosząc żadnych obrażeń, wciąż ściskając w dłoni maczetę.

Wstał. Sala z generatorem wydała mu się olbrzymia. Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się mikroskopijny panel kontrolny; nie widział białego okręgu. Plastikową podłogę, spod której bił blask, pokrywały ziarenka pyłu wielkości piłeczek golfowych. Rozglądając się wokoło, Rick próbował wypatrzeć samolot Karen. Nigdzie jej nie widział. Podłoga była straszliwie zaśmiecona.

Nagle usłyszał westchnięcie i Karen spadła na nogi jak kotka w odległości mniej więcej stu metrów. Ona również wyskoczyła z kabiny. Trzymała maczetę i spoglądała w górę na roboty. Kilkanaście z nich unosiło się wysoko w powietrzu, przytrzymując samoloty i tnąc je na drobne kawałki. Szczątki maszyn opadały jak deszcz. Roboty chwilowo były całkowicie pochłonięte swoim zadaniem.

- Tędy! - Karen wskazała maczetą.

Rick zauważył biały okrąg. Zaskoczyło go, jak dużą odległość muszą pokonać.

Ruszyli rozpaczliwym sprintem, przeskakując nad szczątkami samolotów i śmieciami. Rick potknął się o ludzki włos i runął jak długi na ziemię.

Kiedy się podniósł, nigdzie nie widział Karen.

- Karen?! - zawołał.

Roboty skończyły niszczyć samoloty i znów zaczęły krążyć w powietrzu, unosząc się, przyspieszając, przeczesując pomieszczenie. Rick zastanawiał się, czy zdołają ich dostrzec.

Kolejne kilkadziesiąt robotów opadło ze ścian i sufitu, więc w polowaniu na intruzów uczestniczyła już co najmniej setka latających zabójców. Czy one się ze sobą komunikują? W końcu ich znajdą to tylko kwestia czasu.

Rozdział 50

Rdzeń tensorowy 1 listopada, godzina 5.10

- Taka śmierć nie jest najgorsza - powiedział Drake. - Prawie nic nie czujesz.

Wcisnął kolejne guziki na urządzeniu sterującym.

Erie leżał oparty plecami o ścianę laboratorium w strefie Omikronu obok drzwi prowadzących do sali z generatorem. Kręciło mu się w głowie po tym, jak Drake go pobił.

Vin wycelował mu w twarz, oślepiając latarką. Erie czuł, jak jeden z robotów przecina mu czoło. Krew zaczęła mu spływać do oczu. Widział unoszące się w powietrzu kropki ze śmigłami, które brzęczały jak komary. Najwyraźniej Drake nimi sterował, ponieważ nagle wszystkie ruszyły w stronę twarzy Erica. Poczł, jak lądują mu na policzkach i szyi, pełzną po powiekach. Jeden wsunął się pod koszulę; słyszał odgłos jego silnika.

- Widzisz, że mnie ignorują? - Drake nie przestawał wciskać guzików. - To dlatego, że mam urządzenie sterujące. - Przesunął kciukiem mały drążek, a jeden z robotów wspiał się Ericowi po policzku i zatrzymał w kąciuku oka. - Mogę sprawić, że wpełzną w dowolny otwór w twoim ciele.

- Dlaczego mi to robisz?

- Dla dobra nauki.

Eric poczuł delikatne ukłucie w kąciku oka. Robot wbił ostrza w skórę i zaczął wycinać otwór. Potem wepchnął w niego głowę, kręcąc nią i tnąc nożycami komórki.

Kropelka krwi spłynęła po policzku.

Samochody policyjne zamknęły drogę dojazdową do parku przemysłowego i otoczyły budynek Nanigenu kordonem bezpieczeństwa. Furgonetki zajęły pozycje, a jednostka specjalna przygotowała się do działania. Migające światła radiowozów odbijały się od metalowych ścian.

Dan Watanabe czekał za jednym z samochodów, obserwując drzwi wejściowe. Co prawda przekazał dowodzenie nad akcją oddziałowi SWAT, ale chciał, żeby dowódca jednostki, Kevin Hope, traktował go poważnie.

- Gdzie jest Dorothy? - spytał.

- Już jedzie - odpowiedział Hope.

- A straż pożarna?

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie z rykiem podjechała do nich żółta furgonetka.

Wyskoczyli z niej strażacy, którzy szybko włożyli ochronne polietylenowe stroje, a następnie rozstawili namiot, gdzie zorganizowali przenośne centrum odkażania wyposażone w sprzęt myjący i stanowisko pomocy dla ofiar.

- Co jest w tym budynku, jakiś wirus? - spytał Hope.

Został wezwany zaledwie dwadzieścia minut wcześniej i jeszcze nie wiedział, czego dotyczy akcja.

- Nie, roboty - odparł Watanabe.

- Co takiego...?

- Malutkie roboty, które gryzą.

Dowódca posłał mu dziwne spojrzenie.

- Nie mów mi, że czeka nas strzelanina z robotami, Dan.

- Nie ma mowy. Ich nie da się trafić.

- Są tam jacyś zakładnicy?

- Nic nam o tym nie wiadomo. Niczego nie możemy z góry zakładać - odpowiedział Watanabe. Ktoś wręczył mu kamizelkę kuloodporną, którą od razu włożył. Ktoś inny przyniósł wielokanałowy komunikator. - Mam zadzwonić? - spytał Dan, włączając urządzenie.

Hope uśmiechnął się drwiąco.

- Ty nas w to wpakowałeś, Dan, więc nas teraz z tego wyciągnij.

Watanabe wzruszył ramionami, po czym zerknął na kawałek papieru, na którym miał zapisany numer telefonu. Wstukał go na klawiaturze.

W laboratorium Projektu Omikron Erie czuł, jak roboty zagłębiają się w jego skórze.

Drakę celował mu w twarz z pistoletu i oślepił latarką. Erie rozważał, jak ma zginąć: zmusić

Drake'a, by ten strzelił mu w głowę, czy zaczekać kilka minut, aż roboty przetną mu tętnice.

Nagle w kieszeni marynarki Drake'a rozległo się ciche brzęczenie. Vin wyjął telefon i

zerknął na numer dzwoniącej osoby. „Zastrzeżony”. Postanowił odebrać. Głęboko odetchnął, żeby uspokoić szalejące serce.

- Słucham?

- Vincent Drake?

- Kto mówi?

- Dan Watanabe z policji w Honolulu. Czy jest ktoś z panem w budynku?

- O, witam, Dan. Nie, jestem sam, pracuję do późna. O co chodzi?

- Budynek jest otoczony. Czy może pan wyjść powoli z rękami na głowie? Obiecuję, że nic się panu nie stanie.

- Ojej, Dan! To z pewnością jakaś pomyłka. Chętnie się podporządkuję... tylko dajcie mi chwilę.

- Nalegam, aby wyszedł pan natychmiast...

- Oczywiście. Jak najbardziej. - Drake wyłączył telefon, po czym zbliżył się do Erica z wściekle wykrzywioną twarzą. - Poszedłeś na policję.

Jansen pokręcił głową. Tracił dużo krwi. Jego koszulę pokrywały ciemne smugi, czuł ciepły strumień spływający mu po szyi.

Vin pochylił się nad Erikiem i dźwignął go na nogi.

- Kurwa, jesteś taki sam jak twój brat... ciągle wtykasz nos w nie swoje sprawy. -

Patrzyli sobie w oczy. - Ops - rzekł Drake, dotykając jego policzka. - Chyba jeden dostał ci się do oka.

Zdobyć urządzenie sterujące.

Erie położył lewą dłoń na klamce za swoimi plecami i ją nacisnął. Kiedy drzwi się otworzyły, runął tyłem do sali z generatorem, a Vin na niego wpadł. Jansen prawą ręką chwycił urządzenie sterujące i padając, wyrwał je Drake'owi z dłoni.

Tamten zaklął i zatoczył się do wnętrza pomieszczenia, po czym wystrzelił. Pocisk przebił Ericowi udo, ale on, o dziwo, nie poczuł bólu. Był w szoku. Zdołał przejąć urządzenie sterujące, a to było najważniejsze. Wiedział, co z nim zrobić. Kilkakrotnie uderzył przyrządem o ziemię, rozbijając go na kawałki.

Teraz nikt nie kontrolował robotów.

Nagle z zaskoczeniem zauważył przed sobą pistolet. Drake musiał go upuścić. Vin podniósł się z podłogi i obaj mężczyźni jednocześnie skoczyli w kierunku broni.

Karen i Rick zobaczyli, jak otwierają się drzwi i dwie olbrzymie postaci wpadają do pomieszczenia. Broń wypaliła i fala uderzeniowa przetoczyła się po zmniejszonych ludziach.

Po chwili dwaj mężczyźni runęli na posadzkę, a wstrząs wyrzucił Ricka i Karen w powietrze.

Kropla krwi rozprysła się na podłodze. Doktoranci wstali i ponownie ruszyli biegiem ku

♦ białemu okręgowi.

Jeden z mężczyzn przetoczył się na plecy. Trzymał urządzenie sterujące robotami i raz

za razem uderzał nim o ziemię. Gdy się rozpadło, kawałki płytek z elektroniką poleciały w

stronę Karen, przewracając ją na podłogę. Zobaczyła, że w jej stronę sunie pistolet, i była

pewna, że ją zmiażdży. Odskoczyła w bok, podczas gdy mężczyźni starli się w walce obroń.

Po chwili Erie chwycił pistolet, przetoczył się po podłodze, podźwignął i wycelował

leżącemu - Drake'owi w twarz. Jego noga krwawiła.

- Nie ruszaj się... bo strzelę ci w łeb.

- Zaczekaj, Ericu. Możemy z tego wyjść żywi. Obaj.

- Nic z tego. Zabiłeś mojego brata. - Erie poprawił palec na spuście.

- Ależ Ericu... mylisz się... zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby go ocalić.

- Oszalałeś.

Rick i Karen dotarli do okręgu. Wokół siebie słyszeli donośne dudnienie śmigieł

robotów. Nie wiedzieli, co robią duzi ludzie. Na środku okręgu znajdował się właz

przypominający wejście do studzienki kanalizacyjnej z rączką wpuszczoną w pokrywę. Oboje

jednocześnie do niego dopadli.

Rick uklęknął i szarpnął rączkę.

Bezskutecznie.

Wyglądało na to, że właz się zaciął. Kilka robotów zbliżyło się i groźnie zawisło w

powietrzu. Jeden z nich podleciał - I i spróbował dźgnąć Karen ostrzami. Dziewczyna

machnęła maczetą i z brzękiem odparła atak robota, zmuszając go do cofnięcia.

Podniosła broń.

- Stańmy plecami do siebie! - zawołała.

Rick się wyprostował i posłuchał Karen, również dobywając maczety. Roboty ich otoczyły i zaczęły atakować, szczękając stalowymi ostrzami. Rick zamachnął się maczetą i oślepił któregoś, ścinając jego złożone oczy. Robot uderzył o ziemię, wymachując szyją, po czym niepewnie wzbił się w powietrze.

Nie przestawali walczyć, jednak roboty nie odczuwały strachu i nie miały instynktu samozachowawczego.

- Otwórz właz. Będę cię osłaniała - rzuciła Karen, wymachując maczetą.

Rick pochylił się i ponownie pociągnął za rączkę, podczas gdy Karen zasłoniła go własnym ciałem, odpędzając maszyny. Jednak właz nie chciał się otworzyć. Rick próbował podważyć go czubkiem maczety, a potem przeciąć, ale bezskutecznie. Ostrze odbiło się od plastiku.

- Nie mogę otworzyć!

- Posłuchaj, Rick... Au! - krzyknęła z bólu, gdy jeden z robotów ją skaleczył.

Zakręciła maczetą nad głową. - Spróbuj jeszcze raz! Pośpiesz się! - wrzasnęła.

To dodało mu sił. Rzucił się na właz i otworzył go szarpnięciem. Pod spodem znalazł czerwony przycisk. Skoczył na niego obiema stopami.

Podłoga się zatrzęsała. Sześciobok zaczął się opuszczać i po chwili połknęła ich podziemna komora.

Jeden z robotów wleciał do niej w ślad za nimi. Wyglądał na zagubionego. Rick zaczął odpędzać go maczetą, wpychając na ściany. Światła zmieniły kolor, rozległo się buczenie i Ricka ogarnęło nierzeczywiste wrażenie, że tańczy z robotem i Karen, a cała trójka wiruje w szalonym walcu.

Generator nabrał mocy, pola skrzyżowały się, tworząc poloidalne pętle, a sześcioboki

uniósł się i zrównał z podłogą. Rick, Karen oraz olbrzymi, powiększony robot spoczywali na podłodze. Ludzie odzyskali normalny rozmiar. Robot miał wielkość lodówki.

Erie leżał na posadzce i silnie krwawił z rany na nodze oraz kilku skaleczeń, ale był przytomny i celował z pistoletu do Drake'a, który zaczął się czołgać w jego stronę z wystraszoną miną.

- Zabierzmy Erica! - zawołał Rick do Karen.

Dźwignęli go za ręce oraz nogi i zaczęli nieść w stronę drzwi. Nagle Erie upuścił pistolet. Drake wstał i popełnił błąd. Zamiast rzucić się do wyjścia, skoczył w kierunku broni.

Rick i Karen wymknęli się z rannym z pomieszczenia, po czym zatrzasnęli za sobą drzwi. Karen zobaczyła, że zamykają się na zwykły rygiel, i szybko go przesunęła.

Drake został w sali z generatorem razem z setką latających mikroskopijnych maszyn bojowych i jednym olbrzymim robotem. Ten ostatni leżał na podłodze, rozglądając się złożonymi oczami, kołysząc elastyczną szyją i warcząc turbośmigłem, jednak nie mógł się wzbić w powietrze. Stał się zbyt ciężki, by latać.

Drake zerknął na dużego robota, po czym wstał z pistoletem w dłoni. Rick i Karen patrzyli przez kuloodporną szybę, jak Drake podnosi urządzenie sterujące, a potem je odrzuca. Erie rozbił je na kawałki.

Drake poruszył ustami i usłyszeli jego słaby głos.

- Wypuście mnie.

Rick pokręcił głową.

Drake strzelił w okno. Pocisk pozostawił na szybie siatkę pęknięć, ale nie rozbił szkła.

Vin podszedł do szyby.

- Proszę, pomóżcie mi. Bardzo żałuję.

Na czubku jego nosa zawisła kropelka krwi. Cofnął się o kilka kroków i rozpaczliwie

rozejrzał, po czym zamierzył się dłonią na robota krążącego mu wokół głowy. Zaklął i zaczął wymachiwać pistoletem, a snop światła z latarki taktycznej przemykał po ścianach. Drake oświetlił jednego z robotów i do niego strzelił. Wodząc wokół latarką, zaczął strzelać raz za razem, aż pomieszczenie wypełnił dym ze spalonego prochu.

Potem wyjął z kieszeni telefon. Znow ktoś do niego dzwonił.

- Halo, poruczniku. Czy może pan po mnie przyjść? Oczywiście wszystko panu powiem. Mam mały kłopot w sali z generatorem. Sala z generatorem, w środku budynku. Roboty? Nie ma tutaj żadnych robotów, jest całkowicie bezpiecznie...

Komórka wyslizgnęła mu się z zakrwawionych palców i z trzaskiem upadła na podłogę. Krew ciekąca z nosa zamoczyła przód koszuli. Drake zakaszłał, chlapiąc krwią. Zatoczył się do przodu i przywarł do szyby, patrząc na Ricka i Karen.

- Zabiję was! Przysięgam...! - Szeroko rozwarł powieki, a w kąciu jego prawego oka pojawiła się kropelka krwi. Malutki robot przebił się przez białko i zaczął pełznąć po powierzchni gałki ocznej, rozsmarowując po niej krew. Wydawało się, że Drake obserwuje, jak robot przemierza rogówkę. - Złaź ze mnie - wyszeptał, po czym wsadził sobie palec do oka i z wrzaskiem popatrzył na zakrwawioną opuszkę.

Nagle wycelował pistolet w swoją głowę i pociągnął za spust.

Nic się nie wydarzyło. Opróżnił magazynek, strzelając do robotów. Olbrzymi robot skierował wzrok na Drake'a i zaczął się ku niemu przesuwać, wlokąc za sobą ramiona.

Elastyczna szyja wystrzeliła do przodu i ostrza przebiły ciało Vina od dołu, po czym wysunęły się z jego piersi. Robot uniósł mężczyznę, potrząsnął nim, a w końcu cisnął ciało na drugą stronę sali.

Rick i Karen skupili się na Ericu. Rick zdarł z siebie koszulę i opatrzył nogę rannego.

Chwycił go pod ręce i zaczął ciągnąć przez laboratorium. Erie był prawie nieprzytomny z

powodu utraty krwi.

Nagle usłyszeli brzęczenie robotów. Karen poczuła ukłucie na karku, a gdy klepnęła się w szyję, na jej dłoni pozostała krew.

- To pomieszczenie jest skażone! Szybciej, Rick!

Nie namyślając się długo, chwyciła Erica jedną ręką i spróbowała zarzucić go sobie na plecy, ale nie dała rady. Przez chwilę zastanawiała się, co się stało. Potem zrozumiała, że jej nadludzkie zdolności zniknęły.

Udało im się wyciągnąć Erica na korytarz, gdzie natrafili na biegnący oddział uzbrojonych policjantów ubranych w pancerze. Tuż za nimi podążał lekko grubawy detektyw w cywilnym stroju. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, ale nie był częścią oddziału SWAT.

- Cofnijcie się! - krzyknął do nich Rick. - Roboty!

- Wiem - spokojnie odpowiedział detektyw. - Zabierzcie ich stąd, szybko - zwrócił się do policjantów. - Czy w budynku jeszcze ktoś jest?

- Drake. Nie żyje.

- Wszyscy na zewnątrz - rozkazał detektyw.

Funkcjonariusze wyprowadzili Ricka i Karen oraz wynieśli Erica, który stracił przytomność.

Jako ostatni budynek opuścił detektyw. Gdy wyszedł na światło dnia, z czoła ciekła mu krew. Roboty znalazły Dana Watanabe.

- Gdzie Dorothy? - zawołał.

Dorothy Girt, która przyjechała na miejsce swoją toyotą podeszła do Dana.

- Wzięłaś magnes? - spytał.

- Oczywiście.

Pokazała mu przemysłowy magnes w kształcie podkowy, który po drodze zabrała z laboratorium kryminalistycznego.

- Wszyscy do punktu odkażającego, zakładnicy i policjanci - polecił Watanabe, zdejmując kamizelkę kuloodporną. - Dorothy was oczyści.

Sanitariusze zanieśli Erica do namiotu, a następnie załadowali go do helikoptera służb medycznych. Gdy wszyscy już zostali odkażeni, porucznik Watanabe wszedł do białego namiotu, żeby Dorothy wydobyła roboty z jego ciała.

Rozdział 51

Podziemna komora 1 listopada, godzina 5.55

W sali z generatorem poruszał się tylko olbrzymi robot. Badał pomieszczenie, odpychając z drogi zwłoki Drake'a, szukając drogi wyjścia. Nie mógł jej znaleźć, więc przełączył się w tryb wiercenia. Nachylił szyję i za pomocą ostrzy przeciął plastikową podłogę. Kiedy wykonał w niej otwór, przebił się do komory pełnej elektronicznego sprzętu. Tam znów zaczął ciąć i siekać, robiąc to, na czym znał się najlepiej.

Spod podłogi dobiegały jęki, kołatanie i odgłosy rozrywania, którym towarzyszyły niebieskie i żółte błyski elektrycznych iskier. Nagle rozległo się bulgotanie i z dziury w podłodze buchnęła para. Zawiodły nadprzewodzące magnesy. Budynek zadrżał, gdy pola magnetyczne w generatorze wyrwały się spod kontroli. Zepsute magnesy gwałtownie się rozgrzały, przez co zawrzała płynny hel, w którym były zanurzone. Opary helu zaczęły się wydobywać z podziemnej komory.

Nagle w budynku zgasły światła. Potężny robot nadal pustoszył wnętrza maszyny Drake'a.

W budynku Nanigenu pozostała jeszcze jedna żywa osoba. W komorze pod ziemią szczupły mężczyzna patrzył na spustoszenie dokonywane przez robota. Poruszał się powoli,

ostrożnie, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, żeby nie zwrócić jego uwagi.

Odłączył i zdjął z jednej z półek twardy dysk, po czym wsunął go pod marynarkę i szybko opuścił komorę, wspinając się po drabinie, a następnie wszedł do tunelu ewakuacyjnego. Za sobą usłyszał huk i ryk: robot wywołał pożar.

Na końcu poziomego tunelu ewakuacyjnego wyłożonego blachą falistą znajdowała się drabina. Doktor Edward Catel, koordynator z konsorcjum Davros, zaczął się po niej wspinać. Twardy dysk w jego kieszeni zawierał pięć terabajtów danych - wszystkie projekty generatora autorstwa doktora Bena Rourke'a, a także bezcenne zapisy z prób urządzenia. Kiedy Catel zrozumiał, że Vin Drake prawdopodobnie zlecił zamordowanie swoich pracowników, uznał, że prezes stał się nieprzewidywalny i nie może dalej skutecznie pełnić swojej funkcji. Wtedy doktor skontaktował się z ludźmi, którzy od dłuższego czasu próbowali odkryć, czym się zajmuje Nanigen, i obiecał, że za ustaloną cenę dostarczy im projekty generatora. Tej nocy udał się do siedziby spółki. Jednak nie zdawał sobie sprawy, że Drake też tam będzie.

Teraz zatrzymał się na szczycie drabiny pod pokrywą wjazdu i nasłuchiwał. Co się dzieje na górze? Słyszał syreny i hałas helikoptera. Może powinien poczekać tutaj kilka godzin, aż wszystko przycichnie.

Poczuł, jak coś wilgotnego spływa mu po policzku i kapie na kołnierzyk. Podniósł dłoń do twarzy. Tak, to jeden z robotów wbił mu się w twarz. Tunel ewakuacyjny został skażony. Czuł, jak mikroskopijna maszyna przebija się przez tkanki policzka. Będzie niedobrze, jeśli robot przedostanie się do któregoś z głównych naczyń krwionośnych, gdyż wtedy będzie mógł przepłynąć do mózgu i zacząć siał zniszczenie, doprowadzając do wyłewu. Trzeba zaryzykować i wyjść.

Otworzył wjazd i znalazł się w zaroślach akacji obok parkingu. Na rogu stał zaparkowany wóz strażacki, ale jego załoga była skupiona na dymie wydobywającym się z

budynku.

Catel szybko wszedł w zarośla, skubiąc policzek opuszkami palców. Musi wydobyć robota. Włożył dwa palce do ust, wyciągnął małego obiekt z ciała i ścisnął go między paznokciami, aż usłyszał chrupnięcie. Nie zatrzymywał się. Kolce akacji szarpały jego ubranie. Przedostał się z jednego pustego parkingu na kolejny, po czym przemknął na tyłach magazynu. Wyszedł z parku przemysłowego na chodnik i szybkim krokiem dotarł do przystanku autobusowego przy Farrington Highway, gdzie usiadł na ławce pod wiatą.

Poranne słońce pieściło okolice złocistym blaskiem. Był niedzielny ranek, więc autobus mógł przyjechać dopiero za kilka godzin. Musiał poczekać. Podarta marynarka zachlapana krwią sprawiała, że czuł się bezpiecznie. Uśmiechnął się. Wygląda jak chory bezdomny, do którego nikt nie zechce się zbliżyć. W kieszeni ma twardy dysk, który zawiera jedyny kompletny zestaw planów generatora tensorowego opracowanych przez Bena Rourke'a. Jedynych planów.

Na nogawce jego spodni pojawiła się ciemna plama. Krew. Catel się zaniepokoił.

Rozpiął spodnie i zaczął obmacywać udo. Po chwili go złapał. Podniósł robota na czubku palca i uważnie mu się przyjrzał. Zobaczył małe ostrza lśniące w słońcu.

- Gdzie tak śpieszysz? - szepnął.

No nieźle, pomyślał. Wyglądam jak szaleniec rozmawiający z własnymi palcami.

Jestem wolnym agentem. Chwilowo nie reprezentuję nikogo poza sobą.

Zgniół robota między paznokciami i wytarł zakrwawioną rękę o spodnie. Zupełnie jakby zmiażdżył kleszcza. Obok niego przemknął wóz strażacki z wyjąca syreną.

Minął tydzień. Porucznik Dan Watanabe zmienił nachylenie ekranu laptopa stojącego na stoliku przy szpitalnym łóżku, na którym leżał Erie Jansen. Na ekranie widniał robot równo przecięty na pół, z odsłoniętym wnętrzem.

- Zidentyfikowaliśmy tamtego Azjatę, o którym panu mówiłem. Nazywał się Jason Chu.

Erie powoli pokiwał głową. Miał zabandażowaną nogę i bladą twarz. Utrata krwi wywołała anemię.

- Jason Chu pracował dla spółki Rexatack, która opatentowała technologię wykorzystaną do budowy hellstormów.

- Zatem to pan Chu zorganizował włamanie do siedziby Nanigenu, żeby się dowiedzieć, co Drake robi z jego patentami?

- Zgadza się - odparł Erie.

- A pan zaprogramował roboty obronne?

- Nie miały nikogo zabijać. Drake je przeprogramował. - Erie na chwilę zamknął oczy.

- Możecie mnie oskarżyć. Mój brat zginął przeze mnie. Nie dbam o to, co się ze mną stanie.

- Na razie nie zamierzamy stawiać panu zarzutów - ostrożnie odpowiedział Watanabe.

Przyszła pielęgniarka.

- Koniec wizyty. - Sprawdziła wskazania aparatury, do której podłączono Erica. -

Rozumieją panowie aluzję, czy mam wezwać lekarza? - spytała.

- Ja nie jestem panem - grzecznie odpowiedziała Dorothy Girt, wstając z krzesła.

Watanabe również wstał.

- Dorothy bardzo chciałaby zbadać działającego robota - rzekł do Erica.

Jansen wzruszył ramionami.

- Jest ich pełno wokół rdzenia.

- Już nie. Budynek doszczętnie spłonął. Tyle plastiku, strażacy gasili go przez dwa dni. Nic nie zostało. Ani jeden robot. Znaleźliśmy ciało, zapewne Drake'a. Potwierdzą to badania uzębienia. A maszyna do zmniejszania zmieniła się w brykiet.

- Postawicie komuś zarzuty? - spytał Erie, gdy Watanabe i Girt zbierali się do wyjścia.

Detektyw zatrzymał się w drzwiach.

- Sprawcy nie żyją. Na prokuratora generalnego wywierane są naciski, żeby nie wnoszono aktów oskarżenia. Źródłem nacisków są... środowiska rządowe. Nie chcą, by wypłynął temat robotów. Podejrzewam, że sprawa zostanie uznana za wypadek przemysłowy.

- W jego głosie dało się wyczuć rozczarowanie. - Ale nigdy nic nie wiadomo - dodał, zerkając na swoją towarzyszkę. - Dorothy i ja lubimy takie łamigłówki, prawda?

- Rzeczywiście - odparła Dorothy Girt nieco sztywno. - Chodźmy, Dan. Pan musi odpocząć.

Rozdział 52

Molokai 18 listopada, godzina 9.00

Nad zachodnią częścią Molokai przestał padać deszcz, a pasat przybrał na sile, szarpiąc palmy rosnące wzdłuż plaży i niosąc wilgotną mgiełkę w stronę lądu. W pewnej odległości od brzegu kilka namiotów z płótna i bambusa łopotało na wietrze. Ekologiczny ośrodek wypoczynkowy Dixie Maru najlepsze dni miał już za sobą.

Jednak doktoranckie stypendium nie pozwalało na większe luksusy.

Karen przeciągnęła się, siadając na posłaniu. Wiatr uniósł muślinową zasłonę w oknie namiotu, ukazując plażę, palmy i błękitną wodę. Niedaleko plaży z wody wytrysnęła biała fontanna.

Karen potrząsnęła Ricka za ramię.

- Rick, wieloryb!

Hutter przetoczył się i otworzył oczy.

- Gdzie? - spytał zaspanym głosem.

- Nie wyglądasz na zainteresowanego.

- Nieprawda, po prostu jestem śpiący.

Usiadł i wyjrzał przez okno.

Karen podziwiała mięśnie na plecach i ramionach Ricka.

W laboratorium w Cambridge nigdy nie przyszło jej do głowy, że pod rozciągniętymi flanelowymi koszulami może się kryć efektowne ciało.

- Niczego nie widzę - powiedział.

- Patrz uważnie. Może znów się pojawi.

W milczeniu obserwowali ocean. W oddali po drugiej stronie kanału Molokai widać było mglisty zarys Ko'olau Pali na wyspie Oahu. Górskie szczyty wieńczyły puszyste kłęby chmur. Na Pali padał deszcz. Rick objął Karen w pasie, a ona ścisnęła jego dłoń.

Nagle wieloryb powrócił. Najpierw pojawiła się jego głowa, a potem reszta ciała.

Humbak wyskoczył z wody, obrócił się w powietrzu i spadł z pluskiem przypominającym wybuch bomby.

Jeszcze przez chwilę patrzyli na wodę, ale już nic nie zburzyło spokoju oceanu. Waleń najwyraźniej się wyciszył albo odpłynął.

W końcu Rick przerwał milczenie.

- Zadzwoił do mnie tamten gliniarz. Porucznik Watanabe.

- Nic mi nie mówiłeś.

- Twierdzi, że możemy opuścić Hawaje.

Karen parsknęła.

- Tuszują całą sprawę.

- Zgadza się. A my wracamy do nudnego Cambridge...

- Mów za siebie - odrzekła Karen, odwracając się w jego stronę. - Ja nie wracam. Nie teraz.

- Dlaczego?

- Ponieważ zamierzam znaleźć drogę powrotną... tam.

- Do mikroświata?

Tylko się uśmiechnęła.

- Ależ Karen, to niemożliwe. Nie ma sposobu, żeby tam wrócić... a nawet gdyby był, taka próba byłaby szaleństwem. - Popatrzył na swoje ręce. Sińce wciąż nie do końca zbladły.

- W mikroświecie ludzie giną jak muchy.

- Jasne... każdy nowy świat jest niebezpieczny. Ale pomyśl o tych wszystkich

odkryciach... - Westchnęła. - Rick, jestem naukowcem. Muszę tam wrócić. Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, żebym mogła z tego zrezygnować. Ta technologia wciąż istnieje... a oboje dobrze wiemy, że wynalazki nigdy nie popadają w zapomnienie.

- To dotyczy także złych rzeczy - zgodził się Rick.

- Właśnie. Śmiercionośne roboty już z nami pozostaną. Ludzie będą umierać na nowe, straszliwe sposoby. Przy użyciu tej technologii będzie się toczyć potworne wojny. Świat już nigdy nie będzie taki sam.

Podmuch wiatru wstrząsnął namiotem i płótno załopotało o ich ekwipunek stojący w kącie.

- A co z nami? - spytał Rick, kiedy wiatr się uspokoił.

- Z nami?

- Tak. Z tobą i ze mną. To znaczy... - Spróbował wciągnąć ją z powrotem do łóżka.

Ale Karen pograżyła się w myślach. Oczami wyobraźni znów widziała panoramę rozciągającą się pod ich obozowiskiem na urwisku: zamgloną dolinę całą w zieleni, czyste wodospady... Zagubioną dolinę, której jeszcze nikt nie zbadał, a nawet nie oglądał.

- Musi być... - zaczęła.

Coś zwróciło jej uwagę. Metaliczny błysk czegoś małego, co wyleciało z jednego z

ich plecaków. Poczwała lodowaty dreszcz na wspomnienie robotów rojących się jak owady...

Cokolwiek to było, wyleciało przez okno, przeciskając się przez otwór w moskitierze.

To nic takiego, pomyślała.

Odwróciła się do Ricka.

- Musi być jakiś sposób, żeby tam wrócić.

Bibliografia

Opisana dziedzina nauki może się poszczycić najlepszymi tekstami przeznaczonymi dla szerokiego odbiorcy, jak również najbardziej przejrzystymi pracami napisanymi z myślą o specjalistach.

Agosta William, Bombardier Beetles and Fever Trees, A Closeup Look at Chemical

Warfare and Signals in Animals and Plants, AddisonWesley, Reading, Massachusetts 1995.

-, Thieves, Deceivers and Killers, Tales of Chemistry in Nature, Princeton University Press, Princeton, New Jersey 2001.

Arnold Harry A., Poisonous Plants in Hawaii, Tuttle, Tokio 1968. Attenborough

David, Życie na Ziemi, przekład Ewa Pankiewicz, Wilga, Warszawa 1997.

- Prywatne życie roślin, przekład Justyna Jannasz, Muza, Warszawa 1996.

Ayres Ian, SuperCrunchers, Bantam, Nowy Jork 2007.

Ball Jr. Stuart M., Hikers Guide to O'ahu, University of Hawaii Press, Honolulu 2000.

Baluska Frantisek, Mancuso Stefano i Volkmann Dieter, red., Communication in

Plants: Neuronal Aspects of Plant Life, Springer Verlag, Berlin 2006.

Beerling David, The Emerald Planet, How Plants Changed Earth s History, Oxford, Nowy Jork 2007.

Belknap Jody Perry i in., Majesty: The Exceptional Trees of Hawaii, The Outdoor

Circle, Honolulu 1982.

Berenbaum May R., Bugs in the System: Insects and Their Impact on Human Affairs, Perseus, Nowy Jork 1995.

Bier James E. i in. oraz Wydział Geografii Uniwersytetu Hawajskiego, Atlas of Hawaii, University of Hawaii Press, Honolulu 1973.

Bodanis David, The Secret Garden, Simon & Schuster, Nowy Jork 1992.

Bonner John Tyler, Why Size Matters: From Bacteria to Blue Whales, Princeton University Press, Princeton, New Jersey 2006.

-, Life Cycles: Reflections of an Evolutionary Biologist, Princeton University Press, Princeton, New Jersey 1993.

Bryan William Alanson, Natural History of Hawaii, Hawaiian Gazette Co. Ltd., Honolulu 1915 (dostępne na Google Books).

Buhner Stephen Harrod, The Lost Language of Plants: The Ecological Importance of Plant Medicines to Life on Earth, Chelsea Green Publishing, White River Junction, Vermont 2002.

Chippeaux JeanPhilippe, Snake Venoms and Envenomations, Krieger Publishing, Malabar, Floryda 2006.

Cox George W., Alien Species in North America and Hawaii, Impacts on Natural Ecosystems, Island Press, Waszyngton 1999.

Darwin Charles, The Power of Movement in Plants, John Murray, Londyn 1880 (dostępne pod adresem <http://darwinonline.org.uk/>).

Dicke Marcel i Takken Willem, Chemical Ecology, From Gene to Ecosystem, Springer, Dordrecht, Holandia 2006.

Eisner Thomas, Eisner s World: Life Through Many Lenses, Sinauer Associates,

Sunderland, Massachusetts 2009.

-, For Love of Insects, The Belknap Press of Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts 2003. Eisner Thomas, Eisner Maria i Siegler Melody, Secret Weapons: Defenses of Insects, Spiders, Scorpions, and Other ManyLegged Creatures, The Belknap Press of Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts 2005.

Eisner Thomas i Meinwald Jerrold, red., Chemical Ecology: The Chemistry of Biotic Interaction, National Academy Press, Waszyngton 1995.

Fleming Andrew J., red., Intercellular Communication in Plants, Annual Plant Reviews, tom 16, Blackwell, Oxford, Anglia 2005.

Foelix Rainer D., Biology of Spiders, Oxford University Press - George Thieme Verlag, Nowy Jork 1996.

Galston Arthur W., Life Processes of Plants, Scientific American, Nowy Jork 1994.

Gotwald Jr. William H., Army Ants: The Biology of Social Predation, Cornell University Press, Ithaca, Nowy Jork 1995.

Gullan Penny J. i Cranston Peter S., The Insects: An Outline of Entomology, WileyBlackwell, Oxford 2010.

Hall John B., A Hiker s Guide to Trailside Plants in Hawaii, Mutual Publishing, Honolulu 2004.

Hillyard Paul, The Private Life of Spiders, Princeton University Press, Princeton, New Jersey 2008.

Holldobler Bert i Wilson Edward O., The Ants, The Belknap Press of Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts 1990.

Homer, Odyseja, przeklad Lucjan Siemienski, Wydawnictwo Zielona Sowa, Krakow 2009.

Howarth Francis G. i Mull William P., Hawaiian Insects and Their Kin, University of Hawaii Press, Honolulu 1992.

Jones Richard, Nano Nature: Nature's Spectacular Hidden World, Metro Books, Nowy Jork 2008.

Kealey Terence, The Economic Laws of Scientific Research, St. Martin's Press, Nowy Jork 1996.

Kepler Angela Kay, Trees of Hawaii, University of Hawaii Press, Honolulu 1990.

Krauss Beatrice H., Native Plants Used as Medicine in Hawaii, Harold L. Lyon Arboretum, Honolulu 1981.

Ksenofont, Wyprawa Cyrusa, przekład Władysław Madyda, Czytelnik, Warszawa 2003. (Pierwsze przemowy Ksenofonta do żołnierzy. Przykład przewodnictwa w sytuacji zagrożenia. Poruszająca lektura, która posłużyła za wzór do przemowy motywacyjnej Petera Jansena do kolegów).

Liebherr James K. i Zimmerman Elwood C., Insects of Hawaii, tom 16: Hawaiian Carabidae (Coleoptera): Część pierwsza: Introduction and Tribe Platynini, University of Hawaii Press, Honolulu 2000.

Magnacca Karl N., Conservation Status of the Endemic Bees of Hawaii, Hylaeus (Nesoprosopis) (Hymenoptera: Colletidae), „Pacific Science”, tom 61, nr 2, kwiecień 2007, str. 173-190.

Marshall Stephen A., Insects: Their Natural History and Diversity, Firefly Books, Buffalo, Nowy Jork 2006.

Martin Gary J., Ethnobotany: A Methods Manual, Earthscan, Londyn 2004.

McBride L.R., Practical Folk Medicine of Hawaii, Petroglyph Press, Hilo 1975.

McMonagle Orin, Giant Centipedes: The Enthusiast's Handbook, Elytra & Antenna: ElytraandAntenna.com 2003.

Meier Jurg i White Julian, red., Handbook of Clinical Toxicology of Animal Venoms and Poisons, Taylor & Francis, Boca Raton 1995.

Moffett Mark W., Adventures Among Ants, University of California Press, Berkeley 2010.

Palmer Daniel D., Hawaii's Ferns and Fern Allies, University of Hawaii Press, Honolulu 2002.

Perkins R.C.L., Insects of Tantalus, „Proceedings of the Hawaiian Entomological Society”, tom 1, część 2, str. 38-51 (dostępne na Google Books).

Perkins jest także autorem kilku fragmentów Fauna Hawaiiensis pod redakcją Davida Sharpa.

Pukui Mary Kawena i Elbert Samuel H., Hawaiian Dictionary, University of Hawaii Press, Honolulu 1986.

Scott Susan i Thomas Craig, Poisonous Plants of Paradise: First Aid and Medical Treatment of Injuries from Hawaii's Plants, University of Hawaii Press, Honolulu 2000.

Serres Michael i Latour Bruno, Conversations on Science, Culture, and Time, University of Michigan, Ann Arbor 1990.

Sharp David, red., Fauna Hawaiiensis, or the Zoology of the Sandwich (Hawaiian)

Isles, tomy 1-3, Cambridge University Press, Cambridge 1899-1913. (Głównym redaktorem i autorem wielu części tej serii był Robert Cyril Layton Perkins. Kopię w formacie pdf udostępnia na swojej stronie internetowej Karl N.

Magnacca:

<http://nature.berkeley.edu/magnacca/fauna.html>. Dostępne także na Google Books).

Simonson Douglas i in., Pidgin to Da Max Hana Hou [Pidgin Hawaiian dictionary], The Bess Press, Honolulu 1992.

Sohmer S.H. i Gustafson R., Plants and Flowers of Hawaii, University of Hawaii Press, Honolulu 1987.

Spradbery J. Philip, *Wasps: An Account of the Biology and Natural History of*

Solitary and Social Wasps, University of Washington Press, Seattle 1973.

Stamets Paul, *Mycelium Running*, Ten Speed Press, Berkeley 2005.

Stone Charles P. i Pratt Linda W., *Hawaii s Plants and Animals: Biological Sketches of Hawaii Volcanoes National Park*, Hawaii Natural History Accociation, Honolulu 1994.

Swartz Tim, *The Lost Journals of Nicola Tesla*, Global Communications, New Brunswick, New Jersey b.d.

Swift Sabina F. i Goff M. Lee, *Mite (Acari) Communities Associated with ‘Ohi’a...*
„Pacific Science” (2001), tom 55, nr 1, str. 23-55.

All

Walter David Evans i Proctor Heather Coreen, *Mites: Ecology, Evolution, and Behavior*, Copernicus (SpringerVerlag), Nowy Jork 2000.

Wilson Edward O., *Naturalist*, Warner Books, Nowy Jork 1995.

Wolfe David W., *Tales from the Underground: A Natural History of Subterraean Life*, Basic Books, Nowy Jork 2001.

Zimmer Carl, *Parasite Rex: Inside the Bizarre World of Nature ‘s Most Dangerous Creatures*, Simon & Schuster Touchstone, Nowy Jork 2000.

Zimmerman Elwood C., *Insects of Hawaii*, tom 1, University of Hawaii Press, Honolulu 2001.